



Mary Gordon



Bilans miłości

I

Na pogrzebie ojca było pełno księży. W naszym domu zawsze było pełno księży, rozmawiali z ojcem, pytali go o radę, spędzali noc, albo cały tydzień, zostawiali czarne kosmetyczki z przyborami do golenia na rezerwuarze w łazience, oczekiwali, że dostarczę im lnianych ręczników do rąk. Jedynym objawem próżności, dopuszczalnym u księdza, jest dbałość o rękę.

Księża odwiedzający mojego ojca chlubili się tym, że wyrastają ponad przeciętność. Jeden z ulubionych żartów dotyczył podejrzeń niekatolików, że spędzają czas na jałowych sporach, ile aniołów może zatańczyć na główce od szpilki, podczas gdy już samo postawienie problemu w ten sposób było śmieszne, bo wszak każdemu katolikowi wiadomo, że anioły to czyste duchy, nie mogą więc tańczyć. Nie, ich zaprzętały istotne kwestie. Spierali się na temat intencji chrztu, strącając pikle na dywan w ferworze dyskusji. Ustalali prawdziwy charakter przeistoczenia, usiłując przypomnieć sobie moje imię, kiedy dopełniałam ich kieliszki.

Wszyscy ci księża płakali na cmentarzu, a ja nie oplakiwałam swojego ojca, którego kochałam. Stałam za księdzem Mulcahy i przyglądałam się różowej skórze jego czaszki przeświecającej spod białych włosów. Podobały mi się jego buty, sprawiały wrażenie czegoś jadalnego, kiedy tak mrugały do mnie spod idealnych mankietów spodni. Już w chwili gdy obserwowałam te wszystkie szczegóły, zdawałam sobie sprawę, że postępuję niesłusznie, że jasność mojego umysłu jest czymś nieprzyzwoitym. Ciało mego ojca spuszczano do grobu. Już nigdy więcej go nie zobaczę.

To, że nie płaczę, że zdolna jestem do pewnej ironii na temat postępowania ojca, nie znaczy, że przywiązywałam do jego egzystencji niewielką wagę. Poświęciłam dla niego życie; jedynie ktoś, kto rozumiał mojego ojca, potrafiłby zrozumieć, że w stwierdzeniu tym nie kryje się litość dla siebie, ale najwyższa duma. Kiedy miałam dziewiętnaście lat, ojciec dostał wylewu, pielęgnowałam go przez następne jedenaście lat, aż do chwili jego śmierci.

W obecnym dziesięcioleciu wszystkim wydaje się to niezwykle, barbarzyńskie, okrutne. Dla mnie było nie tylko nieuniknione, ale całkiem naturalne. Kościół istnieje i trwa nie tylko po to, by zachować sam siebie, ale by ocalić pewne sceny w stanie nienaruszonym: ojciec i ja, we dwoje w jednorodzinny domku w dzielnicy Queens. Moja decyzja w wieku dziewiętnastu lat, by pielęgnować go w chorobie. Była to sytuacja niecodzienna, ale nie wyjątkowa. Mogła się powtórzyć.

Życie ojca było równie jasne jak życie dziecka, które umiera nie osiągnąwszy wieku rozumu. Jego pogrzeb powinien się odbyć przy akompaniamencie Mszy

Aniołów, którą Kościół stosuje przy pochówku dzieci. Jego umysł odznaczał się brutalnością dziecinną lub anielską; palec anioła wskazuje kierunek piekła pewien, że sprawiedliwie kieruje tam dusze.

Zdaniem mojego ojca ktoś, kto w dwudziestym wieku odmawiał stania się członkiem Kościoła katolickiego nie zasługiwał na litość, odmowa ta bowiem musiała być świadoma i złośliwa. Nazywał ją zbrodniczą ignorancją. Wielbił poczucie własnej prawowierności, obstawanie przy najczystszej, najdoskonalszej, najbardziej wyrafinowanej prawdzie wbrew zręcznym oszustom, którzy obiecywali szczęście na ziemi i supremację ludzkiego rozumu.

Jego historyczne sympatie stały po stronie rojalistów w rewolucji francuskiej, po stronie Południa w wojnie secesyjnej, po stronie rosyjskiego cara i hiszpańskich faszystów. Za cały chaos dwudziestego wieku obarczał osobistą odpowiedzialnością Woltera i Rousseau (i uważał, że właśnie w tej chwili Bóg ich do owej odpowiedzialności pociąga). Wierzył w hierarchie, wierzył, że prawdę i piękno można osiągnąć tylko w procesie oczyszczania i eliminacji. Na ziemi nie należy szukać szczęścia, ubóstwo przysparza chwały. Często mówił o szczęściu mieszkańców slumsów, choć żadnego z nich nigdy nie odwiedził; ignorował całkowicie zmagania własnej rodziny z nędzą, które w końcu doprowadziły jego matkę do obłądu. Gdybym jednak natarczywie wypytywała o jego rodzinę, czego nigdy nie ośmieliłam się zrobić, powiedziałaby, że nędza opłacała się, starali się bowiem podtrzymać standardy o wiele istotniejsze niż indywidualne istnienie. Piramidy były dużo ważniejsze od śmierci poszczególnych niewolników. Kwestionowanie koniecznej ceny oznaczało po prostu przyznanie się do słabości, a to z kolei stanowiło usprawiedliwienie jakże mizernej wizji.

A teraz chowano mego ojca, bo należało przecież coś zrobić z ciałami umarłych. To był również koniec mojego życia. Kiedy już opuszczą ciało w głąb, będę musiała wymyślić dla siebie jakąś egzystencję. Zajmowanie się inwalidą ma wielką zaletę: nigdy nie trzeba się zastanawiać, co jest do zrobienia. Życie jest proste, nieuniknione, nieskomplikowane. Nawet nuda ma swoje uroki, zapracowało się bowiem na ten pusty czas. Można go po prostu niczym nie wypełniać.

Moje życie składało się ze zrutynizowanych czynności, co czyniło je niemal atrakcyjnym. Przez jedenaście lat: przynieść ojcu śniadanie, ogolić go, spojrzeć z niechęcią na jego twarz, tak wykrzywioną po wylewie, że kazała zapomnieć o istnieniu wszelkiego piękna. Potem kąpiel. Przenoszenie ciała i niebywały wprost ciężar tego ciała, choć wydawało się tak kruche z tą sparaliżowaną lewą stroną, ponieważ coś się zepsuło w prawej części mózgu. Wsuwanie basenów, oglądanie rozpaczliwych pośladków, woń moczu i odchodów, której nigdy nie powinnam była poznać kochając

ojca taką miłością. A potem sadzałam go na wózek inwalidzki i wiozłam do kuchni, bo na tych czynnościach schodził ranek i pora już była szykować obiad.

Z tą swoją wykrzywioną twarzą i półprzymkniętym okiem próbował ze mną rozmawiać. A jeśli go nie rozumiałam, rzucał przedmiotami lub tłukł coś, toteż zawsze udawałam, że rozumiem (mój tak pełen ironii ojciec, dla którego ironia była już niedostępna).

Po południu próbował czytać albo zasypiał, a ja szłam do sklepu i usiłowałam posprzątać dom. To jednak zawsze wydawało się niemożliwe. Życie nagromadziło się wokół mnie w domu, zanim byłam wystarczająco dorosła, by z nim walczyć; wrosło w ściany tak, że myślałam je z wszechobecnym kurzem i stertami czasopism, których ojciec nie chciał wyrzucać, ze starymi listami i dziwnym osadem, którego nigdy nie potrafiłam ściągnąć z mebli.

Przy kolacji kroilał jedzenie dla ojca, potem wiozłam go do bawialni, gdzie czytałam mu przez godzinę. A potem już był czas, by położyć go do łóżka. Powolne, długie umieranie wyczerpywało go każdego dnia. Trudno wytłumaczyć, jak wiele czasu zabiera przygotowanie najprostszyc rzeczy dla inwalidy. Cały dzień schodzi na zaspokajaniu potrzeb umierającego zwierzęcia. Po każdym kolejnym wylewie możliwości ojca stawały się coraz mniejsze, moje dni coraz bardziej wypełnione, a ja sama popadałam w coraz większą otępiałość. Sypiałam wtedy, kiedy on spał. Czasami przesypiał większość dnia.

Przychodzili sąsiedzi i odbywaliśmy coś w rodzaju rozmowy. A w czwartki wieczorem przychodził ksiądz Mulcahy. Jednak w jego obecności musiałam udawać, musiałam znów stawać się Izabelą, którą zawsze kochał. Byłoby straszne, gdyby się dowiedział, jak bardzo stałam się otępiała, obojętna, zmęczona; udawałam więc wspaniale ową pogodę ducha, której potrzebował, co każdemu, nie obdarzonemu taką jak on dobrocią, wydawałoby się niemożliwe.

Można się zastanawiać, czyniło to wiele osób, dlaczego to zrobiłam, dlaczego zostałam z ojcem przez te wszystkie lata. Czy będzie to sugerowało coś w rodzaju koszmaru i pomieszania pojęć, jeżeli wyznam, że dzień, w którym doktor MacCauley powiedział mi, że ojciec ma wylew, był jedynym dniem w moim życiu, kiedy naprawdę czułam, że żyję?

Miałam pewność i czystość, czułam się jak kryształ w oprawie znaczeń. Upłynęły niecałe trzy tygodnie, odkąd ojciec nakrył mnie z Dawidem Lowe. Może po przytłaczających monotonią cierpieniach tamtych tygodni wiadomość niosąca możliwości ewidentnego męczeństwa po prostu przyniosła ulgę, jak zimny grapefruit oczyszczający podniebienie między kolejnymi daniami ciężkiego posiłku. Podczas owych tygodni prawie nie odzywaliśmy się do siebie, żadne z nas nie potrafiło

wymyślić formuły przebaczenia. A potem ojciec dostał wylewu. W jakiś sposób bardzo to nam odpowiadało.

Od owego pierwszego wylewu do chwili śmierci miał jeszcze trzy wylewy. W ciągu tych jedenastu lat sugerowano mi wielokrotnie, żebym wzięła kogoś do pomocy, żebym nie rezygnowała z własnego życia. Wypracowałam sposób odpowiadania na podobne sugestie: szybko zaciskałam usta i mówiłam, że bardzo dobrze sobie radzimy, że ojciec nie zniosłby obecności obcej osoby. I była to prawda. Wystarczyło, że odbijał sobie na mnie niesprawność własnego ciała, jego zwyczajną i całkowitą zdradę; obecność kogoś obcego pozbawiłaby go nawet tej pociechy, jaką znajdował we wściekłości. Połączeni byliśmy węzłami krwi, toteż jedynie ja powinnam usługiwać ojcu w okresie jego rozkładu.

Jeżeli w nocy, leżąc w łóżku, uświadamiałam sobie nagle, że to może trwać następnych dwadzieścia lat (ma mocne serce, mówili lekarze), jeżeli docierało do mnie, że sama także powoli umieram, jeżeli w wannie przyjrzałam się własnym piersiom i udom i dostrzegłam pierwsze oznaki starzenia, jeśli zdawałam sobie sprawę, że będę żyć nie wiedząc, jaki to dzień tygodnia, bo ta wiedza nie była mi do niczego potrzebna, jeżeli czułam nieświeży oddech ojca i pragnęłam, żeby umarł, to mimo wszystko wiedziałam, że to wszystko należy do mnie. Stanowi moje życie, równie nieuniknione jak własne ciało. Nie mogłam z nikim dzielić tego życia, tak jak nie mogłam pozbyć się ciała. Choć zbyt to proste, muszę jednak wyznać, że bardzo kochałam ojca, bardziej niż kogokolwiek.

I był jeszcze ten koszmar: ojciec stojący w drzwiach, kiedy zobaczył mnie z Dawidem. Zawsze wracało to do mnie, ilekroć pomyślałam o wzięciu kogoś do pomocy. A także owa chwila w 1965 roku kiedy chciałam wyjechać na tydzień na Wyspy Bahama z moją przyjaciółką Eleanor i powiedziałam ojcu, że na ten czas zaangażuję pielęgniarkę. Rozpłakał się, wziął mnie za rękę i spojrzał przerażonym wzrokiem dziecka, które zgubiło się w domu towarowym. A jego wykrzywione usta otworzyły się i zamknęły, jak usta dziecka na moment przed tym, zanim się rozplacze. Mój wspaniały ojciec, tak surowy i pewny siebie, którego surowość wydana na pastwę ciała przemieniła się teraz w dziecięcy płacz. „Nie zostawiaj mnie”. Ten jeden, jedyny raz Eleanor wściekła się na mnie. Doznałam prawdziwego szoku, kiedy moja przyjaciółka powiedziała bardzo spokojnie, bez najmniejszego nacisku:

- Pozwalasz mu pożreć się żywcem.

Eleanor nie zaprzestała jednak swych regularnych odwiedzin. Przyjeżdżała na Queens z Manhattanu, przywoziła owoce. Siadywałyśmy w kuchni, podczas rozmowy Eleanor gestykulowała swoimi zręcznymi palcami. Nigdy nie mówiłyśmy o naszych losach, rozmawiałyśmy o nas samych, o naszych charakterach, porównując

wspomnienia z dzieciństwa, by się upewnić, kim się stałyśmy, jakby zewnętrzne wydarzenia nie miały żadnych następstw.

Na cmentarzu Eleanor stała po mojej prawej stronie, a Liz po lewej. Losy osoby, którą kochało się od dzieciństwa, zawsze Wydają się nieuniknione, proste aż do pozazdroszczenia, znacznie łatwiejsze, a więc o wiele bardziej cenne niż własne. Własne życie, przeciwnie, wydaje się zręczną, choć przypadkową mieszaniną kalkulacji i szczęścia. Tego dnia, na pogrzebie ojca sądziłam, że w znacznie większym stopniu uformował mnie przypadek niż kalkulacja. Czy też raczej takie wydawały mi się moje dojrzałe lata. Właśnie niepowodzenie moich kalkulacji wyznaczało wyjście z dzieciństwa.

Na pogrzebie znajdzie się zawsze co najmniej jedna osoba, której wolałoby się nie spotkać. Patrzyłam na Margaret Casey, która prowadziła nam kiedyś dom, a której nie widziałam od siedemnastu lat. Płaszcz leżał na niej okropnie, był wyjątkowo źle skrojony. Nawet ona płakała, chociaż w ogóle nie miała prawa tu być. Na miejscu Margaret miałabym na tyle dobre maniery, żeby się tu nie pokazać. Jednak nędza takiej egzystencji jak życie Margaret uwalnia człowieka od konieczności dobrego wychowania. Kiedy nie ma nic do stracenia, nie ma też czego strzec. Patrzyłam na Margaret i pamiętałam, jaka była przed siedemnastu laty, kiedy to dotknięcie jej wilgotnych palców psuło mi samopoczucie na całe popołudnie. Nigdy sobie wzajemnie nie wybaczymy.

I słusznie. To, co uczyniłyśmy sobie nawzajem, jest niewybaczalne. Ludzie na cmentarzu pocieszali Margaret, zwracali się do niej, zanim jeszcze odezwali się do mnie. Ona płakała, ja nie. Wydawała się brać wszystko poważniej niż ja.

Był tu także Dawid Lowe, któremu wybaczyłam, któremu nie mógł wybaczyć mój ojciec. Po pogrzebie wszyscy ci ludzie pójdą do naszego domu, wszyscy ci księża będą mnie całować, wszyscy sąsiedzi, którzy przez lata przynosili mi ciasta i gulasze w zamian za sagę o przywiązaniu, którą wnosiliśmy z ojcem w ich życie.

Stałam przy grobie ojca, czarne obcasy moich bucików wybijały dziury w trawie. Całowałam i byłam całowana, odpowiadałam gruchaniem i gdakaniem, zwierzęcymi odgłosami, na wyrazy współczucia, bo to jedynie wydawało mi się odpowiednią reakcją w tej chwili. Pochowano mojego ojca, nigdy go więcej nie zobaczę. Dziwiło mnie, że mimo to ciągle jeszcze oddycham. Przez całe życie towarzyszyło mi piętno ciała ojca. Mijając posągi archaniołów Michała i Gabriela, poczułam się tak lekka, jakbym pozbyła się ciężaru, jak kosmonauta w przestrzeni pozbawionej grawitacji.

- Czy odwieźć cię do domu? - zapytał ksiądz Mulcahy.

- Pojadę z Liz i Eleanor - odpowiedziałam.

Widziałam, że był zawiedziony, ale potrzebowałam ich towarzystwa. Były jedynymi osobami na cmentarzu, które nie wydały mi się anachroniczne. Siedziałam

pomiędzy nimi na przednim siedzeniu samochodu Eleanor. Eleanor prowadziła samochód spokojnie, wykonywała wszystkie te dorosłe czynności, a przecież była to ta sama dziewczynka, obok której maszerowałam do pierwszej komunii. Obydwie z Eleanor traktowałyśmy sakramenty bardzo poważnie - pokuta, Najświętszy Sakrament - zależało nam na doskonałości form zewnętrznych. Stojąc w kolejce do spowiedzi, do komunii starałyśmy się trzymać plecy wyprostowane, składać ręce tak, by przypominały raczej gotyckie wieże, a nie kłębowisko imigranckich kłykci. Pamiętam, że Liz dostała klapsa od przełożonej, bo w czasie podniesienia podawała karteczki. I mnie, i Eleanor przerażały historie, które zakonnice opowiadały, by nas przerazić: świętokradztwo, świeckie traktowanie świętych obiektów, jak zachowanie owej kobiety, która dyskretnie wypluła hostię do torebki i zaniosiła do domu, by tam dźgać ją długopisem. Siostra Immakulata przedstawiła nam niezwykle wyrazisty obraz: niewielkie czarne otworki w białym opłatku i dalsze losy owej kobiety. Następnego ranka znaleziono martwą tę znieprawioną istotę, a serce jej oplatał wianuszek czarnych punkcików.

Słuchając tej historii patrzyłyśmy na siebie z Eleanor, tak jak patrzyłyśmy na siebie, kiedy proboszcz objaśniał pierwszej klasie zasady postępowania w przypadku ataku atomowego. Ale Liz podniosła rękę do góry. Kiedy siostra Immakulata zwróciła na nią uwagę, zapytała:

- Ale po co miałby ktoś dźgać hostię długopisem?

Siostra Immakulata spurpurowiała. Oświadczyła, że nigdy jeszcze nie słyszała, by dziecko przygotowujące się do pierwszej komunii zachowało się tak grubiańsko. Zapytała następnie, czy aby na pewno Liz jest gotowa na przyjęcie komunii. Taka groźba zastraszyła nawet Liz. Wyobraziłyśmy sobie, jak stoimy wszystkie w naszych niebieskich mundurkach poza kolejką białych aniołów, białych oblubienic czekających na to, co według zgodnych opinii miało być najszcześniejszym dniem ich życia, podczas gdy my tylko się temu przyglądamy, tajemniczo acz nieodwołalnie ukarane.

Teraz jednak obok mnie siedziała Eleanor, a także Liz. Twarz Eleanor zawsze wydawała mi się najdoskonalsza ze wszystkich twarzy. Wyjątkowo podatna na wpływ otoczenia. Barwa oczu i cały koloryt mogły w ciągu sekundy ulec całkowitej zmianie. Kiedy chciało się opisać tę twarz, przychodziły na myśl zwroty ze starych romansów „oblana pięknym rumieńcem”. Była to twarz zdolna wypełnić myśli wiktoriańskich ojców rodzin starannie skrywanymi fantazjami. Usta stanowiły ledwo widoczną linię, wąskie irlandzkie wargi stworzone były do żaloby.

Z mojej drugiej strony siedziała Liz, której powierzchowność również przykuwała uwagę. Nie lubiła Eleanor. Zwykła mawiać z prawdziwym oburzeniem:

- Zawsze się wydaje tak cholernie krucha. Nie ma do tego żadnego powodu.

Liz była matką, jedyna z nas, która miała dzieci. I to moim zdaniem czyniło ją znacznie podatniejszą na ciosy. Jej usta stanowiły zupełnie inną odmianę irlandzkiej fizjonomii, kipiały wprost od kpin, podczas gdy wzrok jej na podobieństwo radaru wyszukiwał objawów głupoty. A kiedy mogła się do czegoś przyczepić, twarz jej stawała się niezwykle ożywiona. Lubiła opowiadać, robiła wtedy pauzy w połowie zdania, po odmianie czasownika „być”, jakby wiedziała, że jej wrodzona elokwencja nasunie słuchaczom podejrzenia co do prawdziwości całej opowieści. Powinna przeprowadzać ekspedycje na Antarktydę lub kierować fabryką. Zamiast tego poślubiła polityka. No, może niezupełnie. Trudno bowiem myśleć o Johnie Rynie w innych kategoriach niż jako o chłopcu z Fordham.

Eleanor zatrzymała się na czerwonym świetle tuż obok stacji metra, skąd zawsze jeździliśmy do miasta. Jeździłam do miasta z moimi przyjaciółkami. Jest to zwodniczo proste stwierdzenie, a jednak odmieniło moje życie, nasze życie, i stanowiło znak odróżniający nas od reszty dzielnicy. Jeśli mieszkańcom Nowego Jorku trudno jest uwierzyć, że ludzie mieszkają w miejscach zwanych Nebraska czy Kansas, to chyba tylko stosunkowo niewielka garstka może zrozumieć różnicę pomiędzy dzielnicą Queens a „miastem”.

Moja dzielnica stanowi jeden z tych miejskich zakątków, które udają bez troskę zamożnego przedmieścia, podczas gdy w istocie ocierają się o slumsy. Nie zawsze jednak tak było. Zmiany stawały się bardziej widoczne, im dłużej jechałyśmy. Liz i Eleanor wyprowadziły się z dzielnicy, ja się nie wyprowadziłam.

Jeździłam z moimi przyjaciółkami do miasta. Wyjeżdżałam z dzielnicy. Dzielnica, podobnie jak zbyt wiele rzeczy w moim życiu, istniała dla mnie jedynie w relacji z moim ojcem. Ojciec wybijał się w naszej dzielnicy jako miejscowy intelektualista. Nie każda dzielnica ma swego lokalnego intelektualistę, tak jak nie w każdej wiosce jest przygłup. Jeśli jednak takowy istnieje, to zawsze pełni wyjątkową rolę. Wioskowy przygłup nie byłby równie głupi w innej wiosce. Mój ojciec nie byłby takim cudem błyskotliwości poza obrębem parafii.

Koniecznym jest tu podkreślić, że ojciec nigdy nie pojechał na Manhattan. Ja jeździłam tam z Eleanor albo z Liz (albo z jedną, albo z drugą, nigdy z obydwiema). Ojciec twierdził, że zależy mu na podtrzymaniu wartości zachodniej cywilizacji, jednak w ciągu trzydziestu lat życia, które z nim spędziłam, nigdy nie był w muzeum, w operze, na koncercie czy na przedstawieniu baletu. Przez cywilizację zachodnią rozumiał Kościół. Było więc naturalne, że nie chciał opuszczać dzielnicy, w której ewidentna dominacja Kościoła nie wymagała żadnego potrzymania. Wymagała jedynie pewnych ulepszeń od czasu do czasu, jak gargulce czy wymiana tafli kolorowego szkła. I w tych sprawach był ekspertem. Znał swoje miejsce. Narzekania

na ignorancję sąsiadów były rodzajem pozy, jak biadolenie małżonka pięknej damy, który na przyjęciu uskarża się na wysokie rachunki za kosmetyki.

Sąsiedzi zawsze mówili mi, jak bardzo ojciec im imponuje. Chyba im wierzyłam. Przez lata starałam się zapanować nad zazdrością wobec Liz i Eleanor, których ojcowie pracowali w towarzystwie telefonów, grali w baseball, byli młodzi, a latem podlewali trawniki. Specjalna pozycja ojca była czasami żenująca, tym bardziej że dotyczyła spraw tak nieistotnych. Sąsiedzi cenili sobie obecność ojca, profesora literatury średniowiecznej w szkole St. Aloysius, gdzie mieli nadzieję posłać swoich synów. Czuli się jednak trochę nieswojo, ponieważ nie mieli najmniejszego pojęcia, czym się ojciec zajmował przez cały dzień. Musieli plasować go obok innych reprezentantów wolnych zawodów, jak doktor MacCauley o niebieskich wilgotnych oczach psa czy prawnik Delaney, niemal przysłowiowy Irlandczyk o twarzy koloru surowego befsztyka. Tyle że potrzebowali MacCauleya i Delaneya w chwili, gdy sprzedawali domy czy kiedy rodził się nowy członek rodziny. Musieli więc wymyślić dla mojego ojca autorytet, przed którym mogliby się pokłonić. Zachowywali się z pewnym onieśmieniem w jego obecności, zwłaszcza mężczyźni, a jednak liczyli się z jego zdaniem, szczególnie w okresie maccartyzmu, jako ze zdaniem kogoś, kto ustalił „rolę katolików we współczesnym świecie”, który zachował w stanie nienaruszonym owo przejście między sacrum a profanum. Ojciec wygłaszał mowy w Towarzystwie Najświętszego Imienia, w Towarzystwie Różańcowym i Zrzeszeniu Córek Katolickich. Przemawiał na śniadaniach komunijnych i przygodnych kolacjach, udzielał księżom rad w sprawach liturgii i państwa.

Nikt nie zwracał się do ojca Liz ani do ojca Eleanor z tak skomplikowanymi problemami. I jakby z wdzięczności za to, że oszczędzano im podobnych kłopotów, pan O'Brien i pan Lavery zjawiali się u nas każdego roku, by założyć podwójne okna, przeczyszczyć rynny czy odgarnąć śnieg.

W dniu pogrzebu ojca jechałyśmy ulicą, na której wszystkie się urodziłyśmy. Dover Road. Każda z nas miała adres dzielnicy Queens z podwójnym zestawem cyfr. Zielony dom Eleanor: 50-18, nasz pseudotudor: 50-12. I dalej, niemal przy Meadowbrook Parkway, dom Liz z czerwonej cegły, z krętą ścieżką, która stanowiła przedmiot naszej zazdrości: 50-04.

- Jak byśmy jechały przez kapsułę czasu - zauważyła Liz. - I ci wszyscy ludzie, Margaret Casey, John Delaney, ksiądz Mulcahy. Myślałam, że oni już nie żyją.

- Co się dzieje z Margaret? - zapytała Eleanor.

- Mieszka z siostrą czy z kimś takim. Gdzieś na prowincji. Zdaje się, że pracuje w fabryce pudełek.

- Fabryka pudełek. To mi się podoba - oznajmiła Liz.

- Wyjątkowo nie mam ochoty teraz się z nimi spotykać - powiedziałam.

Marzyłam o chwili, gdy wejść do domu, w którym po raz pierwszy nie będzie ojca. Sądziłam, że doprowadzi mnie to do pewnego rodzaju zrozumienia, które będę mogła zatrzymać, jak utrwalony na fotografii moment strachu i przerażenia na twarzy osoby kompletnie zaskoczonej niespodziewanym najazdem najlepszych przyjaciół w dniu urodzin.

- Przebywanie z ludźmi powinno ci podobno dobrze zrobić - powiedziała Liz. - Tyle, że akurat tych ludzi nie chcesz widzieć.

- Może uda nam się ich skłonić do szybkiego wyjścia - wtrąciła Eleanor.

- Akurat! - powiedziała Liz.

Nawet nie dojechałyśmy do domu jako pierwsze. Przy kuchennym stole siedziała już rodzina O'Hare, która była naszym sąsiadem od 1952 roku. Napięcia rasowe lat sześćdziesiątych ominęły część naszej dzielnicy tylko dlatego, że nikt się stąd nie wyprowadzał. Zmiany statusu, aczkolwiek rzadkie, nie zachęcały ludzi do wyniesienia się gdzie indziej. Po prostu dorzucali coś do swoich dotychczasowych domów: patio, basen, fontanny, posągi Matki Boskiej skąpane w opalizującym świetle. Jeżeli nawet dzieci się wyprowadzały, rodzice nie wynosili się do małych mieszkań. Pokoje odkurzano raz na tydzień, czasami nawet przemeblowywano dla wnuków.

Bobby O'Hare ciągle mieszkał z rodzicami, co było dość żenujące. Teraz, kiedy siedział przy moim stole ze swoimi rodzicami, lubiłam go nawet, co było zupełnie niemożliwe przed dziesięcioma laty. Lubiłam go, ponieważ został w jakiś sposób zniszczony; ten chłopiec, którego podrasowane samochody i chude dziewczyny docierały nawet na nasz trawnik, na nasz podjazd, z wiekiem stał się przegrany. Posępne usposobienie pobudliwego nastolatka przekształciło się w ponurą bierność. Zaczął tyć. Stał się lepszy.

Chłopcy typu Bobby'ego (nazywam go chłopcem, choć jest tylko pięć lat młodszy ode mnie) zdolni są do zaskakującej dobroci. Wiąże się to z ich małomównością, stanowi część ich głupoty, a jednak płynie z najlepszego serca, które przestaje dochodzić do głosu dokładnie w chwili, gdy nabierają pewnej ogłady. Bobby siadywał przy moim ojcu dłużej niż ktokolwiek. To wydawało się go uspokajać. Jeżeli chciałam pójść z Eleanor na kolację czy do kina, wiedziałam, że mogę poprosić Bobby'ego, żeby został z ojcem. Przede wszystkim dlatego, że zawsze był w domu, nigdy nie wychodził. Siedział w swoim pokoju i komponował na gitarze muzykę country, zapisywał ją na papierze nutowym i posyłał gwiazdom. Jego wiara w przeznaczenie była równie zwierzęca jak wzrok, jakim patrzył na swoją matkę. Była to ponura wiara człowieka prymitywnego: nie ma potrzeby działania, działanie niczego nie zmieni, może jedynie naruszyć zwykły bieg przeznaczenia.

Bobby mógł stać się tym, czym się stał, niemal tylko w prostym procesie starzenia: ten typ nastolatka musi doznać rozczarowania w latach dojrzałych. Dla dziewczyn Bobby'ego życiowy szczyt przypadał w wieku lat szesnastu, chłopcy tacy jak on, nawet bez interwencji historii, mieli przed sobą jeszcze kilka dobrych lat, ale niewiele. Zaczynali się rozkładać w wieku dwudziestu dwóch lat. Jednak upadek Bobby'ego nie płynął jedynie z naturalnego rozplywania się charakteru. Bobby pojechał do Wietnamu.

Wietnam podzielił kraj, nie podzielił jednak naszej dzielnicy. Ludzie, którzy byli przeciwko, wyprowadzili się. Jak Liz, która jak to teraz widzę, nie musiałaby wychodzić za Johna Ryana w 1966 roku, gdyby była zgodna ze swoimi rodzicami w kwestii Wietnamu.

Pamiętam, jak Liz rozmawiała z Bobbym O'Hare, zanim wyjechał. Z nas trzech Liz była jedyną, z którą Bobby chciał kiedykolwiek rozmawiać. Myślę, że zawsze ją kochał, a zważywszy jego charakter, pewno kocha ją nadal. Stojąc przy drzwiczkach jego samochodu powiedziała całkowicie bezdusznie:

- To, co robisz, jest niemoralne. Jedziesz zabijać ludzi, którzy walczą o coś, w co powinieneś wierzyć.

Bobby nie dyskutował. Był na tyle sprytny, by nawet nie próbować przekonywać Liz; znał ją zbyt dobrze, by wątpić w jej niewzruszone poglądy.

Rozmawialiśmy z Liz o wojnie w domu mego ojca, szeptem, tak jak inne kobiety rozmawiały o swoich romansach. W tajemnicy adresowałam koperty dla Ruchu Kobiet na Rzecz Pokoju, tak jak w tajemnicy posyłałabym po środki antykoncepcyjne. Nie próbowałam dyskutować z ojcem. Już był chory. Dla niego prezydent Diem był bohaterem chrześcijańskim, a pani Nhu damą i świętą. Problem był prosty: północni Wietnamczycy byli komunistami, a komuniści nienawidzą

Kościola. Jakże zazdrościłam ojcu jego wyraźnych wrogów, nawet kiedy oglądałam w telewizji demonstracje pokojowe i szukałam w tłumie Liz i jej dzieci.

Tylko ja rozumiałam dowcipy Liz na temat ruchu pokojowego. Zakonnice w bluzkach z domu Ship'n Shore, których widok skłaniał Liz do wstąpienia do Zielonych Beretów, byle znaleźć się w przeciwnym obozie; księża pozbawieni poczucia humoru, którzy tracili niewinność dobiegając czterdziestki, zaangażowany laik, wszyscy zbyt grubi lub zbyt chudzi, w niegustownych butach, z bardzo niezdrową cerą. No i oczywiście, Eugeniusz McCarthy, o którego poślubieniu marzyła każda katolicka dziewczyna, podobnie jak my wszystkie chciałyśmy uwieść księdza Dana Berrigana. Nikt spośród pikietujących nie potrafiłby śmiać się z tego razem z Liz. W ciągu tych lat stałam się dla niej nieoceniona.

Patrząc na Bobby'ego O'Hare w mojej kuchni przypominałam sobie jego pożegnalne przyjęcie. Rok 1967. Wszyscy byli dumni z niego, zagorzale i

niebezpiecznie. Przerażały mnie dźwięki dochodzące z sąsiedniego domu, zawsze czułam się zagrożona agresywną wesołością ludzi broniących jakiejś pozycji. A irlandzka klasa pracująca zawsze czegoś broni, najpewniej czegoś nie do obrony - dziewictwa Matki Boskiej, C.I.A. - i dlatego ich przyjęcia zawsze kończą się bójką.

Był sierpień, otwarte okna, ojciec nie mógł spać. Był już wtedy chory od czterech lat, ale mógł jeszcze mówić prawie normalnie. Siedziałam przy jego łóżku, a on czytał mi na głos Celine'a, żeby zagłuszyć odgłosy tłuczonego szkła, hamujących samochodów, gniewu, seksualnych frustracji. Wreszcie ojciec się wściekł. Musiałam pójść do sąsiadów i poprosić, żeby się uciszyli. Już przechodząc przez dziurę w żywopłocie oddzielającym nasze posesje wiedziałam, że ta propozycja doprowadzi do gwałtownych scen.

Wkroczyłam do domu O'Hare'ów jak anioł śmierci. Jestem pewna, że przez te wszystkie lata opieki nad ojcem towarzyszył mi odór jego choroby, kwaśny, męski zapach, tak nienaturalny dla mnie jako kobiety.

Na parterze wewnątrz domu powiewały napisy: POWODZENIA BOBBY, BOBBY O'HARE ŻOŁNIERZ AMERYKAŃSKIEJ PIECHOTY MORSKIEJ, DAJ IM BOBU PIECHURZE. Czerwona, biała i niebieska krepina rozciągała się od sufitu do sufitu. Bobby i jego przyjaciele tańczyli. Sam Bobby wylewał właśnie piwo na głowę Carol Gambino, której podarował swój szkolny pierścień. Państwo O'Hare siedzieli w kuchni i opowiadali dowcipy swoim przyjaciółom. A ja, należąca do tego samego pokolenia co tańczące towarzystwo, stałam w progu.

Pan O'Hare wstał i uścisnął mnie; w tym pijackim uścisku poczułam się jak osoba tonąca. Miałam zaledwie dwadzieścia trzy lata, ale nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby zachęcić mnie do znalezienia się w towarzystwie „młodych ludzi”. Pan O'Hare przyniósł mi stołek, a pani O'Hare kawałek ciasta. Czułam się coraz bardziej nieswojo. W końcu przyszłam tu po to, by pohamować wesołość, przekazać skargi inwalidy, domagać się poszanowania jego praw. Ciszy, spokoju, porządku.

- Jak się czuje ojciec? - zapytał ktoś z siedzących przy stole.

Wtedy musiałam to powiedzieć. Odstawiłam ciasto i nie patrzyłam na nikogo. Usiłowałam nadać mojej twarzy zupełnie obojętny wyraz, jak twarzy zakonnicy czy pielęgniarce.

- Nie najlepiej. Zwłaszcza dziś wieczorem. I dlatego właśnie, pani O'Hare, zastanawiam się, czy mogłaby pani poprosić Bobby'ego, żeby trochę ściszył adapter?

Przy stole wszyscy zamilkli, przez co dochodzące z pokoju śmiechy i muzyka wydawały się zamierzoną obelgą. Każdy z siedzących przy stole miał dziecko w gronie tej rozbawionej młodzieży. Dziecko w moim wieku. Czytałam w ich oczach niechęć, niechęć do kogoś, kto psuje zabawę, kto w końcu okazuje się pewnie najgorszym

tyranem. Jednak autorytet mojego ojca był tak wielki, że nie kwestionowali nawet konieczności poświęcenia dla jego wygody przyjemności swoich dzieci.

- Powiedz dzieciakom, żeby się uspokoiły - zarządziła pani Flannery, żona policjanta.

Pan O'Hare podbiegł do adapteru. Igła zazgrzytała po płycie, co zabrzmiało równie niebezpiecznie jak syrena przeciwlotniczego alarmu.

- Co robisz, do cholery? - Bobby górował nad ojcem. Jak wszyscy synowie epoki powojennej był od niego wyższy.

- Musicie się trochę przymknąć. Ten obok nie może spać. Twarz Bobby'ego wydawała się gigantyczna jak ściana budynku.

- Co mnie to, do diabła, obchodzi? Stary pierdoła powinien już dawno wykorkować. Idę do tej przeklętej piechoty morskiej. Mogą mnie zabić. A ty przejmujesz się jakimś starym draniem z sąsiedztwa, który nawet szczać musi przez rurkę!

Oczywiście Irlandczyk musi uderzyć swojego syna za wypowiedzenie takiej okropności. Stojąc w progu nie miałam wrażenia, że pan O'Hare walczy z synem w obronie honoru mojej rodziny. Przyznawałam rację Bobby'emu. Jednak treścią i celem mojego życia było stawanie po stronie ojca, by bronić go przed wszystkimi możliwymi niebezpieczeństwami. Przyznawałam rację Bobby'emu, ale wiedziałam też, że sama postąpiłam słusznie. Wymknęłam się kuchennymi drzwiami z powrotem do ojca. Wkrótce potem usłyszeliśmy odjeżdżające samochody. Wszyscy wychodzili. Przerwaliśmy przyjęcie. Ojciec usnął dopiero, kiedy w domu O'Hare'ów zgasło ostatnie światło.

Czy Bobby myślał o tamtym wieczorze siedząc przy stole w naszym domu w dniu pogrzebu ojca? Na pewno nie, myślał o moim ojcu, był bowiem znacznie mniej ode mnie skomplikowany i znacznie bardziej kochający. Zauważyłam, że płakał, tak samo jak jego rodzice, tak samo jak wszyscy inni sąsiedzi. Oprócz mnie. Nie wiem dlaczego, ale tego dnia potrafiłam (i to z niezwykłą jasnością) koncentrować się jedynie na przeszłości.

Byłam O'Hare'om wdzięczna za konkretne dowody dobroci, ale przede wszystkim byłam im wdzięczna za to, że dochowali dwóch moich tajemnic. Wiedzieli, że nie chodziłam do kościoła; wiedzieli, że nie byłam dziewicą.

Mogli przecież powiedzieć ojcu, co robiłam przez te wszystkie lata w każdą niedzielę, ale nie zrobili tego. Wiedziałam, że skłoniła ich do milczenia nie tyle lojalność wobec mnie, ile chęć oszczędzenia ojcu dodatkowych cierpień, a może także poczucie wyższości, że oto córka człowieka, który - nie będąc księdzem - uważał za stosowne pouczać ich w sprawach duchowych, straciła wiarę.

Niedzielne spacery były jednym z najbardziej skomplikowanych sposobów oszukiwania ojca. Potrafił znieść moją nieobecność bez rozdrażnienia i oskarżeń jedynie podczas tej godziny niezbędnej na niedzielną mszę. Ale ja przestałam wierzyć. Można się modlić o wiarę zmagając się z nagłym kryzysem jej utraty, kiedy jednak traci się ją stopniowo, jak w moim przypadku, sprawa wydaje się oczywista i nie wymagająca żadnych działań, modlitwa staje się niemożliwa. Siedzenie na niedzielnej mszy w kościele Wniebowzięcia nie było więc dla mnie torturą, było jedynie bardzo nudne. Już w szkole średniej wydało mi się podejrzane, że ludzkość ma jedno tylko wyjście. A kiedy Kościół przestał być niezbędny, stał się dla mnie nieistotny. Potem przyszedł Sobór, tak mocno związany z tendencjami lat sześćdziesiątych, akceptujący ideę względności, ale to już mnie nie interesowało w najmniejszym nawet stopniu.

Tak więc przez tę jedyną godzinę w tygodniu, której ode mnie nie wymagano, oszukiwałam ojca, szłam na spacer. Zawsze, przez jedenaście lat, chodziłam tą samą drogą, na szczyt wzgórza Glasgow Turnpike, do niewielkiego parku, gdzie raz okrążałam staw i wracałam do domu. Zważywszy skrajną i niejako przymusową rozważność mojego życia, odczuwałam czasami pokusę, by pójść gdzie indziej. Skoro jednak miałam do dyspozycji tylko godzinę, nie mogłam ryzykować spaceru, który nie sprawiłby mi przyjemności. W każdą niedzielę między 11 a 11.50 spacerowałam po parku Dwycera przyglądając się drzewom i stawowi. Jeżeli padał deszcz, szłam do kawiarni Milta na kawę i słodką bułeczkę z rodzynkami.

Państwo O'Hare próbowali wprowadzić parokrotnie rozmawiać, ze mną w kuchni, usiłowali wciągnąć mnie w dyskusję z księżmi, ale wobec ojca zachowali milczenie. Milczeli również na temat Dawida Lowe.

Zadziwiająco, że Dawid Lowe przyszedł na pogrzeb mojego ojca. Zadzwoił z zapytaniem, czy może przyjść, bo właśnie przyjechał z Kalifornii. Chciałby uczcić mojego ojca. Czy mam coś przeciwko temu? Powiedziałam, że może przyjść, jeśli chce. Po tych wszystkich latach zdziwiło mnie, że on naprawdę istnieje. A kiedy już uznałam jego istnienie, stało się dla mnie zbyt realne, bym mogła sobie wyobrazić, że wywarłam na nie jakikolwiek wpływ.

Dawid Lowe stanowił dla ojca rekompensatę za wieloletnie niepowodzenia zawodowe. Ojciec wykładał w college'u St. Aloysius od 1934 do 1962 roku i przez wszystkie te lata Dawid był jego jedynym uczniem. Nietrudno to zrozumieć, jeśli się zważy skład uczniów. Rodzice oszczędzali pragnąc posłać synów do St. Aloysius, by zostali lekarzami, prawnikami, księgowymi czy agentami ubezpieczeniowymi, jeśli wszystko inne zawiodło. Ich córki miały zostać nauczycielkami szkół podstawowych, miały poznać chłopców z katolickich rodzin. Jeśli aspiracje chłopców były bardziej intelektualnej natury, wtedy zamiast do St. Aloysius szli na uniwersytet Fordhama, gdzie mogli się uczyć u jezuitów i w dalszym ciągu mieszkać w domu. Czasami

zdarzały się dziewczęta o wyższych ambicjach intelektualnych, ale zbyt ironiczna postawa ojca w ich obecności nie przysparzała mu wielu studentek. Ojciec wprawdzie utrzymywał, że jego studenci to najlepsi z najlepszych, jednak dopóki nie pojawił się Dawid Lowe, nie miał żadnego naprawdę oddanego ucznia.

Przywiązanie Dawida wynagrodziło mu wszystkie lata niepopularności. Dawid był niemal urodzonym uczniem. Wysoki, ciemny, o zbyt krótko ostrzyżonych włosach, niemożliwie wprost chudy. Obydwoje z Dawidem nie umiając znaleźć sposobu, który umożliwiłby nam jakiegokolwiek wzajemne relacje, przez trzy lata pozdrawialiśmy się przy każdym spotkaniu niepewnym uśmiechem. Ja za wszelką cenę starałam się unikać spotkania z ojcem w college'u, a Dawid prawie się z nim nie rozstawał.

Jak więc doszło do naszego zbliżenia? Kiedy rozmawiałam z nim po raz pierwszy? Prawda, w kinie. Poszliśmy do kina. To był rok 1962 - *West Side Story*.

Jak zareagował ojciec na moje spotkania z Dawidem? Nie wydawały mu się niczym nadzwyczajnym. A przecież Dawid był pierwszym chłopcem, z którym chodziłam. Jedynym chłopcem. Wówczas nie przyszło ojcu do głowy, że może mi zagrazać jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, że jestem wystarczająco dorosła, by seks odgrywał rolę w moich związkach z ludźmi. Jestem pewna, że moje kontakty z Dawidem traktował dokładnie tak samo, jakbym przyprowadzała do domu na obiad rówieśnika z przedszkola.

Jakże górnołotna była moja znajomość z Dawidem! Randki w Cloisters i w Muzeum Sztuki Współczesnej. Czy byliśmy kiedykolwiek w restauracji? Nie. Niewyobrażalne szaleństwo rozmowy, raj konwersacji. Widywaliśmy się codziennie i nie mogliśmy przestać rozmawiać, ale nie o nas samych, a już nigdy o moim ojcu. Jak dziwnie nieobecny w tym wszystkim był mój ojciec, choć stanowił przecież centrum całej sprawy! A potem całowanie się w kinie. Boże, co za rozkosz! O to mi chodziło, taka była prawda, bliskość dość nieudacznego ciała Dawida stanowiła dla mnie źródło najczystszej radości.

- Kochaj się ze mną - poprosiłam. Oczywiście sama to wszystko sprowokowałam. Wtedy nie miałam żadnych wątpliwości. Tak było w porządku, tego chciałam. Było to najmocniejsze przeżycie. Prowadząc swego czarnego volkswagen a Dawid przytrzymał moją rękę na dźwigni biegów, obejmował mnie. Kiedy powiedziałam „kochaj się ze mną”, przytulił mnie do swojej wątlej, niemal ptasiej piersi. Czulałam bicie jego serca. Powiedziałam „bardzo cię pragnę”, a on odpowiedział - za to go właśnie kochałam, to było tak bardzo w jego stylu - „i ja czuję to samo wobec ciebie”. Tym swoim głosem uczonego.

Jak dziwnie myśleć teraz o sobie jako dziewiętnastoletniej dziewczynie w czarnym volkswagenie Dawida, tak bardzo zakochanej; chociaż raz występowałam

wtedy nie jako córka swego ojca, ale jako czyjaś dziewczyna. Prostota owej tożsamości budzi we mnie sympatię do siebie samej, pozwala przez chwilę wierzyć, że to co się stało, nie wynikało z mojej brutalności, ale właśnie z niewinności, choć nawet w dzieciństwie podejrzewałam, że nie mieści się ona w mojej naturze.

Kiedy ojciec nas nakrył, nie byliśmy z Dawidem w łóżku po raz pierwszy. Ale po tym wydarzeniu - Dawid zaszokowany, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, ojciec wykrzykujący zza drzwi „wynoś się stąd i nigdy się więcej nie pokazuj” - nigdy już nie zobaczyłam Dawida. Pamiętam, jak od szlochów Dawida trzęsło się łóżko, co wprawiało moje gołe piersi w absurdalne podrygi, kiedy usiłowałam je przykryć jego trykotową koszulką. Pamiętam, jak powiedział:

- Ożenię się z nią, panie profesorze. Wszystko będzie w porządku, ja się z nią ożenię.

A ojciec odwrócił się w jego stronę z nienawiścią. Nigdy nie widziałam uczucia w stanie tak czystym. Samo wspomnienie o tym jeszcze dziś mnie przeraża.

- Nigdy więcej jej nie zobaczysz - powiedział ojciec. - Zrujnowałeś jej życie. Zrujnowałeś moje życie. Nigdy więcej się z nami nie kontaktuj.

Zapłakana, zupełnie nad sobą nie panując (w przeciwnym razie nigdy nie zwróciłabym się do kobiety) pobiegłam do najbliższej sąsiadki, pani O'Hare. Powiedziałam jej, co się stało. Przygotowała mi kąpiel. Dała mi dwa czyste ręczniki. Nie przypominam sobie, żeby cokolwiek powiedziała. Nigdy więcej o tym nie mówiłyśmy. Trzy tygodnie później po powrocie ze szkoły zastałam przed domem karetkę pogotowia. Ojciec dostał wylewu.

Pani O'Hare pewno teraz przypomina sobie to wszystko zobaczywszy Dawida Lowe, tak jak ja na widok Bobby'ego pomyślałam o jego pożegnalnym przyjęciu. Nie da się tego uniknąć, wszyscy ludzie w tym pokoju muszą teraz przywoływać wspomnienia z przeszłości, oby nie okazały się one zbyt wyraziste!

Jako jedni z pierwszych przyjechali Dawid z żoną, chudą blondynką. Dawid jeszcze zeszczupłał, a jego nędzna, siwiejąca broda wydawała się stanowczo nieproporcjonalnie długa. Dlaczego było w niej aż tyle siwizny? Miał zaledwie trzydzieści cztery lata. I dlaczego nie zgolił tej brody, skoro była tak wyraźnie nieudana? Głowa wystawała mu spomiędzy ramion, wyglądał jak mężczyzna, który ma trudności z zaspokojeniem swojej żony. Teraz, kiedy już się tu znalazł, jego obecność przypominała mi tamte czasy z taką ostrością, jakiej, na szczęście, nigdy nie wywoływał sam jego obraz.

Wspomnienie tamtych czasów to jak wspomnianie powodzi - otaczały mnie fale wywołane moim postępkiem. W owym czasie tonęłam sama i przytapiałam ojca w morzu nieznośnych konsekwencji. Zaciągnął mnie do spowiedzi, ale nie wyspowiadałam się, choć on nigdy się o tym nie dowiedział, a ja już nigdy więcej do

spowiedzi nie poszłam. Przez wszystkie te tygodnie milczał i płakał. Powiedział jedynie:

- Jeżeli będziesz miała dziecko, zatrzymamy je. Wyprowadzimy się stąd i wychowamy je.

Nigdy nie pomyślałam o dziecku, więc w owe dni opanowała mnie dodatkowa gorączka. Mogłam mieć dziecko. Ale, oczywiście, nie miałam.

Z wielu powodów mogło to być rozczarowaniem dla ojca. Cóż bowiem mogłoby mu sprawić większą przyjemność niż zajmowanie się na starość moim dzieckiem, które - jak wynikałoby z dyskretnych napomknien - było owocem gwałtu lub niepokalanego poczęcia? Niezwykłość każdego z tych układów podtrzymywałaby go na duchu. Musiało mu także sprawić zawód i to, że za mój czyn nie spotkała mnie wyraźna kara. Więc musiał ją wymyślić: uszkodzenie własnego mózgu, klęska własnego ciała jako wynik przyjemności mojego. Gdybym miała dziecko (oczywiście syna nazwanego jego imieniem), mógłby zgodzić się na krzepką starość, przyprowadzałby małego wnuczka na plebanię każdego dnia, kiedy bym tam pracowała, dzięki miłosierdziu parafii, z każdym dniem dorównując coraz bardziej bladością Magdalenie, choć nikt nigdy nie wspominałby o moich przestępstwach.

Może ja również tego pragnęłam, jeżeli nawet nie chodziło mi dokładnie o taki scenariusz publicznej pokuty, to w każdym razie o coś przypominającego melodramat ze wszystkimi jego ozdobnymi składnikami: odkryciem, karą, a przede wszystkim szansą na czyste, nowe życie. Co robiłam z Dawidem w swoim własnym łóżku, w domu mojego ojca wczesnym popołudniem? Wczesnym popołudniem w środku lata, kiedy ojciec oczywiście nie miał wykładów i mógł w każdej chwili wrócić do domu? Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego popełniłam taki dyletancki błąd, zważywszy jak precyzyjnie kierowałam dotychczas swoim życiem. Może pojawienie się seksu kładzie kres wszelkiej precyzji. A może chodziło o coś bardziej skomplikowanego, wszak nigdy nie byłam ani tak wygodna, ani tak skromna, by przypisywać swoim działaniom proste motywacje. Czy starałam się ukarać mojego ojca za to, że nie zwrócił uwagi na moją oczywistą dojrzałość, za brak zazdrości mimo pojawienia się tak ewidentnego rywala? Nawet nie przekomarzał się ze mną z powodu Dawida. Może oburzył mnie właśnie brak oburzenia z jego strony w obliczu czegoś, co w sposób tak wyraźny groziło nam separacją. Czyż mógł tak łatwo pozwolić mi odejść? Może ta perspektywa tak mną wstrząsnęła, że musiałam stworzyć sytuację, która uniemożliwiłaby mi małżeństwo za życia ojca, uniemożliwiłaby związek z jedynym partnerem, jakiego zdolny byłby zaakceptować.

Teraz widzę wyraźnie, że najbardziej przerażało mnie to, iż stosunki między mną a ojcem mogą się stać zwyczajne, czy przybrać formułę zrozumiałą dla postronnego obserwatora, który nie znał nas przez całe życie. Czy nawet obejmując

swego dziewiętnastoletniego kochanka obawiałam się widoku siebie samej w fartuchu, gotującej obiad niedzielny dla ojca, Dawida i naszych dzieci, nazwanych imionami wczesnochrześcijańskich męczenników? To, że ojciec zaskoczył mnie owego dnia, było gwarancją, że w moje życie nie wkroczy naprawdę żaden mężczyzna. Będę widywała księży, lekarzy, policjantów, prawników, a w końcu przedsiębiorcę pogrzebowego, który przyjedzie po ojca swoim dyskretnym szarym buickiem. A ja pozostanę nietknięta.

Dawid, który zadziwiająco swobodnie czuł się w moim domu, uściśnął mi dłoń. Czy jego żona wie, że byliśmy kochankami? Zastanawiałam się, jakie jeszcze miał kobiety, prócz nas dwóch.

- Wszystko zawdzięczam twojemu ojcu. Całą karierę - powiedział. Piersi jego żony były tak płaskie, że przez chwilę wyobrażałam sobie, jak się wspinam po jej torsie.

- Tak - odpowiedziałam zupełnie od rzeczy - był pełen poświęcenia.

Za moimi plecami stanęła Liz z ciastem na półmisku.

- Halo, Dawidzie - powiedziała. - Jak tam twoje badania?

- Skąd wiesz o moich badaniach?

- Dlaczego ktoś taki jak ty nie miałby prowadzić badań?

- Prawdę mówiąc, piszę książkę o tradycji wiersza aliteracyjnego.

- Istotna praca? - zapytała Liz częstując jego żonę ciastem.

- Chciałbym, żeby tak było - odparł biorąc ze stołu serwetkę.

- Izabelo, tam ktoś chce z tobą porozmawiać - powiedziała Liz. - Nadęty bęcwał - dodała po chwili. - Co on tu robi?

Przykro było słuchać, że tak wyraża się o kimś, kto był moim kochankiem. Nawet jeśli przyznawałam jej rację. Teraz już nigdy nie będę mogła powiedzieć jej o Dawidzie. Trzymałam to przed nią w tajemnicy przez tyle lat, dziwne więc, że teraz odczułam to jako dotkliwą stratę.

- On wszystko zawdzięcza mojemu ojcu. Wszystko - powiedziałam naśladowując żarliwość Dawida.

- Sądziłam, że twój ojciec był zbyt rozsądny, by wypuszczać w świat kogoś takiego jak Dawid Lowe.

- Dawid go uwielbiał.

- Lepiej spójrz na pantofle jego żony. Z kokardkami. Manhattan roku pańskiego 1962. Założę się, że przypina do stanika cudowny medalion.

- Wątpię, czy kiedykolwiek miała na sobie stanik.

- Fakt. Popatrz na halkę. Widzisz to, co ja? Boże, od lat nie jadłam bułeczki z serem. Odkąd wyprowadziłam się z dzielnicy Queens. To bardzo znaczące,

powinnyśmy chyba powiedzieć o tym Dawidowi Lowe. To może stanowić przełom w jego badaniach.

- O Boże! John Delaney!

- W porządku. Zatrzymam go przez chwilę z dala od ciebie. Według mnie czekają cię cztery ważne zadania. Po pierwsze, nie dopuszczać Margaret Casey do księdza Mulcahy. Po drugie, nie dopuszczać księdza Mulcahy do alkoholu. Po trzecie, nie dopuszczać mnie do Eleanor, bo mogę powiedzieć coś złośliwego. Po czwarte, nie dopuszczać do mnie matki, bo zawsze doprowadza mnie do szału.

- Wszystko dziś wydaje się mniej oczywiste, niż się spodziewałam.

- Jak się czujesz?

- Oszołomiona?

- Smutna?

- Nie, nie wystarczająco żałobnie.

- O psiakrew! Mama tu idzie. Będziesz jednak musiała porozmawiać z Johnem Delaney.

Prawnik Delaney. Zdziwiałem, że ktoś mógł być tak dalece cielesny nie sugerując przy tym płci. Ilekroć zbliżał się do mnie John Delaney, zawsze miałam wrażenie, że grzęznę w mięsie. Zawsze udawało mu się objąć swymi uściskami znaczne połacie terytorium, a mimo to jego ręce nigdy się nawet nie zbliżyły do niebezpiecznych miejsc. Jak mu się udawało maskować wiek? Prawda kryła się chyba w tym obfitym cielsku, głównej inwestycji imigranta.

- Niech cię Bóg błogosławi, kochanie. Bóg cię kocha. Jesteś święta.

Klepał mnie po plecach, jakbym miała czkawkę. Wyjął chusteczkę do nosa. Czyżby spodziewał się, że doprowadzi mnie do łez?

- Wstąp jutro do mojego biura, dziecinko. Możesz na mnie liczyć. Szybko wszystko uporządkujemy.

- Dziękuję, John - powiedziałam oddalając się w poszukiwaniu tlenu. A więc z Johnem załatwione. Kto następny? Co takiego Liz mi poleciła? Trzymać Margaret z dala od księdza Mulcahy, a księdza Mulcahy z dala od alkoholu.

Właśnie trzymał w ręku kieliszek napełniony złotawym płynem. Przez sekundę pomyślałam, że to może być piwo imbirowe. Spojrzałam jednak na jego oczy. Przypominały wzrok ryby spadającej ze sterty lodu. Kiedy mnie zobaczył, oczy mu kompletnie zwilgotniały.

- Straciliśmy oboje naszego najlepszego kumpla - powiedział niemal osuwając się na mnie.

- Niech ksiądz coś zje - zaproponowałam.

- Nie, nie chcę jeść. Straciłem najlepszego kumpla. Nie mam już z kim porozmawiać.

Chciałam, żeby się uspokoił. Chciałam, żeby wszyscy się uspokoiли. Głębia ich żalu całkiem paraliżowała mój żal.

Matka Liz z kawą podeszła do księdza. Usiedli razem na kanapie.

- Jak się miewa pani córka? Taka udana dziewczyna. Wspaniała katolicka matka.

Pani O'Brien prychnęła.

- A skąd ja mogę wiedzieć? Ona nigdy ze mną nie rozmawia.

- Grace, jestem pewien, że to nieprawda - powiedział ksiądz Mulcahy rozglądając się za swoim kieliszkiem.

Zobaczyłam, że Margaret zmierza w naszą stronę. Musiałam bronić księdza Mulcahy, toteż podeszłam do niej, choć była osobą, której najbardziej chciałam uniknąć. Nienawiść do Margaret wyrwała mnie ze stanu otumanienia, w którym znajdowałam się od śmierci ojca. Nienawiść wyostrza pamięć, czyni ją tak niezniszczalną jak szklane owoce, którym nie szkodzi nawet kąpiel w kwasie.

W moim domu, w dniu pogrzebu mojego ojca, wspominałam z triumfem to, czego pozbawiłam tę kobietę. Odsunęłam ją od ojca. Jednak w moim triumfie czaił się lęk przed tym, że tak sprytne kradzieże nie są, nie mogą być, całkowicie bezkarne.

Powinnam odczuwać pewien rodzaj wdzięczności wobec Margaret. Przez jedenaście lat prowadziła dom dla ojca i dla mnie. Po śmierci mojej matki (co za tragiczny wypadek, mówili ludzie, przejechała tuż przed domem; ja o tym nie myślałam, z ojcem nigdy o tym nie rozmawialiśmy) ksiądz Mulcahy przysłał do nas Margaret. Miałam wtedy dwa lata. Została u nas do czasu, kiedy miałam trzynaście lat. Do czasu, kiedy się jej pozbyłam. Prawdopodobnie wykonywała bardzo pożyteczną pracę. Jednak dostawała za to pieniądze. Nie dosyć, oczywiście. Te wszystkie Irlandki, osierocone po czterdziestce przez niedołązną matkę czy ojca, zawsze pracują za mniej niż minimalne wynagrodzenie u ludzi podobnych do siebie, w miejscu wynalezionym przez jakiegoś księdza, adwokata, lekarza. Ale ja wiedziałam, o co chodziło Margaret: chciała wyjść za mojego ojca. Na to nie mogłam pozwolić. Dlatego właśnie zjawiała się na pogrzebie, żeby czynić mi wyrzuty swoimi łzami, sino podkrążonymi oczami, źle skrojonym płaszczem.

Przylapałam ją raz na rozmowie o moim ojcu z panią Keeney, gospodynią na plebanii. Obydwie z Margaret nosiły jednakowe kapcie z dziurą wyciętą na kostki wyrastające na dużym palcu. Słyszałam, jak rozmawiały w kuchni mojego ojca.

- Nie lubię narzekać, pani Keeney - mówiła Margaret - ale ciągle proszę tę małą, żeby na chwilę odłożyła te swoje książki i posprzątała pokój, a ona wcale tego nie robi. Nawet nie raczy na mnie spojrzeć. A ojciec tego nie zauważa. Mówię ojcu dopiero, jak mnie smarkata tak potraktuje po raz setny, a on tylko przeprosza, bo zawsze

zachowuje się jak dżentelmen, i powiada: „Ależ, Margaret, przecież ona zawsze znajdzie kogoś, kto po niej posprząta, ale nikt za nią nie poczyta i nie pomyśli”.

- Tak mi się zdaje, że on jeszcze czegoś nie zauważa - wtrąciła pani Keeney mrugając do Margaret.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

- Margaret Casey, gdyby Joe Moore nie był tak zatopiony w tych swoich starych księgach, to zobaczyłby, że dzieciak potrzebuje matki. Zauważyłby też, jak bardzo sam jest od pani zależny.

Margaret zachichotała i zatarła ręce w sposób, który przyprawiał mnie o mdłości. I wtedy pani Keeney dostrzegła, że stoję na podeście schodów. Margaret zbladła, a nienawiść oszpeciła ją tak, że o mało nie rzuciłam się do ucieczki. Nie zrobiłam tego jednak, przywołałam na pomoc dobre maniery, które - jak mi się zdawało - pomagają przezwyciężyć strach. Skinęłam głową na powitanie i powiedziałam pani Keeney, że miło mi ją widzieć. Już w wieku trzynastu lat miałam znakomicie opanowane gesty z cyklu *noblesse oblige*. Opanowałam je instynktownie, jak przystało córce profesora, dorastającej w dzielnicy, gdzie wszyscy inni ojcowie pracowali w Transit Authority czy w towarzystwie telefonicznym. Margaret i pani Keeney wyobrażały sobie, że nachylenie mojej głowy jest wyrazem triumfu, a tymczasem ustawiła się ona pod tak nienaturalnym kątem jedynie ze strachu. Czułam się chora na myśl, że ktoś może mnie aż tak nienawidzieć.

A jeszcze groźniejsze wydawało mi się to, że tak bardzo nienawidzą mnie kobiety. Nie do zniesienia była świadomość, że te dwie - Margaret ze swoją wilgotną, żółtą skórą i pani Keeney z tym ogromnym biustem i wszystkimi pieprzykami - w ten sposób myślą o moim ojcu. Jednak nawet w momencie największego strachu zdawałam sobie sprawę ze swojej władzy. Wiedziałam, że mogę przeszkodzić temu, co uplanowały. Margaret nie wyjdzie za mojego ojca.

Dzięki Margaret wiem, kiedy skończyło się moje dzieciństwo, bo po jej odejściu przestałam być dzieckiem. A tak wyraźne uświadomienie sobie momentu przejścia zasługuje na wdzięczność. Głupota i nieatrakcyjność Margaret uczyniły możliwym kształt mojego życia. Zawsze wiedziałam, kim jestem: nie jestem Margaret. Dało mi to niewyobrażalną swobodę. Mogłam robić wszystko, co chciałam. To, że Margaret czytała *Posłańca Najświętszego Serca*, pozwoliło mi na lekturę Mary McCarthy; płytka imigrancka nabożność Margaret otworzyła mi drogę do tego, co uważałam za ironiczną i elegancką powagę moich modlitw w okresie dorastania. Jej tępe zaabsorbowanie moim ojcem ukształtowało skalę i barwę mojego przywiązania. Utworzyłam siebie na jej obraz, jako przeciwieństwo. To było niezwykle pomocne. Bez niej musiałabym wymyślić siebie od początku do końca. Proces wyczerpujący, nie

pozbawiony wprawdzie uroku oryginalności, nie gwarantujący jednak prawdziwie dobrych wyników.

Właśnie w walce o ojca odniosłam zwycięstwo nad Margaret. Było to jednak zwycięstwo dwuznaczne jak zakończenie niektórych pouczających bajek niemieckich. Wygrałam mojego ojca i postawiłam na swoim. Ale to okazało się ponad moje siły. Życie, które ojciec wymodelował wokół mnie, (jest to bolesne, ale prawdziwe), byłoby, zwłaszcza w okresie jego choroby, doskonałe dla Margaret.

Łatwo sobie wyobrazić, jak nieznośnym widokiem dla dziecka, a bardziej nawet dla podrostka, wydawały się brązowe plamy na skórze Margaret, wielkie, nieregularne, nie tyle pieprzyki, co raczej początki raka. Zastanawiałam się, w jaki sposób potrafiła utrzymać dom w takim porządku, podczas gdy sama wyglądała jak nadgryziona przez bakterie. Wszystkie jej ubrania wydawały się wilgotne, jakby z jej ciała wypływała jakaś tropikalna wydzielina. Bałam się, że to zaraźliwe, choć nie umiałam wyjaśnić ani przyczyny, ani nazwy tej przypadłości. Stopy Margaret były płaskie jak flądry, wystawały z nich reumatyczne guzy niczym niewielkie grządki zimowej cebuli. W najkoszmarniejszych snach słyszę odgłos jej kłapiących kapci. Przychodziła znienacka do mojego pokoju, pewna, że mnie zaskoczy, ale nie była na tyle sprytna, żeby się naprawdę skradać. A może to ja byłam dla niej za sprytna. Jednak zawsze potrafiła sprawić, że czułam się jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku, jakby zastała mnie z ręką we wstydlwym miejscu: w słoiku z herbatnikami, w skarbonce, w intymnej części ciała.

Próby nastawienia ojca przeciwko mnie były równie niezręczne, jak usiłowanie przychwycenia mnie na jakiejś zakazanej działalności.

Skarżyła się ojcu, że cały czas spędzam na czytaniu, zamiast pomagać jej w pracach domowych. Był to dowód, że nie miała najmniejszego pojęcia, czego ojciec oczekiwał od córki. Wychowywał Marię; wiedział, Chrystus słusznie oświadczył Marcie, iż jej siostra wybrała lepszą przyszłość. Margaret nie mogła zrozumieć, że ojciec nie przywiązywał żadnej wagi do tego, czy ja przeklinam, żuję gumę czy domagam się piwa do obiadu. Zawsze twierdził, że wychowuje Teresę z Avili, a nie Teresę Lisieux. Wzorcem była osoba, która zakładała klasztory i wymyślała opornym biskupom, a nie ktoś, kto pozwalał pokornie wylewać na siebie pomyje siostrom w Chrystusie i kto zmarł idealną śmiercią w wieku dwudziestu czterech lat. Czasami robiłam uwagi w rodzaju:

Ta przeklęta siostra Evangela; Już teraz lepiej znam francuski niż ona będzie znała kiedykolwiek". (Poziom nauczania w średniej szkole był tak niski, że moja wrodzona zarozumiałość intelektualna znajdowała doskonałe pole do popisu.) W takich sytuacjach Margaret wznosiła oczy do Boga?, do jednego z Jego najszacowniejszych świętych?) i mówiła:

- Kiedy dziewczynka z katolickiego domu używa takiego języka, Matka Boska w niebiosach zalewa się łzami.

Wtedy wybiegałam z pokoju klnąc jeszcze głośniejsze, a za mną szedł cieć ze słowami:

- Uspokój się, uspokój. Masz rację, wiem, że masz rację. Ale która koła byłaby lepsza?

- Każda.

Wówczas ojciec przybierał pozycję, w której - jak mu się wydawało uosabiał Ignacego Loyolę:

- Jaki pożytek dla człowieka z tego, że zdobędzie cały świat, zatrać przy tym własną duszę?

- Czy muszę zatrać duszę, żeby się nauczyć tego cholernego francuskiego?

- Na to masz jeszcze bardzo dużo czasu. Teraz w Anastasia Hall siejesz ziarno, które zaowocuje, kiedy będziesz dorosła.

- To głupota. Dużo mi z tego przyjdzie!

Wtedy Margaret już od dawna nie nadążała za nami i przysłuchiwała się dyskusji stojąc w progu kuchni. Dlaczego nie była troszkę mądrzejsza? Wszystko na pewno znacznie lepiej by się skończyło, gdyby była subtelniejsza, bardziej uważna, gdyby miała lepszą cerę albo biust.

Starzała się tak brzydko, jak można było oczekiwać, chociaż zauważyłam na pogrzebie, że zaczęła chodzić do fryzjera. Dlaczego? Dla kogo chciała być ładniejsza? Dla ojca w dniu jego pogrzebu? Dla księży?

Biedny ksiądz Mulcahy. Jego potrafiła dosięgnąć, tak jak nie potrafiła dosięgnąć mnie czy ojca. Ale on także nie był mądry, jednak w przeciwieństwie do Margaret był anielsko dobry...

Nie ma wątpliwości, że cała ta mądrość nie wyszła mi na dobre, jednak jeszcze teraz dumna jestem z tego, jak pozbyłam się Margaret. Stałam oto w bawialni mojego ojca, w dniu jego pogrzebu, rumieniąc się z zadowolenia na samo wspomnienie ówczesnej swojej mądrości.

Był rok 1956, pamiętam, bo wtedy Grace Kelly nakręciła *Łabędzia*. Właśnie zaręczyła się z księciem. Ojcu wydawało się to wówczas, choć normalnie był nieprzejednanym wrogiem wulgarności (nigdy na przykład nie lubił Kennedych), symbolem tego wszystkiego, czego pragnął dla Kościoła. To małżeństwo symbolizowało władzę i jednocześnie miało odpowiednią wagę. Oto jedna z koronowanych (katolickich) głów Europy poślubiła piękną cnotliwą Amerykankę, katoliczkę irlandzkiego pochodzenia, która codziennie przystępowała do komunii, co ojciec zawsze podkreślał, ilekroć mówiło się na ten temat. Ja również byłam zachwycona, ale z zupełnie innych powodów. Na ogół do kina musiałam wymykać się

ukradkiem. Ojciec był przekonany, że filmy spowodowały duchową i intelektualną degradację pokolenia. Napisał artykuł do pisma „Znak” pt. *Kino: papka czy trucizna*. Ale ja uwielbiałam kino, przypominało o istnieniu świata, w którym ludzie byli wspaniali, dbali o stroje, wydawali pieniądze, nie byli katolikami. Bawiło mnie, że ojciec dał się nabrać kampanii prasowej jak byle jaki Irlandczyk, jednak gdybym mu na to zwróciła uwagę, sama byłabym najbardziej poszkodowana.

Tygodniami czyniłam przygotowania na ten dzień, kiedy pójdziemy z ojcem do kina. Czy możliwe, żeby moje kalkulacje okazały się aż tak słuszne? Wiedziałam, że po obejrzeniu filmu z Grace Kelly nastąpi najlepszy moment na omówienie sprawy Margaret. Jak brzydka będzie musiała się wydawać po tamtej pięknej kobiecie, lodowatej bogini, która poślubiła księcia. Później postradałam tę błyskotliwość umysłu, tę pewność zwycięstwa. Może reszta mojego życia miała być już tylko staczaniem się z pozycji mądrej dziewczynki.

Następnej soboty wyznałam księdzu Mulcahy na spowiedzi, że w minionym tygodniu trzydzieści razy zgrzeszyłam przeciwko przykazaniu o miłości bliźniego. Wiedział, o kim mówiłam, i poprosił, żebym przysłała na herbatę na plebanię.

Na plebanii rozplakałam się, ksiądz wziął mnie na kolana. Zrobiłby wszystko, żebym przestała płakać. Obiecał porozmawiać z Margaret o znalezieniu innej pracy.

Kiedy wreszcie nadeszła oczekiwana scena, okazała się równie ponura, jak przewidywałam, ale nie tak przełomowa. Zawiedli mnie obaj mężczyźni, którym ufałam. Ani ojcu, ani księdzu Mulcahy nie starczyło odwagi na rozmowę z Margaret. Byłam jedyną osobą zdolną działania.

Odbyło się to w niedzielę. W niedzielę obecność Margaret dokuczała bardziej niż zwykle, ponieważ tego dnia nie miała nic do roboty. Oboje z ojcem przystępowaliśmy naturalnie do komunii. Zgodnie z zaleceniami Rzymu od północy poprzedzającej komunię pozwalaliśmy sobie jedynie na picie wody. W dni powszednie Margaret miała przynajmniej jedno oczywiste zajęcie - robiła śniadanie. Podobnie jak wszystko, czego się tknęła, jej śniadania były bardzo nędzne. Jakże nienawidziłam być przez nią budzona. W tym okresie sypiałam długo miewałam ponure sny. Nigdy nie budziłam się sama. Zawsze budziła mnie Margaret pukając do drzwi jak uwięziony za ścianą gryzoń. wstawałam wściekła, szłam do łazienki w okropnym nastroju, pełna poczucia winy, a tymczasem Margaret, która była już na mszy o szóstej rano, patrzyła na mnie z milczącym wyrzutem. Wzmagało to jedynie moją furię, trudno bowiem czuć się na równych prawach z kimś, kto budził się znacznie wcześniej.

Margaret siedziała przy kuchennym stole czytając modlitwy z niewielkiej książeczki do nabożeństwa, którą zawsze zabierała z sobą na mszę. Nie znosiłam tych wszystkich książeczek: Nieustająca nowenna, modlitwy do św. Antoniego, św. Judy,

Mały kwiatek. Dawały mi jednak poczucie bezpieczeństwa. Sama używałam Mszału, który ojciec podarował mi na bierzmowanie. Podobnie jak on rozumiałam mszę po łacinie. W tym okresie ojciec był głęboko zaangażowany w ruch zwanym *Missa citata*, którego celem było takie przygotowanie ogółu wiernych, by potrafili czynnie uczestniczyć w mszy po łacinie. Pisywał pogardliwe listy do pisma „The Tablet” na temat księży zachęcających wiernych do odmawiania różańca podczas mszy. Msza - utrzymywał - jest Najbardziej Istotnym Jednostkowym Wydarzeniem w Historii, Konsekracji, Przeistoczenie to centralny dramat Zbawienia. Przeżyłam moment najdoskonalszego szczęścia, kiedy Margaret dała do zrozumienia, że najlepszym prezentem na gwiazdkę byłby dla niej Mszał, chciałaby bowiem oswoić się z łaciną. Ojciec oświadczył wówczas, że lepiej, żeby zrobiła to, co dotychczas, to, do czego nawykła. Triumfowałam, jakby niesiono mnie w lektyce wśród wiwatujących tłumów.

Siedziałam przy stole naprzeciwko Margaret, obok ojca, który czytał „Journal-American”. Nie akceptował „Timesa”, jego zdaniem komiunizującego, chociaż przyznawał, że jest znacznie lepszą gazetą. Margaret zawsze zakładała sobie na nadgarstek gumkę, która przytrzymywała kartki książeczki do nabożeństwa. Ten widok wywoływał we mnie czystą nienawiść, nie miałam wątpliwości, że robiła mi to na złość - ten chudy, wysuszony nadgarstek i te gumki, które wyglądały tak, jakby ukrywała je przez całą wojnę. Miałam ochotę zerwać je, łamiąc być może przy tym tę tak kruchą na pozór rękę. Równocześnie jednak pragnęłam, by te gumki istniały wiecznie. Mówiły mi, kim jestem.

Wtedy przy stole zrozumiałam, że muszę się jej pozbyć. Denerwował mnie nawet sposób, w jaki gotowała wodę, i jak proponowała ojcu dodatkową filiżankę kawy. Postanowiłam się odezwać. Myślałam z absolutną jasnością, umysł mój rysował ostre, wyraźne linie, nie mogło ich zamazać żadne wahanie.

- Margaret - zaczęłam - jest coś, o czym chcielibyśmy z ojcem z tobą pomówić.

Ojciec spojrzał na mnie z pewnym niepokojem. Wiedział, o czym chciałam mówić. Minęły dwa miesiące, odkąd widzieliśmy film *Łabędź*. Szybko jednak opuścił wzrok na gazetę. Zostawiał wszystko mnie, mogłam to załatwić po swojemu. Margaret, nie mogąc sprowokować, by na nią spojrzał, patrzyła na mnie. Gdyby była sprytniejsza, mogłaby przekazać wzrokiem milczącą prośbę. Ona jednak patrzyła na mnie jak galernik przestraszony odkryciem planowanego buntu, którego za nic nie zamierza się wyrzec. To niefortunne spojrzenie umożliwiło mi dalsze posunięcia.

- Doszliśmy z ojcem do wniosku, że nie jesteś nam więcej potrzebna. Możesz być potrzebna komuś innemu, ale nam nie.

Nawet nie udawała pokory.

- O czym ona mówi? - zwróciła się do ojca. Kiedy jednak ojciec się odezwał, patrzył na mnie.

- Sądzę, że Izabela wie lepiej - powiedział.

- Przecież to dziecko. Co ona w ogóle może wiedzieć? Popeliła poważny błąd taktyczny. Zbliżyłam się do jej krzesła.

Nawet jako trzynastolatka byłam znacznie od niej wyższa.

- Chodzi o to, że powinnaś sobie poszukać innej pracy.

Wpadła w panikę, niby szczur szukający wyjścia z eksperymentalnej klatki. Najpierw rzuciła się na mnie. Nie mam wątpliwości, że chciała mnie uderzyć. Przeszłam w przeciwległy kąt kuchni. To było absurdalne. Nigdy nie powinna była zamierzać się na mnie, byłam większa i szybsza. Zrobiłam unik. Jej płaska dłoń, przygotowana do uderzenia twardego ciała, uderzyła jedynie powietrze. Ojciec nie wykonał żadnego gestu w mojej obronie. Jego spokój okazał się uzasadniony, nie potrzebowałam pomocy. Moja władza była tak oczywista, że ośmieszyłby się ofiarując mi ochronę.

Panika wpędziła Margaret w desperację. Padła przed ojcem na kolana. Zaczęła całować kraj jego marynarki.

- Ale pan - mówiła - zawsze pana kochałam.

Ojciec podniósł dłoń do ust. Wziął palto i wyszedł kuchennymi drzwiami. Zostawił nas same.

Margaret klęczała na podłodze szlochając. Nigdy nie czułam się mniej litościwie usposobiona. Podeszłam bliżej i stanęłam nad nią.

- Chyba lepiej, żebyś się zaraz wyniosła - powiedziałam.

Do cudów należy zaliczyć fakt, że tak właśnie zrobiła. Mogła przecież bez trudu mnie zabić. Nigdy jej potem nie widziałam, aż do dnia pogrzebu ojca.

W jaki sposób stałam się takim monstrum w wieku lat trzynastu? Miałam pewność siebie imperatora; w wieku lat trzynastu mogłabym prowadzić do boju armie. Teraz to utraciłam. Jako trzydziestolatka nie jestem już tą samą osobą. Toteż kiedy zobaczyłam Margaret w mojej bawialni, nie mogłam opanować lekkiego niepokoju. Wzięłam ją pod rękę. Wymagało to zmobilizowania całej odwagi.

- Pisywał do mnie co tydzień - powiedziała. - Co tydzień przysyłał mi pieniądze. Od chwili gdy go opuściłam.

Zakłuło mnie w piersi obrzydzenie i coś jeszcze, uczucie nie tak intensywne, choć bardziej małoduszne; może zazdrość? Nie wiedziałam o tym. W jaki sposób ojciec zdołał ukryć to przede mną przez te wszystkie lata?

- Kiedy już nie mógł pisać, dostawałam czek od adwokata - zakwilła. - Nigdy nie zapomniał. .

- Był dobrym człowiekiem - powiedziałam, choć cisnęły mi się na usta słowa: „Jakże cię nienawidzę, jak bardzo cię zawsze nienawidziłam”. Dla tej kobiety ojciec mnie oszukał.

- Kochałam go. Bez względu na wszystko, zawsze go kochałam - powiedziała Margaret wykrzywiając do płaczu swoją nieciekawą twarz.

Nie powinnaś tego mówić. Nie do mnie. Nie teraz.

- Teraz zostałam zupełnie sama. Co ja pocznę? Wyczerpała moje niewielkie rezerwy współczucia.

- Jeżeli będziesz w potrzebie, skontaktuj się ze mną - powiedziałam.

Odeszłam od Margaret. Mogłam to zrobić bez trudu. Wiele osób chciało ze mną rozmawiać. Nie interesowało mnie jednak to, co mieli do powiedzenia, interesowała mnie Margaret i zdrada mojego ojca. Nie byliśmy przecież tacy zamożni, ojciec wiedział, że martwiłam się o pieniądze. A jednak co tydzień dawał Margaret pieniądze, moje pieniądze.

Księża całowali mnie, ściskali mi dłoń. Zaczynali powoli wychodzić. Powoli to wszystko dobiegało końca.

- Oboje straciliśmy najlepszego przyjaciela - oświadczył ksiądz Mulcahy szlochając.

Po wyjściu księży dom szybko opustoszał. W końcu zostały tylko kobiety. Dziwne było przebywanie w domu mojego ojca bez mężczyzn. Zazwyczaj ja byłam jedyną kobietą. Liz wyszła ze swoją matką. Eleanor wycierała w kuchni kieliszki. A na kanapie siedziała Margaret w płaszczu, z książką pod pachą.

- Uciekł mi pociąg - powiedziała. - Nie mam się gdzie podziać do jutra.

Spojrzałam na Eleanor. W jej wzroku wyczytałam: „toniesz, a ja w żaden sposób nie mogę cię ocalić”.

- Więc musisz zostać tutaj - powiedziałam.

- Nie mogę spać na kanapie. Mam chory kręgosłup.

- Wobec tego będziesz spała na moim łóżku.

- Izabelo, czy zostać z tobą? - zapytała Eleanor. Nie chciałam narażać jej na kontakty z Margaret.

- Nie trzeba.

- Jutro zadzwonię.

Margaret zdjęła płaszcz i powiesiła go w szafie w bawialni.

- Odkąd odeszłam, ten dom bardzo zmarniał - powiedziała.

- Przez siedemnaście lat wiele się może zdarzyć.

- Nigdy nie doceniałaś tego, ile pracy musiałam włożyć, żeby utrzymać dom w porządku. Myślałaś, że sama wszystko potrafisz. Zawsze taka byłaś.

Miała rację. W wieku lat trzynastu uważałam, że wszystko potrafię. Naprawdę jednak nawet nie wiedziałam, jak się zabrać do prowadzenia domu. Pewne sprawy, o których nie miałam najmniejszego pojęcia, były tak proste, że mogłabym o nie zapytać jedynie kogoś nadzwyczaj bliskiego. A nie znałam dobrze nikogo poza moim

ojcem. Zdawał się dumny z dziwnej degradacji naszego otoczenia, jak gdyby cały ten bałagan, te rosnące wszędzie stosy, stanowiły wskaźnik pełni naszego życia wewnętrznego. Ja nie odczuwałam podobnej dumy. Ogarniała mnie rozpacz, kiedy odwiedzałam domy moich przyjaciółek, gdzie wszystkim zajmowały się matki, które znały swoje zadania, wiedziały, co należy zrobić ze starymi czasopismami czy ze śmierdzącym zlewem. Nie mogłam prosić matek moich przyjaciółek o pomoc i radę nie tylko dlatego, że podejrzewałam je o popieranie Margaret; nie tylko dlatego, że bałam się usłyszeć „nie sądzisz, że przydałaby się pomoc Margaret”, ale także dlatego, że ich tożsamości wydawały mi się tak nieprawdopodobne. Nigdy nie będę wyglądała tak jak one: z loczkami zaczesanymi do tyłu, z twardym białym brzuchem opiętym gorsetem i okrytym lnianym fartuchem. Nie mogłabym i tak brać z nich przykładu czy postępować zgodnie z ich poradą, bo byłyśmy tak całkowicie odmienne. Sprawiały jedynie, że czułam się jeszcze bardziej beznadziejnie.

Wracałam więc do mojego smutnego domu planując posprzątanie szafy ze szczotkami. Nie lada zręczności wymagało otworzenie drzwi tak, by wszystko ze środka nie wypadło na środek kuchni. Nie był to radosny nieład. Był to nieporządek, który triumfował nade mną w samotności, a upokarzał przy ludziach. Cóż takiego kryło się na dnie owej szafy? Szmaty, stare gazety, jakieś szczotki o nie znanym mi zastosowaniu złowieszczo wysychające w ciemności. Dlaczego jednak nigdy nie wypořádkowałam tej szafy? Bo nie miałam pojęcia, jak to zrobić. A poza tym w wieku lat trzynastu, czternastu nie powinno należeć to do moich obowiązków. Wybrałam jednak nieporządek, poczucie tonięcia w morzu niewiedzy, z którego można by się było wydostać dzięki pewnym wiadomościom, niezbyt trudnym do zdobycia. Wybrałam niewiedzę, nie zdając sobie sprawy, co wybieram. Trwałam w tym uparcie, ponieważ to wszystko - czarne plamy na linoleum, które przylepiały się do podeszew, szuflady pełne starych kart urodzinowych i zagubionych rachunków - było lepsze od obecności Margaret, lepsze niż oddanie jej ojca. I oto była tu teraz sama ze mną. Gotowa zostać na noc.

- Nigdy nie dbałaś o ten stół. Popatrz, jaki porysowany.
- Byłam bardzo zajęta. Opiekowanie się ojcem pochłaniało masę czasu.
- Ten człowiek nie przechorował nawet jednego dnia, dopóki byłam przy nim.

Poczułam narastającą panikę, jak zawsze w tym samym miejscu, w podeszwach stóp, dokładnie jak wtedy, kiedy zastałam przed domem ambulans. Powiedziała to, czego najbardziej się bałam usłyszeć przez wszystkie te lata, co przestałam wypowiadać nawet sama do siebie. Artretyzm tak zniekształcił ręce i plecy Margaret, że wyglądała niemal jak zwierzę. Czyżby należała do owych cudownych istot, którym w ramach rekompensaty za brzydotę dano umiejętność widzenia? Czy jako jedyna poznała prawdę?

Nie mogłam przebywać z nią dłużej w tym samym pomieszczeniu. Powiedziałam, że jestem zmęczona i muszę się położyć. I wtedy sobie przypomniałam, że będę musiała spać na kanapie. Zaprowadziłam Margaret do swojego pokoju.

Postawiła walizkę na moim łóżku. Po co przywiozła walizkę? Oczywiście, spodziewała się, że ktoś ją zatrzyma.

- Czy chcesz się wykąpać? - zapytałam.

- A są czyste ręczniki?

- Oczywiście - odpowiedziałam bez wahania wiedząc, że dwa są czyste.

Obecność Margaret w łazience przypominała ulatniający się gaz. Wyczuwałam ją w powietrzu, niebieskawą acz niewidoczną. Zapomniałam przynieść z sypialni nocną koszulę, więc spałam na kanapie kompletnie ubrana. Będąc w pobliżu Margaret czułam się w ten sposób bezpieczniejsza. Spałam ciężkim wyczerpującym snem, pełnym twarzy, które przez cały dzień domagały się ode mnie wspomnień. Budziłam się wielokrotnie. Nie byłam przyzwyczajona do oświetlenia w bawialni. Próbując zidentyfikować meble, myślałam uporczywie „to już nie jest dom mojego ojca”.



Zanim otworzyłam oczy, słyszałam w kuchni Margaret. Te odgłosy przypominały mi moją dziecięcą furie, toteż pierwszych myśli po obudzeniu nie poświęciłam nieobecności ojca w domu, a wtargnięciu doń tej kobiety. Nie miałam jednak najmniejszej ochoty otwierać oczu, aż wreszcie nie dało się dłużej udawać, że nie dostrzegam stojącej nade mną Margaret.

- Zawsze sypiasz w ubraniu? Suknia będzie do niczego. A widać, że droga. Czy trzeba ją prać chemicznie?

- Nie chciałam ci przeszkadzać - wyjaśniłam.

- Przeszkadzać! Całą noc nie zmrużyłam oka. Płakałam po twoim ojcu.

- O której masz pociąg?

- Za godzinę.

- Ze stacji Penn?

- Nie, z Grand Central.

- To lepiej. Dojedziesz bezpośrednio metrem.

- Nie wiem, czy mogę jechać metrem. Przy tych wszystkich napadach.

- Jest wcześniej rano.

- Tyle tam schodów. Z moim artretyzmem. Bóg mi świadkiem, że potrzebuję całego dnia, żeby wejść na piętro.

- Więc możesz wziąć taksówkę.

- Ja? Muszę oszczędzać. Nie urodziłam się w czepku.

- Ja zapłacę - powiedziałam podnosząc się na łokciu. Miałam wrażenie, że w bieliźnie i pończochach podróżowałam całą drogę z Teheranu do Amsterdamu. Taksówkę przed domem powitałam z wylewnością, która nie uszła uwagi Margaret.

- Nie możesz się doczekać, żeby się mnie pozbyć?

- Będę z tobą w kontakcie - powiedziałam podając jej rękę. Zniosłabym wszystko, tylko nie uścisk Margaret.

- Ludzie zawsze tak mówią i nigdy nie dotrzymują słowa. Co z oczu, to i z serca.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Kto wie, co ci teraz przyjdzie do głowy. Możesz sobie na to pozwolić - powiedziała wsiadając do taksówki.

Dzień wydawał się pełen możliwości, była dopiero siódma. Nie odczuwałam ani smutku, ani ulgi, jedynie coś w rodzaju lęku przestrzeni. Życie było przestrzenią, a granice zdawały się tak odległe od wielkiego, przewiewnego centrum, że nie było żadnej nadziei. Przypomniałam sobie sen z dzieciństwa: śniło mi się, że spadłam z łóżka, przeleciałam przez podłogę i po prostu dalej spadałam.

Poszłam do pokoju ojca, głównie z przyzwyczajenia, ale trochę dlatego, że w tej wielkiej pustce przyzwyczajenie stanowiło jakąś granicę. Z przyzwyczajenia też wtarłam w dłonie trochę kremu do masażu. I znowu mnie to naszło: to poczucie akumulacji, odkładania się rzeczy, dni, egzystencji. Zawsze miałam albo za dużo - rzeczy, które mnie przyduszały - albo nic - nic, co zatrzymałoby moje upadanie. Zastanawiałam się, czy można by znaleźć taki umiarkowany pejzaż, zaludniony, choć rozległy, ale w szczęśliwej skali.

Jakaś katolicka instytucja dobroczynna zabrała szpitalne łóżko ojca z rozpaczliwą niemal szybkością, bo zadzwoniłam do nich w godzinę po tym, jak dowiedziałam się o jego śmierci. Zabrali też większość pozostałego wyposażenia, pokój stracił więc trochę swój szpitalny charakter, jednak w powietrzu unosił się ciągle zapach choroby i lekarstw jak dym w barze. Została jeszcze owcza skóra, która miała rzekomo zapobiegać odleżynom, specjalne urządzenie do odciągania flegmy, wielkie słoje z wazeliną i setki metrów gazy. Pokój pozbawiony łóżka w środku wydawał się ogołocony. W każdym pomieszczeniu znajduje się zazwyczaj coś dla wygody, zadaniem mebli jest ochrona wystających części ciała przed zetknięciem z twardymi kantami podłogi i ścian. Teraz tylko jeden kąt pokoju wydawał się zamieszkały lub nadający się do zamieszkania. Stare biurko ojca z ciężkiego dębu z czarnymi słojami, które do tego stopnia przypominały kreski ołówkiem, że w

dzieciństwie zawsze starałam się je kolorować, stało na swoim miejscu, choć przez ostatnie pięć lat ojciec nie mógł długo siedzieć, toteż i to biurko, jak wszystko inne w pokoju, przejęło funkcje podręcznej apteczki. Ojciec bardzo nad tym ubolewał, ja także ubolewałam ze względu na niego, oboje jednak dopuściliśmy do tego, ponieważ w pokoju, do którego przybył fotel na kółkach, pokojowy sedes i urządzenie do odciągania flegmy, nie zmieściłby się już dodatkowy stół. I tak było mi trudno poruszać się wśród tych wszystkich dodatków, na pewno niezbędnych, czasami może przynoszących prawdziwą ulgę w cierpieniu, ale nie odznaczających się pięknem.

Nad biurkiem ojca wisiały obrazy, które były tu, odkąd mogłam sięgnąć pamięcią: reprodukcja Tomasza More'a Holbeina i sztych Durera przedstawiający św. Hieronima i lwa. Błat biurka ojca, choć zagarnięty we władanie medykamentów, ciągle jeszcze pachniał kalką maszynową i cygarami. Pomyślałam o nerwowym napięciu ramion ojca, kiedy pisał na swojej olbrzymiej czarnej maszynie. Obraz ten na nowo wywołał we mnie uczucie, którego właściwie nigdy nie utraciłam przez wszystkie te lata choroby ojca: podziw dla jego zawziętości, bezkompromisowości i ironii zrodzonej z dużej wrażliwości. Ojciec nigdy nie miał wątpliwości, miał wiarę, znał prawdę i to uformowało jego mięśnie i przekształciło kości w stal. Jeśli nawet ta wiara i prawda uczyniły go aroganckim i napełniły raczej nienawiścią niż miłością (choć utrzymywał, że powodowała nim miłość Boga), jeśli nawet jego argumenty były fałszywe, a czasem wręcz niegodziwe, to jego życie odznaczało się patosem decydującej batalii, a jego umysł wytrzymałością wielkiej renesansowej rzeźby.

Nie mogę lekceważyć jego wiary, nikt nie może, była bowiem absolutnie pozbawiona pietyzmu czy sentymentalności. Mój ojciec nawet klęczący z różańcem w ręku, nie wyglądał pobożnie. Jego wiara miała barwy wojny, okropności. To była siła, męska, gladiatorska. Żadna kobieta nie mogłaby mu dorównać, bo w jego relacjach z Bogiem nie było nic z postawy kochanka, jak to się zwykle dzieje z kobietami. On i Bóg byli żołnierzami. Ponieważ wiedział, czego chciał, czuł się upoważniony do robienia wszystkiego i był do tego zdolny.

Siła jego zapału i siła jego miłości były powiązane, nie rozleciały się, kiedy ciało uległo zniekształceniu i stało się bezwładne. Wściekał się bowiem na swoje ciało, o którym nigdy nie myślał zbyt czule; była to wspaniała, bezużyteczna pasja. Kiedy nie mógł mówić, pisał; kiedy nie mógł już pisać, płakał i modlił się o śmierć. Byłam przywiązana do jego złości i jego smutku, moje dni płynęły na przynoszeniu ulgi jego ciału, co mogłam osiągnąć, i jego umysłowi, do którego nie miałam dostępu. Kładłam się do łóżka płacząc nad absurdalnym i całkowicie bezużytecznym udręczeniem jego ciała i budziłam się rankiem, by przynieść mu ulgę. I jeśli utraciłam wszystkie te lata, czego nie da się ani obliczyć, ani odzyskać, to wiem po co. Zrobiłam to dla osoby,

którą kochałam najbardziej, namiętnością umysłu i duszy, jaką on rezerwował jedynie dla Boga.

A jednak w dzień jego pogrzebu nawet nie zaczęłam za nim tęsknić, a jeśli nawet zatęskniłam, była to tęsknota za przyzwyczajeniem. Przeżyłam jeden krótki spazm rozpacz, kiedy szpital powiadomił mnie o jego śmierci, ale to rozpacz płynęła w dużej mierze z poczucia zawodu: oto po wszystkich tych latach pielęgnacji i starań ojciec umarł w samotności, we śnie.

Kiedy usiłowałam wyobrazić go sobie po śmierci, nic mi nie przychodziło do głowy; mogłam tylko mieć nadzieję, że wszystkie jego wierzenia coś mu zapewniły, że cała ta jego pasja kupiła mu miejsce w ortodoksyjnym niebie.

Otworzyłam jedną z szuflad biurka i wyjęłam teczkę z jego artykułami. Na wierzchu leżało pismo „Catholic Word” z jego artykułem; z pismem tym ojciec związany był w latach czterdziestych. W miarę jak przewracałam kartki, rozpadały się na kawałki. Doszłam do artykułu ojca „Katolicki temperament”. Utrzymywał w nim, że protestanci myślą o kwestiach moralnych, piją wodę i jedzą herbatniki, uprawiają ćwiczenia fizyczne i są przekonani, że miłosierdzie jest równoznaczne z dobrymi uczynkami. Katolicy natomiast myślą o wieczności, piją wino i palą cygara, bywają czasem ekstrawagancy, wiedzą jednak, że miłosierdzie to płomień w sercu Boga i nie myślą go z filantropią, tym czysto protestanckim wynalazkiem.

Jaki był cel tych złośliwie inteligentnych wprawek? Kto miał je czytać? Mogły jedynie przekonać o własnej wyższości tych, którzy i tak byli już o tym całkowicie przekonani. Cóż za wyczerpujące zajęcie, takie wieczne podtrzymywanie hierarchii z najniższego szczebla, ciągle jej podpieranie przez rzucanie się na resztę świata niczym wielki drapieżny ptak, który przynosi zdobycz do domu, by tam ją rozszarpać i zbadać zawartość jej żołądka. Wepchnęłam wszystkie artykuły do kartonu z nadrukiem Cinzano Bianco, zakleiłam taśmą i dałam na wierzchu nalepkę. W inny karton zapakowałam czasopisma ojca; przez resztę popołudnia ustawiałam pod ścianą kolejne kartony, szare, brązowe, solidne. Były jak księżycowe góry w rozległej bezosobowości pokoju.

Wszystko to zrobiłam, zanim zdążyłam w ogóle pomyśleć o śniadaniu. Zajrzałam do lodówki. Od dawna nie robiłam zakupów, a tak rzadko bywałam w domu, że nie miałam nawet kiedy otworzyć drzwi lodówki. Teraz buchnął na mnie odurzający smród zepsutego jedzenia. Usiłowałam odkryć jego źródło: powąchałam mleko i spojrzałam podejrzliwie na twardniejący kawałek żółtego sera. Schyliłam się, żeby wyciągnąć pojemnik na warzywa. Na widok rozplływających się brokuł miałam ochotę podpalić cały dom. Podniosłam zimne oślizgłe warzywo; ohyda, którą trzymałam w ręku, była nie do zniesienia. Zaczęłam histerycznie strzepywać lepkie liście do śmieci, ale nie chciały się odzepić od moich palców. Rozplakałam się.

Zadzwoił telefon. Wytarłam ręce papierowym ręcznikiem i podniosłam słuchawkę.

- Izabela? Tu Liz.

- Cześć, Liz.

- Co się stało, kochanie? Czy to z powodu ojca?

- Nie, z powodu brokuł - powiedziałam i zaczęłam się śmiać. Słyszałam, jak Liz roześmiała się z ulgą.

- Brokuły w pojemniku zaczęły gnić. Nie masz pojęcia, jak mnie to przygnębiło.

- Mam pojęcie, oczywiście, że mam.

Przez chwilę rozmawiałyśmy o rodzinie Liz. Aleksander zetknął się z wietrzną ospą, John miał wyjechać. Upajały mnie domowe szczegóły z życia Liz. Zwyczajność, normalność tego życia sprawiały, że nawet zetknąwszy się z nim na odległość poczułam się znacznie lepiej.

- Dzwonię głównie po to - Liz jak zwykle przerwała w pół zdania - że wieczorem idzie w telewizji *Top Hat*.

- Dziękuję. Ocaliłaś mi życie na dzisiejszy wieczór. Jutro idę z Eleanor do Bloomingdale'a kupić jakieś ubrania.

- Tylko nie wystrój się jak dobra wróżka.

Uderzyła mnie w pierwszym momencie ta zdecydowana zazdrość Liz o Eleanor, która już teraz stała się u niej instynktowna. Uświadomiłam sobie jednak, że Liz miała rację; nie wypracowałam sobie przecież żadnego własnego stylu, więc łatwo mogę zmałpować sposób ubierania, który w ciągu ostatnich pięciu lat stworzyła dla siebie Eleanor. Liz miała także rację z innego powodu: te ubrania na Eleanor wyglądały poetycznie, ale dla mnie byłyby absurdalne.

- Jeszcze dziś kupię sobie najnowszy „Vogue” - oświadczyłam.

- Nie traktuj tego jak pracę semestralną.

- Ale ja tak wypadłam z obiegu. Przez jedenaście lat prawie nie wychodziłam z domu. Nie byłam w śródmieściu od 1965 roku.

- Na pewno będziesz wyglądała świetnie - powiedziała Liz bez przekonania.

- Nie wydajesz się tego pewna!

- Ocenię, jak cię zobaczę.

Chciałam jej powiedzieć, że ojciec przez wszystkie te lata posyłał Margaret pieniądze. Nie chciałam jednak równocześnie nadawać temu faktowi specjalnego znaczenia mówiąc o nim już teraz, kiedy zaledwie sama poznałam prawdę. Ale chciałam zdradzić ojca, tak jak on mnie zdradził, chciałam przerwać ten zamknięty obwód naszego honoru, ujawnić tajemnice.

- Wiesz, co mi przed chwilą powiedziała Margaret?

- Co?

Wahałam się przez moment.

- Ojciec posyłał jej co tydzień pieniądze. Przez całe przekłete siedemnaście lat.

- O Boże, jakie to typowe!

- Co masz na myśli?

- Typowo katolickie przekupstwo. Zagłodzą własną rodzinę łożąc na utrzymanie jakiegoś wariata w Kanadzie, który twierdzi, że ma stygmaty. Ile jej dawał?

- Nie wiem. Muszę się dowiedzieć od Delaneya.

- Oczywiście przestaniesz to robić.

Poczułam się zmieszana, bo w ogóle o tym nie pomyślałam.

- Tak - powiedziałam. - Nie mam tylu pieniędzy. Jest wprawdzie dom, ale to wszystko.

- Czy ojciec miał jakąś emeryturę ze szkoły?

- Nie. Wpłacanie na fundusz emerytalny uważał za brak wiary. Był przeciwny Pomocy Społecznej. Uważał, że to socjalizm spreczny z duchem Ewangelii. Uważał pewno, że zgodne z duchem Ewangelii było zostawienie wolnej ręki Delaneyowi, by inwestował jego pieniądze.

- Nie rozumiem - powiedziała Liz. - Jak można zagrozić przyszłości własnego dziecka dla równie abstrakcyjnej idei! To brutalne.

- O Boże, Liz, musisz to zrozumieć. Jaki z tego pożytek dla człowieka, jeśli zdobędzie cały świat, a przy tym zatraci duszę. Przecież ciągle nam to powtarzali. Ojciec po prostu wziął to bardziej dosłownie.

Liz roześmiała się, takim oficjalnym śmiechem, rodem z katolickiej szkoły.

- Cudowna byłaby rozmowa twojego ojca z moim mężem. Jego bzik to obowiązki rządu wobec ludzi starych. Och, jakże chętnie bym tego posłuchała! Twój ojciec rozniósłby go na sztuki.

A więc małżeństwo Liz było nieszczęśliwe. Jak to się stało, że o tym nie wiedziałam? Ponieważ dopóki żył mój ojciec, nigdy by mi tego nie powiedziała. Najwyraźniej już teraz, niemal natychmiast po jego śmierci, stałam się dla niej zupełnie inną osobą.

- Muszę iść do Delaneya - powiedziałam. - Jestem spóźniona.

- Wiesz, o czym marzę? Przyłapać Johna Delaneya *flagrante delicto*.

- Rozejrzę się.

Biuro Johna Delaneya znajdowało się na drugim piętrze przy Meaodowbrook Parkway 1235 od 1932 roku, odkąd po raz pierwszy otworzył kancelarię. John prowadził wszystkie sprawy mojego ojca, a także parafii i zakonnic z Anastasia Hall. Znaczną dumą napawał go fakt, że jako człowiek w pełni światowy prowadzi interesy ludzi zainteresowanych innym światem, co zostawia im pełną swobodę oddawania się sprawom ducha i intelektu. Była to typowo irlandzka duma, ona właśnie uczyniła go

takim a nie innym typem prawnika i pozwoliła mu postępować, jeśli już nie całkiem bez skrupułów, to w każdym razie sprytnie, ze znaczną powagą i wdziękiem.

Przez czterdzieści lat John ubierał się w niemal identyczne garnitury przypominające wielkie ciemne namioty, które nie pozwalały nawet domyślać się kształtu jego ciała. Jego wiek zawsze wydawał się nieokreślony, teraz jednak, kiedy owe garnitury, którym zawsze pozostał wierny, zaczęły znów wchodzić w modę, stał się jeszcze mniej wyraźny. John należał do tradycyjnych demokratów spod znaku Tammany Hall, a jego sposób myślenia nie uległ zmianie od pięćdziesięciu lat; był nieświadomym rasistą, uważał, że postępuje zgodnie z duchem Ewangelii, jeśli nie podejmie się obrony Murzyna w sądzie, ale spełni równocześnie jakieś niezwykle akty anonimowej wspaniałomyślności. Ta dziwna mieszanina drapieżności i wylewności złościła mnie i pociągała. Tego dnia gotowa byłam poddać się jego krzykliwemu urokowi.

Sekretarka poinformowała Johna o moim przyjściu, wyszedł ze swego gabinetu, żeby mnie przywitać. Wziął mnie w ramiona i niemal podniósł z podłogi w mocnym uścisku.

- Widzi pani tę dziewczynę, panno Templeton? Niech pani spojrzy. To święta. Przysięgam na Boga, że ona jest święta. Opiekowała się swoim nieboszczykiem ojcem jak prawdziwa święta.

Doskonale zdawałam sobie sprawę, jak idiotyczna staje się sytuacja i uśmiechnęłam się blado do panny Templeton. Cóż mogłam powiedzieć? Po prostu weszłam do gabinetu z Johnem, który ciągle obejmował mnie ramieniem w taki sposób, że trudno mi było iść normalnie. Usiadłam naprzeciwko niego w pewnej odległości, która jednak nie uchroniła mnie od zapachu obiadowej whisky w oddechu Johna.

- Zapłaciłem wszystkie twoje rachunki, skarbie. Bóg mi świadkiem, to minimum, co mogłem dla ciebie zrobić po tym wszystkim, co przeszłaś. Bez honorarium dla mnie. Poczekaj tylko, aż lekarze powiedzą swoje. Biedne dziecko, masz szczęście, że zajmowałem się twoimi sprawami przez te wszystkie lata, bo inaczej byłabyś w kłopotach.

- John, ile dokładnie zostało pieniędzy? - sądziłam, że suchym i rzeczowym pytaniem przyhamuję jego wylewność.

- Dom masz czysty i niezadłużony. Powinienem ci go sprzedać za co najmniej 25 tysięcy. Poza tym nie ma nic więcej.

- To bardzo dobrze, prawda? Znacznie więcej niż mają inni.

- Izabelo, jesteś święta. Zawsze to mówiłem. Przypuszczam, że chcesz sprzedać dom?

- Tak, jak tylko go uporządkuję.

- Nie ma pośpiechu, kochanie.
- Chciałabym to zrobić jak najszybciej.
- Masz jakieś plany?
- Coś wymyślę.

- Dziecinko, czy umiesz pisać na maszynie? Taka dziewczyna jak ty zawsze może dostać dobrą pracę maszynistki. Mogłabyś nauczyć się stenografii. Byłabyś świetną sekretarką.

- Piszę na maszynie, ale nie zamierzam się z tego utrzymywać.
- Wrócisz do szkoły? Nauczycielka to dobre zajęcie dla kobiety.
- Nie wiem, John. Jeszcze o tym nie myślałam.
- A może pielęgniarstwo? Z twoim doświadczeniem...

- Nie, nie chcę tego robić. Nie jestem zresztą taka dobra. Nie mogłabym tego robić przy obcych.

- Wiesz co, porozmawiam ze znajomymi księżmi. Oni zawsze coś wiedzą. Ludzie poszukują kogoś do towarzystwa i tak dalej. Pamiętam, kiedy umarła twoja matka, Panie świeć nad jej duszą, sprowadziliśmy wam z księdzem Mulcahy Margaret.

Poczułam napływające mdłości. A więc tak widzieli mnie i moje życie, dokładnie tak samo jak Margaret, tak samo jak te nieskończone ilości dobrych córek, które zajmowały się rodzicami. Co działo się z córkami, kiedy znika obiekt wszystkich tych poświęceń? Otaczała je wszechogarniająca sieć księży i ludzi wolnych zawodów, znajdowano im miejsce u takich samych ludzi, gdzie mogły się czuć potrzebne i pożyteczne. Gdzie, z Bożą pomocą, będą mogły kiedyś stać się niemal członkami rodziny.

Pomyślałam o Margaret. Kiedy przed dwudziestu ośmiu laty przyszła do naszego domu, była pewnie niewiele starsza niż ja teraz. W tym momencie serdecznie nienawidziłam Johna Delaneya. Nie przestawał mówić o pieniądzach, o moim domu. Nic z tego nie rozumiałam. Nagle nie mogłam się wyzwolić od historii tych wszystkich kobiet. Być może to nieuniknione. Człowiek się rodzi, coś się wydarza, człowiek na to reaguje. Przyczyna, przypadek i powolne, nieubłagane narastanie wydarzeń i oto patrzy się w przeszłość na ludzi, którzy przeżyli podobne wydarzenia, by się dowiedzieć, jak to się skończyło. A jak to się skończyło dla tych kobiet? Jak trwały od niedzieli do niedzieli, od Bożego Narodzenia do Bożego Narodzenia? Miłosierdzie jest nudne, poświęcenie nie jest, jak nas zwodniczo przekonywał Chrystus, niczym równie dramatycznym jak ukrzyżowanie. Przeważnie jest potwornie nudne.

W drodze do domu kupiłam „Vogue”, który przeczytałam przy obiedzie. Dla kogoś w mojej sytuacji, kto ubierał się jedynie dla ciepła i przyzwoitości przez te wszystkie lata, kiedy kobiety czyniły stroje ośrodkiem swojego życia, potraktowanie ubrania w kategoriach mody, upiększenia, zajmowanie się własnym wyglądem było

aktem wielkiej odwagi. Przez wszystkie te lata oglądałam w telewizji stare filmy z mocnym postanowieniem, że nie wolno mi zapomnieć o istnieniu tamtego aspektu życia - piękna, blasku, odwagi i szyku. Pamiętam, czy raczej jeszcze nie zapomniałam, bo pracowałam nad tym, by nie zapomnieć, owego skurczu w żołądku, który odczuwałam jako dziewiętnastolatka, kiedy całkowicie obcy mężczyzna rzucił mi spojrzenie, kiwnął głowę, potwierdzając nasze wzajemne zrozumienie, mówiąc, że mnie zauważył i że mu się podobałam. Chciałam znowu tego zakosztować.

Jednak przeglądając „Vogue” dochodziłam do wniosku, że to prawie niemożliwe. Modelki wyglądały tak obco, mogłyby należeć do całkiem innego gatunku istot - młode, wysokie, o chłopięcych biodrach i piersiach, policzkach pomalowanych na kolor brzoskwini, w kapeluszach przekrzywionych na bok, w spodniach szerokości sutanny, w szalikach metrowej długości. Czy one tak chodzą po ulicach? Nigdy ich nie widziałam. Nigdy nie widziałam nic podobnego nawet w filmach. Reklamy szminek i cieni pod oczy, tuszu do rzęs i ołówków do brwi zajmowały całe strony. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby kupować coś takiego. W 1962 roku, kiedy straciłam rozeznanie w modzie, używałam różowej szminki i odrobiny pudru w kamieniu. Teraz dochodziły jeszcze zielenie, fiolety, brązy. Nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać.

Kiedy wsiadłam do metra jadąc na spotkanie z Eleanor, rozglądałam się za kobietami, które mogłabym wykorzystać jako bardziej realistyczne modelki. Przypomniało mi się oskarżenie Liz, że traktuję całą sprawę jak pracę semestralną, i roześmiałam się z poczuciem optymizmu. Tak długo czekałam na ten niemal kopernikański przewrót w traktowaniu własnej osoby, że musi się udać.

Choć na zewnątrz był straszny upał, w domu towarowym Blooming dalej panowała jesień nie tylko dzięki chłodnym klimatyzowanym wnętrzom, ale także samodziałom i ciemnozielonym wełnom na manekinach. Popadłam w panikę, nie było tu niczego, co mogłabym nosić do połowy października.

Nie mogłam się ruszyć, dopóki w obrotowych drzwiach nie ukazała się Eleanor z aksamitnymi włosami zaczesanymi na czubek głowy. Miała fioletową spódnicę, cienką różową koszulkę trykotową i sandały, których fason zwykłyśmy przed laty wyśmiewać u matek różnych znajomych. Moja granatowa kretonowa spódniczka i żółta bluzeczka bez rękawów utwierdziły mnie w przekonaniu, że muszę kupić coś, co mogłabym nosić już zaraz.

- Zobaczmy najpierw bluzki - poradziła Eleanor - a potem możemy do nich dobrać spódnice i spodnie.

- Owszem, czytałam o tym w „Vogue'u”. „Bluzki, na których zbudujesz całą jesień”.

- Piszą tak, jakby niesłychanie łatwo było zmienić życie - powiedziała Eleanor. - Na przykład „Nowe kolory cieni do oczu stworzą cię na nowo”. Gdyby to było takie łatwe!

- Problem polega na tym, że niemal im uwierzyłam. Dlatego tu jestem.

Bardzo się ucieszyłam, że na trzecim piętrze znalazłyśmy jeszcze letnie rzeczy. Odczuwałam jednak kompleks niższości wobec kobiet, które nie musiały w tak błyskawicznym tempie skompletować garderoby i mogły spokojnie przymierzać w sierpniu tweedy.

- Kupimy kilka rzeczy - powiedziałam. Czułam się lekko oszołomiona. Eleanor знаła mnie na tyle dobrze, że natychmiast to zauważyła.

- Może ja ci coś wybiorę na początek. I na szczęście.

- Przeraza mnie to, że stałam się taka bezradna. Nawet wobec spraw tak prostych, że dziecko dałoby sobie z nimi radę. Najdrobniejszy problem mnie wykańcza. Może za długo z tym czekałam.

- Z czym, na przykład? - zapytała Eleanor patrząc na mnie z najdoskonalszym zrozumieniem, które wzbudzać może tak wielką sympatię.

- Z moim życiem - powiedziałam.

- Daj spokój - odparła Eleanor tonem zakonnicy. - To bardzo ekscytujące. Całkiem jak Robinson Crusoe. Albo astronauta. Pomyśl tylko, nie masz żadnej zawstydzającej przeszłości. Nie zrobiłaś nikomu niczego takiego, o czym nie mogłabyś nigdy zapomnieć.

Nie mówiąc Eleanor o Dawidzie Lowe zataiłam przed najlepszą przyjaciółką najważniejszą informację o własnym życiu.

- Eleanor, czy myślisz, że to było szaleństwo? To, co robiłam przez te wszystkie lata? To, co robiłam dla ojca?

Eleanor uchwyciła lewą ręką mój nadgarstek.

- On był wyjątkowym człowiekiem, Izabelo. Nie znałam nikogo takiego. Nie przypominał nikogo z naszej epoki. Czyli to, co byłoby bez sensu dla kogoś innego, dla niego było w porządku.

Zdawało mi się, że wyrozumiałość Eleanor zdjęła ze mnie wielki ciężar. Niemal niedbale wybierała rzeczy w miarę, jak mijałyśmy kolejne wieszaki. Skierowała mnie w stronę przymierzalni. Niezręcznie wyzwoliłam się ze swoich przepoconych ubrań i spojrzałam na siebie w białych majtkach i staniku. Piersi miałam duże i sterczące, niezłe, talię wąską - tu nie było powodu do zmartwienia. Kiedy jednak zobaczyłam wiotkie ciało na udach, poczułam się zawstydzona, że widzi to także Eleanor.

- Muszę trochę schudnąć - powiedziałam.

- Bzdura. Nie daj się wciągnąć w tę pułapkę.

- Nie sędzę, by moja figura była modna. Jeśli w ogóle była kiedykolwiek.

- Nie przejmuj się, mężczyźni zawsze lubią piersi. Bez względu na to, co pisze „Vogue”. Przymierz to, Izabelo. Nie można się tak dokładnie przeglądać w lustrze, to przygnębia.

Najpierw przymierzyłam bluzkę. Była za mała. Łzy zakręciły mi się w oczach.

- Poczekaj, przyniosę większą - powiedziała Eleanor i zostawiła mnie w maleńkim pomieszczeniu, którego wszystkie ściany zrobione były z luster. Wróciła z większą bluzką i paczuszką zawiniętą w brązowy papier.

- Zanim zaczniesz coś mierzyć, włóż nowe majtki. W tych majtkach nie zdecydujesz się na kupienie niczego.

Otworzyłam paczuszkę i wyjęłam parę nylonowych majteczek bikini, ciemnozielonych z koronką w kolorze kości słoniowej. Cudownie było nawet trzymać je w ręku. Nie byłam pewna, czy mogę zmieniać majtki w obecności Eleanor. Co innego rozmawiać o bieliźnie; było to dziewczęce i przyjacielskie, świadczyło o pewnej swobodzie typu sportowego. Ale stanąć przed przyjaciółką z obnażonym krocem, to rodzaj afrontu, to bardzo krępujące. Byłoby jednak jeszcze gorzej, gdybym poprosiła Eleanor o wyjście z przymierzalni. Szybko ściągnęłam moje niezgrabne majtki i wskoczyłam w nowe, jedwabiste. Rezultat był natychmiastowy. I wspaniały. Roześmiałam się z zażenowaniem i z przyjemnością.

Ku mojemu niewypowiedzianemu zachwytowi bluzka była dobra, więc cała drżąca zaczęłam mierzyć zielone lniane spodnie. Były lekkie, obszerne i niespodziewanie przyjemne w kontakcie ze skórą.

Wydawałam się sobie wysoka i elegancka, sylwetka rysowała się wyraźnie. Próba zakończyła się sukcesem, a sukces zawsze budził we mnie chciwość.

- Teraz chcę jeszcze jedną bluzkę; długą, jasną spódnicę i czarne sandały na wysokim obcasie - oświadczyłam Eleanor. - Myślę, że się uda.

Kiedy już zapłaciłyśmy za wszystko, zapytałam:

- A co z makijażem? W tym zdaję się całkowicie na ciebie.

- Chodźmy do mnie - zaproponowała Eleanor - poprobujesz różnych rzeczy, a potem kupisz to, co będzie dobre.

W autobusie patrzyłam na Eleanor i nagle poczułam nagły przypływ sympatii do niej, tak ostry jak głód. Jakże wyjątkową osobą była Eleanor, przyjaźniła się ze mną przez te wszystkie lata, pomogła mi przetrwać dzisiejszy dzień! Uścisnęłam jej dłoń.

- W jakiś sposób pomogłaś mi przeżyć - powiedziałam.

- Nigdy nie widziałaś mojego mieszkania - Eleanor zarumieniła się i zaczęła wyglądać przez okno. - Obawiam się, że od rozstania z Justynem bardzo zesłam na psy. Gdybyś widziała tamto mieszkanie!

Mieszkanko Eleanor było maleńkie, miało olśniewająco białe ściany. Nowość stanowiło dla mnie odwiedzanie przyjaciółki w mieszkaniu, które nie było domem jej rodziców. Czulałam przyjemny smak zakazanego owocu, kiedy usiadłam na kanapie i zrzuciłam z nóg nowe sandały.

- Chyba zrobimy sobie kolację w domu - zaproponowała Eleanor.

- Co powiesz na sałatę, ser i mnóstwo zimnego wina? Możesz zostać na noc. Od wieków nie nocowałam z dala od Dover Road.

Nagle ogarnęło mnie przerażenie, że nie mam do kogo zwrócić się o zgodę; nikogo, komu musiałabym się opowiedzieć. Miałam uczucie, że spoglądam na swoje życie z wysokości, z cienkiej warstwy ozonu, gdzie nic się nie rozwija.

- Bardzo chętnie - odpowiedziałam zebrawszy całą odwagę - bardzo, bardzo chętnie.

Chciałam powiedzieć: „Teraz znów jestem sama i przestraszona. Nawet twoja obecność nie może mi pomóc”.

- Chodź, pokroimy wszystko. Albo porozmawiasz ze mną, kiedy będę szykować kolację.

Raz jeszcze Eleanor zrozumiała mnie, wyczuła mój strach.

- Popatrz na te urocze stworzonka - powiedziała wyciągając warzywa z lodówki.

Eleanor pochyliła się, wyjmowała kolejno cebule, pomidory, dwie główki sałaty i brzoskwinie. Widząc ją w tej pozycji przestałam się bać.

- Jestem w tej chwili absolutnie szczęśliwa - powiedziałam obejmując moją przyjaciółkę. Uściskałyśmy się w obiecującym upale sierpniowego wieczoru.

- Te jarzyny są tak piękne, że powinnyśmy je sfotografować

- powiedziałam.

- Dobra myśl, przyniosę aparat.

Wszystko zostało obrane, pokrojone i wymieszane w olbrzymiej drewnianej misce, która zajmowała połowę stołu. Eleanor zaczynała jakąś piosenkę, a ja kończyłam. Potem zaczynałam następną.

Patrząc nie na mnie, tylko na zlew, Eleanor powiedziała:

- Mówisz, że jesteś mi wdzięczna. Ja tobie też bardzo wiele zawdzięczam. Ty też byłaś dla mnie bardzo ważna. Ważne było to, że nie przestałyśmy się przyjaźnić.

- Nie bardzo rozumiem.

- Byłaś jedyną osobą, do której mogłam wrócić. Kiedy zamieszkałam z Justynem, rodzina ze mną zerwała. A potem nie chciałam im się przyznać, że to wszystko nie najlepiej się układało. Matka dzwoni do mnie potajemnie i płacze, rozmawiam z siostrą, ale to nie to samo.

- Powiedz mi o Justynie. Czuję się strasznie głupio, że nigdy z tobą o nim nie rozmawiałam.

- Nie, tak właśnie było dobrze. Byłaś jedyną osobą, do której mogłam się zwrócić, a która nie miała żadnego związku z Justynem - kompletnie wolna od tego skażenia. To bardzo podnosiło na duchu. On był taki przytłaczający. Myślę, że jeszcze ciągle mnie przytłacza.

- W jakim sensie?

- Przede wszystkim zawodowo. On jest wielkim historykiem sztuki.

Ja rzuciłam uczelnię, żeby mu prowadzić dom, a raczej żeby razem z nim bawić się w dom. To się sprawdziło. Przez trzy lata byłam zadziwiająco szczęśliwa. Rano robiłam zakupy, potem spotykałam się z nim na lunchu i wracałam do domu, by przygotować nieprawdopodobnie wyszukaną kolację. Wszystko według przepisów Julii Child.

- Nigdy nie zapytałam cię nawet, dlaczego rzuciłaś uczelnię. Nawet o tym nie pomyślałam. Czy rzeczywiście byłam aż tak skoncentrowana na sobie?

- Nie, nie przejmowałam się tym zbytnio. Wtedy to nie wydawało się takie ważne. Wychodziliśmy z Justynem co wieczór spotykać się z jego przyjaciółmi, bo ja nie miałam przyjaciół. Było nie do pomyślenia, żeby Justyn mógł się porozumieć z ludźmi, których znałam w St. Aloysius. No, i tak to trwało przez trzy lata. A potem, sama nie wiem, przez następny rok żyłam w stanie jakiegoś oszołomienia. Chciałam jedynie spać. Sypiałam po piętnaście godzin na dobę. Koniec z wielkimi kolacjami. Koniec uroczych lunchów. Postanowiłam pracować w galerii. A Justyn jakby oszalał. Zaczął się przesypiać, z kim popadło. Zaraził mnie tryprem. Tak żyliśmy przez dwa lata. Potem on znalazł sobie kogoś i właściwie mnie wyrzucił.

- Jak mogłaś to wytrzymać? Przez dwa lata! To musiało być piekło!

- Owszem. Jakbym przez cały czas chodziła po rozsypanym szkle, kalecząc sobie ręce i nogi. Ciągle jednak wierzyłam, że wszystko będzie dobrze. Gdyby Justyn się mnie nie pozbył, pewnie dalej byłabym z nim.

- Trudno sobie wyobrazić, że ktoś chciał się ciebie pozbyć.

- Ja to rozumiem. Przede wszystkim nie jestem zbyt dobra w łóżku. Tak jakbym gdzieś odpływała. Zresztą czasami zdarza mi się to i w normalnych sytuacjach. Teraz już nie tak często, już mi lepiej, mniej fantazjuję. Myślę, że to dobry znak.

- Wiesz, że przez te lata, które spędziłam z ojcem, oddawałam się bardzo skomplikowanym marzeniom. O sobie, o tym, jak będę wyglądała, o mężczyznach, którzy mieli interesujące plecy i głosy.

- Chyba to właśnie częściowo pomogło ci przetrwać. A mnie to przeszkadza. Nigdy nie potrafiłabym zrobić tego co ty i tak się potem pozbierać. Ja jeszcze teraz nie" mogę się pozbierać. Życie jakby przepływa nade mną.

Powiedziałam nienaturalnie rzeczowym tonem:

- Eleanor, nigdy ci tego nie mówiłam. Przespałam się z Dawidem Lowe. Bardzo mi się to podobało. I już wkrótce chciałam znów pójść z kimś do łóżka.

- To zabawne - odezwała się Eleanor, jakby waga mojego wyznania w ogóle do niej nie dotarła. - Ja nie chcę iść z nikim do łóżka przez najbliższe trzydzieści lat. Wydaje mi się, że to okropnie wszystko komplikuje. Wszystko widzę jaśniej, kiedy z nikim nie sypiam, mogę kochać prawdziwiej. Pod pewnymi względami seks jest taki egoistyczny.

- Jedyne raz w życiu czułam się naprawdę sobą, absolutnie w centrum wszystkiego właśnie wtedy, kiedy sypiałam z Dawidem. Nigdy tego nie zapomnę, nawet gdybym miała już z nikim więcej się nie przespać. Część mojej osoby dryfuje ponad realnym życiem.

- Mówiąc o marzeniach, to ja przez lata snułam skomplikowane, erotyczne fantazje na temat twojego ojca.

Wyprostowałam się, jakbym znajdowała się w pociągu, który gwałtownie zahamował. Uświadomiłam sobie równocześnie, że obydwie byliśmy lekko wstawione.

Eleanor kontynuowała, nieświadoma mojej niechęci.

- Wyobrażałam sobie, jak ci oświadczam, że zostaniemy przyjaciółkami, chociaż jestem twoją macochą.

Roześmiała się. Głupkowato, pomyślałam.

- Gdybyś go naprawdę chciała, pewno mogłabyś go mieć. To byłaby dla niego zachwycająca sytuacja: piękna i zakochana młoda żona u jego stóp.

Raz jeszcze zdałam sobie sprawę, że jestem zazdrosna o Eleanor, że są to brudne kamyczki w strumieniu naszej miłości; byłam zazdrosna o jej urodę, jej kruchość, jej marzycielstwo, jej długie jasne włosy.

- Myślę, że związałam się z Justynem, bo w jakiś sposób przypominał twojego ojca.

- W czym?

- Nosili podobne buty, mieli taki sam głos, byli autorytarni, pewni siebie i zdolni do niezwyklej brutalności. Nie wiem sama. To głupie, prawda?

Chciałam powiedzieć: „a więc rozumiesz, musisz rozumieć, dlaczego tak zrobiłam, dlaczego z nim zostałam. I jak straszne było obserwowanie jego upadku”. Jednak jeszcze bardziej zależało mi na tym, żeby ukarać Eleanor, by nie dopuścić jej do tej intymności, zmusić ją do zapłacenia za zbrodnię, jakiej się dopuściła kochając mojego ojca, a także za większą jeszcze zbrodnię, że potencjalnie mogła być dla niego bardziej atrakcyjna ode mnie.

- Masz chyba liczne zagwozдки, jeśli chodzi o mężczyzn? - zapytałam.

Eleanor była wyraźnie dotknięta, bez wątpienia zorientowała się, czego chciałam ją pozbawić.

- Nie sądziłam, że kiedykolwiek usłyszę od ciebie takie słowo jak zagwozdka. Byłaś zawsze tak wrażliwa na używanie kolokwializmów.

Sprzątnęliśmy ze stołu i pozmywałyśmy naczynia, było jednak między nami jakieś napięcie. Powietrze w kuchni, tak gościnne w czasie przygotowywania posiłku, zaczęło się wydawać duszące.

- Czy chcesz teraz wypróbować makijaż - zapytała Eleanor.

Pomyślałam, że nie mogłabym teraz przeglądać się z nią w tym samym lustrze, nie mogłabym mieć do czynienia z niczym, co wiązało się z jej urodą. Udałam, że ziewam.

- Najbardziej urządzalaby mnie chłodna kąpiel i łózko.

Eleanor nie dała się nabrać, natychmiast wyczuła moją specyficzną *politesse* rodem z katolickiej szkoły.

- Rzeczywiście jest bardzo gorąco. A zakupy okropnie męczą. Mam niezły olejek kąpielowy. Stoi koło wanny.

Siedząc na brzegu wanny w łazience Eleanor czułam do siebie nienawiść za to, że serce mi się ścisnęło na widok urody kochanej osoby. Zazdrość utkwiała w moim sercu jak kawałek lodu, który nie chce się roztopić.

Eleanor posłała mi na kanapie. Na jej twarzy malowało się uczucie czystego bólu, jak na twarzy dziecka, które wie, że zostało niesłusznie ukarane. Nie mogłam tego dłużej znieść, wydawałam się sobie potworem, kiedy obserwowałam urodę Eleanor, jej bezpretensjonalną dobroć w chwili, gdy pochylała się nad kanapą układając poduszki. I znowu ją pokochałam.

- Teraz widzisz, jaka potrafię być straszna - powiedziałam.

- To ja byłam nietaktowna. Popadam w zadumę i zapominam o wszystkim. To rodzaj okrucieństwa.

- Śpijmy. Nasze wychowanie skłania nas obydwie do zbytńiego lubowania się w takich orgiach samowyrzeczeń.

Eleanor roześmiała się. Ogarnęło nas poczucie niezwyklej swobody; doszliśmy do przeprawy i przeniosłlyśmy się nawzajem na drugi brzeg. Przeżyliśmy pierwszą sprzeczkę. A więc przetrwamy.

Jednak kiedy leżałam w ciemności, w której nieznane mi meble nabierały niezwyklej wymiarów w oświeteniu ulicznych latarni, pomyślałam, że ojciec wywarł wpływ także na Eleanor. I mimo naprawdę głębokiego do niej przywiązania, nigdy jej tego do końca nie wybaczę.

III

Obudziłam się w mieszkaniu Eleanor z głową niewygodnie opartą o ramię kanapy. Nie miałam wątpliwości, że przez cały dzień będzie mnie bolała szyja. Była dopiero 6.30, ale cienkie zasłony, które nie chroniły w nocy przed dziwnym światłem z ulicy przepuszczały teraz poranne słońce. Gotowa byłam, nie bez pewnych zastrzeżeń, zaakceptować ten kolejny dzień, znowu jednak zadziwiła mnie jego otwartość i pustka; sprawiał wrażenie nie używanego magazynu, który będę musiała zapełnić.

- Cześć - głos Eleanor dochodzący z łóżka był zaspany. - Która godzina?

- Wpół do siódmej. Jestem świnia. Ale nie mogłam spać. Nie ruszaj się, nic mi nie trzeba.

- Nie, lubię wstawać i poczytać przed pójściem do pracy. Tyle że rzadko mi się to udaje.

Zaniosłam jej do łóżka filiżankę rozpuszczalnej kawy. Eleanor posunęła się, żebym mogła usiąść na brzegu. O tej wczesnej porze białe światło słońca nadawało wszystkiemu cechy pewnej kruchości. Eleanor, jeszcze zasnana, z ręką pod głową, sprawiała wrażenie solidnej i delikatnej zarazem istoty, co bardzo podniosło mnie na duchu. Różowość jej szyi i ramion przytłumiła mój niepokój i sprawiła, że poczułam się czymś związana i zajęta.

- Mam wspaniałe rzeczy na śniadanie - powiedziała. - Melony i rogaliki z francuskiego ciasta, i kenijską kawę. Chyba że chcesz jajka.

- Kto by tam chciał jajka!

- To dzięki Bogu, bo gdybyś chciała, czułabym się bardzo rozczarowana.

- To po co pytałaś? Nie musiałaś nawet o tym wspominać, mogłaś po prostu wykorzystać swoją pozycję gospodyni.

- Zawsze wydawało mi się obrzydliwe wykorzystywanie jakichkolwiek przywilejów. Jeśli mi się zdaje, że mam uprzywilejowaną pozycję, staram się jej pozbyć.

- Więc jak osiągasz to, czego chcesz?

- Chyba ciągle jeszcze wierzę, że jak będę dobra, to wszystko osiągnę.

- I rzeczywiście?

- Nie, na tym polega problem. Ale tak mnie przerażają te moje niezасłużone awantaze, że w końcu dochodzę do wniosku, że dobrze jest, jak jest.

- Eleanor, myślałam o czymś. Jak sprzedam dom, będę miała pieniądze. Czy chciałabyś wrócić na uczelnię?

- Dziękuję. Jesteś jedyną osobą, od której mogłabym przyjąć pieniądze. Ale już przegrałam swoją karierę akademicką, nie wygłupiasz się w jednym miejscu, żeby zaczynać w innym.

- Dlaczego?

- Po prostu nie. A poza tym zbyt to związane z Justynem.

- Więc czego oczekujesz od życia?

- Nie wiem. Chciałabym robić coś, czego byłabym absolutnie pewna.

- Tak jak nie wątpiliśmy w Kościół. To niesprawiedliwe. Nie ma nic podobnego i nic nie może zająć tego miejsca. Ale kiedy przestaje się wierzyć, to już nie działa.

- Brakuje ci tego?

- Brakuje mi właśnie tej pewności. Ale nie ludzi ani tego, co się z nimi dzieje w tym otoczeniu.

- Tak, powinno im to dawać szczęście, ale nie daje.

- Ciągłe powtarzają, że nie o szczęście im chodzi, ale tak w gruncie rzeczy jest. To naprawdę niesprawiedliwe. Rezygnują przecież z tak wielu rzeczy. I ciągle są nieszczęśliwi. Poza głupcami, oczywiście, ale ci będą szczęśliwi wszędzie.

- Jak możesz nazywać ludzi głupcami?

- A jak możesz tego nie robić?

- Ja się boję.

- A ja nie mogę się powstrzymać.

- A propos, czy dowiedziałaś się czegoś więcej o Margaret i pieniądzach?

- Delaney nic o tym nie mówił, nic też nie było w testamencie. Więc myślę, że nic więcej nie dostała.

- Dzięki Bogu. W przeciwnym razie zamierzałam podpalić jej dom. Z nią w środku.

- Wiesz, że Margaret mnie prześladowa. Strasznie się boję, żebym się nie stała taka jak ona.

- To idiotyzm. W niczym jej nie przypominasz.

- Skąd możemy wiedzieć, jaka była w młodości?

- Wiemy, że nie była przystojna. Ani elegancka. A ty jesteś.

- W końcu będziemy musiały zapłacić za te niezасłużone przywileje, o których mówiłaś.

- Nie twierdziłam, że będziemy musiały za nie zapłacić.

- Ale wierzysz w to.

Eleanor wydawała się zatroskana.

- Tak - powiedziała. - Wierzę.

- I ja też.

Spojrzała na zegarek. - Muszę się szykować do pracy. Czy chcesz wypróbować makijaż?

Na toaletce stały kosmetyki, oszłamiające ilością i różnorodnością. Poczułam ukłucie bólu przypomniawszy sobie, dlaczego nie wypróbowałyśmy ich wczoraj. Żeby się ukarać za wczorajszy brak wspaniałomyślności, nie przyjąłem propozycji Eleanor, choć kosmetyki wabiły mnie jak myśl o wspaniałym deserze.

Pożegnałam się z Eleanor na przystanku autobusowym i poszłam trzy przecznice dalej do metra. Kiedy schodziłam po schodach, jakiś mężczyzna z marynarką przerzuconą przez ramię przyjrzał mi się dokładnie, skinął głową i uśmiechnął się. Ja również skinęłam mu głową.

I oboje kontynuowaliśmy marsz w przeciwnych kierunkach. Zeszłam w gorące korytarze metra, oczy mi błyszczały, twarz miałam zarumienioną i głupio uśmiechniętą, pewna siebie jak sportowiec czy dobrze odżywiony pies.

Zapomniałam o kolacji z księdzem Mulcahy. Wiedziałam, że zawsze lubił się rano upewnić co do wieczornego spotkania, objaw niepewności mężczyzny, który nigdy nie żył z kobietą. Miałam nadzieję, że nie zdążył się o mnie niepokoić. Był przyzwyczajony zawsze zastawać mnie w domu. W domu inwalidy zawsze jest ktoś, kto odbiera telefon. Wiedziałam, że przede wszystkim musiała mu przyjść do głowy jakaś katastrofa. Toteż natychmiast po powrocie do domu zadzwoniłam na plebanie.

- Bałam się, że ksiądz się o mnie martwił - powiedziałam, kiedy odebrał telefon.

- Martwił! Już dwa razy byłem u ciebie. Gdzie się podziewałaś?

- Byłam u Eleanor. Nocowałam u niej.

- Ach, Eleanor - powiedział. Wiedziałam, że modli się w duchu o powrót Eleanor. Gdyby był protestantem, chodziłoby o powrót do cnoty, a pojęcie owo wyostrzałoby jeszcze implikacje kary i prawdziwe moralne oburzenie. Będąc jednak katolickim księdzem modlił się o powrót Eleanor do Prawdziwej Wiary, a słowa te dotyczyły raczej powrotu do domu niż zmiany postępowania.

- Spędziłam czas cudownie. Kupiłam sobie trochę nowych rzeczy.

Wiedziałam, że moje nowe ubrania zainteresują księdza Mulcahy tak, jak nie zainteresowałyby ojca. Ojciec lubił piękne kobiety, nawet modnie ubrane, wolał jednak myśleć, że ostateczny produkt powstaje całkiem spontanicznie. Jeśli podejrzewał, że udany rezultat był wynikiem studiów czy starannego planowania, psuło mu to cały efekt.

- Mam nadzieję, że się w nie ubierzesz wieczorem - powiedział ksiądz Mulcahy.

- Zabieram cię do Tarrantina.

Pójście do włoskiej restauracji uważał za szczyt epikurejskiej awanturniczości.

Kiedy o szóstej ksiądz Mulcahy zadzwonił do drzwi, pomyślałam przede wszystkim o dylematach gościnności, jakie rodziło jego przybycie. Czy mam mu

zapropnować drinka? Jeśli to zrobię, to znaczy, że zachęcam go do picia. Jeśli nie, to czy oczywiste podteksty mojego zachowania sprawią mu przykrość? Postanowiłam pójść na dziewczęcność, wszyscy księża to lubią, jest to ich ideał kobiety.

- Umieram z głodu - powiedziałam. - Czy możemy jechać absolutnie natychmiast?

- W ogóle się nie zmieniasz. Masz koński apetyt. Boże, pamiętam cukrową watę na Coney Island. Jak zaczęłaś trzecią, trochę się zaniepokoiłem.

- Nigdy jednak nic mi nie zaszkodziło. Dzieci pewnie nigdy by nie chorowały, gdyby rodzice im nie wmawiali, że zaraz zwymiotują.

- No, to chodź szybko do samochodu, zanim zaczniesz wcinać mój kapelusz..

Ksiądz Mulcahy był czyściutki jak prosiaczek wykąpany w mleku. Czarny kapelusz wyczyszczony był do gładkości skórki owocu, spod białych rzadkich włosów przeświecała różowa skóra czaszki, a same włosy wyglądały tak, jakby odbarwiono je celowo przez silne szorowanie. Ksiądz pachniał niemożliwie bezpłciowym talkiem, tak jak oni wszyscy. Jestem pewna, że kupują ten talk razem ze swoimi szatami. A nad wszystkim, niby tropikalna burza nad Norwegią, unosił się świecki zapach Old Spice'a.

Pan Tarrantino uściskał księdza Mulcahy przy wejściu do restauracji, a z kuchni wyszła jego żona klaszcząc w dłonie. Przypuszczam, że za tę kolację nie będzie rachunku. Zrobiła na mnie wrażenie nieklamana sympatia, jaką w tyłu ludziach wzbudzał ksiądz Mulcahy. Przychodzili do niego w chwilach strasznego smutku, w kłopotach, w chorobie, nawet w szaleństwie. A on rozumiał brutalność ich życia i jego smutku. Siadywał z nimi przez niezliczone godziny słuchając płaczu, słuchając katalogu ludzkich cierpień, tak zadziwiająco zróżnicowanych, tak zadziwiająco ograniczonych. Był z nimi także w momentach szczęśliwych, na weselach córek, na chrzcinach wnuków, niosąc jak walizkę swoją nieśmiałą radość.

Chodziłam do szkoły z Marią Tarrantino, toteż pan Tarrantino pocałował mnie, kiedy już usadził nas przy stole.

- Izabelo, na pewno odczuwasz brak ojca. Tu masz drugiego - oznajmił wskazując księdza Mulcahy.

Miałam ochotę powiedzieć: „wcale nie o to chodzi, wcale nie o to. Jeszcze nie odczuwam jego braku, a ksiądz Mulcahy to zupełnie co innego”. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek przewycięzę to pragnienie mówienia o sobie wszystkiemu ludziom takim jak pan Tarrantino, którego lubiłam i którego nie zobaczę pewno przez następne dziesięć lat. Uśmiechnęłam się, skinęłam głową i nic nie powiedziałam. Właśnie takiego połączenia smutku ze skromną serdecznością oczekiwał pan Tarrantino. Przede wszystkim nie chciałam, żeby uznał mnie za osobę ekscentryczną.

Mężczyzn typu pana Tarrantino niezamężne kobiety napawały nieokreślonym lękiem, zwłaszcza jeśli ich córki oczekiwały czwartego czy piątego dziecka.

- Izabelo, zamawiaj, co chcesz - powiedział ksiądz Mulcahy - niczym się nie krępuj.

- Muszę się trochę krępować. Jeśli mam wypłynąć na szeroki świat, to nigdy go nie podbiję jako polec słońiny.

- Wszystkie dziewczęta dzisiaj wyglądają jak patyki. Jestem pewien, że to się nie podoba młodym mężczyznom.

- Nie robię tego dla młodych mężczyzn.

- Chciałbym, żebyś pomyślała o małżeństwie. Jesteś jeszcze młoda, masz dobry charakter i złote serce. Powinnaś wyjść za mąż.

- A ksiądz powinien zagrać w *Going My Way*. Byłby ksiądz wspaniały jako Barry Fitzgerald.

Trzepnął mnie w rękę.

- Zawsze byłaś najbardziej bezczelnym dzieckiem w parafii.

- Zamierzam sprzedać dom.

Spojrzał na mnie z wyrazem takiego przerażenia, że jego jasne oczy nabrały koloru jakiejś substancji chemicznej.

- To znaczy, że się stąd wyniesiesz?

- Nie wiem. Ale jeśli nie sprzedam domu, wkrótce nie będę miała pieniędzy.

- Czy szukasz pracy?

- Tak, ale nie chcę robić byle czego. Problem polega na tym, że w wieku trzydziestu lat nie mam ani doświadczenia, ani kwalifikacji. W ubiegłym stuleciu musiałabym zostać guwernantką.

- Starsza pani Healey poszukuje towarzyszki, która by z nią zamieszkała. To wspaniała osoba, Izabelo, wspaniała, i nie ma nikogo bliskiego.

Poczułam takie przerażenie jak w gabinecie Johna Delaney'a, ale teraz nie mogłam się gniewać. Ujęłam różową dłoń księdza Mulcahy.

- Ojciec - powiedziałam - ja chcę czegoś więcej. Nie chcę skończyć jak Margaret Casey i te wszystkie inne kobiety. Niech ojciec to zrozumie.

- Margaret Casey to poczciwa osoba.

- Jak ksiądz może tak mówić po tym, co zrobiła!

Przypomniałam sobie okres, kiedy postanowiłam pozbyć się Margaret. Kiedy dowiedziała się, że powiedziałam o tym księdzu Mulcahy, popadła podobno w histerię i zaczęła się odgrażać. Tydzień później do proboszcza nadeszły pierwsze anonimowe listy informujące go, że podczas spowiedzi parafianie czują alkohol w oddechu księdza Mulcahy, że zataczał się odprawiając najwcześniejszą mszę o wpół do siódmej. Proboszcz poradził mu więc, żeby odpoczął, umieścił go w domu dla

alkoholików w Spring Vally, skąd ksiądz Mulcahy pisywał do mnie i do ojca tragicznie pogodne listy. Pamiętam, jak pojechaliśmy go odwiedzić, pamiętam tych wszystkich staruszków w szlafrokach z drżącymi rękami spacerujących dokoła solarium. Po wyjściu stamtąd ojciec powiedział mi, że to wszystko księża. Pamiętam swoje przerażenie w drodze do domu.

- Jak ksiądz może jej wybaczyć? - zapytałam.

- Izabelo, nie wiemy, czy to ona zrobiła. Nasz Pan powiedział, żebyśmy nie byli sędziami. A jeśli nawet to ona, to była wówczas w bardzo złym stanie. To moja wina. Nie przypuszczałem, że to ją tak bardzo dotknie. Miałem dla niej inne miejsce, więc sądziłem, że wszystko będzie dobrze. Nieszczęsna istota, nigdy niczego nie miała.

Siedział naprzeciwko mnie, a na jego twarzy rysował się autentyczny smutek. Kochał Margaret Casey. Po tym wszystkim dalej ją kochał i nie było to uczucie neutralne, była to miłość dla Bożego nędzarza.

Jedliśmy kolację bez pośpiechu, toteż liczne, raczej ciężkie dania, zneutralizowały trunki wypite przez księdza Mulcahy. Była już dziesiąta.

- Mam jutro mszę o wpół do siódmej - powiedział - więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, odwiozę cię do domu.

- Jutro jem lunch z Eleanor.

- Eleanor - powtórzył i nie miałam wątpliwości, że myślał o jej roztargnieniu. - Była taką uroczą dziewczyną. Co, twoim zdaniem, sprawiło, że tak pobłądziła?

- Eleanor jest najlepszą osobą, jaką znam, poza księdzem. Proszę się o nią nie martwić. Jestem pewna, że pójdzie do nieba.

- Modłę się podczas codziennej mszy, żeby wróciła.

Pomyślałam, że dla Eleanor byłaby to przyjemna wiadomość, że ksiądz Mulcahy się za nią modli, nawet jeśli jego modlitwy nie dotyczyły tego, co trzeba. Pocałowałam go na dobranoc, kiedy podwiózł mnie pod dom.

- Czy wszedłby ksiądz na chwilkę, na wieczorną kawę?

Poczułam, jak się wewnętrznie ode mnie dystansuje, było to tak wyraźne jak nagły powiew wiatru.

- Nie, kochanie. Pojadę już.

Zapomniałam, że księża nigdy nie zostawali sam na sam z kobietą. Nawet jeśli mieli siedemdziesiąt lat i znali tę kobietę od urodzenia. Odczułam to nagle jako bolesną stratę, jakbym została oszukana. Ogarnął mnie gniew na to niepotrzebne i natrętne przypomnienie mojej płci, które Kościół wprowadzał przy każdej okazji.

Kurz w ciemnym domu pachniał jak zagrożenie, pobiegłam szybko zapalić światło w dużym pokoju. Było wpół do jedenastej, pora pełna rzeczy nie dokonanych. Już samo powietrze odbierało energię, sugerowało bezużyteczną, ulotną egzystencję. Zaczęłam przeglądać ogłoszenia o pracy w „Timesie”: pomocnik księgowego, kelnerka

do coctail baru, Piętaszek (przypomniałam sobie Robinsona Crusoe, nie byłabym najlepszym pomocnikiem w walce o przeżycie). Którą z tych prac mogłabym wykonywać? Wyobrażałam sobie wstępną rozmowę. Doświadczenie? Praktyka? Żadna. Co pani robiła przez te wszystkie lata? Opiekowałam się ojcem. Zdziwione spojrzenia. Czy ktoś to jeszcze robi?

A może ze zdziwieniem uniesione brwi miały neofreudowskie podteksty. Ojcem, mówi pani? Mogłabym skłamać, mogłabym powiedzieć, że byłam mężatką i właśnie się rozwodzę. W obecnych czasach byłoby to dla wszystkich znacznie mniej krępujące. Jeszcze raz przejrzałam ogłoszenia, żadna z tych prac nie zasługiwała nawet na kłamstwo.

Rozważałam inne możliwości. Mogę sprzedać dom i wrócić do szkoły. Ale do czego mam się przygotowywać? Jaka praca pozwoliłaby mi dyskutować o współczesnych obyczajach i dziewiętnastowiecznej powieści? Na samą myśl, że mogłabym uczyć, dłonie spotniały mi z niepokoju i obrzydzenia. Nie chciałam spędzić następnych sześciu czy siedmiu lat (a może nawet aż do osiągnięcia czterdziestki) na studiach, by potem wykładać literaturę jak ojciec.

Usiłowałam określić swoje kwalifikacje. Lojalność. Bardzo kochałam ojca, byłam mu całkowicie oddana. Jakież to dziewiętnastowieczne zdanie: „ta młoda kobieta była oddana ojcu”. W XIX wieku miałyby to jakiś rezonans, teraz przywiązanie było cechą, którą odznaczały się psy.

Pragnęłam tego samego, do czego przyznała się Eleanor: absolutnej pewności. Pragnęłam jednak czegoś, co znajdowałoby się poza mną, dotyczyło większej skali. Może pojedę do Włoch ratować zrujnowane kościoły? Może zostanę uczoną? Przypomniała mi się książka z dzieciństwa. Zaczynała się tak: „popatrz, popatrz, a zobaczysz, czym chciałabyś być”. Na pierwszej stronie była figura dziewczynki z otworem w miejscu głowy. W miarę przewracania stron pusty otwór wypełniały głowy kobiet w kapeluszach odpowiadającym ich rozmaitym zajęciom. Kojarzyło mi się to z moją obecną sytuacją: absolutnie pusty obrys dziecięcej głowy i przytłaczający potencjał.

Przez cały czas marzyłam, że kiedy to się już skończy, podejmę po prostu własne życie. A teraz okazuje się, że być może już je przeżyłam.

Z przyzwyczajenia zaczęłam się modlić. „Dobry Boże...” przestałam jednak nie wierząc w istnienie twarzy poza imieniem. Zarzuciwszy wymogi i obowiązki wiary nie miałam już prawa znajdować w niej pocieszenia. Wierzyłam, że gdyby Bóg istniał, kochałby mnie za moją dzielność, księdza Mulcahy za jego prostotę, Eleanor za dobry charakter, Liz za ironię, a ojca za gniew.

Postanowiłam zadzwonić do Liz i zaprosić się na weekend do Ringkill. Było lato, pójdziemy popływać w jeziorze położonym niedaleko jej domu, jak robiłyśmy to

w dzieciństwie, kiedy jeździłam z Liz i jej rodzicami nad jezioro Cranberry.

Wykręciłam numer Liz. Telefon odebrała jej córeczka.

- Czy mogę mówić z mamą? - zapytałam myśląc, że o tak późnej porze dziecko powinno spać, a także o tym, jak dziwnie brzmi określanie Liz jako czyjejs mamy.

- Kto mówi? - pytała Sonia nadzwyczaj oficjalnie.

- Izabela.

- Proszę poczekać - Sonia zachowywała się jak kamerdyner. Liz podeszła do telefonu.

- Staramy się wyrażać jak najbardziej uprzejmie. Sonia zamierza zachowywać się nieskazitelnie aż do wieku dziesięciu lat.

- Lizzie, czy mogłabym przyjechać na weekend?

- Boże! Oczywiście! Wspaniale! - powiedziała Liz nadając każdemu wykrzyknikowi jednakową wagę. - Chciałabym, żebyś poznała mojego konia.

- Nawet nie wiedziałam, że masz konia. Umiesz jeździć?

- Nie umiałam. Kupiłam klacz, żeby się nauczyć. Teraz buduję dla niej szopę.

- Sama?

- Tak. Cieszę się, że zobaczysz moje letnie muskuły. Są naprawdę imponujące, co przy moim braku piersi sprawia, że pozbawiona jestem wszelkich wrażliwych wypukłości.

- Może ja powinnam potrenować dzień lub dwa.

- Zamierzam rozmawiać z tobą przez całą noc.

Leżałam w łóżku rozmyślając o księdzu Mulcahy, o ojcu, o Liz. Jak dojrzała wydawała mi się Liz: budowała szopę, była czyjąś matką. Zdolna była do wyrafinowanej złośliwości, potrafiła być tak ostra jak francuski nóż. A ksiądz Mulcahy, człowiek absolutnej dobroci, nie mógł uwierzyć w nikczemność, potrafił wszystko przebaczyć. Więc każdy mógł go bez trudu zranić i należało go chronić ukrywając przed nim pewne rzeczy jak przed dzieckiem. Miałam wrażenie, że Sonia w wieku lat pięciu jest sprytniejsza i bardziej odporna niż ksiądz Mulcahy. W obecności Soni, Liz czy Eleanor nie trzeba kłamać. Nie stworzyły świata niemożliwej dobroci, kruchego jak porcelana. A w jaki sposób stworzono świat niemożliwych zagrożeń, w którym dobro wymaga ochrony, jakby mógł je uszkodzić ludzki oddech? Ksiądz Mulcahy i mój ojciec byli dziećmi, a miłość ich stawiała olbrzymie wymagania jak miłość dziecka. Może dlatego, że przywykli kochać Boga, dla którego nic nie było olbrzymim wymaganiem.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie inny typ mężczyzny, o ciężkich opalonych barach, krótkich i szerokich dłoniach. Dotykał mnie tak przemyślnie i zaskakująco, że ślina napływała mi do ust. Pocałowałam go, jego wargi miały smak selera i chłód brzoskwini. Pragnął mnie tak bardzo, że nie mógł wytrzymać z dala ode mnie. Nawet

przez moment. Nawet nie mógł mówić, tak bardzo mnie pragnął. Leżał na mnie i czułam, jakbym pływała i tonęła równocześnie, a on chciał mnie wciąż i wciąż od nowa. Rano kupię walizkę, pomyślałam, zapadając w sen.

IV

Pociąg do Liz jechał dokładnie z biegiem rzeki Hudson. Góry rysowały się ciemno jak drzewa cisowe, a woda szaroniebieska, przejrzysta jak na pejzażach holenderskich. Powietrze na zewnątrz wydawało się niezdecydowane i szare, małe aksamitne chmurki rozplynęły się, niebo stawało się coraz bardziej błękitne. Wszystkie te chłodne barwy przynosiły ulgę moim oczom, jakbym przed chwilą płakała.

Na samym wierzchu w mojej nowej walizce leżało pudełko czekoladek Barricini. Już tak dawno nikogo nie odwiedzałam, że nie byłam pewna, czy dalej wozi się czekoladki. Jeżeli już się tego nie praktykuje, Liz nie omieszka wyrazić dezaprobaty, już widzę, jak szybko wznosi oczy w górę, potem spuszcza w głębokim milczeniu. Przerazająca perspektywa, toteż o mało nie zapytałam ekspedientki w sklepie, czy wypada zawieźć czekoladki, ale pewnie wzięłyby mnie za dziwaczkę. Znowu ogarnęło mnie to nieznane dotychczas poczucie niepewności, jakbym chodziła po lodzie niewiadomej grubości, pod którym pod naciskiem moich kroków bulgocze brązowe bagnisko. Pomyślałam o ojcu i jego niezachwianej pewności, o jego ciele w łóżku na środku pokoju i w tłumie letnich podróżnych na Grand Central Station chciałam zawołać: „jestem strasznie samotna”. W pociągu, kiedy słońce nie doszło jeszcze do środka nieba, poczułam się zarazem spokojna i podniecona. Jechałam spotkać się z przyjaciółką, która była czyjąś matką, czyjąś żoną. Przyszedł mi na myśl John Ryan, jego muskularne ciało, absolutnie spokojne niebieskie oczy, wyraźnie wskazujące, że nigdy nie kwestionował słuszności swego postępowania i swego sukcesu. Pamiętam, jak zapytałam Liz, dlaczego zdecydowała się za niego wyjść. Liz odpowiedziała wtedy: „Bo wygrywał ze mną w tenisa, czego nie potrafił żaden z moich znajomych. Więc pomyślałam, że da mi więcej swobody niż ktokolwiek inny. Wydawało się także, że mu się powiedzie i gdybym za niego nie wyszła, nigdy nie dałby mi o tym zapomnieć”.

I rzeczywiście udało mu się: Najlepszy na wydziale prawa, potem jakieś korzystne powiązania w Waszyngtonie w czasach Johnsona, a teraz ważne stanowisko w hrabstwie Ryder w służbach socjalnych. Ponieważ go nie lubiłam, z niechęcią myślałam o dobroczynnych skutkach jego działalności. Kiedy Liz opowiadała mi o osiągnięciach Johna na polu pomocy państwa dla bezrobotnych matek i wprowadzenia bezpłatnych obiadów dla dzieci, pomyślałam przede

wszystkim, że nie zasłużył, by dokonać czegoś takiego. Nie miałam bowiem wątpliwości, że ci ludzie w gruncie rzeczy nic go nie obchodzili. Jego działaniami kierował instynkt wyniesiony z katolickiej szkoły, gdzie najbardziej cyniczni chłopcy, gwiazdy futbolu i koszykówki, należeli również do Wielkich Braci Katolickich i zabierali na piknik dzieci ze slumsów; był to odruch z czasów Kennedy'ego, kiedy to najwspanialszy mężczyźni w kraju wydawali się troszczyć o los ubogich. Moim zdaniem nic nie mogło poruszyć Johna Ryana, ani cierpienie, ani piękno; wydawało mi się więc głęboko niesprawiedliwe, że jego działania mogą tak istotnie wpływać na losy ludzi, których istnienie w żaden sposób nie oddziaływało na niego.

Chlubił się Liz, tak jak ona chlubiła się swoją klaczą. Widziałam, jak obejmował szczupłe biodra Liz gestem właściciela, co sprawiało, że miałam ochotę go uderzyć. Widziałam też błysk niechęci w brązowych oczach Liz, nie była to nienawiść, jedynie świadome spojrzenie żony, która przejrzała na wylot charakter męża i postanowiła się z tym pogodzić. Dzieci, Sonia i Aleksander, odziedziczyły ciemną karnację Liz, jej czujną niecierpliwość, spontaniczne odruchy negacji czy uznania.

Liz stała na peronie, jakby znalazła się tu przypadkiem, jakby jej obecność nie miała żadnego związku z przyjeżdżającym pociągiem. Szła w kierunku wagonu, ale nie przywitała się ze mną. W ciężkich dzinsach, roboczej niebieskiej koszuli i brązowych kowbojskich butach wyglądała jak bardzo szczupła osoba, doskonale świadoma swego celu. Fakt, że nie nosiła żadnych ozdób, był z jej strony sprytną sztuczką. Dzieci w skąpych letnich ubrankach szły za nią i wyglądały jak kolorowe kurczaki z poważną kwoką. Liz wzięła moją walizkę, jakbyśmy przed chwilą razem wysiadły z pociągu i dopiero co przerwały rozmowę.

- Jest ci gorąco? Za dziesięć minut możemy być w wodzie. Chyba że wolisz lunch.

- Nie. Tak. Czy nie przywitasz się ze mną, Elżbieto?

Liz uściskała mnie serdecznie, nie było to zwykłe konwencjonalne powitanie czy pokaz dobrych manier na peronie stacji. Opóźnienie tego uścisku sprawiło, że wydawał się sprawą wyboru, raczej decyzją niż gestem. Dzieci trzymały się z tyłu, niepewne, jak mają się zachować. Ostatni raz widziały mnie, kiedy jedno z nich miało dwa, a drugie trzy latka. W wieku pięciu i sześciu lat uważały się pewnie za zupełnie inne osoby, równie dobrze mogły mnie nigdy nie spotkać.

Widząc poważny wzrok Soni postanowiłam podać dzieciom rękę. Pozwoli im to uświadomić sobie, że są traktowane poważnie. Uścisk ręki sprawił im wyraźną, a według standardów dorosłych, nawet zbyt dużą przyjemność.

- Przyjechałaś z Nowego Jorku, z dzielnicy Queens, gdzie urodziła się nasza mama. Byliśmy raz u cioci w domu, ale ja tego nie pamiętam. Byliśmy wtedy bardzo mali - oświadczyła Sonia.

- Ale mieliśmy tego samego psa - powiedział Aleksander wskazując bardzo starego psa gończego, który usiłował wysunąć łeb przez okno.

- Wiesz, psem mamy była Susie, zanim jeszcze my byliśmy jej dziećmi.

- Alex obawia się, że to daje Susie pierwszeństwo w łodzi ratunkowej - wyjaśniła Liz. - Zawsze planuje sposób postępowania na wypadek katastrofy.

- Twój ojciec właśnie zmarł. Czy jesteś okropnie samotna? - zapytała Sonia.

Odwróciłam się w jej stronę, żeby do niej skierować moją odpowiedź.

Pamiętam, jak mnie drażniło, kiedy zadawałam pytania, a ludzie odpowiadali ojcu.

- Nie czuję się tak samotna, jak oczekiwałam. I chociaż pod pewnymi względami bardzo mi go brakuje, to chyba nie czuję się tak samotna jak powinnam.

- Boisz się, że niewystarczająco cierpisz? - wtrąciła Liz. - Nie martw się, przed tobą całe życie. W końcu cię dopadnie.

- Tego się właśnie boję. Niespodziewanego ataku.

- Kto wie, może będziesz uodporniona jak ludzie, którzy przeżyli zarazę.

- Co to zaraza? - zapytał Alex.

- Kiedy mnóstwo ludzi naraz choruje i umiera. Teraz to już nie takie częste.

- Nasz koń jest w ciąży - oświadczył Alex. - Pokażemy ci go.

- Czy wiesz, kiedy ostatni raz widziałam góry? - zapytałam.

Liz spojrzała na mnie dziwnie, jakby chciała powiedzieć: „dosyć takiego gadania”. We wzroku tym zobaczyć mogłam wszystkie swoje ekstrawagancje, za którymi kryła się teraz po prostu nie wypowiedziana prośba o współczucie. Mocno zażenowana zaczęłam się zastanawiać, od jak dawna nabrałam zwyczaju rozpoczynania zdań od „czy wiesz, kiedy ostatni raz...” Wdzięczna byłam Liz za jej wymagania i niecierpliwość, dało się je określić dziewiętnastowiecznym słowem „kojące”.

- W domu jest oczywiście straszliwy bałagan - powiedziała Liz.

- John ciągle chce, żebym wynajęła kogoś do sprzątnięcia, kogoś z tych jego mas, kto wzdycha do swobody, a ja stale twierdzę, że nie potrzebuję pomocy, mogę to zrobić sama. I oczywiście mogłabym to zrobić, gdybym to uznała za ważne. Idę na kurs handlu nieruchomościami. Sądysz, że mogę zarobić dużo pieniędzy sprzedając domy?

- Milion. A jest ci to potrzebne?

- Pieniądze? Nie, ale muszę umieć je zarabiać. Czy wiesz, co znaczy świadomość, że nigdy nie zarobiło się ani grosza?

- Owszem. Na tym właśnie polega problem. Może ja też powinnam się zająć handlem nieruchomościami?

- Byłabyś znakomita. Masz wyjątkowy dar dostrzegania wszystkich możliwych implikacji. Wyjaśniałabyś ludziom moralne aspekty własności czy twojego procentu, a w końcu sama byś im kupowała domy.

- W czym jeszcze jestem dobra? Nie ma zbyt wielkiego popytu na implikacje.

- Na pewno coś wymyślimy.

Uwierzyłam jej, zupełnie jakby powiedziała, że właśnie znalazła miejsce na budowę pawilonu.

Dom Liz stał przy drodze, przy której znajdowało się również kilka farm. Huśtawki na frontowym trawniku Liz stanowiły miłe odstępstwo od nachalnej użyteczności silosów i surowych szop w obejściach gospodarskich.

Liz sięgnęła do wnętrza samochodu, żeby wydobyć torbę z zakupami. Potknąwszy się na nierównym gruncie uświadomiłam sobie, że włożyłam nieodpowiednie buty. Z poczuciem bezsilności kuśtykałam za Liz w stronę frontowego ganku. Czułam się jak karykatura włoskiej gwiazdy filmowej spacerującej na wysokich obcasach po *Campagna*.

Usiłując otworzyć drzwi Liz powiedziała:

- Przykro mi, że Johna nie ma w domu. Spędza dzień ze swoją kochanką.

Kiedy się roześmiałam, Liz spojrzała na mnie karcącym wzrokiem.

- Mówię poważnie.

- Przepraszam - powiedziałam.

- Och, nie ma najmniejszego powodu. Ona jest dla niego idealna. Ma gigantyczny biust, jest wystarczająco sprytna, by śmiać się z jego dowcipów, ale nie na tyle sprytna, żeby wypowiadać własne. O to mu zawsze chodziło. Zwłaszcza o piersi.

- Och, daj spokój. Co znaczą piersi? Znacznie mniej, niż ci się wydaje. To niemożliwe, Lizzie.

- Jestem przekonana, że wymiary biustu mają w wielu wypadkach decydujące znaczenie. Gdybyś ty, na przykład, była płaska jak decha, pewno posłałabyś ojca do domu opieki. A gdybym ja miała piersi, nigdy nie wyszłabym za Johna.

- To idiotyczne, Liz - powiedziałam. Zawsze wyobrażałam sobie, że jest absolutnie szczęśliwa.

- W każdym razie wszystko się bardzo dobrze składa - powiedziała Liz układając zakupy w szafkach. - On zostawia mnie w spokoju, co bardzo mi odpowiada, bo nigdy go specjalnie nie lubiłam. Ale lubię dzieci i ten dom, a on lubi Marlenę, ona jego lubi.

- Kim ona jest?

- Aż się krępiję powiedzieć. Jego sekretarką. John nigdy nie odznaczał się wyobraźnią.

- Czy on chce się z nią ożenić?

- Chyba tak, ale byłoby to polityczne samobójstwo, więc nigdy tego nie zrobi. John jest nadzwyczaj dyskretny i ona też. Ja ją nawet lubię, gdyby tylko nie rzucała w moją stronę takich przerażonych spojrzeń, ilekroć się spotkamy. Jak owca, która najadła się biszkoptów..

- Chyba mylisz metafory.

- Porównania. Prowadzę bardzo czynne życie. Jeżdżę konno. W tenisie mogę zwyciężyć tutejszego zawodowca. Masę czasu spędzam z dziećmi. Studiuję historię XVIII wieku, bardzo mnie to interesuje. Lubię swoje życie. Jest akurat na tyle trudne, by mnie zadowolić.

- Zawsze dążyłaś do doskonałości, bezbłędna w trudnych sytuacjach.

- Chodź zobaczyć klacz - zaproponowała Liz. - W kwietniu się ożrebi. Buduję jej szopę na zimę.

Wyszliśmy na łąkę, gdzie za drewnianym płotem biegała po trawie klacz. Liz przeszła przez ogrodzenie, podeszła do klaczy i głaskała ją po wydętym brzuchu.

- Bardzo poważnie traktuję jej macierzyństwo. Myślę, że każde macierzyństwo jest sprawą poważną. Nie rozumiem, jak ludzie po takim doświadczeniu potrafią być małostkowi. Ludzie zdają się za wszelką cenę dążyć do małostkowości.

Liz przeszła przez ogrodzenie i podniosła pal długości sześciu stóp.

- Najpierw wykopuję otwory na pale, a potem wbijam je w ziemię młotem. To pierwszy krok. Chcesz zobaczyć, jak to robię?

- A czy mam wybór? Liz się roześmiała.

- Nie. To moje męskie cechy, które za szybko pogrzebałam.

Zdjęła bluzkę, pod którą miała zieloną trykotową koszulkę. Ramiona Liz były opalone i muskularne, prawie nie miała piersi. A jednak przywoływała na myśl słowo „kobieca”.

Kiedy Liz wzięła młot i zaczęła wbijać pal w uprzednio wykopany dół, twarz jej poczerwieniała i wykrzywiła się z wysiłku. Widziałam jej napięte plecy i marzyłam o tym, żeby ją powstrzymać. Wreszcie pal został wbity. Z niewytłumaczonych powodów zaczęłam płakać.

- To bardzo trudne - powiedziała Liz.

Uśmiechnęła się do mnie jak dziecko, które ma za chwilę odebrać nagrodę. - Tak - powtórzyła - to bardzo trudne. Czy pójdziemy popływać?

Rozpakowując walizkę nie mogłam znaleźć kostiumu kąpielowego.

- Chyba zapomniałam zabrać kostium. To idiotyczne.

- Możesz wziąć jeden z moich.

- Będzie o wiele za mały.

- Jestem większa niż się zdaje. To znaczy, poza biustem, który jest mniejszy niż się zdaje. A zresztą będziemy tylko my i mały staw. Mogłybyśmy nawet pływać na

golasa, ale na to żadna z nas nie jest wystarczająco nowoczesna, prawda?

Przynajmniej wobec siebie.

Podawała mi brązowe bikini.

Dół rozciągał się na tyle, że wyglądał niemal przyzwoicie. Ale góra była niemożliwa. Kiedy obciągałam staniczek, żeby przykryć piersi na dole, odkrywałam sutki. Kiedy podciągałam stanik, żeby ukryć sutki, dolna połowa piersi jak połowa obranej brzoskwini obnażała się boleśnie. Zdecydowałam się obciągnąć kostium w nadziei, że sutki zachowają się przyzwoicie. Pełna niepokoju podeszłam do lustra.

Kiedy zobaczyłam się w kostiumie bikini, rozczarowanie niemal zaparło mi dech. Obfitość mojego biustu w skąpym staniku zdawała się sugerować nieudolną próbę ukazania się w pikantnym świetle, jak hipopotam z filmów rysunkowych w kostiumie baletowym. Luźne fałdy tłuszczu na biodrach przypominały góry twarogu. Przerazała mnie myśl o spotkaniu z Liz, która czekała za drzwiami, opalona i sprężysta jak indiański chłopiec. Nie miałam jednak innego wyjścia, musiałam poddać się milczącej ocenie Liz.

- Czy masz jakąś koszulę? - zapytałam stając w progu.

Liz spojrzała na mnie z nie skrywaną uwagą.

- Nie najlepszy ten kostium - powiedziała.

- Wyglądam w nim jak idiotka.

- Fakt. Musimy kupić kostium w miasteczku. Ale tymczasem możesz się ochłodzić w stawie. A lunch zjemy na łące.

W dalszym ciągu przyglądała mi się uważnie.

- Twoja figura bardzo się zmieniła - zauważyła. - Pamiętam Izabelę znad jeziora Cranberry, i oto jest ta sama Izabela, pewnie w tym samym wcieleniu, ale jakże różna. Bardzo dziwne.

- Czy masz uczucie, że już się zaczęłaś starzeć? - zapytałam.

- Nie. Wydaje mi się, że moje ciało jest takie jak w wieku lat czternastu. Ale ciągle jeszcze popełniam błędy. Chciałabym zobaczyć, że się starzeję, dałoby mi to poczucie osiągnięcia czegoś. Dzieci wydają się rosnać, iść naprzód, ty też, a ja jakbym stała w miejscu. Tyle że jestem coraz bardziej małostkowa. I to mnie właśnie najbardziej przeraża.

- A mnie najbardziej przeraża ta absolutna pustka w wieku lat trzydziestu, poza pewnym bagażem, który chciałabym wyładować, i bardzo się boję tego wyładunku.

- Możesz być kimkolwiek chcesz - powiedziała Liz. - Masz szczęście.

- Naprawdę? Wydaje się to jedną z tych sztuczek wymagających specjalnej zręczności.

- Ja przez całe życie tak oszukuję. Dzieci to sztuczka, i dom, i praca, i przyjaciele. Musimy ciągle się oszukiwać.

Zanurkowała w zieloną wodę. Poszłam w jej ślady, ale powoli, stopniowo, aż wślizgnęłam się do stawu w pozycji horyzontalnej.

- Zawsze rozumiałam, dlaczego Ofelia chciała położyć się na wodzie - powiedziałam.

- Zawsze to lepsze niż położyć się z Hamletem - odparła Liz.

- I znacznie bardziej prywatne - powiedziałam przenosząc wzrok na trawę. - To wszystko należy do ciebie. Trudno sobie wyobrazić, że moja przyjaciółka jest właścicielką posiadłości ziemskiej.

- Czasami raniutko, kiedy wszyscy jeszcze śpią, kładę długie buty i obchodzę granice posesji. Zazwyczaj powietrze przesycone jest chłodną wilgocią, wszystko rysuje się niezbyt wyraźnie, a ja powtarzam: „to jest moje”. Nie masz pojęcia, jaki to wspaniały rodzaj przywiązania.

- Powinnaś się urodzić w majątku, który należał do rodziny od pokoleń.

- Tylko że - ponieważ jestem kobietą - odziedziczyłby go jeden z moich braci albo jakiś szalony kuzyn z miasta. A ja bym pewnie dostała szału i powybijała wszystkie okna w oranżerii.

- To się nigdy nie zdarzyło u Jane Austen.

- Wiele rzeczy się nigdy nie zdarzyło u Jane Austen.

- Myślę, że nie były naprawdę ważne.

- Izabelo, chyba nawet ty w to nie wierzysz.

- Nie, ale chciałabym.

Liz zrobiła w kuchni kanapki z masłem orzechowym i galaretką na białym chlebie dla dzieci, a dla nas z szynką, z pumperniklem. Na stole stał mały słoik francuskiej musztardy, a obok leżał srebrny nóż z emaliowaną rączką.

- Usiłowałam wychowywać dzieci na smakoszy, ale okazało się to zbyt męczące, a poza tym umierały z głodu - Liz naląła wina do cienkich kryształowych kieliszków.

- Pojedziemy kupić kostium dla ciebie - oznajmiła - a potem nad jeziorem będziemy pić z termosu gin z tonikiem. Co ty na to?

Myślałam, jakie to dziwne, że zachowuję się tak dorośle, jak osoba w średnim wieku, jak czyjaś matka. Albo bohater filmowy.

W sklepie sportowym w miasteczku kupiłam czarny jednoczęściowy kostium. Przymierzyłam go bardzo szybko, tylko żeby się przekonać, czy to odpowiedni rozmiar. Było gorąco, a dzieci czekały w samochodzie. Nie chciałam narażać się na krytykę Liz, prawdziwą czy wyimaginowaną, że tak długo wybieram zwykły kostium.

Kiedy przyjechaliśmy nad jezioro, dzieci porzuciły mnie i Liz z szybkością torpedy. Inne matki na plaży spoglądały na Liz z rodzajem szacunku, a ona przeszła pomiędzy nimi z nieokreślonym, życzliwym wyrazem powitania, jak królewski gość. Nie było związku pomiędzy Liz a innymi matkami, choć wyobrażałam sobie, że

wspólnota sytuacji powiąże je siecią drobiazgów. Ich oczy wpatrywały się w Liz z oczekiwaniem, że popełni jakiś błąd, a jej szybki, niemal sztywny przemarsz wyraźnie je rozczarował. Liz zaprowadziła mnie na kraniec jeziora, gdzie znajdowała się niewielka przebieralnia i przechowalnia rzeczy. Wyjęła koce, papierosy, termos i dwa kieliszki, zadziwiająco delikatne, zważywszy okoliczności. Wszystkie matki na plaży obserwowały, jak Liz zdjęła szorty i bluzkę i położyła je na wierzchu koszyka.

- Pójdę się przebrać - powiedziałam.

- Widzisz teraz, dlaczego chciałam, żebyś miała przyzwoity kostium - oświadczyła Liz, kiedy wyszłam z budki. Przekrzywiła głowę wskazując tamte kobiety.
- Sępy, żywią się ludzkim mięsem.

- Twoim też? - zapytałam.

- Jestem dla nich za szybka. Nie mogą mnie złapać.

Koc łaskotał mnie w nogi, podobnie jak wszystkie inne koce, na jakich kiedykolwiek opalałam się z Liz. Przypomniałam sobie, te wszystkie koce, na jakich leżałyśmy, i wszystkie wspólne kąpiele - w jeziorach, oceanach, stawach. A teraz Liz, ścigana zazdrością i złymi spojrzeniami wielu kobiet, leżała tuż koło mnie.

- Liz, czy jesteś samotna? - zapytałam, jakby wspomnienie tych wszystkich koców i zbiorników wodnych dawało mi specjalne prawo do szybkiej i nagłej wymiany zwierzeń.

Liz przewróciła się na brzuch.

- Myślę, że ludzie zbyt dużą wagę przywiązują do samotności. Z tego się nie umiera, jak z głodu czy z pragnienia. Myśl, że można uniknąć samotności, wydaje mi się dziecinna.

- Więc nie robi ci to różnicy?

- Lubiłam myśleć o sobie jako o pilocie arktycznego lotu. Ale potem mi się znudziło i przestałam uważać, że coś mnie omija. Staram się nie rozpatrywać swojego życia jak biografii. Jeden dzień na raz zupełnie mi wystarcza.

- A John?

- Teraz jest dużo lepiej. Kiedy czegokolwiek od niego oczekiwałam - rozmowy, partnerstwa czy jak to się tam wulgarnie dzisiaj nazywa - pogardzałam nim. Uważałam, że jest hipokrytą. Teraz widzę, że nie jest; brak mu solidności, więc niczego nie zdradza. I jestem mu wdzięczna. To dzięki niemu mam dzieci, dom, klacz, wszystkie te książki o XVIII wieku. Myślę, że jestem mu coś winna.

- Przywiązanie?

- Na pewno nie.

- I nie chcesz innych mężczyzn?

- Nie, ten rodzaj seksu nie bardzo mnie interesuje. Nie jestem dość aktywna. Pewnie już nigdy w życiu nie pójdę do łóżka z żadnym mężczyzną.

- To samo mówi Eleanor.

Liz zeszywniała. - Tylko że ona nigdy w tym nie wytrwa. Położyłam się na plecach.

- A ja chyba tego chcę. Czy to dziwne?

- Zawsze chciałaś. Bardziej niż którakolwiek z nas. Mam nadzieję, że będziesz to miała. Mam też nadzieję, że to cię nie zrani.

Zamknęłam oczy i zobaczyłam pod powiekami fioletowe kręgi.

- Myślisz, że warto próbować?

Liz poklepała mnie po brzuchu. - Powinnaś mieć setki kochanków. Jesteś do tego stworzona.

- Mogłabyś uszanować moją specyficzną skromność.

- Widzisz - wyjaśniła Liz - gdybym ja miała to robić, to albo zdecydowałabym się na stu, albo na żadnego.

- Ojciec zawsze twierdził, że masz ekstrawagancki charakter. Nawet twoja abstynencja jest ekstrawagancka.

- Myślę, że byłam jedyną kobietą, która nie bała się twojego ojca. Chyba mogłabym znajdować pewną szczególną przyjemność w jego towarzystwie, a ponieważ tak się nie działo, nie mogła tego odczuć także żadna z was.

- Czy uważasz, że on był absurdalny?

- Absurdalny?

- Pełen wrzasku i wściekłości pozbawionych znaczenia.

- O nie, na Boga! On miał znaczenie. Jeszcze jakie!

- Jak chłopiec, który wypisuje swoje imię na chodnikach i balustradach mostów. Zostawiając ślad.

- Miał autorytet. Pamiętam, że kiedy byłam nastolatką, był jedyną osobą, która naprawdę wydawała mi się dorosła, jedyną, co do której nie zmieniałam zdania. Inni wydawali się coś udawać czy coś naśladować. Lubiłam go, bo nie ustępował ani na krok i potrafił sprawić, że czułam się głupio.

- I lubiałaś to?

- Tak. Potrafił zapędzić mnie w kozi róg, chociaż cały czas wiedziałam, że mówi kompletne bzdury. Ale zastawiał tak eleganckie pułapki. Uwalniałam się jakoś za pomocą żartu i to go zawsze bawiło. Przypominało to bardzo skomplikowaną, rygorystycznie formalną grę albo taniec.

Znów poczułam ukłucie zazdrości, jak w obecności Eleanor. Ale nie obawiałam się mówić o tym z Liz, miałam bowiem świadomość, że nie mogę jej zranić.

- Nigdy nie uprawiałam z ojcem tego rodzaju gier. Nie tak jak ty i Eleanor.

Liz spojrzała na mnie tak jak przedtem Sonia, usta ułożone w doskonałą, choć swobodną linię, nieruchome powieki, jakby patrzyła w bezkres pustyni.

- Ale na Boga, jakże on ciebie kochał. Dotychczas się z niczym takim nie zetknęłam. Jakże ci zazdrościłam! I dalej zazdroszczę. Już nikt nigdy nie będzie cię tak kochał. Wiesz o tym.

Przypomniałam sobie ciężar ręki ojca na moim ramieniu i skurcz w gardle od tej wielkiej niewypowiedzianej miłości, kiedy oczy zachodziły mu mgłą i nie mógł już mówić.

- Będzie ci ciężko, Izabelo. Nic na to nie poradzisz, ale będziesz oczekiwała takiej miłości i nigdy jej nie spotkasz. Przeżyłaś już swoją wielką miłość i nie spodziewaj się następnej. Nie sądzę, żeby komukolwiek zdarzyły się w życiu dwa tak wielkie uczucia.

- Liz, większość ludzi nie ma nawet jednego. Rozumiesz więc, dlaczego to zrobiłam? Te wszystkie lata z ojcem. Myślisz, że byłam szalona?

- Oczywiście. Wszystko, co wiem o psychologii i doświadczeniu ludzkim, potwierdza, że byłaś szalona. Masochistka. Motywowana poczuciem winy. Ale zazdroszczę ci, że to zrobiłaś.

Zamknęłam oczy i powoli, horyzontalnie osunęłam się w sen, tak jak osunęłam się do stawu Liz. Kiedy doszedł do mnie jej głos, z trudem go umiejscowiłam.

- To, co mówiłam przedtem, że nie interesuje mnie seks, to nieprawda. Mam kogoś.

Staralam się nie usiąść prosto, wiedząc, że wyraziłoby to niemal w karykaturalnej formie głębokie i, jak mi się wówczas wydawało, niezdrowe zainteresowanie, jakie wzbudziło we mnie oświadczenie Liz. Wolno otworzyłam jedno oko, udając ociężałość.

- To jest kobieta - powiedziała Liz.

Wstrząsnął mną dreszcz przerażenia. Oparłam głowę na ręce i usiłowałam nadać swojemu spojrzeniu wyraz tolerancyjnej neutralności.

- Nie patrz na mnie tym wzrokiem katolickiej uczennicy, który ma oznaczać *tout comprendre, c'est tout pardonner* - powiedziała.

- Czy jesteś z nią szczęśliwa?

- Izabelo, cóż to za pytanie w latach siedemdziesiątych i jakże do ciebie nie pasujące!

- O co więc powinnam zapytać? Czy cię to zadowala? Czy jest cudowna? Takich pytań oczekiwałaś ode mnie?

- Tak. Zadowala mnie. Jest cudowna. Uwielbiam ją. Jest wspaniała. Przypomina twojego ojca, też nie ustępuje ani na krok.

- Ciekawe, co by ojciec powiedział słysząc, że porównujesz go ze swoją kochanką. Opowiedz mi o niej.

- Widzisz - zaczęła Liz - kiedy wyszłam za Johna, pociągało mnie jego zdyscyplinowanie, jego ambicje, jego rzeczowa dokładność. Potem odkryłam, że pod tym wszystkim nie kryje się żadna podstawa moralna. Wszystko na pokaz. A Eryka ma wszystkie te, powiedzmy w braku lepszego słowa, męskie cechy, które podziwiam, a także to szczególne osamotnienie, którego nigdy nie mają mężczyźni.

- Bardzo ją kochasz?

- Czy chciałabyś ją poznać?

- Oczywiście, że chciałabym poznać osobę, którą kochasz.

Liz wstała i zaczęła zbierać rzeczy jak dziecko, które wymyśliło lepszy sposób odwrócenia uwagi.

- Chodźmy tam teraz - zaproponowała.

- Dobrze.

- Chyba że wolisz tu zostać.

- Chciałam właśnie powiedzieć, że robi się chłodno.

- Izabelo, zawsze kochałam cię za twoje nienagane maniery.

Liz musiała ponownie wkroczyć w krąg innych matek, żeby przyprowadzić Sonię i Aleksa. Ale teraz nawet nie zwróciła na nie uwagi. Była niesłychanie rzeczowa, zaklaskała w dłonie jak zakonnica. Dzieci zjawiły się niemal w tej samej chwili. Zastanawiałam się, czy Liz zabierze dzieci do tej kobiety, której imienia nie mogłam sobie przypomnieć.

- Jedziemy do Eryki. Zbierajcie się - powiedziała Liz. - Eryka ma dużo koni. Jest bardzo bogata.

- Czym się zajmuje?

- Jest idealna.

- Za pieniądze?

- Nie, kotku. Jest po prostu bogata. Widzisz, podobnie jak większość irlandzkich katolików, mnie też pociąga zapach nieskażonej gotówki.

Przyglądając się Liz kiedy wiozła nas do domu swojej kochanki, pomyślałam, że nigdy nie widziałam jej w tak beztroskim nastroju, tak dziewczęcej. Zastanawiałam się także nad tym, z jakim spokojem przyjełam tę, obiektywnie mówiąc, zadziwiającą informację. Liz kochała kobiety, nie kochała mężczyzn. Słowo „lesbijka”, jego nieprzyjemny bagnisty dźwięk, jego konotacje z jakąś wilgotną ukradkowością wydawało się nie mieć tu żadnego zastosowania. Liz kochała kobietę, jechałyśmy do niej o czwartej w sierpniowe popołudnie, dzieci siedziały na tylnym siedzeniu z głowami za oknem; wiatr wtlaczał im w usta ciemne włosy.

Jechałyśmy wzdłuż wiejskiej drogi, po jej obu stronach rosły gęsto świerki.

- Tutaj zaczyna się posiadłość Eryki - oznajmiła Liz tonem spokojnej dumy.

Kiedy wyjechałyśmy z gęstwiny świerków, zobaczyłam ogromną ogrodzoną łąkę. Dwa konie o skórach lśniących jak wypolerowane orzechy powoli, z rozmysłem, skubały trawę. Na widok przejeżdżającego samochodu jeden podniósł głowę, po czym znów zabrał się do jedzenia.

Zobaczyłam kobietę na koniu wyjeżdżającą galopem spoza drzew. Podjechała bliżej. Miała na sobie obszerny toczek ze sztywnym denkiem. Zsiadła z konia, zdjęła toczek i rozpuściła ukryte pod nim długie, kasztanowe włosy. Gest ten był tak pociągający, że wydał mi się wystudiowany: uznanie obecności kochanki, trybut dla niej. Czy możliwe, myślałam patrząc na szczupłe biodra dziewczyny, czarne buty zachwycające jak cukierek, wpuszczone w nie obcisłe dzinsy, że gest ten był naturalny i że za to właśnie Liz ją kochała.

Kiedy dziewczyna podeszła do nas, zorientowałam się, że ma nie więcej niż osiemnaście lat. Miała ciemną karnację, a jasnoniebieskie oczy były zarazem zimne i przestraszone, jakby walczyły w nich o pierwszeństwo wrodzona arogancja z wrodzoną nieśmiałością. Kobieta nie przywitała się z Liz. Najwyraźniej stało się to ich zwyczajem, mogły się potem na ten temat przekomarzać czy wzajemnie komplementować.

- To jest Izabela - przedstawiła Liz. - Często ci o niej mówiłam.

- Interesuje się pani końmi? - zapytała Eryka.

- Nigdy o nich nie myślałam. Są piękne. - Postanowiłam raczej wyolbrzymiać swoją „miejskość” niż udawać specjalistkę od wsi.

- A więc nie umie pani jeździć? - Eryka od razu przeszła do sedna sprawy.

- Nie.

Dostrzegłam wyraźnie, że w jasnych oczach odmalowała się ulga.

- Daj jej szansę.

Eryka w milczeniu poprowadziła mnie i Liz dokoła padoku. Przeszła przez ogrodzenie i gwizdnęła; obydwaj konie podeszły do niej ze źle ukrywaną niecierpliwością.

- To jest Sundance - powiedziała, kiedy jeden z koni potrząsnął łbem. Miał olbrzymie i czyste oko, ciemnego koloru, idealny organ widzenia. Ze względu na rozmiary i przejrzystość oko to wydawało się zdolne wchłonąć cały fenomen świata ze spokojnym magnetyzmem.

- Jak się ma Punch? - spytała Eryka.

- Świetnie. Wydaje się rosnać.

- Sundance jest siostrą Punch - wyjaśniła mi Eryka - a ich ojciec jest też ojcem żrebaka Punch.

- Strasznie zboczone te wszystkie konie - powiedziała Liz obejmując Erykę.

Eryka rozejrzała się dokoła. - Gdzie są dzieci?

- W szopie - wyjaśniła Liz. Eryka się rozluźniła.

- Ona znacznie bardziej ode mnie martwi się o zepsucie moich dzieci. Ja oczywiście uważam, że ich nie można zepsuć. Wychowałam je tak, żeby nie pobrudziły się dotykając smoły.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała Eryka.

- To była ironia, kochanie.

- Z tobą nigdy nie mam pewności, co jest ironią.

- Dlaczego nie poczęstujesz nas herbatą? - zapytała Liz.

- Rodzice wyjechali - wyjaśniła Eryka. - A ja jestem z natury niegrzeczna - dodała, jakby ta uwaga miała jakikolwiek związek z poprzednią.

Kuchnia była olbrzymia i otwarta, ciemne belki stropowe i ściany w kolorze beżowym. Całą jedną ścianę wypełniało okno. Dolina zdawała się rozpościerać wprost z kuchni.

- To cudowne pomieszczenie - powiedziałam ciągle czując się nieswojo.

- Przychodzę tu tylko na posiłki - wyjaśniła Eryka.

Zastanawiałam się, czy to miał być żart, zdecydowałam jednak, że lepiej się nie śmiać.

Eryka nastawiła wodę.

- Mam bananowe ciasto. Liz mówiła, że pani lubi ciasto bananowe.

Wzruszyła mnie niezręczna gospodarność Eryki. Najwyraźniej bardzo chciała zrobić mi przyjemność, więc chciałam okazać, że jest mi przyjemnie.

- Boże, często po lekcjach zjadałyśmy z Liz całe takie ciasto na jedno posiedzenie. Aż dziw, że nam nigdy nie zaszkodziło. Erykę najwyraźniej zainteresował obraz Liz jako niezbyt idealnej nastolatki, mówiłam więc dalej. - W ostatniej klasie moda była na kanapki z sałatką z kartofli. Czy uwierzy pani, że ludzkie istoty mogą jeść coś takiego?

Eryka roześmiała się, zauważyłam, że żarliwość stanowiła jeden z jej uroków.

- Nie najlepiej robię herbatę - powiedziała - zawsze pełno w niej fusów.

- Możemy więc zawołać Cyganekę, żeby nam powróżyła - zaproponowała Liz.

- Jezus, nie mogę sobie wyobrazić nic gorszego niż poznanie własnej przyszłości - wykrzyknęła Eryka.

- Ani ja - potwierdziłam.

Wypiłyśmy herbatę prowadząc łatwą niezobowiązującą rozmowę. Staralam się wyrazić wzrokiem i poruszeniami ciała „lubię cię, proszę, zauważ, że cię lubię”. Naszą cywilizowaną swobodę przerwał nagły płacz dziecka. Liz zerwała się i wyskoczyła za próg, zanim zdążyło do mnie dojść, że to płacze Sonia.

Eryka wstała i zniosła filiżanki do zlewu.

- Zawsze się coś takiego zdarza - powiedziała pochylając się nad czajnikiem.

Zauważyłam, że płacze.

- Ale dzieci muszą być najważniejsze - powiedziałam. Eryka skinęła głową.

- To musi być bardzo trudne. Wiem, że dla mnie byłoby trudne.

Eryka przestała płakać i wyprostowała się gwałtownie. Ze zdumieniem zauważyłam, że wcale się nie wstydziła swoich łez, wcale też nie żałowała, że się rozbeczała.

- Jeśli pani smakuje to ciasto, dam pani kawałek do domu - powiedziała.

Pełne napięcia milczenie dziewczyny sprawiało, że łatwo było ją zranić, podobnie jak w przypadku mego ojca działał tu nacisk tych wszystkich słów, których nie można było wypowiedzieć.

- Chętnie - zgodziłam się. - Bardzo jest pani uprzejma.

- Tak właśnie mówi o pani Liz. Że jest pani bardzo uprzejma.

- Tylko dlatego, że ostatnio nieczęsto mnie widywała.

- Ale teraz będziemy panią widywać częściej, prawda? Uścisnęłam Erykę i zaszokowała mnie twarda jędrność jej ciała.

- Tak - powiedziałam. - Mam nadzieję.

Weszła Liz z Alekssem, który wyglądał tak, jakby właśnie zdarzyło się to najgorsze, czego się spodziewał.

- Sonia rozcięła sobie kolano - powiedziała Liz. - Będę musiała zabrać ją do domu.

Eryka skinęła głową. - Daję wam resztę ciasta.

Liz najwyraźniej myślała o dziecku w samochodzie. - Dobrze, zobaczymy się w poniedziałek - powiedziała z roztargnieniem, które musiało sprawić Eryce dużą przykrość.

Kiedy odjeżdżaliśmy, Eryka stała w progu. Widziałam, jak oparła się o framugę czekając aż wyjedziemy na drogę.

Na tylnym siedzeniu Sonia reagowała nerwowo na troskliwe zabiegi Aleksa.

- Aleksander, zostaw ją w spokoju. Wiem, że to trudne, ale ona tak chce - powiedziała Liz. Odwróciła się do mnie. - No i co?

- Podoba mi się. Jest bardzo młoda.

- Nie tak bardzo. Nie myśl o nas jak o dziewiętnastolatkach. Ona jest zupełnie inna.

Przypomniałam sobie, kiedy miałam dziewiętnaście lat, wtedy właśnie ojciec miał pierwszy wylew. Jakby sobie z tym poradziła Eryka? Czy naprawdę jest tak inna niż ja byłam wtedy? Różnica między Eryką a mną sprawiała, że teraz czas, który upłynął, wydawał mi się gigantycznie długi. Znów miałam to uczucie, które pojawiło się na pogrzebie ojca, że patrzę na własne życie z wysokości.

Liz zabrała Sonię do łazienki i zabandażowała jej kolano. Potem dzieci zasiadły przed telewizorem i wpatrywały się z tak niekwestionowanym zachwytem, o jaki nie posądzałabym nigdy dzieci Liz.

Liz wyciągnęła produkty z lodówki.

- Nie chcę, żebyś mnie sobie wyobrażała jako kogoś w rodzaju siostry George. To ona mnie uwiodła.

- W jaki sposób?

- Bardzo prosty. Pocałowała mnie w usta. A ja oszalałam. Nigdy mi się to przedtem nie zdarzyło.

- Ale nie miałaś nikogo prócz Johna.

- Nigdy nikogo nie chciałam. Ale jej pragnę, Izabelo. Boże, miłość wśród róż.

- Podobałaś jej się - kontynuowała Liz. - To się rzadko zdarza. Jesteś jedyną z moich przyjaciółek, którą lubi Eryka. A to chyba czyni cię niezbędną.

- Jeśli mam czegoś dosyć, to właśnie tego - powiedziałam ciesząc się jednak z komplementu. Któż nie chciałby usłyszeć, że jest niezbędny, pomyślałam.

- To pokrój marchewkę. I zrób sobie drinka.

- Czy John przyjdzie na kolację?

- O tak. Zaszczyci nasz stół.

- Czy wie o Eryce?

- Oczywiście. Nie ukrywałabym tego. To jest właśnie trudne. Nie chciałam więc tego unikać.

- Jak reaguje?

- Sam jej pragnie i nie potrafi trzymać się z daleka ode mnie. Tak naprawdę, to chciałby mieć w łóżku nas obodwie na raz. I pewno jeszcze Marlenę.

- I to jest małżeństwo, które połowa matek z Queens stawiała córkom za przykład!

Usłyszałam samochód na podjeździe. Wiedziałam, że z przybyciem Johna wszystko się zmieni: wygląd kuchni, pozycja ciał, dzieci, Liz. John był blondynem, reszta rodziny miała włosy ciemne, był też większy i wyższy niż ktokolwiek z nas. Jego rozmiary i koloryt odbierałam jako nieprzyjemny zgrzyt. Zaczęłam się obawiać jego przybycia.

John wkroczył ubrany w tenisowe biele, nogi miał opalone na łososiowy róż, świeciły na nich czerwone włoski. Na przegubie ręki miał obco wyglądającą elastyczną bransoletkę, na szyi przewieszony ręcznik. Wszedł do kuchni tak, jakby się spodziewał, że ktoś mu zrobi zdjęcie. Usiadłam prosto i uśmiechnęłam się uśmiechem z gruntu fałszywym, choć skutecznie przymilnym. Nie wstałam z krzesła.

- Izabelo - powiedział John - jak cudownie, że, cię widzę.

Pochylił się, żeby mnie uścisnąć, owiał mnie zapach luksusowego mydła. Wyobraziłam je sobie w kartonowym pudełeczku, jasnobrązowe, w kształcie języka z przyczepionym na końcu sznurkiem. Nie widzieliśmy się z Johnem osiem lat.

- Boże, wy kobiety nigdy się nie zmieniacie. Obydwie z Liz wyglądacie tak, jakbyście dopiero opuściły Anastasia Hall.

- To dlatego, że w Anastasia Hall wyglądałyśmy na czterdziestkę. W tych mundurkach - wtrąciła Liz.

John podszedł do żony i objął ją.

- A co powiedzieć o niej - rzekł klepiąc Liz w tyłek. - Figura szesnastolatki, chociaż już dwa razy ją zapłodniłem.

- John zawsze się tak przyjemnie wyraża - powiedziała Liz nie przestając kroić wołowiny na paseczki.

John wyjął z lodówki piwo i usiadł koło mnie. Wziął mnie za rękę. Po raz pierwszy od lat dotykał mnie świadomie mężczyzna poniżej sześćdziesiątki. Zasmuciła mnie przyjemność, jaką mi to sprawiło.

- Izabelo, Izabelo, masz przed sobą całe życie. Wielka czysta tablica, którą możesz całą zapisać cholernie wielkimi literami. Boże, jak ci zazdroścę!

Dalej trzymał moją rękę, teraz zaczął się nią bawić. Mimo całej niechęci do Johna nie wycofałam ręki. Przyciągał mnie zapach luksusowego mydła i ciepło, które jego ciało zdawało się emitować. Powietrze rozjaśniło się od seksualnego ładunku. Wyobrażałam sobie srebrnoniebieskie ładunki dodatnie wyskakujące z głowy Johna i czerwone ujemne z mojej. O mało nie roześmiałam się głośno wyobrażając sobie nas na stronie komiksu, ale nawet to moje rozbawienie nie zneutralizowało siły przyciągania seksualnego. Liz w kącie kuchni nie przestawała kroić i siekać. Czy ten ładunek dosięgnął i ją, tam przy piecu? Czy scena odgrywana przez męża jest dla niej odpychająca, czy też tylko nudna przez to, że tak łatwa do przewidzenia?

- John, nie podejrzewałam, że możesz komukolwiek zazdrościć - powiedziałam czując, że jeśli nie przerwie się tej ciszy, to naładowana seksem atmosfera stanie się wprost namacalna.

- Odpukać - powiedział John. - W polityce można w każdym momencie wylądować zadkiem na ziemi.

- Jeżeli sytuacja zrobi się poważna, zawsze jeszcze możesz nakręcić film z Johnem Lindsayem - powiedziała Liz.

John wstał i zaczął łaskotać jej szyję.

- Chciałabyś, żebym cię zabrał do Hollywood, prawda dziecinko? Chciałabyś, żebym zrobił z ciebie gwiazdę?

Liz przestawiała garnki, jakby była w kuchni sama.

- Chciałabym, żebyś się teraz przebrał do kolacji - powiedziała.

- Wtedy będziesz mógł spędzić trochę czasu z dziećmi.

John głośno klepnął ją w tyłek.

- Gdzie one są? Gdzie są te małe śmierdziele? - zawołał trzaskając drzwiami do ogrodu.

Alex i Sonia przybiegli na jego wołanie i zaczęli na niego wskakiwać. Zaniósł Sonię do dużego pokoju ciągnąc za sobą Aleksa, który uwiesił się u jego nogi. Położył się na podłodze i bawił się ze swoimi dziećmi. John Ryan. Na podłodze z dziećmi. John zwulgaryzował ideę, która zawsze była mi bliska, i za to odczuwałam do niego niechęć, podobnie jak za jego zmysłowość i sukcesy wśród ludzi. Dziwiło mnie, że dzieci wydawały się szczerze ucieszone obecnością ojca. Myślałam, że potrafią go rozszyfrować. Ale jednak był ich ojcem. Patrząc na wystający tyłek Johna, który czołgał się po podłodze ze swoimi dziećmi, pomyślałam, że mój ojciec nie miał z czymś takim nic wspólnego. Zastanawiałam się, co pomyśli Sonia o swoim ojcu, kiedy dorośnie. Czy potrafi zachować tę miłość nie zwracając uwagi na jego zwierzęcy wigor?

- To jest chodzący penis, obdarzony świadomością społeczną - powiedziała Liz patrząc w kierunku męża - ale dzieci go uwielbiają. Powinien spędzać z nimi więcej czasu - kiedy to mówiła, po raz pierwszy dostrzegłam trójkątne linie na twarzy Liz, w miejscu gdzie zaczynały się brwi.

- Czy mogłabym coś zrobić? - zapytałam podchodząc do kuchenki.

- Owszem, mogłabyś mi pomóc znaleźć sens mojego życia. Możesz mi pomóc je zrozumieć.

- Nie jestem Sybillą, Liz, nie rozumiem nawet własnego życia.

- Ja twojego także nie rozumiem. Boże Przenajświętszy! Rozśmieszył mnie ten wykrzyknik z lat pięćdziesiątych.

- Luksusem w życiu Johna jest fakt, że nigdy nie usiłuje niczego zrozumieć. Dlatego działa tak skutecznie.

- Cóż my takiego mamy, czego jemu brakuje?

- Wyrafinowany sposób percepcji przypominający heroiczne kuplety - wyjaśniła Liz. - Niewielka to pociecha.

- Chciałabyś być taka jak John?

- Wolalabym być Aleksandrem Pope'em.

- On był wyjątkowo małego wzrostu.

- Tak, ale podobno świetnie tańczył.

Talerze u Liz były ciężkie, w kolorze niebiesko-czarnym. Sztuce miały ciemne drewniane trzonki. Stół stwarzał wrażenie powagi i solidności. John zasiadł u szczytu jak obcy przybysz.

Rozejrzałam się po wszystkich twarzach, stanowili rodzinę, komórkę. Liz kroїła dzieciom mięso, John żartował z synem i śmiał się z nowych zagadek Aleksa. Wyślizgnęłam się z tego kręgu. Wstrząsnął mną dreszcz, jakbym nagle weszła ze światła księżyca w ciemną kopę drzew. Poczułam się oddalona, oddalona od Liz i jej rodziny, od jedzenia, które ktoś inny wydawał się jeść, oddalona od siebie; poczułam wyraźnie, jak łatwo świat toczyłby się dalej beze mnie. Nigdy nie odczuwałam tego przy ojcu, jeszcze zanim zachorował, jego życie beze mnie wydawało się niemożliwe. Pomyślałam o Margaret zasiadającej na końcu tyłu stołów, nerwowo skubiącej jedzenie, krojącej mięso na maleńkie kawałki, żeby starczyło na dłużej, żeby tylko nie musiała wstać od stołu.

- Lizzie, jesteś geniuszem - powiedział John. Jego dojrzały, dobroduszny głos przywołał mnie z powrotem do rzeczywistości.

- Jeszcze? - zapytała Liz. Światło świec nadawało miękkości jej pytaniu. - Przyniosę deser - powiedziała, kiedy wydawało się, że wszyscy skończyli jeść.

- Teraz - zaczął John odchylając się do tyłu, jakby nic niedobrego nie tylko nigdy się nie zdarzyło, ale nawet nie mogło się zdarzyć komukolwiek, kto był z nim związany - mam dla was sensację wieczoru. Tata załatwił mamie pracę.

- Co takiego? - wykrzyknęła Liz po raz pierwszy patrząc na niego z prawdziwą uwagą.

- Wiesz o tym projekcie, który zainicjowałem? Opieka nad ludźmi starymi w domach prywatnych. Potrzebny jest teraz szczegółowy raport na ten temat. Zaangażowałem cię na szefa zespołu.

Liz obrzuciła męża bystrym spojrzeniem.

- Myślę, że powinienes dać tę pracę Izabeli - powiedziała.

- Co takiego? - wykrzyknęliśmy oboje z Johnem równocześnie.

- Na Boga, Liz! Przez dwa lata wykrzykiwałaś, że okropnie chcesz pracować, ja wychodzę z siebie, żeby ci coś znaleźć, a ty oddajesz to komuś obcemu. To typowe, ty przewrotna suko - powiedział waląc kieliszkiem w stół. Rozlało się trochę wina.

Liz wytarła wino swoją serwetką. Ja pragnęłam jedynie znaleźć się jak najdalej. Miałam wrażenie, że to się zdarzyło komuś innemu. Ja nie biorę udziału w podobnych dramatach.

Głos Liz brzmiał nienaturalnie spokojnie.

- Po pierwsze, Izabela nie jest kimś obcym, to moja najdawniejsza przyjaciółka. Po drugie, Bóg jeden wie, jakie ma doświadczenie w opiece domowej nad ludźmi starymi i chorymi. Po trzecie, dziwnie by wyglądało, gdyby raport na temat twojego projektu napisała twoja żona. Myślisz, że to by się podobało w Albany?

Ostatni argument przemówił do Johna, rozluźnił się wyraźnie.

- Ale Izabela nie ma dyplomu - powiedział.

- Nie miała go też Judy Michaels, kiedy pisała dla ciebie raport o matkach utrzymujących się z zapomogi.

- To co innego - oświadczył.

- Tak, bo z Izabelą nie sypiasz.

Zdziwiło mnie, że John nie odpowiedział; jego milczenie wisiało nad nami jak płachta namiotu. Spojrzałam na dzieci, przenosiły wzrok z matki na ojca bardzo zaabsorbowane, ale - co było dla mnie niespodzianką - bynajmniej nie okazujące niepokoju.

John przetarł oczy prawą dłonią.

- Zawsze oddajesz wszystko, co dostajesz ode mnie - powiedział.

- Nie bądź sentymentalny - odparowała Liz z cudownym podtekstem niesprawiedliwości, co obudziło uwagę jej męża.

- Więc jesteś pewna, że nie chcesz tej pracy?

- Klacz będzie miała źrebaka.

John wziął moją rękę i przytrzymał nad swoją głową niby rękę zwycięskiego boksera.

- Izabelo, załatwiłaś sobie pracę.

- Nikt nie zapytał, czy ona chce - powiedziała Liz. - Rozmawialiśmy tak, jakby jej przy tym nie było.

- Czy chcesz tę pracę? - zapytał John zapalając papierosa. Zrozumiałam, że muszę podjąć błyskawiczną decyzję.

- Tak - powiedziałam po raz pierwszy patrząc Johnowi w oczy.

- No, to jest twoja - odpowiedział.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu - potwierdził.

- Mój mąż - ton głosu Liz był zupełnie bezbarwny - jest człowiekiem bardzo wpływowym.

V

Przez resztę wieczoru nie miałam wątpliwości, że John zmieni zdanie. Na pewno wejdzie do pokoju i powie, że dał mi tę pracę ze złości, na przekór żonie i jej niebywalej niewdzięczności. Dałoby się to bez trudu zrozumieć, był wszak przyzwyczajony przede wszystkim do wdzięczności; jego praca i kierunek publicznej działalności wywodziły się właśnie z tego pragnienia, by ludzie okazywali mu wdzięczność. Kara byłaby zresztą odpowiednia; skoro Liz odmówiła, dał tę pracę pierwszej lepszej osobie, zmniejszając w ten sposób wagę i samej posady, i odmowy, deprecjonując i Liz, i jej umiejętności. W ten właśnie sposób mężczyzna odrzucony przez piękną i inteligentną kobietę gotów jest poślubić brzydką i głupią, jak gdyby utrata wybranki odbierała sens samej idei wyboru.

„Najwyżej sześć miesięcy”, powiedział John. Czy więc głupotą będzie porzucić wszystko, wyprowadzić się z domu, w którym się urodziłam, dla pracy, której koniec był tak oczywisty? Pomyślałam o kępce chryzantem w kącie ogrodu i o forsycji, która zakwitła w końcu marca. Interesowałam się nimi nie dlatego, że interesowały mnie kwiaty, ale dlatego, że zawsze całkiem spontanicznie rosły w pobliżu domu, że można było spodziewać się ich każdego roku. Spontaniczne piękno, nie wymagające żadnego wysiłku. Gdybym sama je posadziła, przestałyby mnie interesować. Przyszło mi do głowy, że kiedy zakwitną chryzantemy, mogę już tam nie mieszkać. Nie byłam pewna, czy cieszy mnie to, że już ich nie zobaczę, wiedziałam jednak, że się wyprowadzę. Niewykorzystanie tej szansy byłoby niewdzięcznością nie tyle wobec Johna, który naprawdę nic mnie nie obchodził, ile wobec samej szansy, wobec której wykroczenia były oczywiste i podlegające karze.

John podszedł do mnie przy stole. Wziął mnie za rękę i zaczął ją ścisnąć w sposób niezwykle niepokojący; nie miałam już wątpliwości, że robił to celowo.

- Będziesz musiała iść na rozmowę, skarbie. Ale to tylko formalność. Ja jestem kapitanem drużyny i ja mówię, że do niej należysz.

- Wszyscy w biurze noszą futbolowe kaski - wyjaśniła Liz.

- Prócz sekretarek. One noszą specjalne spódniczki. To wszystko jest takie zabawne. Nie chodzi o zwycięstwo czy przegraną, ważne jest, jak się prowadzi grę.

Chciałam się roześmiać, ale John ścisnął mi rękę z wyraźną pogroźką, w sposób, który tak oczywiście odnosił się do mojej przyszłości, że odwróciłam się plecami do Liz. Udając że chcę zapalić papierosa uwolniłam rękę. John poklepał mnie po kolanie.

- Idę do biura - powiedział. - Muszę mieć na wtorek to sprawozdanie dla władz ustawodawczych hrabstwa.

- Przecież już dziewięta - wtrąciłam.

- Dziecinko, kiedy masz do czynienia z ludźmi, zegarek nie ma znaczenia - powiedział John wychodząc.

- Czy on naprawdę zamierza pracować? - spytałam Liz.

- Tak. Pracuje bardzo ciężko. Muszę mu to oddać. I jest po właściwej stronie: wolność jednostki, sprawiedliwość dla ubogich i tak dalej. Naprawdę robi tu dużo dobrego.

- Ale?

- Bez ale. Dla niego to bardzo proste. Spodziewa się, że Robert Redford zagra w historii jego życia.

Ton głosu Liz był obojętny, w miejsce intymnej zażyłości odgrywała komedię zwykłą dla wychowanki katolickiej szkoły. Ta zabawna sztuczka potrafi skutecznie odsunąć propozycje seksualne, deklaracje miłości czy nienawiści, rozmowę o śmierci, strach przed starością.

- Liz, czy zależało ci na tej pracy?

- Tak. I co z tego?

- Więc dlaczego mi ją oddałaś?

- Bo chciałam. Bo kobyła będzie miała źrebaka.

Ścisnęło mnie w gardle, wyrażenie wdzięczności komuś takiemu jak Liz było rzeczą niemożliwą. Chciałam powiedzieć: „dajesz mi życie, zawsze cię kochałam”. Jaka jednak istniała na to odpowiedź? Uścisk, który byłby niezręczny dla nas obu, i który trudno byłoby przerwać. I co zrobiłybyśmy wtedy z naszymi twarzami, jaką pozycję przybrałyby nasze ciała? W jaki sposób ludzie, którzy nie są kochankami, odrywają się od siebie, jak się zachowują potem, by móc bez skrępowania wyrazić wzajemny szacunek i przywiązanie? Może dałoby się to zrobić, ale nie z Liz, która siedziała na ladzie jak Annie Oakley.

- Pewnie zamieszkać w Ringkill - powiedziałam.

- Możesz mieszkać tutaj.

- Nie. Dziękuję, ale nie.

- Byłoby cudownie. Stałabyś się ciocią dla dzieci, siostrą mnie, powiernicą Johna w czasie jego nielicznych godzin domowych. Zupełnie jak w powieści Jane Austen.

- Właśnie żeby tego uniknąć w powieściach Jane Austen wszyscy się pobierają, ty wariatko!

- Chcesz wyjść za mąż?

- Chcę mieć parę cudownych butów na wysokich obcasach i szminkę, żebym mogła stukać obcasami po chodniku i malować usta jak Rosalind Russell. I chcę mieć maleńkie mieszkanko i chcę, żeby ludzie mówili o mnie „kawalerka”.

- Myślę, że teraz używa się określenia „kobieta niezależna”.

- I to się nazywa postęp!

- To jest ważne - powiedziała Liz gwałtownie zmieniając temat. - Ten pomysł Johna. To naprawdę może wiele zmienić w życiu starych ludzi, wyciągnąć ich z tych koszmarnych domów starców do normalnej rodziny. Niesłychanie ciekawe.

- A co z ludźmi, którzy mają się nimi opiekować?

- To właśnie będziesz musiała zbadać.

- Znaczący, że będę musiała chodzić do domów, rozglądać się i zadawać pytania.

- Dlaczego nie przebierzesz się za zakonnice? One zawsze robią takie rzeczy i wszyscy uważają, że to wspaniale.

- Jestem trochę przerażona.

- To może ludziom pomóc. Możesz zrobić wiele dobrego.

Jakie to zabawne, pomyślałam, że mimo wszystkich nieporozumień między nimi, ona ciągle wierzy w jego pracę jak dobra żona. Uderzyła mnie autentyczna lojalność, która stanowi instynktowny przywilej każdego małżeństwa, nawet nieudanego.

Pomyślałam o słowach Liz: „To może ludziom pomóc. Możesz zrobić wiele dobrego”. Życie wydawało mi się nie kończącym się, męczącym cyklem: nieszczęśliwi wspomagani przez szczęśliwych, którzy pewnego dnia sami staną się nieszczęśliwymi, chyba że umrą młodo. Ciało jednych wykorzystują swoją siłę, by podtrzymać ciała innych. I nikt nie pyta: „podtrzymać? po co?” Miłość? Miłość do innych ciał, które pewnego dnia utracą, by ustrzec się przed samotnością, by ustrzec się przed śmiercią? Istniały jednak wybory: życie - podtrzymanie ciała, podtrzymanie ciał innych ludzi - albo śmierć.

Jeśli wybiorę życie, to oczywiście najlepiej będzie robić coś, żeby zmniejszyć cierpienie. Wydawało mi się, że najbardziej chciałabym zostać anesteziologiem, widziałam siebie w białej masce i wdzięczny wzrok pacjenta, zanim zamknął oczy na długi, długi czas. Robiłam to przedtem dla ojca. Potrafiłam uśmierzyć jego ból. Mogłam go zapewnić, że nigdy nie zostanie sam. Pomyślałam, że znowu spróbuję to zrobić. Tylko że teraz pragnęłam też samotnych spacerów w letnie wieczory, dobrego jedzenia z winem, dotknięcia rąk, które wycisnęłoby łzy z moich oczu i napełniło śliną usta.

Jaki istniał związek pomiędzy tym wszystkim a zadawaniem pytań, chodzeniem do czyichś mieszkań? Plan Johna zakładał przydzielanie zasiłku ludziom, którzy zajmowali się starcami u siebie w domu bez względu na to, czy byli z nimi spokrewnieni. Był to dobry, humanitarny plan, raz jeszcze byłam zaskoczona, że John wpadł na coś takiego. Skąd się brała ta jego troskliwość? A może po prostu miał tylko dobre pomysły.

Siedziałam w kuchni Liz i zastanawiałam się, co powiedziałyby mój ojciec o programie Johna: straszne, powiedziałyby, jak można wpaść na pomysł płacenia za akt miłosierdzia! Ale wymogi miłosierdzia są niebywałe. Jeśli ktoś jest miłosierny, robi niezwykle rzeczy dla innych z miłości; spodziewa się od nich równie niezwykłych rzeczy i takiej samej miłości. Problem jednak polega na tym, że ludzie wprawdzie nie mają nic przeciwko temu, by kochać bliźnich w imię miłości Boga czy ludzkości, jednak sami nie chcą być kochani jedynie w imię ogólnej, powszechnej miłości. Stąd żółte sińce pod oczami Margaret, która czuła się oszukana.

Liz kładła dzieci do łóżek. Zeszły na dół w piżamach ozdobionych piłkami do baseballa i kwiatkami, włosy ich wydzielaly słodkawą, wilgotnawo-brudną woń. Uściskałam je wyczuwając pod palcami cieniutkie kosteczki dziecięcych kręgosłupów. Dzieci, pomyślałam, są równie kruche jak ptaki. Kiedy jednak spojrzałam na nie, opalone i śpiące, wydało mi się, że nie są wcale kruche, że łatwo się adaptują i są pełne siły.

- Cieszę się, że będziesz mieszkała blisko i pracowała dla naszego ojca. Jesienią pokażemy ci okolice. Liście są bardzo ładne - powiedziała Sonia, równie formalnie jak wiktoriańska pani domu.

- Ja też się cieszę - powiedziałam.

Rano w pociągu przyglądałam się matowej zieleni wzgórz i przejrzystej, odbijającej refleksy rzece. Co jakiś czas widać było domy i bieliznę suszącą się na sznurach - plamy intensywnego ludzkiego koloru. W następnym tygodniu przyjadę na rozmowę, sprzedam dom.

Pomyślałam o czekającym mnie spotkaniu z Johnem Delaneyem. Uzna mnie za szaloną, będzie radził nie sprzedawać. Będzie się upierał, nazwie mnie niewdzięczną, bowiem ceną jego przysług była konieczność przyznawania mu we wszystkim racji. Nawet zastanawianie się nad jego radą było niedopuszczalne, tak jakby Mojżesz dwukrotnie uderzał w skałę. Może zerwę stosunki z Johnem Delaneyem ograniczając się do corocznej kartki z życzeniami na Boże Narodzenie? A ksiądz Mulcahy? Co on powie? Z pewnością nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogę się wyprowadzić. Będzie za mną tęsknił, ale nigdy nie przyjedzie zobaczyć się ze mną. W życiu nie przejechał samochodem przez Manhattan, poruszał się jedynie w obrębie trzydziestomilowego obwodu. A czy Eleanor będzie niezadowolona ze związku Liz z całą sprawą? Nie, ja byłabym, ale nie Eleanor.

Uda się bez trudu połączyć wszystkie punkty, prostota tego zabiegu ukazała mi moje życie jako pustynny krajobraz, o takim samym mniej więcej stopniu atrakcyjności. Wypełnię je teraz ludźmi, pracą. Pomyślałam o zimowych ubraniach, które kupię.

Dochodziło południe i była niedziela, postanowiłam więc wstąpić do Eleanor. Zadzwoiłam do niej z kabiny telefonicznej na Grand Central Station. W sąsiedniej kabinie spała jakaś kobieta. Nogi miała dokładnie pobandażowane, była bardzo otyła i niemal łyśa. Wydzielala obrzydliwy smród, stanowiła upostaciowanie wszystkiego, czego bałam się najbardziej. Nie przeszłam jednak do innej kabiny. Chciałam się zmusić do wytrzymania tego sąsiedztwa. Gdybym w dalszym ciągu należała do Kościoła, określiłabym swoje postępowanie jako pokutę.

Nie ulegało wątpliwości, że wyrwałam Eleanor ze snu.

- Właśnie się zdrzemnęłam - powiedziała.

Wyobraziłam sobie zaspaną Eleanor w różowym szlafrocisku w sierpniowe niedzielne popołudnie. Róże i srebro, srebrzyste złoto.

- Przyjdź, bardzo proszę - powiedziała Eleanor. - To jedna z tych straszliwie pustych niedziel, kiedy biorę trzy albo cztery kąpiele.

- Mam wspaniałą niespodziankę. Dostałam pracę.

- Izabelo, to cudownie! Czy będziesz musiała wyjechać?

- Przyjdę i wszystko ci opowiem. - Kiedy odwieszałam słuchawkę, kobiety w sąsiedniej kabinie już nie było.

- Strasznie gorąco - stwierdziła Eleanor otwierając drzwi.

- Chcesz się wykąpać? Czy może to ja nabieram kąpielowej obsesji?

- Nie, to cudowny pomysł, całkiem jak z lat dwudziestych. Kąpiel po jeździe pociągiem.

Wykąpałam się i wytarłam w jeden z niebieskich luksusowych ręczników Eleanor. Czułam się chłodna i zrelaksowana, na pograniczu łagodnego rozleniwienia.

- Czy masz drugi szlafrok? Obrzydzenie mnie ogarnia na myśl o włożeniu moich rzeczy.

- Mam ten chiński. Będzie ci w nim wspaniale.

Podala mi czerwone kimono z pomarszczonego materiału ze złotymi brzegami rękawów. Było lekkie jak papier.

Opowiedziałam jej o pracy. W oczach Eleanor błysnęły łzy.

- Jestem naprawdę niemożliwa - powiedziała. - Wyobrażałam sobie, że zamieszkaż w pobliżu, będziemy się spotykać na lunchu, chodzić na koncerty i na spacer. Wybacz mi. Nie miałam prawa tak cię osadzać w moich marzeniach. Justyn zwykle mawiał, że kradnę jego życie, kiedy robiłam coś podobnego.

- Ale to cudowny pomysł - zawołałam niemal żalując swojej decyzji.

- Nie. Zaczęłybyśmy się kąpać bez ustanku i snuć się po domu w szlafrokach.

- Przez jeden dzień to nieszkodliwe. Zróbmy sobie dziś taki dzień. Nie ubierajmy się do wieczora, a potem pójdziemy gdzieś na kolację, żeby były stoliki na chodniku.

- Mam „Timesa” - powiedziała Eleanor. - I zrobię lemoniadę.

Poszła do kuchni i wróciła z tacą ciastek i karafką ze szlifowanego szkła pełną lemoniady. Cytryny opadły na dno karafki jak tłuste pływaczki.

- Liz ma kogoś - powiedziałam. - Kobietę.

- Och - jęknęła Eleanor tonem, który wskazywał, że byłoby lepiej, gdybym jej tego nie powiedziała. Sama też doszłam do podobnego wniosku; był to rodzaj informacji, który Liz uważałaby za zdradę. Będę musiała to zbagatelizować.

- John jest taki sam jak w Fordham. Przygnębiające jest tylko to, że osiąga wyniki - powiedziałam.

- Można się było tego spodziewać.

Zastanawiałam się, jak zdołam wytłumaczyć Eleanor swoją reakcję na Johna, swoją straszliwą niechęć do jego agresywnej zmysłowości, obrzydzenie z powodu afiszowania się nią, wstręt do jego natarczywej męskości, która zakłócała zdolność widzenia jak ciężarówka na pustej drodze. Równocześnie jednak, gdybym była uczciwa, musiałabym przyznać, że coś się we mnie poruszyło, że musnęło mnie wewnątrz jakieś skrzydło, że moja niechęć kierowała się nie tylko przeciwko jego fizyczności, jego sukcesom, koneksjom, ale także przeciw temu, że nie pozostałam na to obojętna. Nie mogłam tego wytłumaczyć Eleanor, która w swoim cieniutkim różowym szlafroku wyglądała jak Christina Rossetti. Przypomniało mi to jednak, że chciałam ją o coś zapytać.

- Eleanor, czy znasz dobrego ginekologa?

- O tak, dra Mintza. Jest wspaniały.

- Czy umówisz mnie z nim?

- Dlaczego?

- Bo nigdy nie byłam u ginekologa.

- Izabelo, powinnaś co roku robić badanie cytologiczne.

- Wiem - odpowiedziałam, zastanawiając się przy tym, o jaki środek antykoncepcyjny poproszę lekarza. Moja ignorancja w tym przedmiocie była niezmiernie. Do tego stopnia, że nie mogłam nawet zadawać pytań Eleanor. Ponadto przygotowania, jakie miałam na myśli, kłóciły się zasadniczo z subtelnymi wyobrażeniami Eleanor o seksie. Bez względu na to, co przeżyła, zawsze będzie bardziej niewinna ode mnie, wierzyła bowiem w niespodziankę, w przypadkowe spotkania, w szczęśliwe zakończenia. Myślę, że ponieważ była piękna, oczekiwała, że ocali ją coś we wszechświecie. I tak się, oczywiście, stanie; można oczekiwać nawet najbardziej ekstrawaganckich działań na widok takiej piękności w niebezpieczeństwie. Uważałam się za bardziej fizycznie zwyczajną, toteż sądziłam, że świat fizyczny wymaga mojej nieustannej uwagi. Zawsze chciałam być przygotowana na wszystko, nigdy nie lubiłam niespodzianek.

- Czy Liz jest szczęśliwa? I dzieci? - spytała Eleanor.

- Tak. Urządzili sobie jakieś dziwaczne życie, które im wszystkim odpowiada. Liz czyta historię XVIII wieku i buduje szopę.

- A ja biorę kąpiele i czytam „New York Timesa”. Przy Liz zawsze czułam się pozbawiona treści.

- Jesteś doskonałością - powiedziałam. Chciałam powiedzieć: „tobie mogę opowiedzieć o Liz, jej nigdy nie mogłam opowiedzieć o tobie, a to coś znaczy”. Nic jednak nie powiedziałam, bo nie wiedziałam, co to właściwie znaczyło.

- Może ja też powinnam poszukać nowej pracy - odezwała się Eleanor jakby to, co powiedziałam, nic dla niej nie znaczyło.

Jadłyśmy kolację w małej francuskiej restauracji, gdzie kilka stolików wystawiono na chodnik w niemal karykaturalnej formie składając tym hołd amerykańskim wyobrażeniom Paryża. Z powrotem szłyśmy przez chłodne ulice Upper East Side. Białe księżycowe światło latarni przeświecało przez liście drzew, których pnie chroniły ogrodzenia. Przed czym chroniły, pomyślałam. Przed zbłąkanymi psami czy przed natarczywymi rączkami dzieci? Ciepły koniec lata wprowadził mnie i Eleanor w nastrój przyjemnej melancholii. Przyszły tydzień może już przynieść zimne powiewy w powietrzu i pomyślimy, że wszystko się zaczyna; stare przyzwyczajenie z dzieciństwa, kiedy wrzesień oznaczał powrót do prawdziwego życia. Teraz jednak szłyśmy z poczuciem, że coś dobiega końca, z przeświadczeniem, że będziemy pamiętać ten bardzo powolny spacer w ostatnią niedzielę sierpniową.

- Może na starość kupimy wspólnie dom - powiedziałam.

- Tak - potwierdziła Eleanor - jeśli dalej będziemy samotne.

Kiedy weszłam do domu, unosił się w nim dawny zapach rzeczy i spraw nagromadzonych przez lata, ale nie wydawał mi się już niebezpieczny. Spojrzałam na kanapę w bawialni, wypłowiła tak, że miała kolor mięszu śliwki. Zastanawiałam się, czy będzie mi smutno się z nią rozstać. Wiem, że powinno mi być smutno.

Przypomniałam sobie obcasy moich butów wbijające się w trawę przy grobie ojca.

Jeżeli powiem księdzu Mulcahy, że John Ryan dał mi pracę, z mniejszym smutkiem zareaguje na mój wyjazd. Uważał Johna i Liz za małżeństwo doskonałe: sukcesy w sporcie i polityce, dzieci, piękne białe zęby i jędrne, zdrowe ciała. Nawet pozbawione rewerencji zachowanie Liz było częścią tego uroku, zgodnie ze starą irlandzką tradycją był to piorunochron kierujący energią zwątpienia na bezpieczny grunt. Jeżeli podkreślę rolę Johna w całej sprawie, ksiądz Mulcahy uzna, że będę pracować wśród swoich. A to było ważne, zaklęty krąg powodzenia i dobrodziejstwa nie zostanie przerwany przez obcych. Mimo to następnego ranka kiedy odwiedziłam księdza, zaskoczył mnie i zaniepokoił wyraz jego oczu, w których malowało się

poczucie straty (dlaczego oczy księdza Mulcahy wyrażały zawsze tylko pojedyncze uczucie? Ten brak komplikacji czynił wszystko znacznie trudniejszym).

- Czy to nie wyraźne działanie Ducha Świętego, że akurat kiedy tam pojechałaś, otworzyły się możliwości w biurze Johna?

- To tylko na sześć miesięcy.

- Więc nie sprzedaż domu?

Desperacja w jego głosie powstrzymała mnie od przyznania się do podjętej decyzji.

- Nie wiem - powiedziałam, choć do tego momentu byłam pewna, że sprzedam dom jak najszybciej.

- Zostaw wszystko w rękach Delaney.

- Chyba tak zrobię - powiedziałam nie chcąc podejmować dyskusji.

- To dobry człowiek. Pokazuje, że można służyć i Bogu, i mamonie.

- Ale nie równocześnie.

- Izabelo, nie wiem, skąd się u ciebie bierze ta żyłka krytyczna.

- Nie wie ksiądz? - zapytałam naśladowując irlandzki akcent.

- Pamięta ksiądz tego faceta o nazwisku Moore? Podobno miał dosyć cięty język.

Ksiądz Mulcahy uwielbiał się przekomarzać, co stanowiło jeszcze jeden dowód jego samotności.

- Będzie mi ciebie brakowało, mój kumplu - powiedział biorąc mnie za rękę.

- Mnie też - powiedziałam, choć naprawdę chciałam powiedzieć: „kocham cię, jesteś idealnie dobry. Nie ma nikogo takiego”. Doszły mnie jednak odgłosy odkurzacza w rękach starej pani Keeney, jakby chciała ochronić księdza Mulcahy przed moimi pochlebstwami.

- Nie wyjeżdżam do Chin.

- Niewielka różnica. Ile razy do roku Liz odwiedza matkę?

- Ale ona nie lubi swojej matki. Przecież ksiądz doskonale wie, że nigdy nie mogły się dogadać.

- Grace O'Brien to twarda kobieta. Nieustępliwa. A Liz też jest uparta.

- Będę księdza odwiedzać. Proszę się nie martwić.

- To co innego. Nie będzie cię tutaj.

- Co innego nie znaczy źle.

- W moim wieku znaczy.

- Nonsens. Przez ostatnie trzydzieści lat ksiądz jest w tym samym wieku. Nigdy się ksiądz nie zmienia.

- Wszystko się zmienia - powiedział ksiądz Mulcahy tonem refleksyjnym, tak różnym od jego zwykłych dobroduszných pomrukiwań, że aż wyprostowałam się na krześle.

- Popatrz na Kościół - powiedział. - Nie mogę się do tego przyzwyczaić.

- Ludziom się to chyba podoba.

- Starszym nie. Mają wrażenie, że ktoś się włamał do ich domu i wyniósł wszystkie meble. Sam też tak czuję.

Miałam ochotę powiedzieć, że się z nim zgadzam. Nie chciałam jednak podsycać jego żalu stwarzając wrażenie, że ma sojuszników także i w młodszej generacji.

- Bóg jest ciągle ten sam - powiedziałam.

- Tak. On się nie zmienia.

I to właśnie, pomyślałam, stanowi o Jego sile przyciągania.

Postanowiłam w drodze z plebanii wstąpić do Johna Delaney, jak gdyby aura duchownej opieki unosiła się jeszcze nade mną. Próbowałam naśladować karcące spojrzenie Liz, żeby ukrócić wylewność Johna.

- Chcę wystawić dom na sprzedaż - oświadczyłam. Delaney nawet nie drgnął.

- Kochanie, nie należy działać pochopnie.

- Nie działałam pochopnie. Dokładnie to przemyślałam.

- Nie znasz rynku. Zostaw to mnie. Jest tu w parafii małżeństwo irlandzkie, które właśnie przyjechało z ojczyzny. Możesz im wynająć.

- Nie chcę wynajmować. Chcę sprzedać. Jeśli pan nie wystawi domu na sprzedaż, znajdę innego adwokata.

Drżałam z gniewu i zadowolenia na myśl o własnej śmiałości. Delaney bynajmniej nie stracił cierpliwości. Podniósł swą olbrzymią masę do pozycji stojącej i górował nade mną jak ranny hipopotam.

- Nie wiem, co pomyślałby twój ojciec o podobnej niewdzięczności. Po wszystkim, co zrobiłem dla twojej rodziny. A ten człowiek jeszcze dobrze nie ostygł w grobie.

Wstałam z krzesła, żeby mniej więcej dorównać mu wzrostem.

- Gdyby ojciec chciał panu zostawić prawo dysponowania domem, panu by dom zapisał. Ale w obecnej sytuacji jest to wyłącznie moja sprawa. Przenoszę się do innego miasta. Chcę sprzedać dom. To wyjątkowo proste.

Patrzyłam na niego tak, jak byśmy toczyli pojedynek zapaśniczy. Zauważyłam, jak w poczuciu klęski jego oczy zmieniły kolor.

- W porządku, kochanie. Chciałem się upewnić, że wiesz, czego chcesz.

Oczywiście, że to załatwię.

Miałam mu za złe, że chciał kontrolować nawet moje zwycięstwo, co jednak nie przeszkadzało, że podjęłam narzucony przez niego ton.

- To jest bardzo duży dom na jedną osobę - powiedziałam.

- Wystawimy go na sprzedaż u MacDermotta. Znajdzie kupca bardzo szybko. I co ważniejsze, w odpowiednim kolorze.

- Sprzedałabym rodzinie murzyńskiej, gdyby chcieli kupić.

- Na szczęście, nie kupują u MacDermotta - powiedział Delaney robiąc jakieś notatki.

W żołądku poczułam nagły skurcz tchórzostwa. Nie chciałam przecież ostatecznie zrywać z Delaneyem. Przez całą noc nastawiałam się na to, żeby nie zwracać uwagi na jego uprzedzenia. W podobnej sytuacji, tyle że o odwrotnym zabarwieniu politycznym, ojciec na pewno by nie ustąpił. Nienawidziłam swojego braku pewności i autorytetu, zaniepokojenia tym, co ludzie o mnie myślą i jakie żywią uczucia.

Uświadomiłam sobie, jak obcy stał mi się nasz dom. Podłogę zalegały stosy książek, których ani ojciec, ani ja nie dotykaliśmy od piętnastu lat. Mniej więcej tyle samo czasu minęło, odkąd wszystkie półki zapełniły się podwójnymi rzędami książek. Ojciec nie myślał o takich sprawach jak instalowanie nowych półek, a moje możliwości to po prostu przerastało. Do kogo należy zadzwonić? Co powiedzieć? Próbowałam się pozbyć samych książek, ale zaczęłam kichać z powodu kurzu, który przylegał do moich dłoni, co doprowadzało mnie do wariacji; zaczynały mnie boleć mięśnie i dawałam spokój. Zresztą większość tych książek należała do ojca, wyrzuciłabym mu afront pozbywając się ich, kiedy on leżał w łóżku i mógł jedynie czytać.

Teraz jednak włożyłam szorty, zawiązałam włosy przepaską i wypełniłam cały dom kartonami ze sklepu monopolowego. Książki o literaturze postanowiłam zatrzymać dla siebie, religijne oddać księdzu Mulcahy, polityczne wysłać do lokalnego klubu konserwatystów, a pozostałe do szpitala weteranów. Oczy zachodziły mi łzami, ręce bolały tak, że miałam ochotę krzyczeć, nie przerywałam jednak swojego zajęcia. Po wypełnieniu kolejnego kartonu zanosłam go do sutereny.

Eleanor obiecała, że przyjedzie samochodem i pomoże. Była to jednak bardzo przygnębiająca praca, minęły dwa tygodnie, zanim stosy książek zaczęły się zmniejszać, a jeszcze nawet nie zbliżyłam się do półek. Zniknięcie stosów nie zmieniło wcale wyglądu pokoju, nie wydawał się ani większy, ani jaśniejszy. Ale kiedy wreszcie nie było książek na podłodze, mogłam pomyśleć o wypraniu dywanu. Dlaczego nie przyszło mi to do głowy wcześniej? Trzeba poszukać w książce telefonicznej pod: Dywany pranie. Tak się szczęśliwie złożyło, jeden z tych szczęśliwych zbiegów

okoliczności w życiu domowym, że człowiek, który prał dywany, mógł także wyczyścić sofę.

Wygląd domu nie uległ jednak zmianie. Przeniosłam się do kuchni. Wyjęłam szkła i kryształ, które należały do mojej matki, a których używaliśmy z ojcem tylko na Boże Narodzenie. W ostatnich latach zresztą w ogóle przestaliśmy ich używać. Kurz stał się do tego stopnia częścią ich bytu, że kiedy przejechałam palcem po powierzchni talerza czy kieliszka, palec nie zostawiał żadnych śladów, nie było widać jasnej smugi na szarym oceanie. Zamoczyłam naczynia w roztworze amoniaku tak mocnym, że aż rozbolała mnie głowa. Wypolerowałam szkło aż do błysku, ustawiłam połyskującą zastawę o delikatnym wzorze w różyczki w kredensie, który wyłożyłam żółtym papierem. Zastanawiałam się, czy nie jest idiotyzmem robienie tego wszystkiego tuż przed przeprowadzką. Coś jednak się zmieniło. Coś przełamalam, moja kuchnia wyglądała teraz jak kuchnie matek moich przyjaciółek. Ale dokonałam tego sama.

I nawet poradziłam sobie z książkami.

Eleanor załatwiła mi wizytę u swojego ginekologa. Przepraszała, że wypadło to w środę rano, jedyny dzień, kiedy nie mogła wyjść z pracy. Czy doznałam ulgi, że pójdę do lekarza sama? Nie od razu. Przede wszystkim poczułam się kompletnie do tego nie przygotowana. Z pewnością istniały jakieś określone procedury, znane każdej z moich rówieśnic, o których ja nie miałam najmniejszego pojęcia; coś tak oczywistego, że nawet byłoby mi trudno o to zapytać.

Nigdy nie byłam w gabinecie ginekologa. Nie byłam nigdy w gabinecie żadnego lekarza poza jednym, do którego chodziłam od dzieciństwa. W gabinecie dra MacCauleya obok jego dyplomu z Notre Dame wisiał obrazek przedstawiający Pana Jezusa z dziećmi. Uświadomiłam sobie, że miało to być moje pierwsze zetknięcie się z mężczyzną-profesjonalistą, który nie znał mnie od urodzenia.

Gabinet dra Mintza tak różnił się od gabinetu dra MacCauleya, że wydawało mi się niemożliwe, by mogli wykonywać choćby pokrewny zawód. Przede wszystkim asystentki. U dra MacCauleya funkcję tę pełniła, oczywiście, żona, którą zresztą poślubił pewnie głównie w tym celu. Pani MacCauley zwykle siedziała za biurkiem pisząc coś na maszynie, której wygląd sugerował, że mogła być używana jeszcze w czasach projektu Manhattan. Pani MacCauley wydawała się nakrochmalona, jej biały czepek wielkości kornetu szarytki miał agresywne czarne paski zdające się mówić: nie myślcie, że wam tu cokolwiek ujdzie płazem. Musiała emanować taką stanowczością, bo sam dr MacCauley był wyjątkowo nieokreślony.

Asystentki doktora Mintza miały puchate, rude fryzury i ubrane były w dresy. Na ścianach wisiały reprodukcje Picassa przedstawiające karmiące matki, a z głośnika płynęły kojące rytmiczne melodie, które bez wątplenia miały jakiś związek z

nowoczesnym pojmowaniem porodu. Wolałabym, żeby cały wystrój gabinetu nie był tak zdecydowanie ukierunkowany na macierzyństwo, w jakiś sposób czyniło to atmosferę równie bezpłciową jak w gabinecie doktora MacCauleya. Kiedy weszłam, ciężarne kobiety w poczekalni (były ich w sumie cztery, siedziały - najwyraźniej niewygodnie - na duńskich kanapach dra Mintza) spojrzały na mnie podejrzliwie. Czytałam w ich oczach: wiemy, po co tu przyszłaś. Wszystkie uważały, że są znacznie doroślejsze ode mnie, co nie było zbyt podnoszące na duchu. Usiadłam na jedynym twardym krześle, którym wszystkie wzgardziły, i starałam się wyglądać na osobę grzeszną i traktującą poród jako rzecz ohydną i nieistotną.

Jedna z energicznych asystentek podała mi formularz. Jestem pewna, że panika w moim wzroku upewniła ją, iż przyszłam tu z powodu choroby wenerycznej. Formularz zawierał mnóstwo pytań nie mających żadnego zastosowania do mnie, pytań najzupełniej prostych i uzasadnionych, typu: ile razy była pani w ciąży, jakie metody kontroli urodzin pani stosuje, jakie ma pani ubezpieczenie. Ubezpieczenie medyczne? Pomyślałam, że powinnam natychmiast wyjść. Nigdy nie zająć w ciąży, to jedna rzecz, ale nie używać żadnego sposobu kontroli urodzin i nie mieć medycznego ubezpieczenia to już zdradzało tej zupełnie obcej kobiecie ubranej w dres absolutną pustkę mojego życia i to w sposób, jakiego wolałabym uniknąć.

Jedna z asystentek zaprowadziła mnie do innego pomieszczenia. Spodziewałam się, że za drzwiami będzie kozetka i stolik z niebezpiecznie wyglądającymi instrumentami. Był to jednak jedyny pokój, jaki kiedykolwiek widziałam, który mogłabym z czystym sumieniem określić jako bawialnię. Znajdowała się w nim wytworna kanapka, coś, co wydawało się biureczkiem, a także krzeselka, na których nie miałam odwagi usiąść. Byłaby to doskonała sceneria do *Dumy i uprzedzenia*. Stałam przy drzwiach starając się przypomnieć sobie, po co tu przyszłam.

Nagle otworzyły się drzwi w przeciwległej ścianie i do pokoju wkroczył dr Mintz z witalnością i energią zupełnie nie pasującą do tego otoczenia. Wygląd dra MacCauleya sugerował niepewność i służalczość, doktor Mintz uosabiał rzeczowość i naukę. Będzie leczył, wyleczy i przyśle rachunek. Wskazał mi krzeselko najbliżej drzwi. Usiadł za stolikiem naprzeciwko i już czytał mój formularz.

- A więc, panno Moore, co możemy dla pani zrobić? - zapytał patrząc prosto na kłamrę mojego paska.

- Chodzi mi o jakiś środek antykoncepcyjny - powiedziałam uświadamiając sobie wyraźnie niezręczność tej wypowiedzi.

- Czego pani dotychczas używała?

- Niczego.

- Absolutnie niczego?

- Nie.

Nawet nie podniósł wzroku. Polubiłam go za to, że zachowywał się tak, jakby z podobną sytuacją stykał się na co dzień.

- Miała pani stosunek seksualny? - zapytał stawiając jakieś znaczki na moim formularzu. Nie miałam wątpliwości, że były one bez znaczenia, robił to jedynie, by na mnie nie spojrzeć.

- Bardzo dawno temu. Przed jedenastu laty - powiedziałam czując ku straszemu przerażeniu, że się rumienię.

- W porządku - powiedział dr Mintz nie przestając notować z szaloną energią.

- Co?

- Powiedziałem, że w porządku.

- O, dziękuję.

- Nie ma za co - odparł otwierając jakąś szufladę. - Ma pani trzy rzeczy do wyboru, panno Moore: kapturek, pigułkę i spiralę.

Wiedziałam o kapturku, czytałam Mary McCarthy. Widziałam w wyobraźni siebie na czworakach w poszukiwaniu tego przedmiotu po całej sypialni. Nie o to mi chodziło.

- Kapturek nie bardzo mi odpowiada - powiedziałam.

Wzruszył ramionami. Zasmuciło mnie, że nie bardzo go interesuje, jaką metodą się posłużyć. Spodziewałam się, że jest w którąś z nich szczególnie zaangażowany.

- Pigułka ma pewne działania uboczne, o których powinna pani wiedzieć. Może powodować zakrzepy krwi, depresję i tycie. Może wpłynąć na powiększenie piersi.

- A co ze spiralą? - wtrąciłam pospiesznie. Naprawdę na niczym nie zależało mi mniej niż na większym biuście.

Dr Mintz pchnął w moją stronę coś, co wyglądało jak prymitywny talizman, coś białego, plastikowego, w kształcie kraba.

- To się nazywa tarcza Dalkona. Okazuje się najbardziej skuteczną metodą u kobiet, które nigdy dotychczas nie były w ciąży.

- Jak to działa?

- Nie jesteśmy zupełnie pewni. Po zainstalowaniu w macicy osiąga skuteczność w 97%. Jest lepsze od wszystkiego prócz pigułki, która okazuje się skuteczna w 99%.

- Chyba wolałabym spróbować spirali - powiedziałam tak, jakbym wybierała kapelusz.

- Dobrze - oświadczył dr Mintz wpychając próbki z powrotem do szuflady. - Muszę panią uprzedzić, że zabieg bywa dość bolesny. Ale potem nie ma już żadnych dolegliwości.

- To brzmi zachęcająco.

- Proszę przejść tutaj - powiedział otwierając drzwi, za którymi znajdowało się pomieszczenie bardziej przypominające to, czego oczekiwałam. Poczulałam ogromną

ulgę, bo cały czas się obawiałam, że każe mi się położyć na tej obitej perkalem kanapce.

Wkroczyła najmniej energiczna z asystentek i stanęła przy mnie.

- Proszę się rozebrać i założyć ten szlafrok.

Podawała mi okrycie, które wydawało się zrobione z papierowych ręczników.

Wiedziałam, że rozleci się w momencie zetknięcia się z moją skórą. Jednak potulnie przebrałam się za kotarą. Szlafroczek ledwie zakrywał półdupki. Nigdy nie czułam się ubrana tak bardzo na niby.

- Proszę wejść na ten fotel - powiedziała asystentka. - I nogi włożyć w strzemiona. - Wskazała metalowe półkola na krańcach fotela. Komu przyszło do głowy nazwać je strzemionami?

Nigdy w życiu nie czułam się tak absolutnie wyeksponowana. Byłam rozłożona do tego stopnia, że mogłam sobie wyobrazić, jak ktoś wchodzi do mojego wnętrza. Poczulałam się jeszcze gorzej, kiedy asystentka wyszła; dopóki tu była, zajmowała przynajmniej część przestrzeni, stanowiła coś, co nie mogło zniknąć w moim wnętrzu.

- Doktor przyjdzie za chwilę. Proszę się położyć i rozluźnić.

Zastanawiałam się, jak ktokolwiek może się rozluźnić w takiej pozycji. Do fizycznej niewygody dochodził jeszcze niepokój na myśl o tym, że za chwilę ktoś będzie mnie dotykał tam, gdzie nie dotykał mnie nikt przez jedenaście lat. Przypomniałam sobie, że będzie to lekarz, człowiek nauki. Ale mimo wszystko mężczyzna. Czy byłoby lepiej znaleźć się w gabinecie kobiety ginekologa? Nie, zawsze czułam się bardziej bezbronna wobec kobiet, a obnażenie uczyniłoby sytuację jeszcze mniej przyjemną.

Doktor Mintz wszedł do gabinetu tak, jakby nigdy przedtem mnie nie widział. Włożył gumową rękawiczkę. Jedną. Zastanawiałam się, czy ta obnażona ręka ma jakieś specjalne znaczenie.

- Zrobimy najpierw miednicę - powiedział. Zauważyłam, że i on, i asystentki mają tendencję do nadużywania liczby mnogiej.

Leżałam na plecach zastanawiając się, czy powiedzieć mu, że jeszcze nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Wydawało się to jednak tak dziewczęcym wyznaniem, że nie mogłam się do niego zmusić. Zobaczyłam, że sięga po coś, co przypominało skomplikowany korkociąg. Czyżby zamierzał to we mnie wetknąć?. Owszem. Poczulałam, jak rozszerza się moja miednica. Przekręcił śrubę i poczułam nagły ból w miejscu tak głębokim i delikatnym, że trudno było uwierzyć, jak mogło zawsze istnieć w moim ciele bez mojej wiedzy. Nie było to miłe uczucie, nie należało do rzędu tych, które wywołują okrzyk, ale skłaniało do kaszlu, jakby nagle dostało się do pokoju jakieś niedobre powietrze.

- Teraz będzie trochę bolało, chociaż w pani przypadku mniej niż w innych.

Co chciał przez to powiedzieć? Poczułam się uprzywilejowana przez tę uwagę o mojej odrębności, bez względu na jej prawdziwość. Nie byłam jednak przygotowana na czekający mnie szok. Dr Mintz rozciągał moje kości, dokonywał najazdu na najgłębszy, najdelikatniejszy ośrodek mojego ciała. Jego oczy przypominały oczy astronauty, były kompletną abstrakcją.

Nigdy w życiu nie czułam takiego bólu, któremu w dodatku towarzyszyło przekonanie, że sama tego chciałam. Łzy napłynęły mi do oczu, co wydawało się fenomenem czysto fizycznym, którego nie mogłam w żaden sposób opanować. Leżałam nieruchomo, szlochając z niewytłumaczalnym spokojem. Asystentka klepała mnie po nodze, zastanawiałam się, czy przeszła szkolenie u weterynarza.

- Za chwilę będzie po wszystkim - powiedziała. - I już nie będzie pani musiała myśleć o niczym. A jak się ucieszy przyjaciel!

Mój przyjaciel. O kim myślałam, kiedy postanowiłam zrobić to wszystko? Jedyny mężczyzna, z którym się zetknęłam, to John Ryan.

Przypomniałam sobie jego różowe, spalone uda w kolorze łososia. Był ostatnim mężczyzną, którego dotyk chciałabym poznać. Jednak leżąc w tym fotelu, tak totalnie wyeksponowana i spokojnie szlochająca, nie mogłam sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek obudził we mnie coś poza ową straszliwą bolesnością, bolesnością rany, którą dr Mintz otworzył na stałe w moim wnętrzu kierując się moją źle sformułowaną prośbą.

- To już koniec, panno Moore - powiedział klepiąc mnie po nodze. Wiedziałałam teraz, gdzie asystentka nauczyła się tego gestu. - Proszę tu chwilę poleżeć. Damy pani jakieś środki przeciwbólowe.

Nie czułam się najlepiej, ale nie dorównywało to w żaden sposób mojemu pragnieniu, by wydostać się z tego pokoju. Popadłam w prawdziwą obsesję, by już się znaleźć we własnym domu. Wydawało mi się wyjątkowo w złym tonie cierpieć ból w obcym domu. Zaraz po wyjściu lekarza i asystentki zaczęłam się ubierać.

Kiedy pojawiłam się w zewnętrznym gabinecie, asystentka wydawała się zdziwiona.

- Nie chce pani chwilę odpocząć? - zapytała.

- Nie, czuję się doskonale - powiedziałam tak pogodnie jak tylko potrafiłam. Usiłowałam sprawiać wrażenie protestantki. Wychodząc pokiwałam przyjaźnie ręką. Na schodach poczułam, że jest mi niedobrze. Zwymiotowałam do maleńkiej popielniczki, która na szczęście była tuż przy windzie. Wybiegłam z budynku jak przestępca. Nerwowo przywołałam taksówkę. Kierowca wydawał się zdumiony, kiedy podałam adres w dzielnicy Queens.

- To będzie panią trochę kosztowało - powiedział z wahaniem uruchamiając silnik.

- W porządku - powiedziałam zamykając oczy. - Zamierzam sprzedać dom.

Zrobiłabym wszystko, byle tylko uniknąć metra. Kiedy dotarłam do domu, ostry ból przemienił się w dokuczliwe cierpienie. Było to w pewnym sensie pocieszające, czułam, że wydarzyło się coś istotnego, czułam się równocześnie przedsiębiorcza i bezpieczna, jakbym rozpoczynała podróż wyposażona w najdroższy i najlepszy ekwipunek.

Zanim pośrednik handlu nieruchomościami Gerry MacDermott zadzwonił, że przyprowadzi pierwszych klientów, byłam gotowa na ich przyjęcie. Dom wyglądał tak normalnie, jakby nie był dotychczas zamieszkiwany przez nas.

Państwo Murphy byli oboje bardzo niskiego wzrostu. Ona była pewno młodsza ode mnie. Na zgrabnych drobnych stopach miała sandały-klapki, spod białych pończoch przeświecały błyszczące i opalone nogi.

Państwo Murphy mieli dwoje dzieci. Pan Murphy pracował jako księgowy w firmie Sunoco. Chodził do szkoły St.Aloysius, znał mojego ojca. Nigdy nie bywał na jego wykładach, bo, jak powiedział, nie miał na to odpowiedniego umysłu. Profesor Moore, powiedział, wystraszał chłopaków takich jak ja.

- I pomyśleć, że będę mieszkał w domu profesora!

Pani Murphy podobał się ogród i to, że schodziło się do niego w dół. I zmyślne siedzenie przy oknie: wyobrażała sobie, jak siedzą na nim mała Cissy i mały Joe i czytają. Zapytałam, czy dom będzie dla nich wystarczająco duży. Byli przyzwyczajeni do mieszkania w bloku, wyjaśniła pani Murphy. Uważałam, że nie miało to żadnego związku z moim pytaniem. Ale usiłowałam przecież sprzedać dom. Mimo to nie chciałam zrobić nic, co zaćmiłoby blask absolutnie zasłużonego szczęścia rodziny Murphy.

- Dom nie jest szczególnie widny - powiedziałam. - To właściwie jego największa wada.

- Możemy wyciąć kilka starych klonów - oświadczyła pani Murphy.

A więc dlatego dom był taki ciemny, z powodu drzew. Mogłam przecież w każdej chwili je wyciąć. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ta ciemność płynie z naturalnych, łatwych do usunięcia przyczyn.

- Ale dzięki tym drzewom pewnie jest chłodno w lecie - powiedział pan Murphy.

Pomyślałam, że nie chciałabym, żeby wycinali te stare klony, jednak jeśli sprzedam im dom, nie będę miała do niego żadnych praw, wymknie się z moich rąk. Zaczęło mi się wydawać bardzo dziwne, że jeśli sprzedam ten dom, nigdy już tu nie wrócę. Nie można przyjść do czyjegoś domu i powiedzieć: „to był kiedyś mój dom”. Nie można zapukać do drzwi i powiedzieć z wyrzutem: „Co zrobiliście po moim

wyjeździe!" Nie, każdy pragnie myśleć, że dom od dawna należał do niego, udawać, że nigdy się nie wyprowadzi, że tu się urodził. Brutalne byłoby przypominanie ludziom o poprzednim właścicielu, o tym że nic nie trwa wiecznie, że przeprowadzamy się z domu do domu tracąc za każdym razem jakąś część własnego życia. Jeśli więc sprzedam im dom, pomyślałam, to koniec.

- Przyjemnie mieć taką dużą łazienkę. I taką solidną wannę - powiedziała pani Murphy.

Pomyślałam o tej wannie, o tym, jak w dzieciństwie kąpał mnie w niej ojciec, jak mył mi włosy, a potem zawijał w wielki zielony ręcznik. I jak później leżałam w wodzie odkrywając, że rosną mi piersi, włosy na nogach i w pachwinie. W tej wannie po raz pierwszy zobaczyłam krew menstruacyjną wydobywającą się spomiędzy moich nóg.

- W jakim wieku są dzieci państwa? - zapytałam.

- Czy są tu w sąsiedztwie jakieś dzieci? - spytał pan Murphy. Zmieszałam się. - Nie wiem - odpowiedziałam.

- Izabela, to znaczy panna Moore - pospieszył wtrącić Gerry MacDermott - była bardzo zaabsorbowana chorobą ojca.

Zaabsorbowana to bardzo dobre określenie, pomyślałam.

- Przykro mi - powiedziała pani Murphy, a jej oczy w tym momencie jakby zasły lekką mgłą, czego bez wątplenia nauczyła ją mama Irlandka.

- Wszystko się skończyło - powiedziałam. - Teraz zaczynam nowe życie.

Pan Murphy zachichotał nerwowo. Uświadomiłam sobie, że moja wypowiedź musiała zabrzmieć bardzo zimno.

Gerry MacDermott zadzwonił do mnie wieczorem i powiedział, że państwo Murphy są zainteresowani kupnem, gotowi zapłacić dwadzieścia siedem i pół tysiąca dolarów. I dodał:

- Ale nie sprzedawaj.

- Dlaczego?

- Myślę, że możesz dostać więcej. Trzymaj ich w odwodzie, na wszelki wypadek.

Nie chciałam jednak przechodzić przez to raz jeszcze, nie chciałam pokazywać domu obcym ludziom. Otwierać go i wydawać w ten sposób na pastwę.

- Chcę, żeby kupili. Jej się podobał ogród.

- W porządku, to twój pogrzeb, to znaczy, jak chcesz - powiedział nerwowo.

- Załatwmy to możliwie jak najszybciej. Proszę powiedzieć Delaneyowi, żeby wziął się do roboty.

Teraz, kiedy miałam się wyprowadzić, dom stał się drogi. Tu wprowadziła się moja matka jako dwudziestodwuletnia młoda żona, tu urodziła się jej córeczka. Przed tym domem zginęła, w tym domu ojciec dostał wylewu i leżał przez dwa lata przy

oknie wychodzącym na ogród. Tutaj jadalśmy posiłki, przeważnie w towarzystwie księży siedzących pogodnie wokół ciężkiego stołu w jadalni. To był porządny dom. Poczulałam wyrzuty z powodu dotychczasowej ślepoty, z powodu zaniedbywania domu i jego dużych przestrzeni. Wiedziałam, że pani Murphy go nie zaniedba, będą w nim dzieci. A ja porzucam to wszystko, pomyślałam siedząc na podłodze i szlochając. Płakałam nad swoim brakiem miłości do domu, który utrzymywał mnie od dzieciństwa.

Zastanawiałam się, dlaczego nie dbałam o ten dom, choć mogłam? W ciągu ostatniego miesiąca zrobiłam więcej niż w ciągu dziesięciu lat. Dlaczego tak bardzo go zaniedbałam?

Nie miałam wiele czasu, musiałam zaspokajać wymagania ciała ojca. Ale niejednokrotnie przerażała mnie rozciągłość czasu: budziłam się rano przestraszona, zastanawiając się, czym wypełnię te wszystkie godziny, zanim znów przyjdzie pora położyć się spać.

W jaki sposób spędzałam czas? Usiłowałam sobie przypomnieć. Pamiętałam zajęcia przy ojcu: mycie i golenie, lekarstwa, opatrunki. Robiłam pranie w suterenie, czasami w pogodny dzień zamierzałam powiesić je w ogrodzie, ale nigdy tego nie zrobiłam, ani razu, zawsze kładłam je do suszarki. Gotowałam, zmywałam naczynia, zawsze używałam tej samej niebieskiej emaliowanej miednicy. Przedmioty stanowiły pomoc dla abstrakcyjnej pamięci. Czytałam wszystkie te książki, chodziłam też do biblioteki St.Aloysius po książki dla ojca. Oglądałam filmy w telewizji. Odwiedzałam Eleanor i księdza Mulcahy. Jadłam, robiłam zakupy, pamiętam jak przemierzałam sklep Safewaya w rytmie walca płynącego z głośnika, co zawsze sprawiało mi przyjemność, choć wiedziałam, że nie powinno. Oszalał mi zawsze bogactwo, jakie roztaczało się przed moimi oczami: owoce i piękne jaskrawozielone i żółte warzywa, fioletowe lśniące oberżyny, z cudzoziemska wyglądające pudełka ciasteczek, czerwone platy mięsa oświetlone jak gwiazdy filmowe. No i spałam. Spałam przed południem, kiedy ojciec zasypiał, spałam po południu, a jeśli nie było wieczornego filmu, który chciałam zobaczyć, to czasami kładłam się do łóżka o dziesiątej wyczerpana przygotowaniami ojca do snu. Teraz, zaledwie miesiąc później, przerażało mnie to, jak ważny wydawał mi się sen i jedzenie. Byłam jak prymityw, jak dziecko z uszkodzonym mózgiem.

Mogłam przecież zadbać o dom. Mogłam nauczyć się języka obcego czy roboty na drutach. Mogłam prowadzić dziennik czy coś napisać. Przez wszystkie te lata byłam sługą ciał, ciała ojca i mojego, które rozbuchało się i zwiotczało z lenistwa i zaniedbania. Zawsze czułam się tak strasznie zmęczona.

Teraz oddam dom pani Murphy, która nigdy nie śpi, nie popada w zadumę, nie traci domów w jałowych marzeniach. Pani Murphy jest szybka, zamiast kości ma

druty, ma małe bystre oczka jak ptak. Będzie się troszczyła o własne ciało, o ciała męża i dzieci; wyobrażałam sobie panią Murphy uprawiającą gimnastykę i spryskującą piersi zimną wodą. Ona zadba o dom.

Sprzedalam dom obcym ludziom, więc próbowałam teraz wyrównać to, czego nigdy dla tego domu nie zrobiłam, czego nigdy zrobić nie mogłam. Nie mogłam go kochać, dopóki nie przestał do mnie należeć.

Powietrze było ostre, jabłka czerwieniały, dni stawały się alarmująco krótkie. Przyjechała Eleanor i pomogła mi wywieźć książki. Szpital dla weteranów odebrał swoje, a resztę umieściłam razem z meblami na przechowaniu w magazynie, który należał do przyjaciela Johna Delaney'a. Zgodził się bezpłatnie przechować moje rzeczy.

W październiku państwo Murphy wprowadzili się do pustego domu. Ksiądz Mulcahy i Eleanor stali obok mnie przyglądając się ludziom wnoszącym nieznane meble i dziwne pudła z nalepkami. Pani O'Hare pocałowała mnie, pan O'Hare uścisnął mi rękę. Bobby się nie pojawił. Wyobrażałam sobie, że robi w swoim pokoju coś, co nie da się wyrazić słowami, rozwścieczony moją abdykacją. Pani Murphy kręciła się wszędzie, a pan Murphy z delikatną podejrzliwością obserwował ludzi wnoszących rzeczy. Wszystkie papiery zostały podpisane, nie pozostawało mi więc nic innego, jak odjechać z wielką walizką, moją jedyną własnością, na tylnym siedzeniu samochodu Eleanor. Ksiądz Mulcahy stał przed domem i machał do nas ręką. Płakałyśmy z Eleanor tak długo, aż nasze twarze nabrały delikatności balonów. Postanowiłyśmy tego samego wieczora pojechać do Ringkill.

VI

Ze względu na moją wdzięczność wobec Eleanor i obawę o nią postanowiłam, że zatrzymamy się w hotelu, dopóki będę szukała mieszkania. Wiedziałam, jak blakłaby Eleanor pod ostrym spojrzeniem Liz, blakłaby aż do koloru białych kwiatów w wodzie. Pewna nieokreśloność, którą zawsze kochałam w Eleanor, bardzo irytowała Liz. Wyobrażałam sobie, jak Eleanor powoli zanika na tle ciemnego drewna w kuchni Liz.

Eleanor była na urlopie. Urlop. Słowo to kręciło się w moim mózgu jak zbliżenie obracającej się płyty na jednym z filmów o gwiazdach rock and rolla z lat pięćdziesiątych. Przez jedenaście lat nie miałam urlopu.

- Jedźmy na Boże Narodzenie gdzieś, gdzie jest ciepło - zaproponowałam.

- Znam kogoś, czyj znajomy zna taką wyspę, gdzie nikt nie mieszka prócz jakichś ludzi, którzy przynoszą ryby i drzewo chlebowe, które zresztą smakuje

podobno okropnie. Taka ładna nazwa - powiedziała Eleanor. - Drzewo chlebowe. Podobno ma smak wilgotnego chleba.

- Mimo wszystko chcę pojechać. Już teraz powinniśmy to zaplanować.

- Jest dopiero październik.

- Jeśli się nie zaplanuje z góry, wszystko się potem rozłązi między palcami.

- Mmm - mruknęła Eleanor. - Chodźmy popływać. Niebieskość chlorowanej wody była nienaturalna jak klejnot.

Dałam nurka. Był wieczór i jasne żarówki pod wodą nadawały jej niezwykle wygląd, jednak wyraźnie zarysowane brzegi basenu oznaczały bezpieczeństwo. Pływałam pod wodą, pewna swego ciała jak ryba.

Łóżka w motelu były twarde i sprężynujące jak trampolina. Siedziałyśmy paląc papierosy i przeglądając ogłoszenia mieszkaniowe. Gospodarze zdawali się odnosić niechętnie do lokatorów, którzy chcieli wynająć tylko na sześć miesięcy.

- Widzisz, gdybyśmy były związane z Kościołem, poszłybyśmy po prostu na plebanie i proboszcz na pewno by o czymś wiedział - powiedziałam.

- Tak, umieściłby nas u kogoś typu Margaret.

- Tylko popatrz na gazety - powiedziałam myśląc, jak przyjemnie starać się o coś po prostu, zajmować miejsce obok innych lub jeśli trzeba, za nimi, dostać coś bez specjalnych przywilejów czy powiązań, bez żadnych wpływów poza własną, niemal przypadkową, przydatnością.

Nie chciałam dzwonić do Liz, zanim znajdę mieszkanie. Liz poprzez polityczne koneksje Johna, a także nici, które przez dzieci wiązały ją chcąc nie chcąc z miejscową społecznością, niewątpliwie „znałaby kogoś”, mogłaby „powiedzieć dobre słowo” tak że raz jeszcze wyprzedziłabym innych, byłabym w korzystniejszej sytuacji. W najgorszym przypadku Liz wiedziałyby, jak się skutecznie zabrać do szukania mieszkania, miałyby jakiś plan, który oszczędziłby nam czasu i wysiłku. Ja jednak chciałam przejść przez wszystkie formalności jak każdy inny potencjalny lokator. Nie będziemy z Eleanor wystarczająco sprytnie, by to wyminąć. Zresztą kiedy patrzyłam, jak ziewająca Eleanor dopala papierosa, wiedziałam, że będzie to bardzo przyjemne.

Właściciel domu, pan Cohen, powiedział, że pokaże nam mieszkanie, które w istocie okazało się ostatnim piętrem domu. Pełno w nim było mebli, które wydawały się lekkie jak pręciki. Pokoje były jasne i przestronne, a z tyłu istniało coś w rodzaju przeszklonej werandy. W bawialni leżał szary dywan, który tak przykuł moją uwagę, że nagle zdałam sobie sprawę, iż już postanowiłam wynająć to mieszkanie.

- Pracuje pani dla administracji hrabstwa. Jest pani politykiem - powiedział pan Cohen z wyraźnym akcentem jidysz.

- Niezupełnie - odparłam myśląc, jak dziwne wydaje się określanie mnie w podobnych kategoriach.

- Dla mnie istnieje tylko jeden polityk. Franklin Roosevelt. Cała reszta to, za przeproszeniem, powietrze.

- Nie lubił pan Kennedy'ego? - zapytała Eleanor.

- Był zbyt przystojny. Pierwszą pracę dostałem w ramach programu robót publicznych Roosevelta. Tutaj na poczcie mają malowidło ściennie, które powstało w ramach tego samego programu. Powinna je pani zobaczyć. To dzieło sztuki. On mógł zmienić kraj, ale nie dopuścili do tego.

- Kto?

- Bankierzy. Roosevelt miał mnóstwo doradców Żydów. Czy pani jest Żydówką?

- Nie, ale chciałabym być - powiedziałam usiłując być dobrze wychowana.

- Tu nie ma żadnego chcenia. Albo się jest, albo się nie jest. Więc chce pani to mieszkanie?

- Bardzo.

- To niech pani bierze. Ma pani kłopoty, pani mnie woła. Jestem hydraulikiem. Mam córkę w pani wieku. Jest aktorką w Paryżu. Dzwoni do mnie „Tato, potrzebne mi pieniądze, tato”. Więc wysyłam. Założyli te linie telefoniczne przez ocean. Kiedy dzwoni, słyszę tylko fale nad kablami. Nie mogę nawet usłyszeć mojej córki. To straszne. Co takiego strasznego? Ona jest szczęśliwa. Niech jej Bóg błogosławi.

- Dobrze, że pan tak na to patrzy - powiedziałam.

- Jak patrzy? Chcę, żeby była szczęśliwa. Jeżeli złamie serce matki, to jest matki problem. Jeżeli moja córka jest szczęśliwa, ja jestem szczęśliwy. Więc. Ma pani przeciek albo pożar, pani woła. Pani mi da depozyt, ja pani dam klucz.

- I to wszystko? To już wszystko?

- Chce pani, żebym utrudnił? Jeśli to panią uszczęśliwi, pomyślę o jakichś przeszkodach.

- Kiedy mogę się wprowadzić?

- Już się pani wprowadziła. To pani mieszkanie. Proszę się nim cieszyć w dobrym zdrowiu.

Zamknął za sobą drzwi.

Ucieszyłam się, że moje nowe łóżko było podwójne.

- Będę musiała kupić nowe zasłony - powiedziałam do Eleanor.

- A może przywieziesz dwa perskie dywaniki z Dover Street - zaproponowała. - Zakryjesz nimi to szare. Czy też przyniesie ci to pecha?

- Nie można ciągle myśleć o przeszłości jako o swego rodzaju pechu.

Przeszliśmy się po dzielnicy i kupiliśmy w narożnym sklepiku jedzenie na kolację. Niebo było fioletowe, a niebezpiecznie rozchwiane gałęzie drzew zapowiadały zimny deszcz. Suche liście fruwały nisko nad ziemią zaczepiając o mankiety moich sztruksów. Seler wystający z brązowej torby, którą niosłam pod pachą, laskotał mnie

w policzek. To jesień, pomyślałam. Po raz pierwszy będę gotowała w mieszkaniu, które należy tylko do mnie. Przygotuję posiłek dla mojej najstarszej przyjaciółki, która właśnie idzie obok mnie, nie zrani jej żadna burza. To jest życie, to właśnie jest życie. I jest wspaniałe.

- Będę musiała jadać przy maleńkim stoliku w pokoju - powiedziałam.

- Wszyscy tak robią - wyjaśniła Eleanor. - Nikt dzisiaj nie ma wystarczająco dużej kuchni.

- To prawda. Chyba że się wyjdzie za mąż. Nikt samotny nie ma wystarczająco dużej kuchni. To idiotyczne - powiedziałam, nagle niezadowolona.

Eleanor włączyła radio. Była to jedna z rzeczy, które zdążyliśmy rozpakować. Z pewną powagą zdecydowałyśmy, że stanie na stoliku koło telefonu.

- Do licha! - powiedziałam. - Muszę jutro załatwić włączenie telefonu i gazu. Ogrzewanie jest na gaz.

Mówiłam takim tonem, jakby czekały mnie związane z tym kłopoty, podczas gdy bardzo ekscytowało mnie, że muszę zadzwonić do wielkich kompanii, które przysła swoich ludzi, kompetentnych, ubranych w uniformy, żeby podłączyli mnie do reszty świata. Czułam się przez to bezpieczna, związana z wielkimi dobroczynnymi siłami.

Radio zaskrzeczało i nagle popłynęła z niego melodia. Dla nas popłynął Beethoven, bolesna słodycz kwartetu cis-dur ogarnęła pokój.

- Powinnam zadzwonić do Liz, powiedzieć, gdzie jestem i że mam mieszkanie. Powinnam była zadzwonić do niej wcześniej.

Wiedziałam, że Liz zawsze zwracała uwagę na dobre maniery. Muszę skłamać, powiem, że przyjechałam dzisiaj i miałam nadzwyczajne szczęście znajdując od razu mieszkanie. Liz mogłaby czuć się dotknięta, że jej przyjaciółka Izabela była zbyt zaabsorbowana sprawami praktycznymi, by do niej zadzwonić. To dotknęłoby każdą z nas, pomyślałam. Wszyscy lubimy uważać, że stanowimy ośrodek życia każdego znajomego.

- Czy ja będę musiała spotkać się z Liz? - spytała Eleanor i już w tym momencie wydawała się jakby mniejsza na swoim krześle.

- Widziałaś ją przecież na pogrzebie.

- Na pogrzebach ludzie zawsze dobrze się zachowują.

- Liz zawsze dobrze się zachowuje.

- Tak, ale chodzi o to, co myśli.

- Czego się obawiasz?

- Boję się, że uzna moje życie za puste i nieciekawe.

- Ciągłe widzisz Liz jako starszą koleżankę w Anastasia Hall, kapitaną drużyny koszykówki, przewodniczącą Sodalicii, której ławkę zakonnice dawały za przykład

niechlujnym uczniom. Straciła tę swoją doskonałość nastolatki. Przede wszystkim ma dwoje dzieci, to już wystarczająca przyczyna, by uczynić ją cieplejszą. A jej życie nie jest teraz takie zupełnie przykładne.

- Ale ciągle ma te przerażające oczy. One nie zmiękły.

Pomyślałam, jaką pociechę przynosiły mi brązowe oczy Liz, jak bardzo były mi drogie właśnie z powodu tej surowości, nieumiejętności wybaczenia. Ale ja byłam wyłączona spod cenzury, a zawsze przyjemnie jest obserwować cenzurowanie innych, nawet jeśli się ich kocha, jeśli jednocześnie ma się pewność osoby wybranej i bezpiecznej.

- Polubisz jej dzieci. Są bardzo poważne. Czy nie chciałabyś zobaczyć Johna Ryana? Z czystej ciekawości?

- Pojadę, jeśli tego chcesz, Izabelo.

- Myślę, że musisz to zrobić.

- To wszystko pewnie bierze się stąd, że jesteśmy o ciebie zazdrosne.

- To idiotyczne - powiedziałam. Podobało mi się to wyjaśnienie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym stać się kimś na tyle ważnym w życiu innej kobiety, by wywoływać zazdrość. Co innego w życiu mojego ojca, ale to dlatego, że on nie zawsze potrafił oddzielić swojego życia od mojego. A Eleanor, która dała mi tak wiele i tak mało żądała w zamian, czy ona też potrzebowała, podobnie jak mój ojciec, mojego specjalnego przywiązania i szacunku? A więc jesteśmy związane z sobą, pomyślałam, nie jestem zupełnie sama.

Liz powiedziała, że powinnyśmy przyjechać na lunch. Eleanor spędziła rano malując oczy, zmywając tusz, kładąc dzinsy i znów je zdejmując, zmieniając czterokrotnie bluzkę i przyglądając się sobie ze zmarszczonymi brwiami w moim plamistym zielonkawym lustrze. Obserwowałam ją z wielkim zainteresowaniem. Eleanor umieściła swoją obawę przed Liz, obawę o siebie niemal dosłownie na własnych barkach, jakby jej ciało stało się zwierzęciem dźwigającym ciężar wewnętrznego życia. Stałam obok niej przed lustrem i wyobrażałam sobie nas obydwie na jednej z wiktoriańskich fotografii, które oświetlone są w ten sposób, że każdy wygląda pięknie. Jakże przewyższałam Eleanor, choć byłyśmy tego samego wzrostu! Przy mnie wyglądała krucho, ale tego dnia podobały mi się moje mocne kości policzkowe, wyraźne zielone oczy, ciężkie kręcone włosy, których według złożonej ojcu obietnicy miałam nie obcinać.

Eleanor na wiejskich drogach prowadziła źle. Zdziwiło mnie, że była kierowcą bardzo agresywnym, szczupłą nogą przyciskała gaz do dechy w momencie, gdy zapalało się zielone światło. Miała straszliwą tendencję do podjeżdżania zbyt blisko innych samochodów. Ze zdenerwowania zapomniiała o ostrożności, tak że raz czy dwa w kompletnym popłochu złapałam za rączkę nad drzwiami.

Kiedy wjeżdżałyśmy na podjazd przed domem Liz, widziałam, jak Eleanor skurczyła się w sobie niby ptak. Kiedy powiedziała „tutaj jest ślicznie”, musiałam dwa razy powtórzyć, że nie dosłyszałam, tak cichym głosem wypowiedziała swój komentarz.

Liz stała na frontowym ganku jak matrona, mogła równie dobrze trzymać w ręku karabin zamiast drewnianej łyżki. Skinęła głową, nie poruszając przy tym żadnej części ciała. Pocałowała mnie oficjalnie, pocałowała Eleanor gestem mechanicznej lalki. Boże, pomyślałam, jakich okropności się dopuszczam w imię dobrych manier.

Eleanor stawiała się coraz mniejsza i mniejsza. Liz zapytała ją, czy chciałaby zobaczyć klacz.

- Jaką klacz? - spytała Eleanor jak kompletna debilka. Odruchowo przestąpiłam z nogi na nogę, opowiadałam przecież

Eleanor o tej kobyle i o tym, że będzie miała źrebaka. Odbyłyśmy na ten temat długą rozmowę.

- Obawiam się, że mam tylko jedną - powiedziała Liz z niepotrzebnym rozdrażnieniem.

Eleanor zagruchała do klaczy jakby miała do czynienia z kaczką.

- Buduję dla niej szopę - wyjaśniła Liz.

Jezus Maria, pomyślałam, kiedy Liz zaczęła groźnie machać młotem, ona teraz zacznie wbijać pal, żeby popisać się przed Eleanor, która po prostu zapadnie się pod ziemię.

- Czy nie piękne te wzgórza? - zaczęłam starając się odzyskać Eleanor. Ale ona nawet mnie nie słuchała. Liz rzuciła mi spojrzenie, które mówiło: „zdradziłaś mnie z idiotką”.

- Liz sama to wszystko zbudowała - powiedziałam.

Eleanor spojrzała na mnie. „Tonę, ratuj mnie”, wyczytałam w jej oczach.

Chciałam wziąć się pod boki i zawołać: „Obydwie jesteście niemożliwe. Odchodzę, róbcie sobie, co chcecie”. Poczułam jednak cały ciężar odpowiedzialności. Spotkały się przeze mnie, muszę coś ocalić z tego dnia. Obydwie były wspaniałe. Dlaczego tak się wobec siebie zachowywały? Żadna z nich nie była taka w mojej obecności.

Przeszłość, pomyślałam. Mamy wspólną przeszłość. Muszę z tej przeszłości wyłowić coś, coś znakomitego, błyszczącego, bo inaczej cały dzień będzie zmarnowany. Eleanor stała za mną jak dziecko za matką w zatłoczonym sklepie. To śmieszne, żeby tak się zachowywała. A Liz opierała się na młocie jak wizygotka. Nie musiała wyglądać tak groźnie. Dlaczego to robiła? Czy lubiła wzbudzać strach? A Eleanor? Czyżby lubiła czuć się przestraszona? Jednak musiałam to zrobić, musiałam

je do siebie zbliżyć, bo przecież mieszkały w tym samym mieście i miały wspólną przeszłość.

- Siostra Adolfa ma podobno mieć w niedzielę program w radio zatytułowany „Siostra mówi”. Wyobrażacie to sobie? Ta idiotka! Debatuje z rabinami na temat etyki.

Ciało Liz rozluźniło się, zdjęła jedną rękę z młota.

- Widziałam ją w telewizji. Wyobrażacie sobie: ta idiotka w TV, a ja tu więdnę w zapomnieniu. Mawiała zawsze : „Jestem zakonnica. Moje dzieło to miłość.” I nosiła ten straszliwy notes.

Eleanor wystąpiła spoza moich pleców.

- One wszystkie miały straszliwe notesy. I straszliwe buty. Nie mam pojęcia, skąd je brały.

- Pewnie miały taki swój butik, gdzie zamiast rocka szły śpiewy gregoriańskie, a zamiast ostrych reflektorów paliły się gromnice - powiedziała Liz.

- To mogłoby się przyjąć na Upper East Side - wtrąciła Eleanor.

Liz roześmiała się, choć nie było to śmieszne. Nic z tego nie było szczególnie śmieszne, ale wszystkie się śmiałyśmy. Liz odłożyła młot. Poszłyśmy do domu. Po raz pierwszy od dwudziestu minut oddychałam normalnie. Nie zostaną przyjaciółkami, ale Eleanor przestanie się chować, a Liz przestanie jej zagrażać. Można było dalej żyć.

O wpół do trzeciej Liz musiała odebrać dzieci ze szkoły. Wstała i włożyła brązową zamszową kurtkę kowbojską. Ucałowała mnie i Eleanor w sposób całkiem naturalny. Może w przypadku Eleanor chodziło jedynie o coś w rodzaju hołdu oddanego przeszłości, ale przynajmniej ciało jej nagięło się do kształtu owej przeszłości, nie zeszywniało na myśl o niej jak poprzednio.

- Jutro pojedę do domu - powiedziała Eleanor, kiedy wyjechałyśmy na autostradę.

- Dobrze - zgodziłam się. - Oczywiście, nie chcę, żebyś jechała, ale muszę się przyzwyczaić do samodzielnego załatwiania spraw.

Wiedziałam, że Eleanor zrozumiała, iż miałam na myśli swoje życie. A jej obecność w moim mieszkaniu osłaniała mnie przed życiem jak welon czy zasłona z kwiatów. Teraz musiałam po prostu kontynuować; pomyślałam o swoim obecnym życiu, surowe, w kolorze księżycowego pejzażu, biele i szarości, w księżycowej temperaturze.

A jednak kiedy stałam przy drzwiach samochodu Eleanor, a ona odkręcała szybkę, by pocałować mnie na pożegnanie, poczułam nagle wilgotny strach, gdzieś w centrum klatki piersiowej tuż koło mostka znajdowała się niewielka chłodna kałuża, która miała za chwilę się rozlać, niszcząc ciepło, zabijając poczucie bezpieczeństwa swoim zielonkawym chłodem. Eleanor zauważyła wyraz moich oczu.

- Nie bój się. Jutro spotkasz tych wszystkich nowych ludzi.

- Tego się właśnie boję.

- Naprawdę?

- Nie. Oczywiście, że nie. Boję się zacząć swoje życie.

- Ale żyłaś nim przez trzydzieści lat.

- Nie tym.

- Mamy tylko jedno życie. Zawsze jesteśmy tą samą osobą.

- Widzisz, ja w to nie wierzę. - To nie ja byłam osobą, której centrum życia skupiało się wokół ciała ojca, w jego domu, na środku którego stało jego łóżko. Teraz stawałam na chodnikach, opierałam się o samochody. A wtedy byłam straszliwie zmęczona.

Wetknęłam połowę ciała przez okno i zaśmiewaliśmy się z Eleanor usiłując się wyplątać z dziwacznej pozycji, do której zmusił nas kształt samochodu.

- Niech cię Bóg błogosławi, Izabelo. Przyjadę na trzeci weekend.

- Zadzwoń, jak mi włączą telefon. Do ciebie pierwszej zadzwonię.

Saab Eleanor odjechał ulicą, na której drzewa były ogniście czerwone. W świetle ranka samochód wydawał się jak ze snu, a jednocześnie odznaczał się niezwykłą solidnością. Porozmawiam z moją przyjaciółką, spotkam się z nią. Jeżeli życie stanie się zbyt trudne, przynajmniej na tym mogę polegać.

Zostawiłam drzwi do mieszkania otwarte, więc teraz powietrze w nim wydawało się aż gęste od zimna. Grzejników gazowych jeszcze nie podłączono, więc drząc z zimna włożyłam nowy zielony sweter. Nadchodzi zima, potem nadejdzie wiosna, pomyślałam. Musiałam powiedzieć to głośno, bo zawsze zadziwiały mnie zmiany pór roku. Jesienią spodziewałam się, że zawsze już będzie jesień; kiedy było zbyt zimno, nie mogłam uwierzyć, że kiedykolwiek będzie zbyt upalnie. Zawsze jednak lubiłam pierwszy prawdziwy jesienny chłód, kiedy trzeba było po raz pierwszy zawijać się w ciepłe ubrania.

Usiadłam wśród brudnych naczyń ze śniadania. Światło wpadające przez duże okno w bawialni wyglądało jakby po drodze przeszło przez rurę. Pomyślałam, że może pewnego dnia te meble będą mi równie znajome jak umeblowanie domu, w którym spędziłam całe życie. To też było dziwne, jak szybko przedmioty stawały się znajome, jak szybko czas terazniejszy stawał się czasem terazniejszym i oczekiwanym, jak szybko przeszłość stawała się przeszłością, czymś niezwykłym.

A teraz będę musiała chodzić do domów innych ludzi, każdego dnia do innego domu, w którego centrum będzie się znajdowało łóżko, i starość, i śmierć, i będę musiała pytać ludzi, co jedli, co robili w czasie między jedną a drugą drzemką, co mogłoby uczynić ich szczęśliwymi.

Pomyślałam, że niemożliwe będzie zadawanie obcym podobnych pytań. Ma się prawo pytać o to kogoś, kogo się kocha, ale nie obcych. Istniała jednak możliwość, że przyczynię się do poprawienia czyjegoś losu. Ktoś będzie miał więcej czasu, a ktoś inny więcej towarzystwa, dlatego że porozmawiał ze mną. A te rzeczy się liczyły, te drobne możliwe rzeczy.

Postanowiłam wysprzątać mieszkanie tak, żeby ściany były białe i błyszczące. Kupię rzeczy, które potrzebne mi są do domu. Wszystko to sprawiło, że poczułam się idiotycznie szczęśliwa. Sporządziłam listę. Podśpiewywałam: pinezki, suszarka do naczyń, gumowe rękawiczki.

VII

Był to pierwszy dzień mojej pracy; obudziłam się myśląc o ojcu. Zawsze budziłam się z uczuciem lekkiej paniki, zawsze bowiem istniała możliwość, że kiedy wejdę do pokoju ojca, on już nie będzie oddychał. Tak się jednak nie stało, bo w końcu umarł w szpitalu, przez co czułam się równocześnie i oszukana, i wyzwolona. Nie otrzymałam tego od ojca: jego śmierci, którą mógł mi podarować. Ale za to oddychał zawsze wtedy, kiedy go widziałam, więc który z tych darów był cenniejszy?

Zastanawiałam się, kiedy zacznę się budzić nie myśląc o ojcu. Siedziałam na łóżku pijąc kawę z wielkiej francuskiej filiżanki, którą dała mi Eleanor. Filiżanka była biało-niebieska z czerwonym wzorem w środku w kształcie serca lub ptaka. Eleanor nie mogła się zdecydować, co ten wzór przedstawia, ale kupiła filiżankę, bo, jak mówiła, i ptak, i serce to symbole nadziei.

Przypomniałam sobie, jak goliłam ojca co rano, kiedy już stracił władzę w rękach. Lubiłam te chwile, był to niemal jedyny z fizycznych obrzędów, jaki lubiłam. Żartowałam wtedy, udawałam włoskiego golibrodę i wyśpiewywałam piosenki w języku udającym włoski. Ojca to rozśmieszało. Śmiał się niemal tak jak dawniej, czułam, jak trzęsło się jego ciało, choć na twarzy nie pojawiały się już oznaki śmiechu.

Kiedy przyszłam do budynku Zarządu Hrabstwa, zorientowałam się, że jestem o wiele za wcześnie. Kręciło się tam pełno zaspanych sekretarek, które próbowały zorganizować kawę i tace z ciasteczkami, nie widać było jednak jeszcze żadnych mężczyzn. Nie chciałam dać się wciągnąć w to całe usłużne brzęczenie. Obeszłam budynek w poszukiwaniu kawiarni. Biuro i jego pracowników otaczały cztery przecznice pełne restauracji, kafejek i sklepów w desperackim wysiłku zabawienia tych wszystkich ludzi w ich wolnym czasie pomiędzy dwunastą a pierwszą. Zaraz za tym zespołem zaczynał się obszar przylegający do stacji kolejowej. Po ulicach spacerowali nerwowo czarni mężczyźni, wyglądający na chorych i nieszczęśliwych, białe ciężarne

matki paliły papierosy i wymierzały klapsy swoim dzieciom, które nawet nie wydawały się tym zdziwione. W piętnastocentowym sklepie kupowały skarpetki i kosmetyki. Weszłam do L&P, unosił się tam tani zapach ryby, który zawsze przekonywał mnie, że życie nie ma większego sensu. Kupiłam rolkę taśmy klejącej jako rodzaj rekompensaty dla sklepu za niechęć, jaką we mnie wzbudził.

Kiedy wracałam do biura, jesienne powietrze, zwłaszcza w porównaniu z atmosferą panującą w sklepie, wydawało się niemal zbyt czyste. Pojechałam windą do gabinetu Johna Ryana. Znajdował się na najwyższym piętrze jak wszystkie biura dyrektorów. Z olbrzymiego okna roztaczał się starannie zaplanowany widok na góry.

Sekretarki krążyły wokół Johna jak usługne małe planety. Stałam przed biurkiem, podczas gdy John rozpraszał uwagę sekretarek żartami głównie na temat seksu, choć samo to słowo nie padło ani razu.

Jedna z sekretarek odwróciła się w moją stronę, wyraźnie niezadowolona, że przerywam tę poranną sesję. Zatrzymało to mechaniczny rytm zachowania Johna: dowcip, śmiech, dowcip, śmiech, klepięcie, dowcip, śmiech.

- Izabela - powiedział John obejmując mnie ramionami i całując (zupełnie niepotrzebnie) w same usta.

- Moi drodzy, to świadczy, że nie mam nic do ukrywania. Ta dziewczyna pochodzi z mojej dawnej dzielnicy. I jest najstarszą przyjaciółką mojej żony, a ja sprowadziłem ją tutaj, żeby to wszystko ładnie zaokrąglić.

Sekretarki roześmiały się, ale najwyraźniej zdecydowały już, że mnie nie lubią.

- Zaprowadzę cię do szefa - powiedział John. Ciągle jeszcze otaczał mnie ramieniem.

Zdziwiło mnie, że Dominik Napoli wyglądał jak ktoś, z kim mogłam chodzić do szkoły powszechnej. Pomyślałam, że chyba się starzeję, skoro politycy wyglądają na ludzi w moim wieku.

Dominik Napoli bardzo się starał, żeby nie przypominać Włocha. Ubierał się jak angielski don, zachwyciło mnie jego tweedowe ubranie i ciężkie brązowe buty. Uścisnął mi rękę w sposób zakrawający na sztukę. Podobał mi się. Jego jasnobrązowe oczy nie wydawały się wyrażać zachwyty Johnem.

John usiadł i natychmiast założył nogi na biurko dyrektora Zarządu Hrabstwa. Zdjął też krawat.

- Chryste - powiedział - jak tylko wycofam się z polityki, nigdy w życiu nie włożę żadnego pieprzonego krawata.

Dominik siedział tak prosto w swoim krześle, że poczułam się w obowiązku zrobić to samo.

- Czy pani rozumie, o co chodzi w tym projekcie? - zapytał tak oficjalnie, że zaczęłam się zastanawiać, jak mu się w ogóle udało wygrać wybory. Musiało to mieć jakiś związek z Johnem.

- Chyba tak - powiedziałam. - Daliście subsydia ludziom, którzy zajmują się starcami w swoich domach, a ja mam sprawdzić, jak to się naprawdę odbywa.

Dominik skinął głową.

- Widzisz, Dom - wtrącił John - najwspanialsze w tym projekcie jest to, że jest taki humanitarny. Izabela nie jest jakimś nadętym inspektorem społecznym czy zawodowym dobroczyńcą, a dzieciaki, które mają jej pomagać, są z miejscowego college'u. Chodzi mi o to, że cała ta rzecz jest w lokalnej skali. Przysięgam Bogu, że to ci się przysłuży w Albany.

- Ja nie należę do lokalnej społeczności - powiedziałam.

John spojrział na mnie, jakbym była poddana, która właśnie zakwestionowała sens monarchii.

- Mieszkasz teraz w tym mieście. Jesteś częścią społeczności. A poza tym, kto może mieć większe niż ty doświadczenie w podobnych sprawach? Ty naprawdę zrozumiesz problemy tych ludzi. Ponadto jesteś przystojną i inteligentną babką, a to się rzadko zdarza.

Poczułam się zażenowana, ale z kłopotliwej sytuacji wybawiło mnie poniekąd zażenowanie Dominika.

- A więc - powiedział John - pracownicy wydziału socjalnego przygotowali ten podstawowy formularz. W każdym domu zadasz te same kluczowe pytania. Oczywiście, jest także miejsce na twoje własne uwagi, jeśli będziesz miała ochotę dodać coś od siebie.

Popatrzyłam na formularz. Były tam pytania o metrach kwadratowych powierzchni, wyposażeniu medycznym, wieku pacjenta, stanie jego zdrowia, częstotliwości podawania leków i ich rodzaju. Nie było nic o zmęczeniu, samotności, rozpaczy. Będę się jednak trzymała kwestionariusza.

- Po południu spotkamy się z dziećmi z college'u. Wspaniałe szczeniaki. Oni przeprowadzą część wywiadów, ale ty odpowiadasz za całość.

- To ja mam to prowadzić? - zapytałam. - Ależ ja nie bardzo wiem, jak to zrobić.

- Nikt nie wie - wyjaśnił John. - To jest właśnie wspaniałe. Robimy coś absolutnie nowego. Może się okazać bardzo ważne.

Dominik i John równocześnie pokiwali głowami, jakby ktoś wymówił imię Boga.

Studenci, którzy mieli mi pomóc, wywołali we mnie uczucie kompletnej bezradności. Zawsze zniechęcał mnie zapal młodych ludzi obdarzonych sumieniem społecznym. Przypominało mi to znajomych, którzy we wczesnych latach

sześćdziesiątych wstąpili do Korpusu Pokoju. Zawsze uczestniczyli w jakichś hałaśliwych zgromadzeniach połączonych z pićm piwa i tańcami. Zdawali się zawsze bardzo ciężko pracować i bardzo dobrze się bawić, zawsze wydawał mi się podejrzany ich głośny śmiech, dobroduszne zamierzone, a jednak aseksualne podszczypywania pośladków, jęklive wyliczanie tego, co mają zrobić (umyc samochód, pójść na sumę) wśród objawów straszliwego kaca. Zawsze miałam wtedy ochotę zaciągnąć zasłony w moim pokoju i czytać *Piers Ploughman* albo udawać, że mam wapory.

Uwielbienie studentów dla Johna sprawiło, że poczułam się jeszcze bardziej nieswojo. Pomyślałam, że za chwilę John zacznie podrzucać piłkę futbolową. Musiałam jednak pamiętać o skuteczności jego działań. Wyrafinowany gust i umiarkowany sposób myślenia nie mogą się przyczynić do złagodzenia cierpień nieznanym ludzi. A praktycznie cały świat składał się z nieznanym ludzi.

- W porządku, banda - powiedział John. - Ta szałowa babka, która może wam opowiedzieć wszystkie anegdoty z mojego dzieciństwa, kiedy się dziś wieczorem urzniemy, jest w istocie jedną z moich najstarszym przyjaciółek. I składa się nie tylko z ciała, ale i z głowy, w szkole nie raczyła nawet ze mną rozmawiać. Byłem jedynie pionkiem w drużynie koszykówki.

W szkole średniej nawet nie zdawałam sobie sprawy z jego istnienia. Był pięć lat starszy od nas. Po co te kłamstwa? Komu z nas mogą przynieść pożytek? A jednak John miał rację. Gdybym znała go w szkole, nie rozmawiałabym z nim.

- Mówiąc poważnie - kontynuował (czyżby dotychczas chodziło o żarty?) - to jest osoba z prawdziwym doświadczeniem w opiece domowej. Będzie wiedziała, na co zwracać uwagę. Chciałbym, żeby teraz Izabela coś powiedziała, a potem wszyscy się rozluźnimy i trochę lepiej poznamy się nawzajem.

Wszyscy spojrzeli na mnie z oczekiwaniem, jakby nigdy w życiu nie doznali rozczarowania, jakby w ogóle nie brali pod uwagę istnienia dumy, małostkowości czy zła.

Chrząknęłam i zdałam sobie natychmiast sprawę, że to błąd. Zorientują się, że w ogóle jeszcze nie myślałam o całej sprawie.

- A więc - zaczęłam - nie bardzo wiem, co powiedzieć. To skomplikowany problem. Najważniejsze wydaje mi się, by nie sprawiać na ludziach wrażenia, że dokonujemy inwazji. W końcu wkraczamy w ich życie. Nie mogą mieć uczucia, że coś im wykradamy, że uważamy swoje życie za ważniejsze.

- Punkt numer jeden - wtrącił John. - Wrażliwość. Świadomość. Sławne trzecie oko. Czy o to ci chodziło?

- Chyba tak.

- Pozwól mi dodać drobną radę - kontynuował John. - Oczywiście, nie chcecie występować jako panie, czy raczej panny Biurokratki (w tym momencie studenci wybuchnęli śmiechem, zwłaszcza jedna z najmniejszych dziewczyn), ale waszym zadaniem jest zdobycie informacji, nie przyjaciół. Jeśli chce się zrobić omlet, trzeba stłuc kilka jajek. Mów dalej, Ślicznotko.

Zastanawiałam się, czy John zdaje sobie sprawę, jak mordercze instynkty budził we mnie ten przydomek. Chyba jednak spostrzeżenie o informacjach, przyjaźni i omlecie było słuszne.

- Sądzę, że powinniśmy ustalić - w miarę mówienia przychodziły mi do głowy nowe pomysły - co wydaje się uszczęśliwiać tych ludzi, a co sprawia im ból. Może jeśli zrozumiemy, w jaki sposób ludzie czynią innym dobro, będziemy to potrafili przekazać dalej. Ludziom jest łatwiej, jeśli w podobnej sytuacji nie czują się zupełnie osamotnieni.

- Punkt numer dwa. Skuteczność. Analiza. Informacja. Popularyzacja. Ta gra nazywa się komunikacją, prawda, dziecinko?

- Tak - odparłam nie słuchając, pragnąc kontynuować. - Wydaje mi się, że wszyscy powinniśmy przede wszystkim słuchać, co ludzie mówią, czy zwracają się żartobliwym tonem do starców, którymi się opiekują. Żarty są bardzo ważne.

- Wracamy do magicznego słowa komunikacja. Przysięgam Bogu, że to jest najważniejsze.

- Powinniśmy zwracać uwagę, czy ludzie zajmujący się pacjentami robią wrażenie zmęczonych i nieszczęśliwych. I czy starzy ludzie wydają się znudzeni.

- Oczywiście, najpierw musicie sprawdzić, czy są odpowiednio odżywieni i czy mają fachową pomoc lekarską. Nie chcemy zbaczać z kursu - wtrącił John patrząc na mnie podejrzliwie. - Najpierw rzeczy najważniejsze.

- Naturalnie - przytaknęłam. Czułam się głupio, że nie zgadzam się z Johnem, uświadamiałam sobie jednak, że to mój własny duch podpowiada mi, że żarty są ważniejsze od medycyny. A w każdym razie o nich wolałam mówić.

- Oczywiście - powtórzyłam. - Najpierw musimy rozpatrzyć sprawy cielesne. Ludzie mogą jednak pewne sprawy ukrywać. Starajcie się zawsze porozmawiać z pacjentem sam na sam. Może zdołamy wymyślić jakiś bardzo skomplikowany formularz dla gospodarzy, który będą wypełniać, podczas gdy my rozmawiamy z pacjentem.

Studenci roześmieli się, a John poklepał mnie po plecach.

- Nie bez powodu masz opinię przewrotną - powiedział.

Zacząłam się zastanawiać. Może udałoby się to zorganizować.

Spojrzałam na studentów siedzących przy stole. Podobnie jak John byli jeszcze opaleni. Pomyślałam, że pewnie wszyscy pracowali w lecie jako ratownicy.

Wyobrażałam sobie, że muszę sprawiać na nich wrażenie dziwaczki. Chciałam jednak powstrzymać ich przed robieniem pewnych rzeczy.

- Banda, są jakieś pytania? - zapytał John. Pytań nie było.

- Poczekaj, aż wleją w siebie trochę alkoholu. Pójdziemy wszyscy do ośrodka komunalnego na piwo, żeby uczcić inaugurację projektu Opiekun.

Przez moment byłam bliska hysterii. Dzięki Bogu, że nie ma tu Liz, pomyślałam. Ale w końcu, to był jej mąż.

John podszedł do mnie, zatarł ręce i klepnął mnie w tyłek. Miałam olbrzymią ochotę odpłacić mu pięknym za nadobne, ale pomyślałam o tym, jak bardzo go lubią ci wszyscy studenci. Pomyślałam też, że prawdopodobnie tak zachowują się mężczyźni wobec swoich koleżanek. Wszystko to mieści się pewnie w rozdziale „dobre stosunki w biurze”. Chyba to właśnie ludzie określają jako „końskie zaloty”.

John ciągle jednak trzymał rękę na moim pośladku i zaczął go nawet głaskać w zamysleniu.

- Czy ktoś ci powiedział, że masz zachwycający tyłeczek?

Znowu poczułam to denerwujące gorąco, ten godny pożałowania skurcz w żołądku. Pogardzałam Johnem Ryanem, zabroniłam memu ciału reagować na niego.

- Nie najlepiej pasuje to zdrobnienie - wypaliłam pamiętając z katolickiej szkoły, że śmiech i ironia skutecznie ostudzają erotyczne zapęły. Tyle że nie było to zbyt zabawne. A John nie cofnął ręki.

W ośrodku komunalnym chłopcy smażyli hamburgery, podobnie jak robili to na kościelnych bazarach w domu parafialnym. Jednak zamiast proboszcza i wikarych dających baczenie na nastolatków w kuchni, po sali przechadzał się John Ryan i kilku innych polityków. Kosztowne koszule mieli porozpinane pod szyją, czego nigdy nie zrobiliby znajomi księża ze swoimi sutannami. Czy księżom nigdy nie było gorąco? Nigdy nie widziałam, żeby się pocili, chyba że w bardzo upalne dni na świeżym powietrzu, kiedy mieli na sobie bawełniane koszule. Zakonnice nie pocily się nigdy. Pewno miało to jakiś związek z tym, że nigdy nie myślały o seksie.

Ktoś podał mi hamburgera, ktoś inny piwo. Poważnie wyglądająca dziewczyna chciała ze mną rozmawiać na temat działań administracji stanu w sprawie ludzi starych.

- Ludzie starzy to niewidzialna mniejszość - powiedziała. - Nie mają żadnej władzy, są w jeszcze gorszej sytuacji niż czarni czy kobiety.

- Mają władzę: grożą nam naszą nieuniknioną przyszłością. Biali nie obawiają się, że nagle staną się czarni, a mężczyźni, że przeistoczą się w kobiety. Postępowanie wielu ludzi z osobami w podeszłym wieku płynie z obawy, że znajdą się w podobnej sytuacji i chcieliby, żeby wówczas traktowano ich tak samo.

Dziewczyna spojrzała na mnie bardzo dziwnie. Uświadomiłam sobie, że nie mogę rozmawiać ze studentami. Pomyślałam, że przed zwerbowaniem do udziału w projekcie wszyscy powinni obowiązkowo przeczytać *Króla Lira*. Wtedy moglibyśmy odbyć interesujące rozmowy. W ośrodku komunalnym była szafa grająca i niektórzy studenci zaczęli tańczyć. Wolno poruszałam biodrami z przyjemnością smakując piwo. Wtedy przypomniałam sobie, że nie tańczyłam od jedenastu lat i że po raz ostatni tańczyłam twista. Tutaj było to niemożliwe, wyobraziłam sobie nagle, jak tańczę z jednym z chłopców, a reszta przygląda się nam z bolesnym zażenowaniem. Poczułam, że łzy napływają mi do oczu i pobiegłam do toalety.

Zamknęłam drzwi do kabiny i usiadłam na sedesie szlochając. Nikt nie może mnie zobaczyć. Cóż mogłabym powiedzieć? „Płaczę, bo nie znam żadnego z tych tańców”. To było absurdalne. Wycierałam łzy zimnymi dłońmi. Nie potrafię tego zrobić, błędem było wierzyć, że mi się uda. Powinnam zrezygnować, pozbyć się mieszkania i wrócić. Ale gdzie? Sprzedałam dom, nie mogłam wprowadzić się do Liz, nie mogłam trzymać się Eleanor. Może mogłabym zostać gospodynią na plebanii, byłabym blisko księdza Mulcahy. Zadrżałam na myśl o pani Keeney, o Margaret Casey, których życie nie zmuszało to tego, żeby siedziały na sedesie w obcym mieście z papierowym kubkiem piwa w ręku. Raz jeszcze spojrzałam na swoje życie z wysokości. Chciałam rzucić się na nie z góry, unieść je w ustach jak ptak. Przemyślałam twarz i pomalowałam rzęsy, żeby nie mogła już więcej płakać. Liz miała rację, życie polega na samooszukiwaniu, sprzedajesz dom, żeby nie móc już do niego wrócić, malujesz rzęsy tuszem, żeby się nie rozpłakać.

Poszukam wśród studentów twarzy, którą będę mogła pokochać. Będę szukać czegoś oryginalnego, przykuwającego zarysu podbródka czy wyrazu oczu, czegoś co sugerowałoby istnienie pod powierzchnią bólu, którego nie dotknie stanowa legislacja. Ale wszyscy wyglądali na tak niezmordowanie szczęśliwych i zdrowych, że nie mogli wzbudzić mojego zainteresowania. Uświadomiłam sobie, że poszukuję kogoś smutnego i zezłościłam się na siebie za stosowanie takiego równania, równania mojego ojca, równania Kościoła, że cierpienie oznacza wartości. Napiję się jeszcze piwa, będę się dobrze bawić. Może poproszę któregoś z chłopców, żeby mnie nauczył tańczyć. Nie, to byłoby zbyt żenujące. Byli najwyraźniej zamknięci w specyficznym dla siebie rodzaju solidności, który z trudem dałoby się przełamać. Nie wiedziałam nic o lokalnej polityce w Ringkill, sama oczywiście zawsze głosowałam na Demokratów, ale to nie wystarczyło. Nie mogłam wszak wedrzeć się do zamkniętego kręgu i oświadczyć: „Zawsze głosowałam na Demokratów”. Nie mogłam powiedzieć: „Załatwiałam telefony dla McCarthy'ego i McGoverna”. A oni najwyraźniej nie mieli ochoty na rozmowy ze mną.

Nie podobało mi się, że jestem samotna, poza tym ciepłym solidnym kręgiem. Postanowiłam więc (zdając sobie równocześnie sprawę, że robię to tylko z powodu braku moralnej odwagi) porozmawiać z Johnem Ryanem. Robi się większe głupstwa w obawie, by nie zostać bez partnera do rozmowy.

John dał mi łyk piwa ze swojego kubeczka. Był to głupi, publiczny gest świadczący nie tyle o pożądaniu, ile o rozwiązłej chęci posiadania. Piwo, którego nie lubiłam, było wymarzonym trunkiem dla Johna Ryana. Złoto to męski kolor, włosy żadnej kobiety nigdy tak nie lśnią. Także struktura piwa była odpowiednia dla mężczyzn: wzburzone na górze, przejrzyste na dnie. Dla kobiet musiałoby być akurat odwrotnie.

Kontynuuj, mówił mi jakiś wewnętrzny głos, przyjazny, roześmiany, życzliwy. Wszystko ujdzie ci na sucho, powtarzał. Nie możesz dalej tak trwać. Nie chcesz przecież być sama, nie chcesz być samotna.

Jeden ze studentów podał mi następne piwo. Pytali mnie o Johna Kennedy'ego; odpowiadałam: nie, byłam za młoda, żeby na niego głosować; tak, pracowałam na jego rzecz. Powiedziałam, że nosiłam wtedy znaczek wyborczy na słomkowym kapeluszu i wszyscy wierzyliśmy, że Kennedy zmieni świat. A kiedy umarł, pomyślałam, ja już od roku zajmowałam się ojcem, więc nie był to dla mnie wielki szok. Już przestałam wierzyć, że życie kryje same obietnice.

- Czy pamiętacie, co robiliście kiedy go zastrzelono? Czytałam gdzieś, że jest to jedyne wspomnienie wspólne wszystkim Amerykanom - powiedziałam.

- Jakie? - zapytał jeden z chłopaków.

- Co jakie? - powtórzyłam.

- No, o którego Kennedy'ego chodzi.

Było to absolutnie rozsądne, absolutnie gruboskórne pytanie, które podkreśliło różnicę wieku między nami. Oni prawdopodobnie dorastali ze świadomością, że świat nie jest pełen obietnic. Zastanawiałam się, czy było to łatwiejsze.

- Ona mówi o Johnie Kennedym - wyjaśniła dziewczyna o bardzo ciemnych i potarganych włosach. - Pamiętam, że się bawiłam. Byłam w drugiej klasie i wszystko nagle stanęło, a niektóre dzieci zaczęły płakać.

Spojrzałam na dziewczynę i chciałam powiedzieć: „Dzięki Bogu, ty masz przynajmniej miłą twarz”. Miała bardzo ciemne oczy, wyrażające czystą powagę. Niewątpliwie utracą ten wyraz w chwili, gdy dziewczyna utraci dziewictwo. Chociaż teraz one zazwyczaj tracą dziewictwo bardzo wcześnie, pomyślałam, i dalej potrafią wyglądać tak poważnie.

- Jezus, robicie się strasznie ponurzy - powiedział John. - Napijmy się jeszcze piwa.

Wnętrze mojej głowy stawało się złote, koloru piwa albo cukierka toffi, kręciło się, pływało w ten miły sposób, który zdawał się mówić: to nie ma znaczenia. To nie ma znaczenia. Jadłam hamburgery wylewając keczup na bluzkę, zauważyłam jednak, że studentom się to podobało; podobało im się że wcierałam keczup w bluzkę kciukiem.

Nagle w pomieszczeniu pojawiła się grupa czarnych dzieci z piłkami koszykowymi. Wypiłam wystarczająco dużo, żeby mnie to wprowadziło w pomieszenie, ale nie zaniepokoiło. Rozmawialiśmy o Kennedym i oto znalazły się tu dzieci z piłkami do koszykówki. Jakie to interesujące, pomyślałam, a idee przepływały przez moją głowę jak urocze baloniki.

- Hej - zawołał John - musimy się wynosić. Czy mogę wam zaufać, że posprzątaacie? Muszę odprowadzić pannę Moore.

- Niektórzy wyciągają same szczęśliwe karty - powiedział jeden z chłopców. Wyjątkowo miły, pomyślałam. Wszystko to jest wyjątkowo miłe, myślałam, wszyscy ci przyjemni młodzi ludzie pytający o Kennedy'ego. I tak miło opierać się o Johna, i on tak miło pachnie piwem i mydłem, tym bardzo luksusowym mydłem w kolorze miodu.

Wsiadłam do samochodu przekładając nogi, jakby należały do kogoś innego, spojrzałam na Johna przez mgiełkę frywolności. Nigdy na nikogo tak nie patrzyłam. Zdawało się, że bardzo mu to przypadło do gustu. Jak miło z jego strony, że trzyma rękę na moim kolanie głaszcząc jedwab pończochy, jaki uroczy kolor mają włosy na jego dłoniach, błyszczące i złociste jak kolor piwa.

- Pokażę ci zachód słońca nad rzeką - powiedział z językiem w moim uchu.

- Cudownie - odparłam poruszając głową i odsłaniając szyję, żeby mógł ją pocałować. Spodoba mu się moja szyja, pomyślałam, będzie musiał odgarnąć włosy, żeby się do niej dostać. Jaka miękka, jaka ciepła, powiedział.

Przyjazny głos, który szturchał mnie w zębra, stał się cichszy i mniej serdeczny. Mówił: to mąż Liz. To mężczyzna, którego nie znosisz. Ale mówił też: to wszystko nie tak. Liz go nie chce, Liz lubi kobiety. Mówił: jak cudownie być blisko niego, jak zręcznie manipuluje rękami.

John odpinał moją nową bluzkę i mówił: - Spójrz na słońce na rzece. - Sam jednak nie patrzył, nurkował i lądował z ustami na mojej piersi, a ja krzyczałam z rozkoszy i zaskoczenia pod wpływem tego, co robiły jego usta.

- Piękne cyce, piękne, takie właśnie lubię, duże i jędrne.

Nie musisz słuchać tego, co mówi, powiedział głos we mnie. Po prostu pozwól mu kontynuować.

John dyszał, gryzł. Wydawało mi się, że wierzgam jak koń, rzucam się jak ryba na piasku. On dyszał, jakby miał za chwilę umrzeć, tak bardzo mnie pragnął.

Zadarł mi spódnicę i ściągnął rajstopy. Poruszyłam się i nagle znalazłam się w środku, a ja krzyczałam z rozkoszy, zaskoczona, a w chwilę później krzyczał on.

Podał mi chusteczkę.

- Nie chcemy poplamieć tapicerki - powiedział. - To służbowy samochód.

Było po wszystkim i wszystko było nie tak. Nagle wytrzeźwiałam. Spojrzałam na siebie. Humorystyczne. Rajstopy spuszczone do kolan, włosy niemożliwie potargane. Jęknęłam. Myślał, że jęczę z rozkoszy.

Miętosił moją pierś jakby wyrabiał kotlety.

- Marzyłaś o tym, prawda? Założę się, że nie miałaś nikogo od lat. Bałam się, że będę musiał zerwać wisienkę, ale nie ma tak dobrze, ktoś mnie uprzedził. Masz przed sobą wielką przyszłość, skarbie, tak bardzo tego potrzebujesz i do tego z takimi cycami!

Uruchomił silnik. Wilgoć między moimi nogami zdawała się symptomem straszliwej choroby.

Boże, powiedziałam w duchu do siebie, uważając, żeby nie wydać głosu. Miałam ochotę płakać, miałam ochotę się wykąpać. Niebo płonęło pomarańczowo.

Wysiadłam z samochodu i usiłowałam się uśmiechnąć do Johna. Co powiem Liz? Nogi miałam niemożliwie ciężkie, kiedy wchodziłam po schodach do mojego obcego mieszkania. A jednak odczuwałam przyjemność, nigdy nie mogę się na ten temat okłamywać. Sama (tak powiedziałby mężczyzna, ale nie kobieta) jestem sobie winna. I za to właśnie Liz będzie mną pogardzała najbardziej: że mi się podobało, że tego chciałam, że czułam to, co czułam. A teraz, mokra i brudna, zastanawiałam się, komu mogłabym o tym powiedzieć. A także ile będę musiała opowiedzieć. Przynajmniej idąc do spowiedzi wie się, że trzeba powiedzieć wszystko. Nie miało to żadnego związku z dobrocią, z ludzkimi uczuciami. Zrzuca się z siebie ciężar, nie raniąc przy tym nikogo.

Uznałam, że jeśli ubiorę się bardzo starannie i będę wyglądała szykownie, to może nikt nie pomyśli o mnie gorzej niż przedtem. Usiłowałam zrobić śniadanie, w kuchni unosił się jednak jakiś brzydki zapach, drobinki cebuli i papryki w zlewie i warstwa czegoś, co wyglądało na rdzę na patelni, uczyniły śniadanie niemożliwym. Bolała mnie głowa, oczy wydawały się maleńkie, wyłupiaste i delikatne.

Poszłam do autobusu, uderzając obcasami o chodnik „wszyscy wiedzą, wszyscy wiedzą”. Ale lubili Johna, lubili też ludzi pijących, więc może i mnie polubią, może uznają, że jestem równa, może przez to wydam się bardziej ludzka. Pomyślałam, że używa się tego słowa wtedy, kiedy ktoś popełnił jakiś szczególnie degradujący uczynek.

Lawinia Hartman była kobietą, jaką chciałabym być; wiedziałam o tym, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy przed tygodniem w czasie rozmowy ze studentami.

Miała siwe, bardzo gęste włosy, spięte w węzeł nisko na szyi. Prawdopodobnie używała szpilek plastikowych, ale wyglądały jak spinki z kości. Mogła być albo tancerką, albo przeoryszą, tak prosto się trzymała. Miała śniade dłonie, końce palców okrągłe, nad nimi zaokrąglały się łuki paznokci. Jako inspektor społeczny od początku pracowała nad projektem.

Lawinia była wdową. Nigdy nie będę taka, pomyślałam, nie będę miała takich włosów, ani takich paznokci przez to, co czułam z powodu Johna Ryana. Nigdy nie będę zdolna do tak zagorzałego wdowieństwa. Gdyby John Ryan kiedykolwiek dotknął Lawinii, przez jej oczy przemknąłby błysk ciemny jak cień i on poczułby się odepchnięty. Uścisnęłam rękę Lawinii, myśląc jak dobrze urodzić się protestantem. Lawinia miała bowiem te wszystkie protestanckie cnoty, o których nigdy nie wspominał mój ojciec: dyscyplinę i spokojną, głęboką wyrozumiałość. I cudowny układ kości, jaki nigdy nie zdarza się u katolików.

Uznałam za niezwykłą uprzejmość z jej strony, że nawet nie wspomniała o moich przekrwionych oczach. Przyniosła olbrzymi stos folderów. Miała na szyi zwykły srebrny krążek, zupełnie nieozdobny, który wisiał między jej drobnymi piersiami na skórzanym rzemyczku. Zapaliła papierosa. Pomyślałam, że żółte plamy na jej palcach są bardzo na miejscu, stanowią odpowiednie wykończenie, jak politura na jasnym drewnie.

- Mam nadzieję, że będziesz się do mnie zwracała po imieniu - zaczęła, jakby dzieliła się ze mną jakąś bardzo smutną wiadomością. Pomyślałam, że propozycja wyrażona w ten sposób dowodzi wyjątkowo dobrych manier. Mogłaby przecież zapytać: „czy mogę mówić pani po imieniu, Izabelo?”

- Moja siostra miała na imię Izabela - powiedziała. - To znaczy, dalej ma - roześmiała się suchym śmiechem palacza, który zakończył się kaszlem.

- Wiesz, że nigdy nie spotkałam nikogo, kto miałby na imię Izabela? A ty spotkałaś jakąś Lawinię?

- Prawie wszyscy w naszej rodzinie mają tak na imię. Ale to się chyba nie liczy.

- Nie. Nie jest to przypadkowa próbka - powiedziałam. Lawinia zaczęła otwierać foldery wygladzając je wierzchem dłoni.

- Ludzie, z którymi będziesz przeprowadzała wywiady, też nie są przypadkową próbką. Będziesz rozmawiała jedynie z tymi, których już badaliśmy. To znaczy, z takimi, którzy reprezentują minimalny standard. Nie zobaczysz prawdziwych okropności. Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowana.

- W żadnym razie. Mam niską tolerancję na okropności.

- Ja też. I to się nie poprawia. Radzę ci nie zajmować się działalnością socjalną. Mimo że nie pytałaś mnie o radę.

- Ależ jak najbardziej. Jestem w tej dziwnej sytuacji, że mam trzydzieści lat i nigdy jeszcze nie pracowałam, nie przeszłam też żadnego przeszkolenia. Czuję się trochę jak kosmonauta.

- Świeżo po rozwodzie?

- Co?

- Byłaś mężatką? I dlatego czujesz się tak niepewnie?

- To był mój ojciec. Był inwalidą. Zajmowałam się nim.

Lawinia obrzuciła mnie powolnym, ciemnym spojrzeniem, które mówiło: cóż za dziwaczne postępowanie, ale skoro już tak zrobiłaś, to nie ma o czym mówić. Miała szczególny dar, a może był to czysty przypadek, że sprawiała takie wrażenie, iż jej rozmówca zawsze czuł się najważniejszą osobą.

Powiedziała mi, jakie są cele naszych badań.

- Politycy usiłują zbić na tym kapitał polityczny, ale to nie jest sprawa polityki. My chcemy się dowiedzieć, jakie przypadki i sytuacje nadają się do opieki domowej. Bardzo to jest zwodnicze, ponieważ będziesz prowadziła badania u ludzi w domach.

Powiedziała właśnie to, co ja usiłowałam powiedzieć studentom, tylko że w moich ustach zabrzmiało to pretensjonalnie i patetycznie. Pomyślałam, że może nauczę się od niej, jak zachowywać się bardziej prosto i bezpośrednio.

Lawinia przeprowadziła ze mną próbny wywiad. Pokazała mi nazwiska i teczki. Znaczyły coś dla Lawinii, ale dla mnie stanowiły jedynie plamy.

Zapytałam, czy poszłaby ze mną na lunch.

- Zawsze jem lunch z córką. Przychodzi ze szkoły i przygotowuje dla nas jedzenie. To moja jedyna niepodważalna randka.

Poczułam się głupia i odrzucona, co powinnam była przewidzieć. Wyraźnie odczułam brak więzi, nie wątpiłam, że wszyscy inni wiedzieli o domowych lunchach Lawinii. Posunęłam się za daleko, powinno się postępować ostrożniej z kobietą taką jak Lawinia, która z niechęcią odniosłaby się do prób nawiązania bliskich kontaktów w tak szybkim tempie. Lubiałam ją częściowo właśnie za jej chłód, a ponieważ ją polubiłam, z pewnym żalem myślałam o tym, że nigdy nie zostaniemy przyjaciółkami.

Dostałam biurko w pewnej odległości od wszystkich sekretarek. Uświadomiłam sobie, jak wiele czasu zabierze mi papierkowa robota, ale nie miałam nic przeciwko temu, mogło to nawet przynosić ulgę po przygnębiających kontaktach z ludźmi. Otworzyłam szuflady i obejrzałam przydział materiałów biurowych: notatniki i spinacze, cudowne nowe ołówki i gumki.

Słyszałam, jak John przyszedł do biura. Zupełnie o tym zapomniałam, będę musiała go codziennie widywać. Cóż mogłam na to poradzić? Czy dalej będzie chciał ze mną sypiać, czy też powodowany jakąś przewrotną rycerskością da temu spokój?

Podszedł do mojego biurka i rzucił mi jakieś kluczyki.

- Załatwiłem ci służbowy samochód. Nie każdemu się to udaje. Tylko moim specjalnym protegowanym.

Szczególny ton głosu sprawił, że wszystkie sekretarki spojrzały w naszą stronę.

- Chodź na lunch - zaproponował.

- Dopiero zaczęłam, John. Nie chciałabym przerywać.

Pomyślałam, że gdybym mogła zapanować w pełni nad swoim głosem, osiągnąć ton Lawinii i jej sposób wymowy, John nie czułby wobec mnie ani złości, ani pożądaniami.

- Mam nadzieję, że nie zanudzisz nas tą pracą. Trzeba trochę czasu przeznaczyć i na życie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Chciałam powiedzieć: jeśli dobrze cię rozumiem, nie jesteś żaden Dante, ty baranie. Ale nic nie powiedziałam.

- Liz chce, żebyś przyszła dziś na kolację. Mnie nie będzie, więc nie ma mowy o żadnych niezręcznych trójkątach.

Nawet nie zniżył głosu, wszystkie sekretarki udawały, że pracują w pierwszym prawdziwym przyplywie energii od rana.

- Dziękuję, zadzwonię do niej - powiedziałam usiłując uśmiechnąć się jak młodsza siostra. Podniosłam oczy i w głębi pokoju dostrzegłam Lawinię.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała (wszystko słyszała, pomyślałam, wszystko wie) - Izabelo, czy przyszedłabyś do mnie w piątek na kolację?

- Bardzo, bardzo chętnie.

- Dobrze, potem ci dam adres i powiem o której.

Uśmiechnęła się do Johna zimno, uprzejmie, jak tego po niej oczekiwałam. To jest ktoś, kto nic o mnie nie wie, kto uważa, że jestem taka sama jak wszyscy. Była to dla mnie nowa myśl. Wszyscy inni ludzie, z którymi się kontaktowałam, znali moją historię. Zastanawiałam się, co z tego wytłumaczę Lawinii, ile będę musiała lub chciała wytłumaczyć. John ciągle jeszcze stał nad moim biurkiem. - Uważaj na nią. To niebezpieczna osoba.

- Dla kogo?

- Takie małe grzeczne dziewczynki jak ty potrzebują, żeby ktoś się nimi opiekował.

- Proszę cię, John, staraj się zachowywać przyzwoicie.

W jego oczach pojawiła się groźba. To jest niebezpieczne, pomyślałam. Wiedziałam, że muszę utrzymać z nim dobre stosunki, bo inaczej zwyczajnie i po prostu mnie zniszczy.

- Mam na myśli to, że prosiłam cię, żebyś nigdy tutaj ze mną nie rozmawiał - zachichotałam tak głupawo, że aż przewróciły mi się wnętrzności. Byłam bardzo przestraszona.

- Zadzwoń do Liz - rzucił przez ramię - i może uda ci się znaleźć dla mnie czas podczas weekendu, jeżeli mnie dobrze rozumiesz.

Dlaczego to się tak źle zaczęło? Dlaczego tak się wymknęło spod kontroli? Pomyślałam o domu mego ojca i o książkach na podłodze.

Teraz w dodatku będę musiała zadzwonić do Liz. I co? Powiedzieć jej, że przespałam się z jej mężem? Unikać tego tematu i narazić się na niemal atomowy atak jej wzroku? Jakimś cudem głos Liz w słuchawce zabrzmiał zupełnie normalnie. Pojadę do niej wieczorem na kolację.

Wysiadając z samochodu skręciłam nogę w kostce, podeszłam więc do tylnych drzwi domu lekko utykając.

- Mój mąż często wywiera taki wpływ na kobiety - powiedziała Liz. - Brak mu wyrafinowania.

Pac, pac, słowa Liz uderzały o moje policzki. Odwróciłam twarz, jakbym broniła się przed ciosem.

- Skręciłam nogę - oznajmiłam głupkowato.

Liz nie była sama. Przy okrągłym kuchennym stole siedział jakiś mężczyzna. Na jego twarzy mieszał się smutek i zaskoczenie, jakby dziwiło go, że ktoś może odzywać się niegrzecznie. Podniósł kieliszek z winem. Pomyślałam, że ma najpiękniejsze nadgarstki, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek widzieć. Pochylił się nad stołem, a ciało jego ukształtowało przy tym rodzaj wgłębienia, jakby przyzwyczajone było coś sobą zasłaniać, jakby zdawało się mówić: „przy mnie będziesz bezpieczna”.

- Izabelo, to jest Hugo Slade, mój weterynarz, czy raczej weterynarz mojej klaczy. Hugo, to Izabela Moore, moja najdawniejsza przyjaciółka i, jak przypuszczam, aktualna kochanka mojego męża.

Znowu poczułam te pacnięcia, tym razem mocniejsze, a zimne druty świdrowały mi czaszkę, która wydawała się nienaturalnie wysoka, lekka i pusta. Mówiła; na nic więcej nie zasługujesz. Liz, taka zagorzała i wymagająca, Liz nigdy mi nie przebaczy. Korytarz za kuchnią był ciemny jak tunel. Czułam, jak się cofam w tę ciemność, jak robię się coraz mniejsza, coraz bardziej wilgotna, aż wreszcie widzę siebie znikającą kompletnie za kuchennymi drzwiami w wilgotnym powietrzu nocy.

- Wystarczy, Liz - powiedział mężczyzna. - Twoja przyjaciółka jest bardzo nieszczęśliwa. Chyba to widzisz.

W jaki sposób potrafił to zrobić, ofuknął ją tak czule, jakby mówił nie tyle „nigdy nie zachowywałaś się gorzej”, ile „widziałem cię, kiedy postępowałaś dużo lepiej”. Ale nikt nie mógł zwracać się w ten sposób do Liz, oburzy się na to ciepło, jak inwalida na propozycję włożenia swetra w letnie popołudnie. Hugo Slade musiał sobie z tego zdawać sprawę. A jednak jego ciało wydawało się nieprzygotowane na cios.

Liz nagle zmieniła pozycję, jej plecy rozluźniły się tak, że robiły wrażenie normalnych pleców, nie pomnika. Wyglądała teraz po prostu na osobę rozczarowaną i dziwnie postarzała.

- Przepraszam - powiedziała - przepraszam. Potrafię być taka obrzydliwa.

I ku mojemu ogromnemu zdziwieniu zaczęła płakać. Czy chciała, żeby ktoś do niej podszedł, czy potrzebowała - jak niemal każdy potrzebowałby w takiej chwili - uścisku? Jednak chodziło o Liz, więc obawa przed siłą jej wyrzutów zatrzymała mnie na miejscu, jedną nogą w ciemnym korytarzu.

- Przepraszam cię, Liz, bardzo przepraszam - powiedziałam.

- Izabelo, chodzi o to, że to wszystko jest takie głupie. Dlaczego właśnie on? Ty go nawet nie lubisz?

- Wiem. Nie mam nic na swoją obronę.

- I założę się, że nawet nie stosujesz żadnych środków antykoncepcyjnych, co?

Nagle nie miałam ochoty powiedzieć Liz, że przygotowałam się na takie właśnie sytuacje. Zamiast tego powiedziałam pogodnie:

- Wszystko w porządku, mam okres, właśnie teraz. Hugo Slade odchylił głowę do tyłu i zaczął się śmiać.

- Powiedziała to pani jak harcerka chwalcą się odznaką sprawności.

Jego śmiech był ciepły, szczery i wyrozumiały. Otaczał nas, jako kobiety, męską obcą peleryną.

- Nie, Hugo, to nie była harcerka rozprawiająca o odznakach. To sodalistka mówiąca o bukietach duchowych - wyjaśniła Liz.

- Co to do diabła, jest sodalistka? - zapytał. - I co, do diabła, znaczą bukiety duchowe?

Raz jeszcze Liz i ja byliśmy razem. Raz jeszcze ocaliła nas przeszłość. Ale pewnego dnia, pomyślałam, to może nie wystarczyć. Opowiedziałyśmy Hugonowi anegdotki z katolickiej szkoły. Jego rodzice, jak wyjaśnił, byli kwakrami. Chcieli, żeby został prawnikiem, ale wolał zostać weterynarzem. Powiedział, że uważali to za trochę żenujący zawód.

- Ale dlaczego? - zapytałam. - Przecież to nie da się porównać z prowadzeniem burdelu.

- Chodzi o zwierzęta, nie o idee - wyjaśnił. - Obawiam się, że to bardzo skomplikowane.

Liz powiedziała: - Nie mam ochoty gotować. Zamówmy sobie pizzę i napijmy się piwa.

Hugo spojrział na zegarek. Po raz pierwszy jego absolutna gładkość uległa zmąceniu. To zaniepokojenie odebrałam tak, jakby ktoś nagle przytknął do moich żeber zapaloną zapalkę.

- W porządku - powiedział. - Dlaczego nie?

Zjedliśmy kolację we trójkę, opowiadaliśmy sobie dowcipy, a potem paliliśmy długie papierosy, które smakowały cudownie zamiast deseru. Obserwowałam, jak Hugo podszedł do zlewu. Nie był młody, miał siwiejące włosy i zaczynał trochę łysieć. Miał jednak w sobie mniej z dziecka niż jakikolwiek znany mi mężczyzna. To właśnie mi się w nim podobało. Każdy inny mężczyzna zdawał się zawsze w jakiś sposób mówić: „daj mi coś, potrzebuję czegoś od ciebie”. U Johna Ryana chodziło o seks. Ksiądz Mulcahy potrzebował kłamstw, a mój ojciec - mojego życia. Ale kiedy Hugo Slade podchodził do zlewu, o nic nie prosił. Niczego się nie domagał. Jedyny znany mi mężczyzna, w którego ruchach nie było żadnego przymusu. Kiedy stąd wyjdzie, myślałam, może już nigdy go nie zobaczę. To wprawilo mnie w taką rozpacz, że odezwałam się do niego bardziej bezpośrednio niż do jakiegokolwiek mężczyzny.

- Może zjemy kiedyś razem lunch - zaproponowałam drżąc na myśl o swojej wielkiej, płomiennej odwadze.

- Bardzo chętnie. W czwartki bywam w mieście.

Czułam się tak, jakbym wyszła z zimnej ciemnej drogi w światło księżyca, które okazało się niespodziewanie ciepłe.

- Zadzwoń w czwartek rano - obiecał.

- Bardzo proszę - powiedziałam. - To będzie wspaniale.

Pocałował Liz i uścisnął mi rękę. Jego dłoń była bardzo płaska, bardzo sucha.

- Więc zobaczymy się w tym tygodniu - powiedział puszcżając moją rękę.

Liz odprowadziła go do samochodu. Zostałam sama w kuchni i pogrążyłam się w rozmyślaniach. Co dalej? Tego mężczyznę mogłabym kochać. Zastanawiałam się też nad tym, czy kiedy zostaniemy same, Liz będzie niemożliwa. I co wtedy zrobię?

Liz wróciła i przez moment nie wiedziałam, jak się zachowa.

- Myślę, że ty i Hugo jesteście jedynymi dorosłymi ludźmi, których naprawdę lubię - powiedziała. - Nie możesz się jednak w nim zakochać. Ma straszną żonę. Rozszarpałaby cię na sztuki.

Znów poczułam zimno. Końce moich palców przypominały zagubione na piasku rybki.

- On jest żonaty?

- Oczywiście - powiedziała Liz jakby zwracała się do dziecka albo do idioty. -

Dlaczego ktoś taki jak Hugo nie byłby żonaty?

Skinęłam głową. Ale mimo wszystko jeszcze go zobaczę. Porozmawiamy. Myślałam o jego nadgarstkach, o jasnych, raczej zdziwionych oczach. Jeszcze go zobaczę. Może się wydarzyć wiele rzeczy.

VIII

Dom Kernerów bardzo mi się nie podobał. Była to moja pierwsza wizyta i wydawało mi się niesprawiedliwe, że akurat tu mieszkają. Miałam nadzieję, że nie nauczę się określać ludzi jako przypadki, co robiła nawet Lawinia, zakładając tym samym, że są chorzy, a ja mogę ich wyleczyć. Na razie nie przychodził mi do głowy żaden inny rzeczownik, adekwatny a neutralny, ale obiecywałam sobie, że coś takiego wymyślę. Tyle przynajmniej byłam winna ojcu - uczynić wysiłek dla znalezienia odpowiednich słów na nazwanie rzeczy.

Dom był niesłychanie czysty. Pani Kerner była wyjątkowo czysta, zdjęcia wnucząt na pianinie lśniły jak małe pomniczki czystości. Pani Kerner zdawała się bardzo zadowolona, jak gdyby zdobyła ten dom, kolorowy telewizor, królujący w bawialni niczym ponury, choć niezbyt wymagający bożek, mimo przepowiedni swoich nauczycieli i rodziny. Plastikowe serwetki pod plastikowymi owocami na niewielkim stole jaśniały fałszywym współczuciem, które było w istocie nienawiścią do biednych, nieudaczników, opóźnionych i niepozbiętych.

Fałdy tłuszczu na rękach pani Kerner powyżej łokci miały dziwne małe wyłobienia, jakby ktoś próbował je przez pomyłkę ozdobić i odcisnął w ciele małe foremki do wyrabiania ciasteczek w kształcie rombów. Była mocno uperfumowana, co u kobiety w jej wieku i jej postury nie odznaczało się urokiem seksualnego gestu.

- Chce pani pewnie zobaczyć pacjentkę. Po to tu wszyscy przychodzą - powiedziała.

- Najpierw chciałabym zdobyć rozeznanie w ogólnej sytuacji.

- Znaczą, chce pani obejrzeć chałupę - roześmiała się pani Kerner.

- W pewnym sensie - przytaknęłam. Wiedziałam, że nie powinnam używać przy pani Kerner takiego zwrotu, bo zacznie mnie naśladować w rozmowie z przyjaciółką przez telefon w tej samej chwili, w której wyjdę za próg.

Pani Kerner poczęstowała mnie papierosem z różowego plastikowego pudełka.

- Kawę zrobię później - powiedziała - jak już pani skończy z babcią. Nazywam ją babcią. Przez to czuję się bardziej w domu.

Zastanawiałam się, kto mógłby czuć się tutaj jak w domu.

- Bardzo to zabawne - kontynuowała pani Kerner - bo ona jest czarna jak smoła. Ale jest grzeczną dziewczynką, prawda, babciu?

Z przestrzeni poza lewym ramieniem pani Kerner nie dobiegał żaden dźwięk.

- Musiała zasnąć. Strasznie dużo śpi, ale to podobno dobrze w tym wieku.

- Pani Johnson ma osiemdziesiąt siedem lat?

- Tak, ale pochowa nas wszystkich - oznajmiła pani Kerner z prychnięciem.

- A więc jest na ogół zdrowa?

- No, praktycznie biorąc to jest niewidoma, nie najlepiej chodzi, a czasami - tu pani Kerner na chwilę zamilkła - robi pod siebie, ale doktor twierdzi, że może tak żyć jeszcze wiele lat.

- Czy jest pani zadowolona z pomocy, jakiej udziela hrabstwo?

- Ma wszystko, czego potrzebuje.

- A jej obecność w domu nie stała się ciężarem, fizycznym, emocjonalnym, finansowym dla rodziny? - czytałam z formularza.

- Nie, mieszkamy tylko z mężem. Córka mieszka niedaleko i codziennie przychodzi na kawę. Najczęściej wyrzucam ją, żeby poszła do siebie i przygotowała lunch dla własnych dzieci. Przysięgam, że gdyby tylko mogła, to by się tu wprowadziła. Już tacy jesteśmy - pani Kerner skrzyżowała dwa środkowe palce.

- Tak - powiedziałam. Nigdy nie lubiłam dziewcząt, które były „bardzo blisko z matką”. Przynajmniej z ojcem nie dało się być blisko w taki denerwujący sposób.

- Czy istnieją jakieś sfery działalności komunalnej, w której pani uczestniczy wraz z pacjentką?

- Kiedyś zabierałam ją na bingo, ale teraz ona nic nie widzi.

- Czy są jakieś formy działalności komunalnej, które byłyby pomocne dla pani i dla pani pacjentki?

- Słuchaj no, skarbie, ona nie słyszy, nie widzi i nie chodzi. Trudno żeby zaczęła grać w krokieta.

Pani Kerner roześmiała się z tego, jej zdaniem, doskonałego dowcipu.

Uśmiechnęłam się. Gdybym była zakonnicą, nie oczekiwałaby, że się roześmieję.

- W bibliotece komunalnej są taśmy z nagraniami książek dla niewidomych - powiedziałam.

- Proszę pani, pani Johnson lubi słuchać radia i ma radio, lubi jeść, a ja daję jej to, co lubi, porcję lodów po południu i specjalne herbatniki wieczorem. Ma to, czego chce. Proszę nie robić zamieszania.

- Sugerowałam jedynie...

- Myśli pani, że łatwo opiekować się taką osobą?

- Wiem, że nie. Sama to robiłam. - Myślałam, że dla pani Kerner będzie to coś znaczyło, ale nawet się nie zawahała.

- A więc wie pani, że praktycznie byle co sprawia im przyjemność. Są jak dzieci. Cieszą się byle czym.

Nic nie uszczęśliwiało mojego ojca. Pomyślałam o jego wściekłości, o jego łzach i przymusowym, tak boleśnie odczuwanym milczeniu. Jakże byłoby cudownie, gdyby mogła go uszczęśliwić porcja lodów.

Przeszłam się po domu robiąc notatki na temat światła i przestrzeni, zwracając szczególną uwagę na higienę, nie miałam bowiem wątpliwości, że pani Kerner przede wszystkim chciałaby higienę podkreślić w raporcie.

Pani Kerner zaprowadziła mnie do sypialni pani Johnson. Sypialnia była różowo-biała, na obrazkach małe dziewczynki w różowych sukienkach i białych futrzanych czapczkach trzymały na rękach króliki lub białe futrzane mufki. Na miejscu pani Johnson poczułabym się dotknięta wystrojem tego pokoju, jego kolorytem i dziecinnością. Pani Johnson siedziała w łóżku jak wesoły mały ptaszek, ubrana w różową lizeskę.

- Babcia jest niegrzeczną dziewczynką, wyjęła zęby - powiedziała pani Kerner.

- Nie szkodzi - oświadczyła pani Johnson. - Tej pani to nie przeszkadza. Siadaj na moim łóżku, żebym mogła ci się przyjrzeć. I weź mnie za rękę. Lubię, jak mnie ktoś trzyma za rękę. Umiem czytać z ręki.

Pani Kerner uniosła oczy do góry, żeby zasugerować wspólnotę między nami przeciwko światu ludzi starych i głupich.

- Chciałabym, żeby pani poczytała z mojej ręki, pani Johnson. Chciałabym, żeby mi pani przepowiedziała przyszłość.

- Nie mogę ci powiedzieć, co się na pewno zdarzy. Tylko co się może zdarzyć - powiedziała ze śmiechem.

- Jeżeli pani z tym zacznie, to ona się nigdy nie uspokoi, nie będzie można z nią wytrzymać - wtrąciła pani Kerner.

- Spokojnie, kochanie - powiedziała pani Johnson. - To jest nowa osoba. Nic o mnie nie wie. - Pomachała ręką z palcami jak szpony, która wydawała się nieproporcjonalnie duża w stosunku do reszty ciała, a jednak dziwnie pociągająca z tymi olśniewająco białymi paznokciami.

- Dopiero poznałaś mężczyznę, miłego, z niebieskimi oczami. Lubi cię. Myśli, że jesteś słodka.

Hugo Slade, pomyślałam. To musi być Hugo Slade. Może coś o tym wiedziała.

- Tak? - ponaglałam ją z zainteresowaniem. Pani Kerner prychnęła wzgardliwie.

- Ożeni się z tobą. Dzieci z niebieskimi oczami - pani Johnson oparła się z powrotem o poduszkę i chichotała.

- Każdemu mówi to samo. Małżeństwo i dzieci, małżeństwo i dzieci, dokładnie to samo - powiedziała pani Kerner.

- Miałam dziesięcioro dzieci. Troje umarło - oświadczyła pani Johnson. - A reszta rozproszyła się po wielkim świecie.

- A ilu mężów, Śnieżko? Powiedz pani - nie przestawała pani Kerner.

Zachnęłam się, ale pani Johnson zdawała się nie mieć nic przeciwko temu.

- Pięciu mężów. Byłam ładniutką panienką - powiedziała.

- Pani Kerner, czy mogłaby pani w drugim pokoju wypełnić ten formularz, a ja przez ten czas porozmawiam z panią Johnson?

Pani Kerner spoglądała podejrzliwie.

- Niech pani nie wierzy nawet połowie tego, co ona powie. Ma bujną wyobraźnię.

- Powiem jej, że jesteś dla mnie dobra, Adelajdo. Powiem, że zawsze dobrze mnie traktujesz i wołasz mi doktora.

- Babciu, zachowuj się - przypominała pani Kerner czując, że teraz już bezpiecznie może wyjść z pokoju.

- Pani Johnson, czy dobrze się pani czuje u Kernerów?

- Masz ładne ręce. Będiesz szczęśliwa z tym mężczyzną o niebieskich oczach. Ścisnęłam jej rękę. Chciałam powiedzieć: dziękuję, dziękuję i sprowokować ją jeszcze do czegoś. Musiałam jednak uzyskać od pani Johnson odpowiedzi na pytania.

- Lubi pani mieszkać u Kernerów?

- Dobrze mnie traktują. Daj mi tego ptaszka. To mój Pete. Ale nie mówi - powiedziała pani Johnson wskazując na znudzoną papużkę w klatce przy oknie.

- Czy woli pani mieszkać tutaj czy w domu starców? - zapytałam usiłując uprościć nazbyt skomplikowany, jak to sobie uświadomiłam, język kwestionariusza.

- Lubię, tutaj. Mam swój pokój. Swoje radio. Podoba mi się. Miałam przyjaciół, ale umarli. Ludzie kradli. Ktoś mi ukradł wodę kolońską. Podoba mi się tutaj.

- Czy chciałaby pani spotykać ludzi w swoim wieku, chodzić gdzieś, gdzie będą ludzie w pani wieku?

- Miałam przyjaciół, ale umarli - powiedziała pani Johnson.

Ta kobieta czuła się tutaj szczęśliwa, pani Kerner miała rację, tyle że podawała złe przyczyny. Niewiele trzeba było, by uczynić panią Johnson szczęśliwą: ciepło i zacisze domowe, ten różowy kolor, ptak w klatce. To wszystko pani Kerner mogła jej zapewnić. Jeśli nawet pani Johnson czuła się samotna, nie było to dla niej niespodzianką, była starą kobietą, jej przyjaciele powymierali, dzieci się rozproszyły, ale tego właśnie oczekiwała, Skoro dobrze się tutaj czuła, nie miało sensu wyjaśnianie jej, że pani Johnson była rasistką, że zniżala się do niej.

Niesprawiedliwość polegała na tym, że pani Kerner ze swoją czystością i ignorancją mogła uczynić kogoś szczęśliwym, podczas gdy ja całą siłą mojej miłości nie mogłam nawet na centymetr unieść ciężaru głębokiego nieszczęścia ojca. Mimo wszystko wiedziałam, że muszę napisać przychylną ocenę. Muszę napisać: ta kobieta jest szczęśliwa.

Pragnęłam jednak, by pani Johnson mogła mieszkać z kimś przyjemniejszym, kto pozwoliłby jej wróżyć z ręki, nawet codziennie, kto pozwoliłby jej powtarzać to samo: dzieci i małżeństwo, małżeństwo i dzieci, codziennie, choćby do samej śmierci.

Kiedy się ubierałam na kolację do Lawinii, zastanawiałam się, co ludzie robią z przeszłością. Czy ofiarowuje się ją gospodyni na białym półmisku jak rzadki tropikalny owoc? Moja przeszłość była moją najbardziej interesującą cechą. Miejsce, skąd przybyłam, było znacznie bardziej atrakcyjne niż to, kim jestem. Czy oszustwem jest posługiwanie się przeszłością jako rodzajem sprawdzianu? Mogę wypróbować ludzi według ich reakcji na moje dziwne, wyjątkowo niepowtarzalne doświadczenie. Ludzie mogą traktować moją przeszłość jak sprawę Rosenbergów, ohydną, ale jednak przykuwającą uwagę. Zaczynałam myśleć o przeszłości, mojej osobistej przeszłości, jak o historii, tak różna była od terażniejszości i od doświadczeń ludzi, z którymi będę się teraz spotykać. Trudno przedstawiać siebie jako pomnik, to nie ulegało wątpliwości. Jak jednak mogę opisać mojego ojca nie używając monumentalnych proporcji, jak opisać jego uprzedzenia i erudycję, prowokacyjny autorytet, jego ataki wściekłości i szloch, i jego ciało, zranione jak ciało żołnierza, bezradne w łóżku.

Czułam kruchość terażniejszości, uważałam więc, że muszę zaprezentować przeszłość. Podobnie jak w towarzystwie studentów w ośrodku komunalnym (nie myśl o tym wieczorze, powtarzałam sobie, kiedy w pamięci pojawiał się obraz Johna, obrzydliwy jak rzygowiny) obawiałam się teraz, że wydam się Lawinii archaiczna i staromodna, bałam się, że nie potrafię prowadzić rozmowy. Pomyślałam o biznesmenach, którzy uczyli się na pamięć dowcipów.

O czym ludzie rozmawiają, jeśli nie mają przeszłości, na której mogliby się opierać? Mogłybyśmy rozmawiać z Lawinią o pani Kerner i pani Johnson, ale moja reakcja na nie płynęła z przeszłości i musiałabym ją wytłumaczyć w tamtych kategoriach. Czy dla większości ludzi terażniejszość wydaje się niewystarczająca?

Nikt z moich znajomych nie miał takiego domu jak Lawinia. Była to koncepcja powojenna. Mogłam sobie wyobrazić Lawinię jako młodą żonę, której mąż właśnie wrócił z wojny i jako były żołnierz dostał się do college'u. A potem osiedli tutaj oczekując, że życie potoczy się zgodnie z planem. Był to dom jednopiętrowy, pokoje miał duże i otwarte. Z bawialni rozpościerał się widok na przestrzał aż do kuchennego okna. Pomyślałam, jak to cudownie mieć taki prosty dom, bez żadnych zakątków zbierających kurze czy sekretne smutki, gdzie wszystko jest widoczne, łatwe do wytłumaczenia, gdzie światło wpada przez frontowe okno przez cały dzień, jakby nie było nic do ukrycia.

Lawinia ubrana była w zielone spodnie i bluzkę w paski z szerokimi trójkątnymi rękawami. Na nogach miała sandały i ze zdumieniem zauważyłam, że jej stopy są zupełnie pozbawione wdzięku, jakim odznaczały się dłonie; były szerokie z dużym palcem mocno zaokrąglonym. Usiadłam na brzeжку kanapy myśląc o tym, że nie mam nic do powiedzenia.

- Jestem raczej kiepską kucharką - wyjaśniła Lawinia. - Jeśli chcesz zjeść coś dobrego, musisz przyjść wtedy, kiedy kuchnię zajmuje się moja córka. Jest ode mnie znacznie lepsza, podobnie zresztą jak w wielu innych rzeczach. To dziwne uczucie. Nagle dziecko cię przewyższa. Tak jak w wieku trzynastu lat dzieci nagle odkrywają, że mogą podnieść jednego z rodziców na rękach.

- Ile ma lat?

- Siedemnaście. W przyszłym roku pójdzie do college'u.

- Będziesz za nią tęsknić.

- Tak, ale najdziwniejsze jest to, że ona za mną nie będzie tęsknić.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Niezupełnie. Ja byłam zachwycona, kiedy wyszłam z domu. Przez miesiąc w ogóle nie napisałam do rodziców. Tylko że ja nie znosiłam matki. Była straszna. Ona też nigdy mnie nie lubiła. Przypuszczam, że dopiero po urodzeniu Karen matka poczuła się bezpieczna w moim towarzystwie.

Oto Lawinia oferuje mi swoją przeszłość, pomyślałam. Czy w ten sposób postępują wszyscy? Czy siedzą na kanapach, pogryzają orzeszki i słyszą wyznania „matka zawsze mnie nienawidziła”? Jednak Lawinia oferując te szczegóły, które mogły być potencjalnie intymnej natury, nie oferowała przecież intymnej bliskości. Stała za skonstruowaną przez siebie dymną zasłoną szczegółów, prawdopodobnie jeszcze mniej dostępna niż przedtem.

- Jak tam twój pierwszy przypadek? - zapytała.

- Dziwny. Staruszka raczej mi się podobała, ale zdecydowanie nie polubiłam kobiety, która się nią opiekuje. Ale dobrze im ze sobą. Muszę przyznać, że wszystkich to rozwiązanie bardzo zadawała.

- Prócz ciebie.

- Tak. Ale ja niechętnie przyznaję, że ktoś, kogo nie lubię, robi coś dobrze.

Wiem, że to nie ma znaczenia.

- Na to nie ma rady, jednych się lubi, innych nienawidzi. Po prostu nie umieszczaj tego w raporcie.

Tak, pomyślałam, Lawinia potrafi to zrobić, nienawidząc osoby napisać dobrą ocenę. Ja mogę nienawidzić i napisać, ale nie potrafię zapomnieć. Nienawiść do pani Kerner nosiłam w sobie. Czy możliwe, że jednak nie jestem wspaniałomyślna?

Jedzenie u Lawinii było wyjątkowo niedobre. Usiłowałam odkryć przyczynę, ale potrawy były zbyt proste, by sprawa ta dała się łatwo wyjaśnić. Kotlety smakowały tak, jakby zostały ugotowane, zanim Lawinia dała za wygraną i zaczęła je smażyć. Groszek pochodził z puszki i był żółtawy. Surówka składała się z zielonej sałaty i pomidorów, a przede wszystkim z majonezu. To był rodzaj posiłku, jaki mogłaby przygotować Margaret Casey, pomyślałam i zadrżałam, bo myśl o Margaret działała

na mnie zawsze jak zimny prąd w ciepłym jeziorze. Trudno sobie wyobrazić kogoś, kto bardziej różniłby się od Margaret niż Lawinia, kiedy tak siedziała naprzeciwko mnie przy szklanym holenderskim stole ze swoimi wysokimi, indiańskimi kośćmi policzkowymi.

Na deser podała brzoskwinie z puszek i gęsty krem, który wlała do ciemnoniebieskiego pojemnika, przez co wydał się pełen ukrytych możliwości, luksusowy i jadalny. Wymazał wspomnienia o nieudanej kolacji. Wypiłyśmy kawę rozpuszczalną w living-roomie. Dla osoby tak dobrze wychowanej jak Lawinia podobna kolacja oznaczała świadomy wyraz pogardy czy wyzwanie, jakby sobie ogoliła głowę albo zafundowała tatuaż. Właśnie owa świadomość ocaliła ten posiłek, który nie domagał się litości, jak miałyby to miejsce w przypadku Margaret. Głosił: „Są rzeczy, które mogłabym zrobić, ale nie zrobię”. Obelga czy oznaka sympatii? Lawinia przytrzymała kubek z kawą między kolanami, żeby zapalić kolejnego papierosa.

- Fascynują mnie te wszystkie twoje lata - powiedziała. - Nie przypuszczałam, że ludzie tacy jak ty jeszcze się opiekują swoimi rodzicami.

- Co masz na myśli mówiąc ludzie tacy jak ja? - zapytałam niedbale, nawet zalotnie, bardzo podniecona. Teraz mi powie, jaka jestem. Nigdy dotychczas nie oceniał mnie nikt tak oczywiście różny ode mnie, kto znał z mojej przeszłości jedynie to, co uznałam za stosowne opowiedzieć.

- Chyba chodzi mi o kogoś inteligentnego, rozgarniętego i niezbyt styranizowanego. To musiało być przekleństwo.

Lawinia użyła słowa „przekleństwo” jak protestantka, jak Amerykanka. Poczulałam się w kropce. Miałam wrażenie, że zostałam powołana, by wyjaśnić swoje życie komuś, kto nie współczuje z nim w sposób naturalny z powodu pochodzenia czy wspólnie przewyżczonych przesądów. Będę musiała przekonać Lawinię do swojego tycia, jak przekonuje się kogoś do jedzenia karczochów, powoli, wykorzystując połączenie taktu i zdolności handlowych. Będę musiała przedstawić ojca komuś, dla kogo na przykład słowo „ortodoksyjny” może brzmieć zupełnie obco, dla kogo pojęcie autorytetu łączy się albo z życiem publicznym, albo z zagrożeniem.

- Bardzo kochałam mojego ojca - zaczęłam, dostrzegłam jednak freudowskie podejrzenia w umyśle Lawinii, na co wskazywał zmieniający się kolor jej oczu. Miłość oznacza nienawiść, przywiązanie jest inną formą zabijania, tak myślała Lawinia. Będę musiała unikać tego rodzaju pułapek: zdania typu „bardzo kochałam mojego ojca” naładowane są słowami, jak ukryte pola minowe. Muszę dobierać słowa ze względu na ich praktyczność, jakbym kupowała płaszcz od deszczu

- Kiedy zachorował po raz pierwszy, kiedy po wylewie został sparaliżowany, krępowało go bardzo, kiedy go ktoś widział. Był bardzo dumnym mężczyzną. Chyba

nie miałam serca ani siły woli, żeby mu się przeciwstawić, a po pewnym czasie wydawało się naturalne kontynuowanie, skoro już zaczęłam się nim opiekować. Wiedziałam, że fizycznie przeszedł tak wiele, że nie chciałam z nim walczyć.

- Miałaś go więc tylko dla siebie - powiedziała Lawinia, jakbyśmy rozmawiały o randce z aktorem filmowym. Przeraził mnie jej ton. Cokolwiek powiem, spotka się z tym badawczym niezrozumieniem.

- Nie było nikogo innego - kontynuowałam. - Matka zmarła, kiedy byłam małym dzieckiem.

- Żadnej fachowej pomocy?

- Lawinio, musisz zrozumieć, że życie mojego ojca koncentrowało się wokół parafii. Nie było więc ani inspektorów socjalnych, ani psychologów. Tylko księża.

- I cóż ci powiedzieli?

- Nie pytałam. Nie musiałam pytać. Po prostu przyjęło się, że ja spełnię tę rolę.

Uświadomiłam sobie nagle, że Lawinia uważa mnie prawdopodobnie za szaloną albo niedorozwiniętą. Zadałam sobie to samo pytanie, które przed chwilą zadała mi Lawinia, ale mogłam się zdobyć jedynie na najgłupszą odpowiedź: nie, nie uważałam, że w tej sytuacji istniał jakiś wybór. Wszystko wydawało się niezmiernie proste. Ojciec był bezradny, więc ja będę się nim opiekować. On tego chciał, a ja byłam na miejscu. Wszystko roztoczyło się przede mną w sposób równie nieunikniony jak droga. Powiem Lawinii, że byłam bardzo młoda, kiedy pierwszy raz zachorował.

- I przez cały ten czas nigdy o tym nie myślałaś?

- Powiedzmy, że jeśli nawet myślałam, to w miarę upływu czasu zmiana stawała się niemożliwa. Bardzo by przygnębiła ojca. Wywodził się z tradycji, w której ludzie opiekowali się swoimi bliskimi.

- Masz na myśli, że rujnowali się dla nich.

- Lawinio, ja ciągle jestem nienaruszona - powiedziałam prostując się na kanapie i czując żal do Lawinii, że ujęła moje życie w swoje kształtne, interesujące dłonie i wycisnęła z niego całą wilgoć, aż stało się suche, płaskie i obrzydliwe.

Lawinia spojrzała na mnie powoli, jakby sprawdzała coś ostatecznie.

- To zadziwiające, ale wydaje się, że rzeczywiście zachowałaś się w całości. W jaki sposób?

Chciałam powiedzieć, że były dni, kiedy miałam ochotę jedynie spać. Były dni, kiedy nienawidziłam ojca, kiedy czułam w ustach smak jego śmierci, tak bardzo jej pragnęłam. A on płakał w moich ramionach, bo tak jej pragnął. I tak czekaliśmy oboje, czekaliśmy na jego śmierć. Chciałam też powiedzieć: a kiedy umarł, to nawet nie płakałam.

Zamiast tego powiedziałam: - Przypuszczam, że zostały jakieś blizny, które z czasem znikną.

Teraz już wiedziałam, że Lawinia uważa mnie za osobę dziwną. Może chciała, żebym zapytała o śmierć męża. Ale czułam, że w tym momencie byłoby to rodzajem zemsty, badanie za badanie, rozsypywanie za rozsypywanie, a może nawet rodzaj współzawodnictwa, tego najgorszego, jakie uprawiały w kuchni mojego ojca Margaret Casey i pani Keeney. Kogo życie bardziej doświadczyło, kto więcej przecierpiał?

Na jednym z parapetów okiennych stało w owalnej ramce zdjęcie patriarchy. To była przeszłość bardziej przypominająca historię, okrągła, daleka, niezdolna zranić. Męczyzna na fotografii mógł wzbudzać jedynie dumę.

- Kim jest ten wspaniale wyglądający pan? - zapytałam,

- Mój dziadek - powiedziała Lawinia. Poszła po fotografię, ruchy jej ciała wyrażały wyzwanie, dezaprobatę i trudności, jakie nad nami zawisły.

- Był jednym z inicjatorów prohibicji. Jego ojciec zmarł jako pijak, a nasza rodzina zawsze miała tendencje do gorliwości.

Sposób, w jaki Lawinia wypowiedziała „nasza rodzina” oznaczał pieniądze i etykietę, odnosił się do ludzi, którzy przebierali się do kolacji, i spokojny, dławiący smutek, który prowadził do samobójstw na stryszku. Oznaczał życie z wyraźnym pojmowaniem słowa „my” i „oni”. To by wyjaśniało okropną kolację Lawinii.

Oparłam się wygodnie i powiedziałam z absolutną swobodą:

- Opowiedz mi o swojej rodzinie. Czy wszyscy byli politykami?

Lawinia skrzyżowała nogi, przygotowując się do opowiadania interesujących historii. Będą to jasne historie, historie o ludziach, którzy byli umiarkowani albo ekstrawagancy na wielką, oryginalną skalę. Śmiałyśmy się, piłyśmy raczej cierpkie beaujolais, oglądałyśmy piękne fotografie rodziny Lawinii, na których wszyscy wyglądali jakby od urodzenia mieli zostać przodkami. Kiedy spojrzałam na zegarek, dochodziła północ. Wstałyśmy zadowolone, jakby ten wieczór stanowił rezultat udanej pracy.

- Bardzo mi było przyjemnie - powiedziałam.

- Mnie też - potwierdziła Lawinia, tak jakby ją to zdumiało.

Kiedy w czwartek zadzwonił Hugo Slade, z trudem przypominałam sobie, kto to jest. Nie dlatego, że o nim zapomniałam, myślałam o nim przez wszystkie te dni z uporem, do którego wstydziałam się przyznać sama przed sobą. Myślałam o rękach i o sposobie chodzenia, który nie zawsze znaczył „daj mi coś”, o jego oczach, o jego plecach i o jasnoniebieskiej koszuli. Myślałam o tym, jak oplatają mnie te ramiona, myślałam o kształcie jego barków, o tym, jak będę je całowała suchymi, zamkniętymi ustami. I z tego właśnie powodu, a także dlatego, że tak walczyłam z tymi myślami, zdając sobie sprawę, jak są niebezpieczne (był żonaty, widziałam go tylko raz), miałam trudności z połączeniem nazwiska Hugo Slade z tymi wszystkimi myślami.

- Czy masz jakąś stałą porę lunchu? Musisz być z powrotem o określonej godzinie?

- Nie, wszystko jest raczej płynne - powiedziałam patrząc na teczkę i sprawozdania studentów, które miałam podsumować. - Za sześć miesięcy mam dzień rozliczenia. Poza tym, chodzi im na razie o to, żeby mnie tu widywać. Wszystko staje się w ten sposób bardziej namacalne. Oni tu są bardzo namacalni.

Mój głos był głupi i drżący, pomyślałam. On się natychmiast zorientuje, że o nim myślałam, będzie się czuł zażenowany. Będzie wiedział to, co mężczyźni wiedzą zawsze: że ja potrzebuję go bardziej niż on mnie.

- Spotkamy się w „Starym Kapeluszu” - powiedział. Był to bar, gdzie podawano podobno olbrzymie kanapki.

Otrzeźwił mnie trzask odkładanej słuchawki. Przypominając sobie Johna postanowiłam być bardziej wstrzemięzliwa. Nie mogę zacząć pragnąć tych rzeczy. A jeśli nawet tak będzie, to muszę się nauczyć mówić „nie” z przyzwyczajenia. Nie zakocham się w Hugonie. Nie pójdę z nim do łóżka. Nie pozwolę mu się nawet dotknąć. To przede wszystkim, ponieważ jeśli raz mnie dotknie, gotowam popełnić błędy.

A nie chcę już więcej popełniać błędów. Za dużo życia już przeżyłam, żeby zrujnować resztę błędami, które zostawią maleńkie niszczące otworki na powierzchni mojego nowego życia. Hugo miał żonę. Czy Liz nie mówiła nic o dzieciach? Oczywiście, że ma dzieci.

Przerazająca rzecz polegała na tym, że Hugo nikogo do niczego nie zmusi. Nigdy nie widziałam u nikogo mniejszej skłonności do wywierania przymusu. Jeżeli miał jakiś rodzaj wrodzonej władzy, to miał też świadomość jej implikacji i na pewno posługiwał się nią w sposób poważny i mądry. Spokojnie i ostrożnie, pragnąc mojego szczęścia, o ile tylko było możliwe.

W lustrze wyglądałam śmiesznie i niezupełnie przytomnie, jak jedna z tych dziewcząt, o których wszyscy wiedzieli, że zostaną zakonnice. Zesztywniałam, gotowa zwalczać w każdej chwili swoje niskie orientalne inklinacje do przepychu i lenistwa. Pomyślałam o siostrze Scholastyce, która zawsze mówiła drużynie udającej się na zawody do innej szkoły: pamiętajcie, kim jesteście i kogo reprezentujecie. Nie wiedziałam już, kogo czy co reprezentuję, ale zaczęło mnie pochłaniać samo to pojęcie. Co to znaczy reprezentować? To znaczy, że nie jest się sobą, tylko czymś większym. Ale nie jest się równocześnie samą tą rzeczą, choć oznacza to tak mocne z nią powiązanie, że trudno myśleć o osobie nie myśląc równocześnie o tym, co reprezentuje. A jeśli reprezentuje się tylko siebie?

Sekretarki wpadły do toalety, rozmawiały głośno podczas oddawania moczu. Potem wyciągały kosmetyki z plastikowych torebek wielkości małych ssaków. Spóźnię

się, ale przecież nie chciałam przyjść za wcześnie. Lepiej przygotować wyraz twarzy w drodze do restauracji niż siedzieć przy stole i czekać z twarzą już zupełnie gotową. Kiedy weszłam do „Starego Kapelusza”, nie mogłam dostrzec Hugona w tłumie energicznych klientów.

Wcierając poszczególne ziarenka soli w ciemne drewno stołu pomyślałam, że ten bar podobałby się ojcu. Podobałyby mu się trociny na podłodze i zegar, i barman, który nie włożył sztucznej szczęki, ale nie akceptowałby klientów, szykownych szczupłych kobiet opierających się o dobrze ubranych mężczyzn.

Hugo miał na sobie krawat i marynarkę i widać było, że nie czuje się w tym najlepiej.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział. - Praktycznie całe rano trzymałem rękę aż po łokieć w krowim tyłku.

- Czy widziałeś Liz? - zapytałam, bo wydawało mi się to jedynym i zarazem najbezpieczniejszym ogniwem pomiędzy nami.

- Powinnaś do niej zadzwonić, Izabelo. Myśli, że potraktowała cię bardzo źle i nigdy ci tego nie wybaczy, chyba że szybko zadziałasz.

- Zawsze lubiłam u Liz tę niezdolność wybaczenia, tylko nie przypuszczałam, że się kiedyś obróci przeciwko mnie. Ale zasłużyłam na to. Zrobiłam coś bardzo głupiego.

- Rozmyślałem nad tym, żeby napisać książkę pod tytułem „Seks robi z każdego głupca” - powiedział Hugo.

- Wspaniale by się sprzedawało, bo to jest jedyna rzecz, o której nikt nie wspomina przy seksie: ogłupienie.

Najwyraźniej nie myślał o mnie w kategoriach seksualnych, jeżeli mógł ze mną rozmawiać w ten sposób.

- Zrobiłaś wielkie wrażenie na Eryce - powiedział. - Ale Liz naprawdę przygotowała nas na spotkanie z tobą. Chyba dlatego była na ciebie taka zła, bo uważała, że błędy i grzechy cielesne ciebie nie dotyczą.

- Myślę, że Liz ma najbardziej z nas rozwinięte poczucie grzechu.

- Wyrosłyście w barbarzyńskim otoczeniu. Dla mnie jest tak obce jak obyczaje wyspy Fidzi.

Interesujące, pomyślałam, że używa słów typu „barbarzyńskie”. Spędza poranek grzebiąc w bebeczach krowy i używa słowa „barbarzyński”. Było to odpowiednie słowo na określenie naszego rodowodu, obejmowało surowość, okrucieństwo i przygodę. Nie obejmowało jednak owej przesyconej, zdradliwej gęstości, która wychowała osoby typu Margaret. Trzeba w tym wyrosnąć, żeby zrozumieć.

- A jak ty zostałeś wychowany? - zapytałam. - Nie, nie mów, mogę zgadnąć. Bardzo racjonalnie.

- Ojciec uważał religię za szkodliwy przesąd. Pamiętam, jak babka zabrała mnie raz do kościoła, a ojciec mnie stamtąd wyciągnął.

- Dziwne, że nie zostałeś zbuntowanym biskupem.

- Nie, moi rodzice byli cudowni, łatwo przychodziło przyznawać im rację.

Mama była bardzo zabawna i kochająca, z wyjątkiem okresu McCarthy'ego, kiedy tak trzasnęła sąsiada patelnią, że stracił przytomność.

- Mój ojciec dorabiał wygładzając mowy Joe McCarthy'ego - powiedziałam. - W sypialni miał jego zdjęcie z podpisem „Jednemu z moich ulubionych jajogłowych . Joe McCarthy”. - W tym momencie wstrząsnął mną dreszcz. - Nie lubię o tym myśleć. Zdarzają się takie noce, kiedy mogę myśleć tylko o Rosenbergach i ćwiczeniach przeciwlotniczych w szkole powszechnej. Wszyscy mieliśmy metalowe tabliczki z nazwiskami, żeby po dniu zagłady łatwo dało się zidentyfikować szkielety.

- Ameryka jest taka dziwna - powiedział Hugo. - Moi rodzice praktycznie sfinansowali kampanię Normana Thomasa, twój ojciec pisywał przemówienia dla Joe McCarthy'ego i oto siedzimy razem rozmawiając o tym przy kanapkach.

- Masz na myśli ewentualne kanapki.

- Precisnę się do baru - powiedział, kiedy zdecydowaliśmy się na kanapki z szynką i ciemne piwo.

Obserwowałam, jak przeciskał się przez skłębiony tłum przy barze, ani się nie rozpychał, ani nie przystawał za plecami innych, robił wszystko akurat w odpowiednim tempie, używając akurat odpowiedniej siły. Podobnie jak mój ojciec odznaczał się autorytetem, nie był to jednak jak w przypadku ojca autorytet płynący z przekonania o własnej słuszności i braku słuszności wszystkich, którzy nie byli tacy jak on. Skąd brał się autorytet Hugona? Czy wiązał się z jego pracą, czy miał coś wspólnego ze zwierzętami? A może płynął po prostu z tego, że Hugo był całkowicie sobą, mężczyzną dobrym i zdolnym. Widząc, jak zbliża się do mojego stolika, poczułam napływające do oczu łzy. Rozmawialiśmy o mojej pracy, o Lawinii, o pani Kerner, pani Johnson. Nie pytał o ojca, nie powiedział... „co robiłaś przez te wszystkie lata? Dlaczego to robiłaś?” Może później mu to powiem. Przy nim mogłam używać słów takich, jak „przywiązanie”, „obowiązek”, bo on zrozumie. Weźmie te słowa i wypoleruje jak kamienie.

Spojrzał na zegarek, dochodziła trzecia. Powiedział:

- Muszę teraz odebrać dzieci - jakby było to coś, czego wyczekiwał z utęsknieniem. Poczułam lekkie uczucie strachu. Teraz już wiedziałam: miał dzieci.

Odprowadził mnie do samochodu, podałam mu rękę. Podniósł ją i pocałował, nie był to jednak gest rodem z Europy czy wyraz światowych manier. Podniósł moją dłoń tak, jakby była niezwykle cenna, ścisnął moje palce w pięść.

- Czy możemy powtórzyć to w przyszły czwartek? - zapytał.

- Oczywiście, jeżeli masz ochotę.
- Mam większą ochotę niż na cokolwiek innego.

Były to ekstrawaganckie słowa. Ale Hugo nie był ekstrawaganckim mężczyzną. Spojrzał na mnie tak, jakby jego samego zaskoczyło to, co zamierzał powiedzieć.

- Jesteś urocza.

Poczułam łzy w oczach. Ucałowałam jego palce. Powiedziałam: „zobaczymy się”, co oznaczało: „zakochałam się w tobie”.

Odszedł. Jego plecy wyglądały tak pięknie, że byłam bliska rozpacz. Jeżeli mnie pragnął, moje życie będzie pełne rozstań. Będzie ciągle odchodził, z powrotem do dzieci, do żony. Może robiłam dzisiaj coś, co sprawi ból nieznanym ludziom, ale niewiele mnie to obchodziło. Miałam wrażenie, że wreszcie znalazłam się na powrót w towarzystwie innych, normalnych ludzi. Po raz pierwszy odkąd dorosłam, naprawdę czegoś chciałam: chciałam jego. Czułam się zdolna do niesamowitego egoizmu. Powtarzałam sobie: „jestem jego ukochaną, jego ukochaną”.

I myślałam o otchłaniach egoizmu zawartego w tych słowach.

IX

Kiedy zadzwoniła Eleanor, mogłam myśleć tylko o tym, co powinnam jej powiedzieć, a czego powiedzieć nie chciałam. Wszystko, czego nie chcemy powiedzieć ludziom, dotyczy seksu. Seks oddziela nas od wszystkich prócz partnera.

W ciągu dwóch tygodni zrobiłam dwie rzeczy, o których krępowalam się mówić. Przez jedenaście lat nie zrobiłam niczego, co należałoby trzymać w tajemnicy. Mogłam nawet powiedzieć do Eleanor: „Przez cały dzień chciałam, żeby ojciec umarł”, ponieważ miało to świeżość, ekscytację czegoś nieoczekiwanego: życie w śmierci, nienawiść w miłości; mówiło o skomplikowanym umyśle zdolnym do sarkazmu. Ale przyznać się, że w ciągu dwóch tygodni miałam stosunek z mężczyzną, którego nienawidzę, i zakochałam się w mężczyźnie żonatym, ojcu dzieciom, świadczyło jedynie, że osobę wypowiadającą takie słowa można łatwo zranić i że nie ma ona kontroli nad sobą. Czego najbardziej wstydziłam się w związku z seksem: czy tego, że czynił człowieka tak bezbronnym, czy takim egoistą?

Eleanor chodziła na ćwiczenia jogi. Postanowiła uważać na chemiczne dodatki w jedzeniu. Czy chciałabym latem pojechać z nią do jednego z tych miejsc, gdzie pości się przez cały tydzień pijąc jedynie źródlaną wodę i ziołowe herbaty? To oczyszcza ciało, wyjaśniła. Usuwa wszystkie trucizny.

Pomyślałam: nie chcę, żeby moje ciało było czyste. Chcę jeść czerwone mięso, pić alkohol, wcinać ciastka pieczone na śmietanie i na maśle. Myślałam: chcę

Hugona, chcę rozkoszy. Moje ciało chciało być wypełnione, ogrzane, zrelaksowane. Zdecydowałam, że opowiem Eleanor część tego, co się wydarzyło, ale pominę Johna Ryana. To dotyczyło jedynie ciała, nie było naprawdę interesujące. Opowiem Eleanor o matce Hugona i o patelni, i o tym, jak zdobył w barze kanapki.

- Narazasz się na liczne przykrości - powiedziała Eleanor.

- Wiem, ale jeszcze niczego tak nie pragnęłam.

- Mam nadzieję, że będziesz miała to, czego chcesz.

- Nigdy naprawdę nie chciałaś żadnego mężczyzny, prawda? - zapytałam lekko podenerwowana.

- Tylko wtedy, kiedy miałam go utracić.

To pragnienie, całe to zaabsorbowanie, ten dziecinny sposób życia zaczęły oddzielać mnie od Eleanor właśnie dlatego, że ona nigdy nie będzie pragnęła nikogo i niczego tak bardzo, jak ja pragnęłam Hugona, jak moje ciało pragnęło jego ciała, jak bardzo chciałam po prostu być z nim.

- Powoli, Izabelo - poradziła Eleanor. - Po prostu troszkę wolniej.

- Postaram się - powiedziałam, myśląc: moja najlepsza przyjaciółka już mnie nie rozumie.

To, że pragnęłam Hugona, zmieniło nawet mój stosunek do nowego mieszkania. Kupiłam zasłony, żółte i czerwone tropikalne kwiaty na białym tle chwytaly słońce o odpowiedniej porze poranka. Na ścianach powiesiłam pocztówki z Metropolitan Museum: ciężką kobietę Renoira czeszącą włosy monumentalnymi, zielonkawymi ramionami, Persa na czarnym koniu, pęczek fiołków Durera. Na wypłowiach wykładzinach położyłam dywaniki, żeby one przede wszystkim rzucały się w oczy. Czytałam kiedyś, że węzły dywanów zawiązywały pięcioletnie dzieci, którym płacono niewolnicze wynagrodzenie po to tylko, żeby ludzie na Zachodzie mogli te dywany kupować. Uświadomiłam sobie nagle ogrom ludzkich cierpień i ich mądrość - wszystkie te przebrania, wszystkie drogi do nieszczęścia. Jako dziecko pytałam o to ojca. Powiedział, że cierpienie zbliża nas do Boga, że płacimy w ten sposób za cierpienie Chrystusa. Nawet wtedy nie byłam zdolna kochać Boga o tak szaleńczej wyobraźni, który łąpał ludzi w pułapkę miłości, kiedy byli zbyt samotni, głodni czy zmęczeni, by się opierać. Wszystko to obracało się wokół spraw ciała - ludzie kochali Boga, ponieważ ich własne ciała nie sprawiały się najlepiej, nie dostarczyły im wystarczającej rozkoszy. Rozkosz. Obracałam to słowo w ustach jak śliwkę. Czy wystarczy po prostu żyć i umrzeć, jeść dobrze, kochać i być kochanym, czytać jedynie powieści zgodne z upodobaniami leżąc w wygodnym łóżku? Hugo; pomyślałam, powiedziałby, że chodzi o coś więcej. Wierzył w pracę i przyrodę. Ojciec zawsze mówił, że katolicy nie wierzą w przyrodę, wierzą w objawienie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Przez chwilę myślałam, że intensywność moich pragnień sprowadziła Hugona, ale kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam Johna Ryana.

W obecności tego jasnowłosego olbrzyma moje mieszkanie, z którego przed chwilą byłam tak dumna, jakoś skarłowaciało. Wyglądało niechlujnie, ciemne i pretensjonalne, jakby wystarczyło otworzyć okno, by wszystko rozplynęło się w powietrzu. Wiedziałam, po co John przyszedł, świadomość jego pożądania ciążyła na moim żołądku. Miałam w ustach metaliczny smak, jakbymssała bilon. Bałam się mu odmówić, ale dopuszczenie do stosunku z nim teraz, kiedy mogłam pewnie mieć Hugona jako kochanka, było połączeniem świętokradztwa z kiepską inwestycją. W każdym razie byłby to prawdopodobnie pierwszy wyraźnie zły uczynek.

Kiedy John przeszedł obok mnie, emanowała z niego władza, nie autorytet, którym odznaczał się Hugo, który miał mój ojciec, ale właśnie władza. Był silniejszy ode mnie, mógłby zrobić mi krzywdę. Jak słabi zwyciężają silnych, co się czasami zdarza? Sprytem prawdopodobnie, tyle, że John był też znacznie ode mnie sprytniejszy. Cała moja Inteligencja, całe wyrafinowane postrzeżenie nie wyposażyło mnie odpowiednio, bym mogła go pokonać. Nic nie zauważył, nie reagował na nic poza najprostszymi podnietami. Jednak w samochodzie, patrząc na zachód słońca nad rzeką, odpowiedziałam mu. A ponieważ to zrobiłam, miał do mnie prawo. Pragnęłam go raz, zasłużył więc na to, by być tutaj, miał zupełne prawo siedzieć na mojej wypłowiałej fioletowej kanapie rozstawiwszy nogi, zajmując połowę powierzchni pokoju.

Przyniósł sześć puszek piwa. Będzie prawdopodobnie przynosił piwo za każdym razem, kiedy będzie chciał się ze mną przespać w myśl zasady, że skoro raz poskutkowało, może poskutkować znowu. Miałam ochotę uklęknąć przed nim jak ta kobieta, której obrazek miałam w swoim Mszałe - czy to była św. Agnieszka? - błagając o wyzwolenie od rzymskiego imperatora. A potem pomyślałam, że wyłączę się kompletnie i niech się dzieje, co chce. Spojrzałam na jego buty. Były brązowe, sznurowane, z małymi dziureczkami na palcach. Byłam wściekła na Johna, że miał je na nogach, podobnie jak byłam wściekła na niego, kiedy bawił się ze swoimi dziećmi na podłodze. Działając w pewien szczególny sposób odbierał danemu działaniu cały blask, toteż w miarę jak będę go obserwowała, coraz mniej i mniej męskich działań i coraz mniej przedmiotów pozostanie dla mnie w stanie nieskażonym.

Przyniosłam mu szklanke do piwa, ale już zaczął pić z puszek.

- Doniesiono mi, że byłaś na bardzo przyjacielskim lunchu z Hugonem Slade.

Teraz wtargnął nawet tu. Chciałam go uderzyć i powiedzieć: Nie pozwalam ci o tym mówić. Powiedziałam jednak: - Skąd wiesz?

- Podpowiem ci. Od kobiety.

- Liz? - zapytałam zastanawiając się nad dziwną manią mojej przyjaciółki zwiierzania się mężowi, którym rzekomo pogardzała.

John nie odpowiedział, więc musiała to być Liz.

Schwycił mnie za pośladki. Poczułam, jak oddalam się od siebie. Mój umysł otoczyła nagle mgła. Pomyślałam: to nie przydarza się mnie. Ja tego nie robię. Pozwoliłam mu kontynuować.

Jego pocałunek przypominał cios pięścią. Miałam świadomość, że połykam jego ślinę. Trzymał w ręku moją pierś, jakby nie miała żadnego związku z moim ciałem. - Chodźmy do łóżka - powiedział. Jego głos był wilgotny od piwa. Leżałam na narzucie niemal nieruchomo, kiedy zdejmował moje ubranie, potem swoje i zwałił na mnie olbrzymie ciało.

Wpatrywałam się w wilgotną plamę na suficie, wyobrażając sobie, że przedstawia wielbłąda albo ślimaka. Uświadamiałam sobie odrębną siłę każdego pchnięcia jego penisa. Zaczęłam je liczyć i zauważyłam z pewnego rodzaju neutralnym zadowoleniem, że naliczyłam do szesnastu, zanim skończył.

Skoro raz go pragnęłam, teraz na mnie zasługiwał. Jeżeli tego chciał, chciał tak się męczyć i pocić nade mną, na to właśnie zasłużył. Przez to, że raz go pragnęłam, straciłam prawo odmówienia mu kiedykolwiek. Kiedy będę z Hugonem (ale teraz Hugo już nigdy mnie nie zechce), będzie zupełnie inaczej. Będę z nim tak blisko, jakby cała ta sprawa z Johnem przydarzyła się komuś innemu, zupełnie innej kobiecie. Ale teraz nie zasługiwałam na Hugona.

John wziął prysznic i poszedł sobie nie wysuszony nawet włosów. Po jego wyjściu czułam zapach spermy na ręczniku, którym się wycierał, a kiedy się kąpałam, dostrzegłam drobną strużkę spermy między nogami, bardziej gęstą i ciemniejszą od perfumowanej wody w wannie, jak krew bezbarwnej ryby.

Wygląd Sally Beckett był uderzający i uderzył mnie tak, jak pływaka uderza siła niespodziewanej fali. Wydawała się zupełnie nie pasować do otoczenia.

Przygotowałam się jedynie do wywiadu, przygotowałam do tego swoje ciało jak do czegoś bolesnego, od czego trzeba się trzymać z daleka, i oto pojawiła się piękność wymagająca bliższego kontaktu. Sally stała w progu w dzinsach i białej męskiej koszuli, włosy sięgały jej poniżej talii, kości policzkowe wznosiły się wysoko z rozczarowania, oczy pełne były wyrzutu, usta pełne smutku. Spodziewałam się, że w jej głosie zabrzmie cudzoziemski akcent, tak obca, tak dziwna była jej uroda. Ze zdumieniem usłyszałam tonację ze wschodniego wybrzeża. Jakim sposobem ta osoba brała od władz hrabstwa pieniądze za opiekę nad dwiema starymi kobietami?

Dom Beckettów stał przy polnej drodze, oddalony o milę od autostrady. Był to stary dom, bardzo starannie odrestaurowany. W tego typu domach mieszkały pary, o których czytywało się w „Newsweeku”, ponieważ postępowały zgodnie z aktualną

modą. Zazwyczaj umieszczano w piśmie niewielkie, ciemne fotografie małżonków, ich dzieci o imionach Kasandra, Maude czy Oliwier raczkujących na futrzakach między nogami rodziców i podpis: „taki a taki w chwili wolnej od nakręcania filmu bawi się ze swoimi dziećmi w wiejskim domu”. A jednak Sally Beckett nie wzbudziła we mnie niechęci. Chyba trudno nabrać niechęci do kogoś, kto ma tak nieszczęśliwą minę. A dzieci Sally raczkowały po podłodze pełne desperacji niż inwencji, raczej znudzone niż triumfujące.

Ściany kuchni pokrywały dobrze wypełnione półki: słoiki pełne przetworów z owoców i warzyw, wysokie butle w stylu europejskim wypełnione ziołami i makaronami. Wszędzie wisiały obrazki malowane przez dzieci: kolorowe jajka, drzewa, matki i ojcowie o chudych wydłużonych ciałach.

- Ile pani ma dzieci? - zapytałam.

- Czoro. Nie musi pani mówić, że to za dużo. Ja wiem, że za dużo. Była w niej sztywność dziecka. Bardzo mnie to ujęło.

- Nie miałam zamiaru nic takiego powiedzieć. Myślałam, że to musi być zabawne mieć tyle dzieci.

- To nie jest zabawne. Dziękuję jednak, że pani to powiedziała, że pani w ogóle tak pomyślała.

Zajrzałam do różowego kwestionariusza: nie będę ingerować w problemy tej obcej kobiety. Nie mogłabym tego zrobić, a potem po prostu wyjść. Współczucie zawsze wydawało mi się bardzo trudne. Jeśli naprawdę przejmujemy się daną osobą czy też skrajnością jej sytuacji, to powinniśmy albo coś w tej sprawie zrobić, albo w ogóle zrezygnować z luksusu przejmowania się. Trzeba było albo wprowadzić się do Sally Beckett i pomóc jej w tym, co przysparzało jej kłopotu - czy były to dzieci, czy brak pieniędzy, czy nuda - albo przyznać, że odczuwało się jedynie drobne ukłucie w wątrobie, również przejściowe i mało istotne jak niestrawność.

Myślałam o słowach św. Pawła, kiedy piłam kawę zmieloną przez Sally: „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest”. O to właśnie chodziło: jeśli nie miało się ochoty cierpieć w duchu tej łaskawości, było się niczym. Barbarzyństwo, powiedziałaby Hugo.

Powiedziałaby, że większość ludzi nic nie odczuwa, że można być dobrym w sposób znacznie prostszy. Ale ja niosłam z sobą ten bagaż idei. Miłość i miłosierdzie. Jedno oznaczało ten ból poniżej piersi, a drugie robienie czegoś, czegokolwiek, by ulżyć ludzkiemu cierpieniu. Pamiętam litery ściennej gazetki w Anastasia Hall: **POŚWIĘCENIE JEST MIARĄ MIŁOŚCI**. Pamiętam też, że wówczas to wydawało mi się niesłuszne, ponieważ ilekroć poświęciłam coś dla kogoś, natychmiast przestawałam lubić tę osobę.

- Ależ - wyjaśniła siostra Fidelis, którą wtedy o to zapytałam - nie musisz lubić kogoś po to, żeby miłować go w Panu.

Kto jednak chce być miłowany w Panu? Tyk myślałam wtedy i dalej tak myślę. Pragniemy być kochani za naszą odrębność, a nie za to, co dzielimy z resztą rodzaju ludzkiego. Wolimy być kochani za kolor włosów czy kształt kostki niż za to, że Bóg kocha nas wszystkich. Spojrzałam na różowy kwestionariusz: nie zapytam Sally Beckett bez względu na jej urodę, dlaczego jest taka nieszczęśliwa.

- Czy uważa pani ten system opieki domowej za zadowalający? - zapytałam.

- Dla kogo?

To było coś, o czym myślałam, czego jednak nie poruszyła żadna z osób, z którymi dotychczas przeprowadzałam wywiady. Być może ten rodzaj opieki poprawiał trochę warunki życia starych ludzi, ale niewątpliwie znacznie pogarszał życie opiekunów. Znałam tyranię chorych i umierających, znałam niepokój i zniechęcenie tej zdrowej osoby, która nigdy nie mogła powiedzieć: „to, czego ja chcę, jest ważniejsze”. ,

Chciałam powiedzieć: wiem, o co pani chodzi. Rozumiemy się. Powiedziałam jednak moim oficjalnym tonem: - Może zechciałaby pani bliżej to wyjaśnić?

- Mam nadzieję, że system ten funkcjonuje w odniesieniu do pani Claddack i pani Brown. To siostry i przez całe życie mieszkały blisko siebie. I na starość mogą być razem, więc to dla nich dobrze. To jest dobrze nawet dla moich dzieci. Pani Claddack opowiada im różne historyjki i uczy je robić na drutach. Pani Brown jest tak zdziecinniała, że wydaje się być ich rówieśnicą, wożą ją w fotelu na kółkach i pokazują jej różne rzeczy. Mają wiele wspólnego, moje dzieci i te dwie starsze damy. Ale ja ich nie lubię. Wydają mi się nudne i okrutne.

- Nudne i okrutne?

- Pani Claddack ma w repertuarze ograniczoną liczbę historyjek, więc przez czternaście miesięcy słyszałam je tyle razy, że muszą mnie znudzić. Z dziećmi to co innego. Mój syn Jason ciągle powtarza tę samą zagadkę: „Co jest całe czerwone, białe i czarne?” przeciętnie piętnaście razy dziennie i za każdym razem się zaśmiewa. Tak samo jak pani Brown. A pani Claddack opowiada dzieciom te same historie po piętnaście razy, a one gotowe ich wysłuchiwać kolejne piętnaście razy.

- Ale dlaczego okrutne? Rozumiem, że mogą być nudne, ale dlaczego okrutne?

- Pani Claddack nigdy nie lubiła siostry. Pani Brown jest młodsza i fakt, że zdziecinniała wcześniej, zdaje się sprawiać tamtej niekłamaną przyjemność. Mówi do niej najstraszniejsze rzeczy. Wytacza przeciw niej najokropniejsze oskarżenia, przypomina wykroczenia sprzed siedemdziesięciu lat. Nigdy swojej siostrze niczego nie przebaczyła. Nie mogę tego znieść. A pani Brown upiera się wyjmować szczęki po jedzeniu, co jeszcze pogarsza całą sytuację. Czy ma pani zamiar to wszystko zapisać?

- Nie. Pomijam wszystko, co ma zabarwienie emocjonalne lub osobiste.

Sally uśmiechnęła się. Miała zęby białe jak kot.

- Czy mogę panią zapytać nieoficjalnie, między nami, dlaczego się pani na to zdecydowała? Mówiąc szczerze, nie wydaje mi się to odpowiednie zajęcie dla pani.

- Mój mąż był dyrektorem eksperymentalnej szkoły, z której go wyrzucono. Szuka pracy od trzech lat. Aktualnie ma kilku prywatnych uczniów, a w nocy pracuje jako stróż. Mamy czworo dzieci w wieku od ośmiu do dwóch i pół roku. Rzuciłam college po dwu latach, wyszłam za mąż. Nic nie umiem, ale czytam po rosyjsku. Kiedy wszystko szło dobrze, moja mama mawiała: „Sally potrafi jednocześnie przewijać dziecko, gotować i czytać Dostojewskiego”. To była prawda. Panowałam nad sytuacją. Ale nie można tego osiągnąć bez pieniędzy. Dawid nie może znaleźć pracy, a ja nie chcę codziennie zostawiać dzieci, żeby pracować jako kelnerka. Więc kiedy przeczytałam o tym projekcie, pomyślałam, że to może być dobre rozwiązanie. Pomyślałam, że dzieci zetkną się ze starością. Ich dziadkowie są zaledwie po pięćdziesiątce i codziennie grają w tenisa. Próbowałam sprzedawać czasopisma przez telefon, piec chleb i ciastka dla lokalnego sklepu, wynajmować się jako kucharka; nie potrafiłam jednak sprzedać czasopism, a na jajka i masło wydawałam więcej niż mogłam zarobić. Mają odpowiednie jedzenie. Towarzystwo. Zawożę je do lekarza. Nie mogę zrobić tylko jednej rzeczy: nie mogę ich pokochać, ale im nie robi to różnicy. Tylko mnie. Wzięłam Sally za rękę.

- Nie wiem, co powiedzieć. Czasem wydaje mi się, że osoby takie jak my nie nadają się do niczego.

- To nie ma znaczenia - powiedziała Sally wstając. Nie chciała mnie teraz, tak jak ja początkowo nie chciałam jej.

- Zaprowadzę panią do tych kobiet.

Poszłam za nią czując niewytłumaczalne przygnębienie, odczuwając jakąś niesprawiedliwość. Sally Beckett próbowała być dobra. Była dobrą i troskliwą osobą, powinna być szczęśliwa. Dobroć powinna czynić ludzi szczęśliwymi, jak to miało miejsce w dawnych wiekach. Teraz jednak dobroć była prywatnym, ezoterycznym hobby, jak malowanie miniatur czy wkładanie do butelki modeli statków.

Pani Claddack i pani Brown siedziały w jasnej wysokiej sypialni na ciemnoniebieskich krzesłach. Pani Claddack była bardzo chuda, włosy miała zebrane pod siatką. Pani Brown była okrągła i słodka jak pudding, jej bezzębne usta otwierały się w nieprzyjemnym zdziwieniu. Jej zdziwienie stanowiło afront. Nie było w niej zawziętości, nie miała poczucia, że starość jest częściowo żartem, a częściowo zniewagą. Była cała jedynie otwartymi okrągłymi ustami, które domagają się pożywienia. Miała na głowie czepek, by ukryć niemal kompletną łysinę, był on jednak przekrzywiony na jedną stronę tak, że kokardka zamiast pod brodą wypadła przy uchu. Pani Brown nieustannie manipulowała coś przy wstążce, ale najwyraźniej przekraczało to jej możliwości.

- Siadaj, Bess, i zawiąż tę wstążkę, jak należy - komenderowała pani Claddack. - Mogłaby to zrobić, gdyby tylko chciała. Ale specjalnie mnie prowokuje. Zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy się złała w majtki i musiałam ją przyprowadzić ze szkoły do domu. Zawsze taka była.

- Chciałabym zadać pani kilka pytań - powiedziałam.

Zapytałam, jak często dostają posiłki i lekarstwa, jak często chodzą do lekarza.

- Ona robi wszystko według przepisów. Nic nie przepuści - powiedziała pani Claddack. - Doskonale wie, że gdyby się poślizgnęła, to by jej nie zapłacili.

Pani Brown zaczęła chichotać i siostra uderzyła ją mocno w ramię.

- Prawdziwa dama. Absolutnie. Tyle że mąż jest nocnym stróżem i nie ma z czego być dumna. Więc poniżyła się do tego, żeby nas wziąć. Trzyma nas tylko dla pieniędzy. Myśli, że jest od nas lepsza i nie pozwala nam o tym zapomnieć.

Przytknęła palce do nosa i podniosła czubek nosa w górę.

- Nie ma pani jednak konkretnych skarg na temat opieki? - zapytałam myśląc równocześnie: Sally ma zupełną rację, jeśli uważa się za lepszą od was. Jest lepsza. Jesteś małostkową starą kobietą i na nic nie zasługujesz.

Pani Brown trąciła mnie wilgotnymi tłustymi palcami.

- Co jest całe czerwone, białe i czarne? - zapytała.

- Gazeta. Każdy to wie - odpowiedziała pani Claddack. Pani Brown zignorowała siostrę i znowu mnie trąciła.

- Co jest całe czerwone, białe i czarne? - powtórzyła.

- Nie wiem - odpowiedziałam chcąc być uprzejma.

- Gazeta - odpowiedziała, a luźne fałdy tłuszczu na jej rękach trzęsły się od śmiechu.

Wstałam, podeszłam do okna notując, w jakiej odległości od niego stoją łóżka i jaka odległość dzieli łóżka od łazienki. Fakty były cudowne, pozwalały uciec od tego szczególnego życia, w które chciały mnie wciągnąć obie staruszki. Zapisałam liczby czarnym długopisem w różowym kwestionariuszu. Były chłodne, oszczędne i tak wspaniale suche. Powiedziałam staruszkom do widzenia i zamknęłam za sobą drzwi.

Sally Beckett stała przy drzwiach wyjściowych, jakby chciała pozbyć się mnie możliwie jak najprędzej.

- Napiszę przychylny raport - powiedziałam. - Ale myślę, że powinna pani z tego zrezygnować.

- Dziękuję, ale teraz nie mogę.

Uścisnęłyśmy sobie ręce. Nie spojrzaliśmy na siebie. Pomyślałam, że ojciec napisałby niekorzystny raport, żeby spowodować rozwój sytuacji zgodny z jego przekonaniami.

Hugo zapytał przez telefon: - Czy możesz być wolna dzisiaj na kolację? - Jakbym miała się od czego uwalniać. Nie mogłam jednak tego powiedzieć, bo zepsułoby to cały wieczór. Postanowiłam, że chcę go mieć, więc muszę wykorzenić pewne nawyki, nie mogę myśleć o nim jak o bogatym filantropie, który mimo pewnych powiązań (żona, dzieci), pozwala sobie jednak na odrobinę dobroczynności wobec sieroty, pachnącej środkami dezynfekcyjnymi i wyrzutami sumienia.

Miałam sukienkę z jasnozielonej wełny z szerokim skórzanym paskiem, który podkreślał moją talię. Starłam się przypomnieć sobie, co robiła Eleanor, o jakich czynnościach opowiadała. Nalałam perfum do wody przed kąpielą, uperfumowałam się za uszami i między piersiami.

Kiedy weszłam do pokoju, z którego pół godziny wcześniej wzięłam notesik, unosił się w nim jeszcze zapach perfum. Usiadłam na kanapie. Pokój był zbyt zimny i zbyt ciemny, ale gdybym teraz włączyła ogrzewanie albo zapaliła światło, przyniosłoby to pecha, znaczyłoby, że nie spodziewam się przyjścia Hugona.

Powiedział szósta trzydzieści, a już prawie dochodziła siódma. Żona się o wszystkim dowiedziała, może rozegrała się jakaś straszliwa scena. Oskarżenia, rekryminacje, w których centrum znajdowałam się ja, nieznajoma kobieta.

Zapukał trzy razy.

- Miałem zły adres. Wybacz mi.

Podał mi moją nową, długą, szarą pelerynę. Schodził po schodach przede mną, nie dotknął mnie, nie powiedział, że jestem piękna ani nawet, że podoba mu się moja nowa peleryna. Nie mógł jednak wiedzieć, że była nowa. Przypomniałam sobie, że przecież znaliśmy się od tak niedawna.

Kiedy jechaliśmy samochodem pod listopadowym szarym niebem, które nie dawało pocieszenia, zauważyłam, że jest zdenerwowany i to mnie ujęło. Ale ja też byłam zdenerwowana, nie chciałam opowiadać mu o Sally Beckett, niebezpieczne było mówić o pięknej kobiecie, poza tym chciałabym zaoferować mu coś przy kolacji, kiedy już się trochę rozgrzejemy, kiedy oddalimy się od tego nieludzkiego nieba.

- Moja przyjaciółka Eleanor przyjedzie za dwa tygodnie - powiedziałam. - Dorastała razem ze mną i z Liz.

- Ale Liz za nią nie przepada.

- One są tak różne jak...

- Kreda i ser - dokończył Hugo.

To było cudowne zestawienie: kreda i ser. Znaczyło, że w dzieciństwie słuchało się własnej babki i zapamiętało się te opowieści albo że siedziało się przy kuchennym stole u kogoś, kto wyrabiał ciasto odwrócony do słuchacza tyłem i mówił przez ramię.

- Tak, tyle że kreda i ser nie różnią się tak bardzo.

- Wiesz, że się różnią.

- Jest wiele rzeczy bardziej zróżnicowanych.
- Na przykład?
- Nie mam pojęcia. Kreda i kantalupa.
- W porządku, od tej pory będę mówił „tak się różnią jak kreda i kantalupa”.

Tylko żeby ci zrobić przyjemność.

Więc chciał mi zrobić przyjemność. Wzięłam go za brodę i przez chwilę przytrzymałam. Nie zareagował. Poczułam się przestraszona i głupia, jakby ktoś poprosił mnie o wykonanie tańca, którego nie znałam, choć powinnam była znać. Nie wziął mnie za rękę. Koncentrował się na prowadzeniu, wpatrując się w drogę tak, jakby była niedostatecznie oświetlona.

Siedzieliśmy w ciemnym kącie w głębi sali. Byłam tak uszczęśliwiona, że siedzę naprzeciwko niego, że nie mogłam nawet myśleć o jedzeniu, więc powiedziałam: „zamów coś dla nas obojga”. Nigdy nie przypuszczałam, że będę zdolna powiedzieć coś takiego, tak mówiły bohaterki filmów i wiejskich powieści, a teraz i ja to powiedziałam. To mnie rozśmieszyło.

Hugo spojrzał na mnie i też się roześmiał, nie zapytał jednak, z czego się śmiejemy.

Jadłam sznycel wiedeński w jakimś zamroczeniu. W ustach miałam sucho. Bałam się, że wydzielam nieprzyjemny zapach, bałam się, że Hugo poczuje moje pożądanie. W połowie kolacji poszłam do toalety i uperfumowałam się między nogami. Potem, wracając do stolika, obawiałam się, że on to poczuje i będzie wiedział, dlaczego tak zrobiłam. Zjadłam tylko połowę porcji.

Kiedy jechaliśmy przez miasto, w którym już zapłonęły światła, otoczone aureolami listopadowego chłodu, zastanawiałam się, co zrobić. Siedziałam bardzo daleko od Hugona, czułam na biodrze zimno kłamki. Przez cały wieczór nie powiedziałam niczego, co chciałabym powiedzieć, że to, co mi się w życiu zdarzyło, nie splamiło mnie doszczętnie, że mogłabym uczynić go szczęśliwym.

- Dobranoc - powiedziałam szybko czując cały ciężar swojej porażki.

Otoczył mnie ramionami jak płaszczem przeciwdeszczowym.

- Proszę cię, nie bój się. O niczym nie trzeba decydować natychmiast.

Trzymałam usta przy jego policzku, był zimny, a moje wargi obolałe z rozpacz.

- Bo widzisz, ja tak bardzo ciebie chcę - powiedziałam.

To było bardzo proste, powiedziałam te słowa, a teraz on mnie całował. Całował końce moich włosów trzymając je w swoich prostokątnie zakończonych palcach.

- Och, moja droga - powtarzał bez końca. Było to staroświeckie i dziwnie oficjalne, ale przepędziło mój strach.

Weszliśmy po ciemku po schodach. Obydwoje mieliśmy straszne pragnienie. Przyniosłam w szklankach wodę, mogliśmy pić i całować się, całować się i pić.

Dotknął mojej piersi, całe życie mojego ciała skoncentrowało się w tym miejscu i musiałam krzyknąć.

- Chodźmy do łóżka - powiedziałam, jakbyśmy byli dziećmi.

Ciało jego pośladków było jędrne, nie jak marmur, ale jak mięsz brzozkwini. Jego usta i ręce dotykały mnie wszędzie, nigdy nie popełniając błędu, moje usta i ręce błądziły po jego ciele jakby robiły to zawsze. Krzyczeliśmy i zapadaliśmy w milczenie, pływaliśmy jedno pod drugim i jedno nad drugim. Kiedy wszedł do wnętrza mojego ciała, które było tak zupełnie otwarte, zamknęło się wokół niego. A jakaś część mojego mózgu, zimna i zielona jak seler, powtarzała: to się przydarza mnie.

X

Hugo spał przez dwie godziny przytrzymując jedną ręką moją głowę na swojej piersi. Nie mogłam zasnąć. Miałam oczy szeroko otwarte, widziałam w ciemności żółte kwiaty na zasłonach, ale czerwone gdzieś zniknęły. Odczuwałam równocześnie radość i strach, kiedy wdychałam zapach czarnych włosów na piersi Hugona i przypominałam sobie, że kiedy się obudzi, odejdzie. Musiałam leżeć zupełnie nieruchomo, bo w chwili gdy Hugo się obudzi, już nie będzie ze mną.

Budził się powoli. Ziewnął, mogłam wtedy zobaczyć ciemnoczerwone wnętrze jego jamy ustnej, ciemniejsze niż wargi. Chciałam włożyć palce w jego usta i zacząć wszystko od początku. To mu się podobało, najpierw powoli wysysał kolejne palce, a potem zamknął moją dłoń w pięść.

- Kiedy cię znowu zobaczę? - zapytałam.

- Zobaczymy się jutro.

- Jak?

- Jakoś. Czekaj na mnie.

Po jego wyjściu mieszkanie wydawało się bardziej puste niż zwykle. Już się przyzwyczaiałam mieszkać w nim samotnie, ale teraz wszystkie te meble, które nie należały do mnie, wydawały się smutne. Przypominało mi to znany z lektur smutek pokoi hotelowych, chociaż sama zatrzymywałam się w hotelu jedynie z ojcem. Włączyłam radio i nuciłam kolejne melodie, zarazem spokojna i oszalała, jak stara panna. Nie podobał mi się własny głos.

A więc to się stało. Nie tak jak z Dawidem Lowe, kiedy to ja (jedyne określenie, jakim mogłam się kiedykolwiek posłużyć, określenie pochodzące od zakonnicy) sprawowałam kontrolę, czy z Johnem Ryanem, kiedy musiałam być albo pijana, albo oszołomiona, ale z mężczyzną który mnie obejmował i sprawił, że otoczyłam go

ciasno, z mężczyzną, który trzymał moją głowę w ramionach nawet przez sen. I który potem wyszedł, który zawsze będzie wychodził.

Kiedy próbowałam o nim myśleć, okazało się, że wiem o nim tak niewiele, że musiałam wciąż na nowo odgrywać te same sceny, jak operator w jakimś zagubionym miasteczku, gdzie jest taśma tylko jednego filmu. Miał żonę, był ojcem córek. Jego żona miała na imię Cyntia (wymienił je tylko raz, jakby się spodziewał, że je znam). A potem było całe to kochanie, cała ta sprawa naszych ciał, sprawdzanie, czy jego palec właśnie dotknął tego miejsca zaraz po tym, jak znajdował się zupełnie gdzie indziej. I słowa, głupie słowa, niewarte nawet zapamiętania, no i potem sen.

Pomyślałam o nas dwojgu, zupełnie samych na świecie, darzących się nawzajem tak silnymi uczuciami i tak mało się znających.

Napisałam list do Margaret Casey, powodowała mną uprzejmość, poczucie winy, a także czysto geograficzny przypadek. Margaret mieszkała bowiem sześćdziesiąt mil na zachód ode mnie. Podałam jej swój nowy adres i napisałam: „na wypadek, gdybyś potrzebowała się ze mną skontaktować”. Pamiętałam Margaret w zbyt obszernym palcie płaczącą na grobie ojca. Gdyby nie mój upór i spryt, Margaret mogła mieć męża, przynajmniej tyle, i jako żona miałaby jakieś prawa, po raz pierwszy w życiu nie musiałaby się zachowywać jak żebraczka.

Pająkowaty charakter pisma Margaret stał się jeszcze bardziej niepewny. Jej adres na kopercie był ledwo czytelny, a czytanie całego listu napisanego na liniowanym papierze przypominało odcyfrowywanie obcojęzycznego tekstu. Na górze strony widniał krzyż i słowa „Do Jezusa przez Marię”. W szkole powszechnej wszyscy tak zaczynali listy, ale nawet zakonnice w Anastasia Hall na to nie nalegały; była to jedna z owych ruchomych cnót, z których wolno nam było wyrosnąć. Margaret zachowała jednak ten zwyczaj i teraz, kiedy była po siedemdziesiątce, znowu wydawał się odpowiedni. Przygnębiający obraz Margaret ciągle jeszcze przyprawiał mnie o lekkie mdłości. Zmusiłam się do przeczytania listu.

Kochana Izabelo wiedziałam już, gdzie jesteś, bo mi powiedział ksiądz Mulcahy. Artretyzm bardzo mi dokucza. Dziękuję Bogu, że jeszcze mogę wszystko koło siebie zrobić. Moja siostra Edyta umarła w zeszłym roku niedługo przed twoim ojcem. Ty jej nie znałaś, więc nie było powodu, żebyś coś przysłała, ale ojciec ją znał i jestem pewna, że oboje są teraz aniołami w niebie.

(On nie jest razem z twoją rodziną, pomyślałam, mając nadzieję, że w wieczności pomyślano o jakichś przedziałach pierwszej klasy, które trzymałyby z dala ludzi typu Margaret za pomocą nieprzekupnego konduktora pozbawionego litości i głuchego na usprawiedliwienie. Jeżeli istniało życie po śmierci, to jednak przywiązywałam wagę do tego, by było w dobrym guście. Czytałam dalej.)

Nie wiem jak długo jeszcze będę sobie radzić, może będę musiała pójść do dominikanek. W końcu nie ma kto się mną zajmować. Zawsze myślałam, że umrę w domu twojego ojca, przez wszystkie te lata byłam przecież dla niego jak żona. Masz szczęście, że dostałaś pracę i to dobrą pracę. Oplaca się mieć przyjaciół. Ja nie mam przyjaciół ani nikogo poza naszym Panem, ale się nie skarżę, nie mam też emerytury. Mogłam mieć, ale pracowałam u twojego ojca przez lata całe.

W końcu nic mi nie jesteś winna. W dzisiejszych czasach nikt nikomu nic nie jest winien a sprawiedliwy Bóg da każdemu należną nagrodę, kiedy przyjdzie w glorii na Sąd Ostateczny.

Wtedy oddzieli owce od kóz.

Dalej modlę się za ciebie jak zawsze. Proszę, żebyś się za mnie modliła. Wszyscy potrzebujemy modlitw. Niech cię Bóg błogosławi.

Margaret

Zgniotłam list i wrzuciłam do zlewu. Rozległo się pukanie. Zanim zdążyłam podejść do drzwi, weszła Liz.

- Powinnaś się zamykać. Każdy zboczeniec może ci opróżnić lodówkę.

Tak się ucieszyłam widząc Liz zaraz po przeczytaniu listu od Margaret, że w ogóle zapomniałam o poprzednich między nami nieporozumieniach. Obecność Liz, ostra i wyraźna, może mnie obronić przed lepką i kleistą Margaret.

- Nigdy byś nie zgadła, kto do mnie napisał! Margaret Casey!

- Jezu Chryste! Ona jeszcze nie umarła? Pokaż. Chcę zobaczyć jej charakter pisma.

Liz szybko przeleciała list.

- Izabelo, jeżeli jej odpiszesz, przywiążę cię do drzewa.

- Ale ojciec... ja ją pozbawiłam mojego ojca.

- Masz na myśli, że ocaliłaś go przed nią. Wyobraź sobie pójście z nią do łóżka - Liz aż się otrząsnęła.

- Nie musieliby kłaść się do łóżka. Mogliby stanowić takie specyficzne małżeństwo jak ta para, która opowiadała o tym u nas w szkole.

- Tak, mieszka się razem, tylko bez pieprzenia, odmawia się za to rodzinny różaniec. Cudowne rozwiązanie. Tylko że Margaret upierałaby się przy swoich matrymonialnych prawach. Wiesz, jak one zawsze chcą dostać wszystko, co im się należy.

- Będę jednak musiała odpisać. To byłoby niegrzeczne.

Liz zamilkła. Uważała, że dobre maniery są bardzo istotne. Nie mogłaby przeciwko nim oponować. Wiedziała, że była to jedyna rzecz, wobec której zapominała o frywolności.

- Czy widziałaś się z Hugonem? - zapytała. Zarumieniłam się. - Był tu wczoraj wieczorem. Skąd wiesz?

- Nie wiedziałam. Ale mój mąż ma szpiegów. A propos, jego sekretarka widziała cię z Hugonem w „Starym Kapeluszu” i natychmiast mu o tym doniosła. Na Boga, to jest lojalna dziewczyna! Szpieguje kochanki swojego kochanka.

- To znaczy, że nie ty mu powiedziałaś? - zapytałam z wielką ulgą.

- Oczywiście, że nie. Oboje z Hugonem jesteście dla mnie zbyt ważni, żebym rozmawiała o was z Johnem.

- Usiłował mi dać do zrozumienia, że wie to od ciebie.

- Drań - powiedziała Liz. - Przeklęty, nadziany drań.

Po raz pierwszy Liz wydawała się dotknięta postępowaniem męża.

- Przyszłam do ciebie, poza chęcią napicia się kawy, której zresztą nikt mi dotąd nie zaproponował, żeby ci powiedzieć, że jestem po waszej stronie. Zrobię wszystko, żeby pomóc.

- Jaka jest jego żona?

- Jędzą. Ma gigantyczny biust i bardzo chude nóżki, krzyczy do niego z drugiego końca pokoju. Najwyraźniej nienawidzą się wzajemnie.

- A dzieci?

- Dwie dziewczynki, piętnaście i trzynaście lat. Nie muszę ci mówić, że są wspaniałe i szaleją za Hugonem.

Pomyślałam: nigdy ich dla mnie nie zostawi.

- Posłuchaj: albo nie zakochuj się w nim, albo natychmiast go zostaw, bo nigdy nie oderwiesz go od rodziny.

- Nie mogę go zostawić i już jestem w nim zakochana - powiedziałam przejeżdżając końcem palca po kopercie listu Margaret.

- Możesz go zostawić. „Nie mogę” dotyczy jedynie tego, czego nikt nie może zrobić. A więc „nie mogę fruwać”, ale nie „nie mogę go zostawić”.

- A więc, nie zostawię go.

- Będzie cię to drogo kosztowało.

- Trudno.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. Poza tym, że zrobię wszystko, co będziesz chciała.

- Powiedz mi, czy uważasz, że warto?

- Oczywiście. Nie bądź trywialna. Jakie to ma znaczenie, co ja myślę?

- Ma znaczenie, ponieważ jesteś jedyną osobą, która знаła mojego ojca i zna Hugona.

- Ojca do tego nie mieszaj. To dowód bardzo złych manier.

- W porządku. Więc jedyną osobą z przeszłości.

- Przeszłość to kiepska inwestycja - powiedziała Liz.

- Ale dla mnie przeszłość skończyła się cztery miesiące temu, a to, co teraz robię, wydaje się nie mieć z nią nic wspólnego.

- Nigdy nie ma.

Skinęłam głową. Nie wierzyłam jej.

- Chcę, żebyście oboje z Hugonem poszli ze mną i z Eryką na wycieczkę.

- Dobrze, bardzo chętnie.

- Kup sobie przyzwoite buty - powiedziała surowo Liz - nie takie idiotyczne, jakie zwykle nosisz.

Roześmiałam się. - Liz, co ja bym bez ciebie zrobiła?

- Skręciłabyś sobie cholerną kostkę i trzeba by było nieść cię do domu. A teraz zrób mi kawy.

To było cudowne, ta surowość, to gderanie. Liz znowu należała do mnie. Zrobiłam jej kawę. Można było kontynuować.

Rose Gerardi w połowie listopada miała na sobie białe buty na wysokich obcasach. Bujała się na nich w kuchni w sposób niebezpieczny dla osoby w jej wieku. Dom pachniał czystością, ale wszędzie pełno było form wyścigowych. Wszędzie leżały kawałki gazet, rozłożone albo pomięte, imiona poszczególnych koni obwiedzione były różnokolorowymi kółkami. Przed telewizorem siedział bardzo wytworny starszy pan. Obok niego gruba kobieta z fioletowymi włosami mówiła bardzo kulturalnym głosem:

- Uprzedzałam cię, że to oferta i Rose ci to mówiła, ale ty się uparłeś. Możesz mieć pretensję tylko do siebie, mój drogi.

- Tor był miękki. Zapomniałem o tym - powiedział starszy pan. Rose bardzo głośno krzyknęła z pokoju w stronę kuchni:

- Rut, zrób nam kawy.

Zdjęła jakieś gazety z czarnego krzesła wybitego skórą, żeby móc usiąść.

- Siadaj skarbie, musisz być bardzo zmęczona.

Przez przedpokój przebiegła czwórka dzieci rozrzucając papiery i roztrącając meble. Wszystkie były chude, ciemne i nerwowe, a zmierzały wprost do kuchni. Doleciał stamtąd głuchy odgłos. Jedno z dzieci wróciło do pokoju.

- Rut stłukła dzbanek.

- No i co? - powiedziała matka. - Czy to już ostatni dzbanek na świecie?

Posprzątaj.

Ze zdumieniem usłyszałam dochodzący z kuchni głos starej kobiety:

- Ta cholera wyśliznęła mi się z ręki!

Kobieta z fioletowymi włosami zwróciła się do mnie:

- Rut nigdy się tak nie wyrażała, zanim wprowadziliśmy się tutaj.

- Ale zawsze miałam na to ochotę, Alicjo - powiedział głos z kuchni.

- O tym nie wiedziałaś.

- Uczy się od moich dzieci - wyjaśniła Rose. - One się wyrażają jak marynarze.

- Tak, ale to wspaniałe dzieci - powiedziała z pewnym zatroskaniem kobieta o imieniu Alicja, jakby się obawiała, że mogą źle zrozumieć.

- Nigdy w życiu nie bawiliśmy się tak dobrze, prawda, Ryszardzie?

- zapytała zwracając się do staruszka.

Skłonił się Rose z wyszukaną uprzejmością.

- Nie, kochanie. Przypuszczam, że Browning miał na myśli Rose, kiedy pisał o „końcu życia, który przewyższa cały początek”.

Rose przyjęła komplement z arystokratyczną obojętnością. Nie zmieniła pozycji na krześle.

- Ledwie żyję - powiedziała do mnie. - Usiadłam po raz pierwszy od rana.

Musiałam posprzątać przed pani przyjściem.

Rozśmieszyła mnie. Jeśli chce się kogoś oszukać i mówi się o tym głośno, to z całego oszustwa nici. Polubiłam Rose za jej niechlujstwo i lenistwo, za to, że już w połowie dnia brakowało jej energii.

Zadzwoił telefon. Staruszek poszedł go odebrać i wrócił po kilku sekundach. Wyjątkowo podobał mi się jego krawat w niebieski drukowany deseń, przytrzymała go brylantowa spinka.

- Przewidywania Alicji się opłaciły - zaanonsował. Kobieta z fioletowymi włosami powiedziała:

- Duże brawa dla mnie. Powinniśmy to uczcić. Rose kupi sobie nową suknię, będzie miała wychodne, a potem nam wszystko opowie.

- Może znajdę jakiegoś przystojnego mężczyznę, który kupi nam dom na wsi.

Wszyscy troje roześmieli się, jakby usłyszeli stary dowcip, który nigdy nie przestanie ich bawić.

Drobna kobieta wyszła z kuchni. Miała na sobie aksamitną sukienkę, jakby wprost z kuferka Blanche Du Bois.

- Panno Moore, mamy nadzieję, że nie będzie pani musiała umieścić tego szczegółu w raporcie dla władz hrabstwa, bo zdajemy sobie sprawę, że jest to nielegalne. Polegamy na pani dyskrekcji. Odkryliśmy jednak, że to znakomity sposób powiększenia naszych dochodów i zachowania świeżości umysłu.

- Proszę wybaczyć siostrze - wtrącił staruszek. - Była nauczycielką i zazwyczaj przemawia takim tonem, jakby uczyła tabliczki mnożenia.

- Nonsens, Ryszardzie. Po prostu rozmawiałam z tą młodą damą. Rose tymczasem nalewała herbatę, którą przyniosła z kuchni panna Rut Blake. Skrzyżowała nogi tak, że widziałam ciemniejsze zakończenie pończoch. Na ogół nie znosiłam tego widoku, ale w przypadku Rose nie był pozbawiony atrakcyjności.

Jedno z dzieci przebiegło przez pokój. Rose złapała chłopca za pasek od spodni.

- Czy znowu rozdarłeś kurtkę, ty chuliganie? Alicja dopiero wczoraj ją zeszyła. Zdejmij kurtkę, bo wyglądasz jak prosto ze slumsów, i połóż na wierzchu szycia dla Alicji.

- Postaraj się na przyszłość uważać - powiedziała Alicja.

- Dobrze, Alicjo - obiecał chłopiec obejmując ją bezceremonialnie. - Dzięki Bogu, że tu jesteś, bo inaczej wszyscy chodzilibyśmy jak gołodupcy.

Przez kilka minut nikt nie zwrócił się bezpośrednio do mnie. Byli tak ewidentnie zaabsorbowani sobą, że nie zdawali sobie sprawy z obecności obcej osoby. To jest miłość, pomyślałam, to jest szczęście: kontynuować swoje zajęcia nie zwracając uwagi na inspektora, który ma wydać opinię. Uderzyło mnie, że na tym właśnie polegała moja praca, za to mi płacono, za ocenianie tych ludzi i ich szczęścia (sytuacji materialnej, według określenia administracji hrabstwa, ale w gruncie rzeczy chodziło przecież o szczęście), za wygłaszanie generalnych sądów na temat szczęścia. Robiłam to, choć nie umiałam najprostszych rzeczy, choć nie nauczyłam się niczego w zwykły uporządkowany sposób, jak robią to inni ludzie, którzy przechodzą od jednej rzeczy do drugiej, jak gdyby przez życie również przebiegała linia prowadząca od A do L, od średniego C do wysokiego C przez szereg połączonych, acz różnych komponentów.

Dałam staruszkom - według moich dokumentów była to para małżeńska i siostra męża - formularze do wypełnienia. Z przyzwyczajenia poprosiłam Rose, by poszła wypełniać swój kwestionariusz do drugiego pokoju, choć wiedziałam, że państwo Blake nie powiedzą mi niczego, czego nie powiedzieliby Rose. Będą wspólnie bronić jej przed każdą złośliwością, prawdziwą czy wyimaginowaną pochodzącą z oficjalnego świata, który reprezentowałam.

Pani Blake, jak stwierdzało zaświadczenie lekarskie, miała raka okrężnicy, za rok nie będzie żyła. Powiedziano jej o tym. Inspektor społeczny zanotował, że nie miała religijnych preferencji. Przeszła operację usunięcia odbytu i Rose musiała teraz codziennie zmieniać jej woreczek. Nie zgodziła się na kurację kobaltową. Ta stara kobieta, zajmująca się reperowaniem ubrań, zakładami na wyścigach i oczekująca na śmierć, w dziwny sposób przypominała mi bombę zegarową. I farbowała włosy na taki nieodpowiedni kolor.

Kiedy weszłam do kuchni, Rose płakała. Wytarła mokre policzki wierzchem dłoni.

- To Alicja - wyjaśniła. - Nie mogę tego znieść, jeśli pani wie o co mi chodzi, że niedługo już nie będzie żyła.

Spojrzałam przez drzwi na trójkę starych ludzi, którzy sprzeczali się, czy postawić średnik czy przecinek w jakimś miejscu kwestionariusza. Martwienie się o

interpunkcję w takiej bliskości śmierci oznaczało, że życie jest dobre, warto je cenić. Usiadłam naprzeciwko Rose i sama zaczęłam płakać. Płakałyśmy w milczeniu. Po chwili Rose powiedziała:

- Niech pani kiedyś przyjdzie do nas wieczorem na piwo.

Powiedziałam, że zrobię to bardzo chętnie. Jednak nigdy już nie wrócę do tego domu, ponieważ tak się nie postępuje. Nie wkracza się w życie ludzi z aktówką wypełnioną kwestionariuszami, by potem powrócić, jakby się było zupełnie inną osobą, a tamto spotkanie miało miejsce przypadkiem w autobusie czy kawiarni, a nie stanowiło oficjalnego badania, politycznie umotywowanej sondy.

Ta stara kobieta była umierająca, a ja siedziałam naprzeciwko kogoś, kogo nie powinnam lubić, kto prawdopodobnie brał pieniądze od tych staruszków i obarczał ich zajęciami domowymi, których sam nie miał ochoty wykonać. Dom Rose był na pewno najmniej zadbany, najmniej przystosowany do opieki nad starymi ludźmi. A jednak chciałabym porozmawiać z Rose o Hugonie. Ale nie wrócę tu. Pomyślałam, że Lawinia Hartman uznałaby moje postępowanie za nieprofesjonalne.

Kupiłam parę porządnych butów. Grube podeszwy robiły wrażenie, że ochronią mnie przed wszystkim.

Znowu miałam problem ze słowami, bo Liz i Hugo mówili o „długim spacerze”. Ostatni raz byłam na długim spacerze, którego trasa przebiegała nie po chodniku, kiedy miałam szesnaście lat. Poczułam się niepewnie, zastanawiałam się, czego po mnie oczekują: zręczności, wytrzymałości, milczenia, poczucia równowagi? I pewnie w dodatku będą uważali, że to nie są poważne wymagania.

Hugo przyjechał po mnie o szóstej rano. Co powiedział swojej żonie? Niebo było szare. Miałam zimne piersi, jednak kiedy Hugo ich dotknął, powiedział, że są cudownie chłodne i przytknął do nich policzki, bo położył się koło mnie w ubraniu.

W samochodzie śpiewaliśmy oboje. Hugo śpiewał „I will be seeing you”, a ja „I will take you home again, Kathleen”, bo powiedział, że to jego ulubiona piosenka. Opowiedział mi, że mały staw zaczyna zamarzać i z brzegu widać, jak lód dochodzi już do środka stawu.

Przyznałam się, że nie byłam za miastem od przeszło dziesięciu lat. Myślałam, że wyrazi współczucie, ale zmarszczył brwi ze złością.

- A więc nie lubisz wsi? - zapytał rozczarowany.

- Nie mam w tej sprawie żadnego doświadczenia - odpowiedziałam zupełnie jak wychowanka slumsów.

Wziął moją dłoń i pocałował jej wewnętrzną stronę.

- Nie szkodzi - powiedział, jakby już coś mi przebaczył.

- Ojciec mawiał, że katolikom niepotrzebna jest natura - wyjaśniłam próbując obrócić wszystko w żart, mając nadzieję, że Hugo zrozumie, że to wcale nie jest śmieszne.

- Ale mówiłaś, że on sam wychowywał się na wsi?

- Tak.

- Widziałem to setki razy. Ludzie o brutalnej wiejskiej przeszłości zawsze chcą odejść od tego najdalej.

A więc to tak. Ojciec nie chciał zabrać mnie w góry czy nad ocean, ale nie miało to nic wspólnego z katolicyzmem czy z prawdą objawioną. Wiązało się to z jego ojcem. Nie było w tym nic tajemniczego, zgadzało się to z jakimś prawem, któremu zdawały się podlegać ludzkie istoty w swej słabości i łatwym do przewidzenia postępowaniu. Tam, gdzie ja dostrzegałam zniewalającą mieszaninę tradycji i oryginalnej myśli, Hugo widział powolne rujnowanie stosunków rodzinnych. Wszystko stawało się o tyle prostsze i mniej interesujące dzięki takiej możliwości rozumienia.

Położyłam rękę na ramieniu Hugona.

- Oczywiście, nigdy na to nie wpadłam.

Zdawało się, że jedziemy prosto w słońce. Niebo stopniowo wchłaniało światło przemieniając je w kolor; teraz jaśniało ostrą, pełną wyrzutu niebieskością grudniowego poranka.

Jechaliśmy pod górę, wokół leżał śnieg. W dniu Dziękczynienia padał śnieg, ale nic z niego nie zostało. Przypomniałam sobie, że nie obchodziłam święta Dziękczynienia, że ojciec nigdy go nie obchodził. To jest protestanckie święto, amerykańskie święto, mówił, a my jesteśmy katolikami z bogatą i starą tradycją, która nie ma nic wspólnego z rzeczowymi, zimnokrwistymi purytanami z Nowej Anglii.

Surowe światło przeświecało zza wysokich, miękkich i rozmarzonych sosen, otoczyło nas, kiedy wysiedliśmy z samochodu, po raz pierwszy tego roku poczuliśmy zimno we wnętrzu nosów. Hugo położył rękę na moim ramieniu. Jej ciężar był równie przyjemny jak zielone światło. Hugo miał na sobie olbrzymie brązowe buty z czerwonymi sznurowadłami zaplątanymi wokół niewielkich metalowych haczyków, buty wyglądały bardzo poważnie, cudzoziemsko i przymilnie równocześnie.

Liz i Eryka siedziały na płocie. Liz paliła papierosa. Eryka miała na sobie czerwoną wełnianą czapkę, jej cera wydawała się brązowa, a oczy ciemniejsze. Znowu wyglądała nieśmiało i wyzywająco. Hugo położył rękę na jej ramieniu, wymienili krótki bezceremonialny pocałunek.

- No to chodźmy - zaproponowała Liz. - Czekamy już dziesięć minut. Czy zauważyliście, że osoby heteroseksualne w ogóle nie mają poczucia czasu?

Szli we trójkę rozmawiając o koniach, paszy, proteinach i treningu. Ja maszerowałam z tyłu. Wszystko było wilgotne i lekkie, nic tutaj nie przylepiłoby się do ciała, nie wywierałoby nacisku. Na końcach gałązek rysowały się wyraźne kropelki wody. Czułam się dziwnie przerażona.

Miałam ochotę się położyć, nie na samej ziemi, ale tak, żeby się troszkę unosić nad jej powierzchnią, oni jednak szli szybciej niż mogłabym sobie życzyć i używali takich słów jak „kowal”. Zatrzymywałam się, by popatrzeć na drobniutkie białe szkieleciki zimowych kwiatów. Oni szli daleko w przodzie, widziałam w powietrzu ich oddechy.

Hugo zawrócił i podszedł do mnie. Patrzyłam na wodę płynącą w rowie. Dla mnie wszystko było nowe, wszystko piękne. Nawet woda w rowie zdawała się cudem.

Hugo powiedział: - Pewno nie jesteś przyzwyczajona do tempa, jakie narzuciliśmy.

Miałam wrażenie, że w powietrzu uformowało się coś bardzo twardego i spadło. Naprawdę chciał powiedzieć „nie możesz nadążyć”, co obróciło moją łagodność w kamień.

- Sądziłam, że wybraliśmy się na spacer po lesie. Nie wiedziałam, że mamy uczestniczyć w olimpiadzie. Gdybym to wiedziała, trenowałabym przedtem.

Jego oczy zmieniły kolor. Stały się bardziej szare i mniejsze niż kiedykolwiek.

- Zawsze dochodzimy na szlak Irokezów przed dziesiątą - powiedział.

- A więc idźcie beze mnie, jeśli o to ci chodzi.

- Nie znasz drogi. Zabłądzisz. - Odwrócił się do mnie plecami, więc mogłam widzieć białe kręgi, jakie wyrysowały w powietrzu jego słowa, ale nie widziałam jego twarzy.

- Dlaczego trzeba tam dotrzeć przed dziesiątą?

- Widok jest wtedy wspaniały - wyjaśnił. - Ze względu na oświetlenie gór.

- A więc nie ma czasu, żeby podziwiać coś po drodze?

- Jeżeli nie możesz wytrzymać tempa, przyznaj się, zostanę z tobą. Czułam się jak wielgachny ptak wysiadujący ciemne jajo gniewu.

A Hugo wykluczał wszelką dyskusję. „Zawsze dochodzimy tam na dziesiątą”, powiedział. I dalej będzie dochodził tam na dziesiątą. Nie rozumiałam zupełnie, jak mogłam obdarzać go uczuciem. Nie pozwolę jednak, żeby mnie pokonał. Dotrzymam kroku.

- Idziemy wszyscy razem - powiedziałam.

Szliśmy po przeciwległych stronach drogi nienawidząc się nawzajem. Kiedy zrównaliśmy się z Liz i Eryką, zostałam kilka kroków w tyle, ale tylko kilka, żeby przestali spoglądać na mnie z wyrazem nieustannego rozdrażnienia.

Mięśnie ud napinały się z wysiłkiem. Czułam gorąco w rozciągniętej ponad możliwości klatce piersiowej; te fizyczne dolegliwości przemieniały mój gniew w nienawiść. Pomyślałam, że gdyby zlecieli w przepaść, byłabym szczęśliwa.

- Odpoczniemy chwilę - zaproponował Hugo z niedbałą rycerskością. Słyszał, jak dyszę; ani on, ani tamte dwie nie potrzebowali przerwy.

Głęboko, boleśnie wdychałam powietrze. Miałam nadzieję, że już nigdy nie będę musiała oglądać żadnego z nich. Ojciec postępował słusznie trzymając się z daleka od podobnych rzeczy. Po dzisiejszym dniu będę robiła tak samo.

Na szczycie Przełęczy Irokezów była gładka ściana skalna z niewielką półką, którą mogła pokonać kozica, ale która wydawała się poza zasięgiem delikatnej ludzkiej stopy (mojej stopy). Eryka wskoczyła na szczyt jak kozica, Liz wdrapała się zaraz za nią. Hugo rozglądał się dokoła, jakby chciał powiedzieć: zdążyłbym czterokrotnie wejść i zejść, zanim ty się wdrapiesz.

- Daj mi rękę - zaproponował.

- Nie, dziękuję - odparłam, myśląc: jak mogłam pozwolić, żeby ten tyran kiedykolwiek mnie dotknął? Pomyślałam o jasnowłosych hitlerowcach trenujących wspinaczkę na Jungfrau, bez trudu widziałam Hugona na ich czele.

Wciągałam się po skałach, po których Hugo skakał.

Eryka wołała z góry: - Pokażę ci naprawdę dobre ćwiczenie na równowagę.

Byłam coraz bardziej skłonna do popełnienia morderstwa, w miarę jak zdzierałam z dłoni coraz więcej skóry.

- Gdybyś po prostu skakała, byłoby dużo łatwiej - poradził Hugo.

- Nie chcę spędzić świąt na wyciągu.

- Nonsens!

- Zamknij się - powiedziałam. - O nic więcej cię nie poproszę. Słyszałam wyraźnie, że powiedział „kretynka”.

- Chodź, Eryko - zawołała Liz nie ukrywając pogardy. Obydwie przebiegły po szczycie skały.

Kiedy wreszcie dotarłam na szczyt, Hugo stał tyłem do mnie.

- Co ty sobie wyobrażasz? Uważasz się za Mojżesza? - zapytałam ze złością.

- Nie, po prostu za stosunkowo sprawnego mężczyznę, nie rozpuszczone dziecko.

Uderzyłam go mocno między łopatki z zamiarem sprawienia bólu. Zrobił to samo.

Zapanowało milczenie. Rozplakałam się.

- Nigdy więcej mi tego nie rób - powiedział.

- Zasłużyłeś na to.

Nagle ze zdziwieniem spostrzegłam, że roztacza się przed nami zadziwiająco piękny widok. Teraz płakałam, ponieważ było tu tak pięknie, ponieważ nigdy nie widziałam niczego podobnego.

- Wybacz mi - poprosiłam przytulając się do jego kurtki. Na policzku czułam chłodną gładkość materiału, pełnego sztywnych włókien, które nie wchłaniają łez.

Hugo potarł dłońmi moją twarz. - Widzisz, Kocham cię - powiedział.

- Tak.

- Teraz położymy się na słońcu.

Znalazł miejsce, gdzie było cudownie ciepło. Pozbierał trochę suchych liści i przysypał nimi igliwie. Trzymaliśmy się w objęciach.

Powiedziałam do siebie: to jest miłość. To znaczy: ty jesteś jedyny, nie może istnieć nikt inny. To znaczy: bez ciebie moje życie byłoby bardzo ubogie. I myślałam o ubóstwie mojego życia, o chwili niewypowiedzianego bogactwa, kiedy leżałam w słońcu w połowie grudnia, i myślałam o wszystkim, co stracę, kiedy stracę Hugona. I po raz pierwszy, wśród tego piękna, czułam strach przed utratą, pierwsze przecucie, że to, do czego przywiązywałam taką wagę, było zarazem niemożliwe do zastąpienia i niczym nie zagwarantowane. Mocno ścisnęłam rękę Hugona.

XI

Pani Regan była profesjonalistką i nie ukrywała, co myśli o takich jak ja amatorach.

- Jakie ma pani kwalifikacje? - zapytała zamykając drzwi wejściowe. Czułam się jak jarmarczny szuler, którego przyłapała policja ze znaczone kartami.

- Pracuję w administracji hrabstwa - odpowiedziałam. Trudno było o gorszą odpowiedź.

- A ja jestem elpi - oznajmiła pani Regan.

- Słucham? - pomyślałam, że ta kobieta zaczęła ni stąd ni zowąd mówić o wspinaczce.

- L.P. - powtórzyła z wyraźną irytacją - to znaczy licencjonowana pielęgniarka. Może pani poinformować o tym w swoim urzędzie, że powinnam dostawać trzy razy tyle pieniędzy. Radzę sobie tylko dlatego, że mam emeryturę. Wie pani, uratowałam tej kobiecie życie. Utknął jej w gardle kawałek mięsa i potrafiłam ją zmusić do wyplucia.

Miałam ochotę powiedzieć: a gdyby tak nie chciała wypluć?

- Ta staruszka jest pomyłona. Pomyłona.

- Jest na to chyba termin medyczny. To się chyba nazywa starcza demencja.

Pani Regan zignorowała mnie.

- Wyobraża sobie, że jest w grupie rock and rolla. Nie mam pojęcia, skąd jej to przyszło do głowy. Rodzina twierdzi, że może pod wpływem jednego z wnuków, który uciekł właśnie do jakiejś grupy rockowej. Może pani sobie wyobrazić, jak to jest przez cały dzień.

Korzyść przynależenia do dużej organizacji polegała na tym, że można było ukrywać strach pod maską oficjalności. Powiedziałam pani Regan, żeby wypełniła formularz, podczas gdy ja zajrzę do pani Mooney. Pani Regan napawała mnie przerażeniem, wiedziałam jednak, że wykona wszystko, co jej polecę, jeżeli powiem to odpowiednim tonem i dam jej do wypełnienia odpowiednie dokumenty.

Pani Mooney była przywiązana do łóżka. Wydawało się, że składa się jedynie z czaszki z kilkoma kępkami włosów. Jej niezwykle długie palce wygrywały coś na wyimaginowanej klawiaturze kołdry.

- O, pani jest pewno tym nowym impresariem - odezwała się zaskakująco rześkim głosem.

Usiadłam na krześle przy łóżku.

- Nie, pani Mooney, ale chciałabym zadać pani kilka pytań.

- Aha, to znaczy, że pani jest z jakiegoś pisma. Nie udzielamy wywiadów.

- Gdyby jednak udzieliła pani tego jednego... - poprosiłam. Pomysł, że ta drobna staroświecka osóbka związana jest z grupą rock and rolla miał nieodparty urok.

- Czy dobrze panią tu traktują? - zapytałam.

- We wszystkich hotelach są te same obrazki. W ostatnim jedzenie było do wyrzygania. Ale na szczęście mieliśmy kontrakt tylko na jedną noc.

Zdumiał mnie jej język. Podobnie jak cały świat fantazji nie pasował zupełnie do realiów postaci.

- Czy jest pani zdrowa?

- Wszyscy prócz mnie biorą narkotyki - powiedziała. - A ja mam nowe organy.

W dalszym ciągu wygrywała coś na pościeli. Zrozumiałam, że niczego więcej od niej nie wyciągnę. Wydawała się absolutnie szczęśliwa. Wprawiała mnie w niewytłumaczalnie dobry humor.

Weszła pani Regan. - Chciałam panią poprosić o wyjaśnienie w sprawie dwunastego pytania.

- To jest nowa kierowniczką - przedstawiła pani Mooney. - Ta suka ma gdzieś muzykę, chodzi jej tylko o pieniądze.

Pani Regan zaczęła poprawiać pościel.

- Nie wiem, dlaczego używa takiego języka - powiedziała. - Była kobietą bardzo religijną. Jej rodzina też nie wie, gdzie się tego nauczyła. Zapewniali mnie, że była prawdziwą damą. - Zaczęła sprawdzać puls pani Mooney.

- Wsadź sobie to w dupę - oznajmiła pani Mooney.

- Co pani mówi! - wykrzyknęła pani Regan wypuszczając rękę staruszki z prawdziwą zgrozą.

- A co do ciebie - powiedziała pani Mooney wyciągając w moją stronę długi palec - to chcę zobaczyć wszystko, co napiszesz, zanim zostanie wydrukowane!

- Przyślę pani maszynopis - obiecałam.

- Nie należy jej zachęcać, panno Moore - skarciła mnie pani Regan.

- Zamknij się, suko - zakonkludowała pani Mooney. - Jesteś po prostu zazdrosna, bo nigdy nie zostaniesz gwiazdą.

Hugo po raz pierwszy zaczął mówić o swoich dzieciach gdzieś koło Bożego Narodzenia.

- Ojcu trudno zgadnąć, czego chcą córki - powiedział.

Miał na myśli prezenty, miał na myśli to, że mężczyźni trudno iść do sklepu i kupić to, co mu poleciły. Jednak ze sposobu, w jaki to powiedział, wywnioskowałam, że nawet ta strona ojcostwa sprawia mu przyjemność, że lubi nawet takie sytuacje, kiedy wraca do domu z nieodpowiednim zakupem, a córki mówią „wcale nie o to nam chodziło, wcale nie”. Między córkami a ojcami najprzyjemniejszy jest ów dystans, który sprawia, że miłość jest nie tylko możliwa, ale zawsze interesująca.

Powiedział, że jego starsza córka jest bardzo poważna, bardzo uczuciowa. Obawiał się, że będzie jej ciężko. Bardzo cierpi już w wieku lat piętnastu. I popada we wściekłość, trzaska drzwiami, tłucze przedmioty. Kiedyś wybiła ręką szybę; kiedy Hugo wszedł do pokoju, była cała zakrwawiona. Wiedziałam jednak, że za to właśnie ją kochał. Powiedział też, że jest bardzo piękna i mężczyźni będą ją źle traktować. Obawiał się, że zawsze będzie sprawdzać, przymierzać i że nikt do tej miary nie dorośnie.

- A druga, młodsza? - zapytałam, bo chciałam już teraz wszystko o nich usłyszeć, żebym nie musiała słuchać później.

- Sara to złote dziecko. Wszyscy ją kochają. Ona tak się cieszy życiem. Wszystko ją interesuje, chce wiedzieć, jak działa odkurzacz, jak poruszają się chmury, jak się jeździ na bojerach. To znaczy, wszystko prócz szkoły. Szkoła ją potwornie nudzi. Ostatnio mówi „to jest zawracanie dupy”, co oczywiście doprowadza matkę do szału.

A więc stało się. Mówił o niej. Wprawdzie jako o „matce”, ale jednak o niej wspomniał. Zdawała się być wszędzie, na każdym meblu zdawała się siedzieć zazarta kobieta i oskarżać.

- Zastanawiam się, czy masz wystarczająco dużą rodzinę, by mogła cię obronić w Boże Narodzenie przed wspaniałomyślnością ludzi - powiedziałam. - Ludzie zawsze zapraszali nas z ojcem na święta i uważali, że to bardzo dzielne i jednocześnie bardzo

smutne, że odmawiamy, podczas gdy my jedynie chcielibyśmy być sami. Ilekroć nikt się nie trafił, mieliśmy zawsze cudowne święta.

- Tylko we dwoje. To będą twoje pierwsze święta bez niego.

To mi nie przyszło do głowy. Ponieważ ciągle wydawał się blisko, ponieważ tak długo był tak daleko.

- Ale kiedy ojciec był chory, nigdy nie obchodziliśmy świąt. W wigilię przychodziła moja przyjaciółka Eleanor, ubierałyśmy choinkę, piłyśmy grzane wino z jajkiem, ale od czasu choroby ojca stało się to bardzo smutne. A jednak uważałam, że musimy kontynuować. Gdybyśmy przestały, to by znaczyło utratę wszelkiej nadziei.

Myślałam: straciłam wszelką nadzieję, że on umrze, kiedy jeszcze byłam wystarczająco młoda, by zacząć życie. Ale myślałam także o tym, jak bardzo bałam się jego śmierci, jakby miał zabrać z sobą także i moje życie. Czasami zdumiewało mnie, że on umarł, a ja jeszcze ciągle żyję, że podjęłam swoje życie tak szybko, tak łatwo. Myślałam o Margaret.

- Kiedy jeszcze była u nas Margaret, zawsze robiła aluzje, że chciałaby spędzić z nami święta, ale ojciec nigdy do tego nie dopuścił.

- Po tylu latach mówisz to z triumfem.

- Ty tego nie rozumiesz. To straszna kobieta.

- To po co o niej myślisz?

- Bo mnie prześladowuje jak duch.

- Tylko dlatego, że na to pozwalasz.

To był cały Hugo: życie było proste, łatwe, dawało się nim pokierować, powstrzymać pewne wydarzenia. Oczywiście, nie wierzyłam w to, ale kochałam go za to, że tak uważał. Wyobrażałam sobie Hugona jako ojca, męża, jak dzieli indyka siedząc u szczytu stołu. Odczuwałam zazdrość nie tylko o niego, ile o to, że ma te wszystkie powiązania, te wszystkie absolutnie proste, przyjemne rzeczy do zrobienia.

- Jak spędzisz święta? - zapytał zatroskany.

- Jadę do Eleanor i odwiedzę księdza Mulcahy.

- To ci odpowiada? - pytał dalej, wciąż zatroskany.

- Eleanor jest aniołem. Cały dzień spędzimy na gotowaniu. Ma takie mikroskopijne mieszkanie. Całkiem jak w Paryżu.

Hugo pocałował mnie w czubek głowy. - Przeze mnie masz skomplikowane życie - powiedział.

- Sza - poprosiłam, kładąc jego rękę na swojej piersi.

W ciągu ostatnich kilku tygodni John Ryan pytał mnie kilkakrotnie kiedy może się znowu ze mną zobaczyć i zawsze udawało mi się jakoś to odłożyć. Na szczęście był zajęty. Na szczęście miał inne dziewczyny mogłam się więc wyłgać za pomocą żartów i obietnic. Nie byłam jednak całkowicie zaskoczona, kiedy zobaczyłam go w drzwiach.

Przestraszył mnie, chociaż byłam przygotowana na to spotkanie. Postanowiłam, że już więcej mu się nie oddam.

Odwróciłam głowę, kiedy się nachylił, żeby mnie pocałować, a kiedy się zbliżył, zeszywniałam. To go jednak nie powstrzymało. Jakby nie zauważył moich zaciśniętych warg i odmownej postawy. Nienawidziłam go za to, że mnie zmusił do odezwania się.

- To nie ma sensu - powiedziałam usiłując się od niego odsunąć

- Nie mów tak, dziecinko, nie mów tak.

Próbował rozpiąć mi bluzkę. Jego głos zdawał się młodszy niż kiedykolwiek i bardziej niebezpieczny zarazem. Mocno obejmował mnie ramionami. Między nogami czułam jego udo. Właśnie masa tego uda wprowadziła mnie w panikę; miałam wrażenie, że się topię i zaczęłam miotać się na podobieństwo osoby tonącej. Uderzyłam go między oczy, wydał krótki okrzyk, zadziwiający okrzyk bólu. Odsunął się ode mnie trzymając rękę przy oku.

- Ty kurwo - powiedział. - Zapłacisz za to. Ty i twój przyjaciel.

I już go nie było. Poczułam dziwne zadowolenie pomieszane ze strachem. Nie mogłam z nikim o tym porozmawiać. Nie wiedziałam też w jaki sposób wypełni swoją obietnicę, nie miałam jednak wątpliwości że coś zrobi, że będzie to sprytne i skuteczne i sprawi mi wiele bólu. Pada śnieg. Pomyślałam o chłopcach, którzy do śnieżek wkładali gwoździe.

Pani Rosenthal wprowadziła mnie w zdenerwowanie. Była chyba najmniejszą kobietą, jaką zdarzyło mi się widzieć, obawiałam się też, że jej dom się za chwilę rozpadnie, wyglądał tak niesolidnie, jakby skonstruowano go z patyczków do lodów. Wszystko w nim wydawało się lekkie i tymczasowe, jakby można go było błyskawicznie rozmontować i ukryć.

Co kazało pani Rosenthal śnić o możliwości błyskawicznej ucieczki? Była rozwiedziona, miała jednego syna, który - jak mi powiedziała - żył w komunie. Nie ulega wątpliwości, że wzięła do domu staruszkę, ponieważ czuła się samotna. Usiłowałam ustalić jej wiek, ale wysuszona bezkrwista skóra, nie pozbawiona jednak atrakcyjności, uniemożliwiała wszelkie ustalenia. Pani Rosenthal wprowadziła mnie do - jak sama to określiła - pokoju dżentelmena.

Pan Spenser bez wątpienia był dżentelmenem. Czytał *Wspomnienia Casanovy*. Nie miał zębów, ale na mój widok powiedział:

- Jeśli pani chce, mogę włożyć zęby.

Zabrzmiało to jak najbardziej wyszukana uprzejmość. Powiedziałam mu, że zęby nie są konieczne, a ja i tak nie zabawię długo. Wydawał się rozczarowany moją ugodowością.

- Chciałbym, żeby pani została dłużej. Teraz już rzadko widuję piękne kobiety. Pani Rosenthal jest wprawdzie bardzo dobra, ale ma okropną cerę i zupełnie nie ma piersi.

Szybko przerzuciłam się na oficjalny ton, zadałam starszemu panu pytania na temat odżywiania, wizyt lekarza i dostępu do łazienki, na co odpowiadał bez zainteresowania, jakby miał na głowie coś ważniejszego.

- Najbardziej zdziwiło mnie, że w wieku osiemdziesięciu trzech lat moje zainteresowanie seksem nie zmalało ani odrobinę. Ostatni raz miałem stosunek seksualny przed ośmioma laty. Nie zdawałem sobie sprawy, że to ostatni raz, zwracałbym bowiem większą uwagę na detale. Na użytek wspomnień.

- Tak - powiedziałam. - A więc uważa pan, że ten program daje panu jakieś korzyści?

- Zawsze zajmowała się mną jakaś kobieta, tyle że coraz starsza, a ostatnia zmarła przed sześcioma laty. Byłem w domu starców, ale tam są zupełnie nieodpowiedni ludzie. Zupełni ignoranci. Oczywiście, pani Rosenthal też jest kompletną ignorantką, ale przynajmniej mam tu spokój. Nie myślę już więcej o tym, żeby być szczęśliwym. Moja młodość nie należała do tych, które zapewniają szczęśliwą starość, wnuczki czekające na opowieści dziadka i tak dalej. Moje znajomości nie odznaczały się szczególną trwałością. Na starość można już tylko zbierać, ludzie są dobrzy dla starców jedynie z poczucia winy, a ja nigdy nie robiłem nic dla nikogo przez wystarczająco długi czas, żeby wywołać poczucie winy.

- A więc nie wierzy pan w czystą wspańałości? - zapytałam. Myślałam o własnym ojcu.

- Koncepcja czystości nie wydaje mi się zbyt interesująca.

- Przypomina mi pan mojego przyjaciela - powiedziałam. - Zawsze żyłam w świecie, w którym domagano się rzeczy niemożliwych. Wszystko inne wydawało się przeciętnością.

- Proszę mi opowiedzieć o tym przyjacielu.

Opowiedziałam mu, co czułam obserwując z daleka sylwetkę Hugona, jak bardzo mnie do niego ciągnęło, jaką nowością było dla mnie kochanie się z Hugonem, a jednocześnie jak naturalne mi się wydało.

- To jest naturalne - powiedział.

- Nie zawsze - odparłam.

- Proszę jeszcze mówić o przyjacielu.

Zrozumiałam, dlaczego kobiety go kochały. Słuchał z głową przechyloną na bok (to ciągle jeszcze działało, choć miał osiemdziesiąt trzy lata i ani jednego zęba), jakby od dawna czekał właśnie na tę opowieść, jakby słuchanie stanowiło najprzyjemniejsze zajęcie. Powiedziałam mu o żonie Hugona, o córkach i o prezentach gwiazdkowych.

- Kocha go pani?

- Boję się - odpowiedziałam, mając na myśli równocześnie: boję się, że tak, i jestem wystraszona.

- Musi pani starać się go zatrzymać. Wierzę, że się uda. Proszę pamiętać, że ma pani dużą władzę. Piękna kobieta ma zawsze większą władzę niż jej się zdaje.

- Ale ja nie jestem piękna.

- Kochanie, proszę się nie domagać, żebym panią znieważał powtarzając rzeczy oczywiste.

Wzięłam go za rękę.

- Bardzo mi pan pomógł. Jeszcze przyjdę pana odwiedzić.

- Proszę tego nie robić. To byłby błąd. Czułaby pani wobec mnie zobowiązania, a ja nie potrafiłbym być zabawny. Chciałbym prosić tylko o jedno.

- O co?

- Proszę mi pokazać piersi.

- Co takiego? To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Bo one należą do mnie.

- To jest jedyna rzecz, jakiej chcę i jaką może pani dla mnie zrobić.

Usiłowałam znaleźć jakąś sensowną przyczynę odmowy. Tego pragnął.

Pomyślałam o kobiecie z *Braci Karamazow*, która poszła do spowiedzi. Powiedziała księdzu, że nie może zerwać cudzołóżnego związku, bo „jemu daje to tyle przyjemności, a mnie sprawia niewielką przykrość”. Zaczęłam rozpinać bluzkę.

- A jeśli wejdzie tu pani Rosenthal?

- Proszę zamknąć drzwi. Jedyną dobrą rzeczą w tym raczej bezosobowym pokoju jest zamek.

- Mam nadzieję, że sprawi to panu przyjemność.

- Będzie to dla mnie znaczyło więcej niż może pani sobie wyobrazić.

- Czy zapisze pan szczegóły do swoich wspomnień?

- O nie, moje życie jest skończone.

Miałam trudności z odpięciem stanika. Piersi wyskoczyły z miseczek jak pomarańcze z papierowej torby.

Pan Spenser nie uśmiechnął się. Pokiwał głową i zamknął oczy.

- Była pani naprawdę bardzo dobra. Dała mi pani to, czego chciałem, nie to, czego pani zdaniem powinienem chcieć, czy co byłoby zgodne z pani pragnieniem.

Ubrałam się. Uścisnęliśmy sobie ręce bardzo oficjalnie. Zastanawiałam się, czy postąpiłam nienormalnie. Opowiem o tym Hugonowi. Czy pomyśli, że byłam niewierna? Ale pan Spenser powiedział wiele mądrych, interesujących rzeczy, dał mi to, czego najbardziej potrzebowałam: rozmowę. Słuchał, kiedy opowiadałam mu o

Hugonie. Nie mogłam o tym rozmawiać z nikim innym. A ja dałam mu to, czego pragnął i żadne z nas nic przy tym nie straciło. To zdarzało się rzadko. Nie wierzyłam nawet, że to w ogóle możliwe; dawać i brać, jakby nikt nie musiał cierpieć, jakby można było nie czuć się oszukanym w akcie dawania.

Uświadomiłam sobie, że nigdy dotychczas nie przygotowałam posiłku dla Hugona i chciałam to zrobić przed świętami. Pierwszy wyjazd z Ringkill będzie oznaczał zakończenie czegoś, a ten pierwszy powrót może będzie początkiem czegoś innego; w każdym razie kolacja z Hugonem wydawała mi się odpowiednim zamknięciem okresu, który stanowił początek mojego nowego życia.

Planowałam ten posiłek przez wiele dni. Wzięłam z biblioteki obydwa tomy *Radości gotowania* w wydaniu kieszonkowym i z całkowitym zaabsorbowaniem i zupełnie zmysłowym niedowierzaniem czytałam opisy potraw, do których mają doprowadzić wszystkie kolejno opisane działania i igredencje. Zdecydowałam się na *coq au vin*. Flirtowałam z rzeźnikiem, żeby podzielił kurczaka ze szczególną starannością. Kupiłam specjalny ryż w sklepie z organicznie produkowaną żywnością. Wpatrywałam się czule w wina francuskie, zakochana w etykietach. Nigdy nie spędziłam dnia w szczęśliwszym nastroju. Skończyłam zakupy o jedenastej, od dwunastej do drugiej sprzątałam, o czwartej miałam pokrojone grzyby i cebulę, o piątej wszystko już się dusiło na kuchence. Zostały mi dwie godziny na kąpiel i przygotowanie na przyjęcie kochanka. Wszystko zostało prawidłowo zaplanowane. Nigdy nie czułam do siebie większej sympatii.

Siedziałam w wannie czterdzieści minut. Całe ciało natarłam emulsją. Włożyłam na siebie jedynie czarny welwetowy kaftan. Czułam się spokojna, kompetentna i godna pożądania, a - co ważniejsze - miałam wrażenie, że wreszcie nauczyłam się tego, co wiedziały kobiety w moim wieku; czułam, że nie jestem już dzieckiem. Przeglądałam styczniowy numer „Vogue'a" i pomyślałam, że gdybym mogła sama siebie obserwować, uznałabym, że stałam się kobietą, jaką zawsze pragnęłam być: kobietą mogącą wzbudzać zazdrość młodszych.

Słyszałam, jak Hugo otwierał drzwi frontowe, zbiegłam po schodach, żeby go powitać. Jego uścisk był suchy i powściągliwy, jakby myślał o czymś innym. Nie potrafię opisać moich uczuć, dostrzegłam jakiś niewyraźny cień, nic więcej, ale straciłam nagle całą jasność widzenia.

- Czy trudno ci było się wyrwać? - zapytałam podejrzewając, że to może być powodem jego roztargnienia.

- Niezupełnie - odpowiedział rozglądając się z niezadowoleniem.

- Całkiem niezłe zapachy.

Całkiem niezłe.

- To *coq au vin*.

- A ja przyniosłem białe wino. Pójdę zamienić.
- Nie warto. Mam czerwone.
- To dobrze, bo będziesz mogła zachować to dla Johna Ryana.

Ta niesprawiedliwość bardzo mnie zabolęła, ponieważ za główną cnotę Hugona uważałam poczucie sprawiedliwości. Brak tego poczucia cechował mojego ojca, cechował katolików sądziłam jednak, że Hugona broni przed nim owo spokojne, świeckie nastawienie. Uważałam, że w jakiś cudowny sposób wolny jest od tej charakterystycznej cechy właściwej mężczyznom wychowanym w strachu przed zagniewanym Bogiem: zwyczaju rozdmuchiwania przestępstw, wymyślania wyroków zawsze wtedy, kiedy było się na to najmniej przygotowanym, kiedy miało się poczucie zupełnego bezpieczeństwa, świadomość, że kara w żadnym razie nie zagraża. Przygłębił mnie fakt, że teraz w rozmowie z Hugonem będę musiała używać zwykłych słów, protestować tak, jak wobec każdego innego mężczyzny.

- Wiesz, że już nigdy nie spotkam się z Johnem Ryanem.
- Tak właśnie powiedziałaś.
- Co się dzisiaj z tobą dzieje?
- Nic, nie przerywaj swoich zajęć.

Żałowałam, że zostało mi tak niewiele do roboty. Zagotowałam wodę i obserwowałam, jak Hugo rozgląda się w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby wyładować niezadowolenie ze mnie. Tak to wyglądało, dziś mnie nie lubił, w ten właśnie wieczór, kiedy spodziewałam się adoracji. Skąd się to wzięło? Wiedziałam, że to moja wina, nie miałam co do tego wątpliwości, choć nie bardzo potrafiłam zidentyfikować przyczyny.

Hugo wszedł do kuchni z filiżanką w rękę. Zastanawiałam się z niepokojem, gdzie ją znalazł.

- Izabelo, spójrz na to i wytłumacz mi, jeśli istnieje jakieś możliwe do przyjęcia wytłumaczenie!

Spojrzałam na filiżankę. Na dnie były dwa centymetry stwardniałej kawy, na której wyrosła pleśń jak pierścienie wokół księżyca. Mężczyzna, którego kochałam, trzymał w rękę dowód mojej klęski. Jakże się myliłam siedząc na kanapie - czy możliwe, że było to zaledwie przed pół godziną - czytając „Vogue” i myśląc, że mogę być taka jak inni. Przypomniałam sobie straszliwy bałagan w szafach przy Dover Road, spowodowany tym wstyd i niepokój, głębokie przekonanie, które żywiłam aż do momentu sprzedania domu obcym ludziom, że nic na to nie mogę poradzić. Myślałam, że mam to już poza sobą, myślałam, że mogę stać się kobietą z moich marzeń, ale myliłam się. Zawsze znajdzie się dowód, równie nieodparty jak ta filiżanka, że mi się nie udało, że nie posiadałam jakiejś podstawowej wiedzy, którą powinny były mi przekazać kobiety; jakiejś wiedzy, która była przede wszystkim

związana z seksem. Kiedy stałam obok Hugona, miałam uczucie, że nie jestem kobietą, odczułam podobne zawstydzenie, jak gdyby nagle zaczęła wyrastać mi broda. Rozpłakałam się, ale Hugo nie zwracał na mnie uwagi, dalej mył filiżankę.

- Stała na parapecie za zasłoną. W samym środku pokoju, w którym siadujesz codziennie - powiedział ignorując moją rozpacz.

- Proszę, przestań - błagałam. - Przestań - była to prosta, wyraźna prośba, nie przyszło mi do głowy, że mógłby ją zignorować.

- Nie wiem, jak możesz mieszkać w takim brudzie. Jak w ogóle mogłem sobie wyobrazić życie z kimś, komu to nie przeszkadza!

Pobiegłam do sypialni. Nie obchodziło go, jak bardzo mnie zranił. Wiedział, jak niepewna się czułam we wszystkich sprawach związanych z prowadzeniem domu, rozmawialiśmy i o tym, i o Margaret, i o tym, co się stało po jej odejściu. Wybrał sobie najbardziej niepewny aspekt mojego życia jako teren przypadkowych złośliwości. Pamiętałam go tam w górach, kiedy na sekundę przed wyznaniem, że mnie kocha, pragnął, żebym uznała własną słabość i wyższość jego ciała, odwagi, treningu, oddechu. Pamiętam, jak stał do mnie plecami patrząc na krajobraz, plecami jak ze Starego Testamentu, karzącymi plecami. To powinnam zapamiętać, było w nim to pragnienie karania. A ja prawdopodobnie popełniłam najwięcej grzechów, które dla niego były najważniejsze. Nie potrafiłam sprostać wymaganiom fizycznym własnego ciała, własnego domu.

Słyszałam, jak włączył radio i przerzucał kartki czasopisma. Nie wyjdę mu naprzeciw, zranił mnie w sposób niewybaczalny, a nigdy nie byłam szybka do wybaczenia. Leżałam na łóżku w ciemności, wdychałam perfumy, którymi skropiłam poduszki, żeby mu sprawić przyjemność. W miarę jak ciemniało niebo czułam, jak rośnie moja nienawiść. Nagle przypomniałam sobie o ryżu. Stał na bardzo małym ogniu, ale lepiej było sprawdzić. Był to bardzo drogi ryż. Nie chciałam go zmarnować dla jakiegoś trzeciorzędnego gestu dumy.

Spróbowałam kilka ziarenek, okazało się, że ryż jest gotowy. Podałam jedzenie, nie tak jak sobie wyobrażałam, w oszołomieniu zmysłowej miłości, ale w gęstych oparach poczucia słuszności.

- Bardzo dobre - pochwalił nie patrząc na mnie. - Naprawdę bardzo dobre.

Kiedy wpatrywał się w swój talerz, wyglądał bardzo młodo. Dostrzegłam w nim upartego chłopca, który rzucił wyzwanie swoim dobrym rodzicom.

- Hugo - powiedziałam biorąc go za rękę - o co chodzi? Dlaczego tak się zachowujesz?

Spojrzał na mnie wzrokiem, w którym malowało się tyle nieszczęścia, że nie mogłam tego znieść. Był to zbolwały wzrok przyzwoitego człowieka, który nie może

zrozumieć, dlaczego życie stało się tak skomplikowane, w jaki sposób wystawił się na nieoczekiwane niebezpieczeństwo.

- Ty, i Cyntia, i dzieci. Boże Narodzenie - wyjaśnił - czyni wszystko jakoś bardziej realnym.

Nie poruszyło mnie to, co powiedział, ponieważ nie wierzyłam, że chociaż przez moment poważnie rozpatrywał ewentualność porzucenia rodziny.

- Dajmy sobie prezenty - zaproponowałam czując nagle zmęczenie i pragnąc zostać sama. Ten męski brak bezpośredniości, ten męski ból wyczerpywał mnie. Sprawiał, że miałam ochotę na inny rodzaj życia.

Kupił dla mnie *Northanger Abbey* oprawioną w zieloną skórę, o stronicach pocętkowanych jak przepiórcze jajo. Na stronie tytułowej widniało nazwisko Jennie Walter i data 1913. Poniżej napisał: „Dla Izabeli od Hugona”. Jednak najpierw sam przeczytał książkę, bo - jak powiedział - chciał wiedzieć, co mi daje. Oświadczył, że muszę czytać bardzo uważnie, ponieważ strony, które jemu się podobały, założył włoskami wyrwanymi z własnych uszu. Powiedział, że to nerwowe przyzwyczajenie. Kiedy czytał, bawił się włoskami w uszach, więc teraz ja podczas lektury przypominę sobie o nim.

- Na końcu każdego włosa jest drobinka skóry, która działa jak przyklepiec - wyjaśnił.

To sprawiło, że go znowu pokochałam.

- Co ci przyszło do głowy, żeby przyklejać włosy do stron?

- Tak mi wpadło na myśl.

- Skąd wiedziałeś, że to podziała?

- Po prostu wiedziałem.

- I za to kocham cię najbardziej na świecie.

Kupiłam mu szwajcarski scyzoryk. Otwierał poszczególne ostrza i przyglądał się im z czystym materialnym zaabsorbowaniem, do jakiego nie byłby zdolny mój ojciec ani ja, ani ksiądz Mulcahy, ani nikt wychowany w Kościele katolickim.

- Będę musiał go tu zostawić - powiedział. - Nie mogę ryzykować, że Cyntia go znajdzie.

Żał usadowił się w moim żołądku i sprawił, że jedzenie wydało mi się ciężkie i fałszywe. Nie mógł zatrzymać moich prezentów, musiał je zostawić. Po raz pierwszy uznałam niedozwolony charakter naszych stosunków. Byłam jego kochanką. To się nazywało cudzołóstwo. Nie chciałam tego słowa, nie chciałam brzydkiego kształtu, jak nadawało ustom ani brzydkich obrazów, jaki wywoływało: pokoje w motelu, prywatni detektywi, telefony dzwoniące przy rozgrzebanych łózkach. A naprzeciwko mnie siedział Hugo i trzymał w ręku scyzoryk, który dostał ode mnie. Scyzoryk wyglądał w

jego rękę tak doskonale, że nie miałam czego żałować. Przez chwilę cieszyłam się, że zostanie u mnie, że będę mogła go zatrzymać.

- Izabelo, czy będziesz miała mi za złe, jeśli dziś nie będziemy się kochać? Czuję się zbyt kruchy.

Kruchy - to było piękne słowo w ustach mężczyzny na określenie siebie samego. Przywróciło mi go jako ukochanego.

- Oczywiście - powiedziałam wstając, by go uścisnąć. Trzymaliśmy się w objęciach przez kilka sekund. Wyszedł przed dziesiątą. Nie była to noc, jaką zaplanowałam. Nigdy mu do końca nie wybaczę, już nigdy nie będę mogła zaufać mu tak jak dotychczas, bo zawsze jest możliwe, że weźmie moją nową niepewną kobiecość, by z niej zadrwić.

Nigdy jednak nie kochałam go bardziej.

Słońce świeciło przez przednią szybę, którą rano oczyściłam z lodu. Mój samochód był jedynym na drodze. Czułam się niezwykle kompetentna, jak ktoś dorosły jadący do domu na święta.

Jakie to dziwne, spędzać święta tylko z jedną osobą, i to osobą w tym samym wieku. Hugo będzie z rodzicami i z dziećmi. I z żoną. Kupił jej na Gwiazdkę mikser. Kiedy o niej mówił, drżał. Spali na oddzielnych łóżkach, a kiedy ona rano sprząta, zsuwa łóżka, żeby wyglądały jak małżeńskie łóżko i nie nasuwały nikomu przypuszczenia, że są nieszczęśliwi. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto nienawidziłby czyjejś bliskości tak jak Hugo nienawidził bliskości własnej żony.

Zastanawiałam się, co robi w święta Margaret i przypominałam sobie kartkę, którą dostałam od niej przed kilku dniami. Kartka była błyszcząca, przedstawiała Matkę Boską, która wyglądała jak reklama. Pomyślałam przede wszystkim, że nie podobałoby się to ojcu. „Nieprzyzwoite”, powiedziałby, a słowa tego dość często używał w rozmowie. Będę musiała opowiedzieć to Hugonowi, który czasami rozśmieszał mnie używając egzotycznych słów, obcych lub staroświeckich, czasami posługiwał się językiem w sposób tak formalny, jakby był imigrantem. Straszne byłoby jednak, gdyby Margaret przysłała mi, powiedzmy, reprodukcję Fra Angelico jako kartkę świąteczną. Ja posłałam jej drzeworyt Durera, byłoby więc okropne, gdyby przypadkiem przysłała mi taką samą kartkę. To, że ja posyłałam Durera, a ona dziecinne blondynki, że ja potrzebowałam Mozarta, a Margaret Lawrenca Welka, chroniło mnie przed nią.

Jednozdaniowe przesłanie od Margaret zawierało narzekania. Szła na obiad świąteczny do parafialnej sutereny w ramach specjalnych uroczystości dla ludzi złotego wieku. Cóż było specjalnie złotego w wieku Margaret? Czy nawet w jej młodości? Napisała, że ja pewnie spędzę święta w przyjemnym otoczeniu. Posłałam jej kosz owoców. Margaret podziękowała, nadmieniła jednak, że ojciec zawsze posyłał

jej skrzynkę porto; powiedziała też, że ksiądz Mulcahy przysłał jej pięćdziesiąt dolarów.

Miło byłoby zobaczyć się z księdzem Mulcahy. W zimie jego policzki były zawsze bardzo zimne i bardzo różowe, miło było dotykać ich ustami, kiedy przychodził z zewnątrz. Nawet czaszka przeświecała mu różowo spod ślicznych białych włosów. Ale gdybym mu powiedziała o Hugonie, nie chciałby mnie widzieć. Może by się rozplakał. Oczywiście nic mu nie powiem. Funkcją Kościoła było zmuszanie do zatajania różnych spraw przed ludźmi, których się kocha. Spotkam się z księdzem Mulcahy w pierwszy dzień po świętach. Kupiłam mu biały jedwabny szalik. Będzie mu się podobał, zaraz go włoży, żeby mi się pokazać, jak kobieta, jak dziecko.

W mieszkaniu Eleanor panowało straszliwe zimno.

- To gospodarz - wyjaśniła. - Usiłuje mnie stąd wymrozić.

- Nic na to nie możesz poradzić?

- Co na przykład?

- Poskarżyć się.

Eleanor wzruszyła ramionami, jakby miała do czynienia z nowicjuską w klasztorze, w którym sama spędziła lata.

Na małym ciemnym stoliku pod ścianą stała srebrna waza z ostrokrzewem. Dotknęłam okrągłych ścianek zimnymi palcami. Pochyliłam się i przytknęłam policzek do wazy, była lodowata, obca i pachniała liśćmi. Nigdy w żadnym pomieszczeniu nic mnie tak nie zachwyciło.

Cofnęłam się, żeby się lepiej przyjrzeć, podeszłam bliżej i znów się cofnęłam.

- Eleanor, jakie to cudowne!

- Odświeżę trochę liście - podeszła i skropiła liście z małego mosiężnego spryskiwacza.

- To wspaniałe wyrażenie „odświeżyć liście”. Cudowny pomysł jak odpoczynek, jak gościnność.

Eleanor miała bardzo przebiegłą minę.

- A więc podoba ci się? - zapytała.

- Wyjątkowo.

- To dobrze, bo to twój prezent gwiazdkowy.

- Ależ to za dobre dla mnie! Nie będę wiedziała, jak o to dbać.

- To się nie tłucze. Od czasu do czasu trzeba wypolerować. Dlatego właśnie ci to kupiłam.

- Ale ja niedługo pewnie będę musiała się przeprowadzać. Za dwa miesiące.

- Tym lepiej - powiedziała Eleanor niezbyt logicznie. - Powinnam zostawić wazę w opakowaniu, ale nie mogłam się oprzeć gałązkom ostrokrzewu.

Uściskałam ją.

- Zaczynam podejrzewać, że życie może być niesłychanie przyjemne -
powiedziałam.

- Czasami.

Sięgnęłam do czarnej płóciennej torby.

- Skoro już sobie rozdajemy prezenty, to jest dla ciebie. Chcę, żebyś to zaraz
włożyła.

Przywiozłam dla Eleanor zielony szal wielkości koca. Włożyła go na głowę i
otuliła ramiona. Wyglądała jak wdowa, jak ktoś, kto bez przerwy wyczekuje statków,
choć widział już ciało utopionego męża.

- Myślę, że to będzie jedyne przyjemne Boże Narodzenie w moim życiu -
powiedziała Eleanor. - Chodź rzucić okiem na wspaniałe jedzenie.

W jasnych drewnianych misach pełno było orzechów, okrągłych - monotennie
matowych i podłużnych, świecących. Sznureczki pulchnych, mięsistych fig i ciemnych
daktyli w świecących plastikowych opakowaniach. Złote rodzyнки i ciemnobrązowe
rodzyнки. Cały stół zajmowały owoce i orzechy.

- Mam zupełnie niesamowity przepis na nadzienie. Potrzebne są orzechy,
rodzyнки, morele, śmietana, kasztany. Przez tydzień nie będziemy mogły się ruszyć.

- Nigdy nie gotuję nic smacznego dla siebie samej - powiedziałam.

- Ja też nie. Wiesz, znałam kobietę, którą naprawdę podziwiałam i czciłam;
mieszkała sama i co wieczór gotowała dla siebie wspaniałe posiłki.

Piliśmy czerwone wino z pucharków, jadłyśmy owoce zamiast kolacji. W wigilię
Eleanor powiedziała:

- Pamiętasz, jak dwa lata temu na twoje urodziny zrobiliśmy tort bezowy z
cytrynami i bezy nie urosły, jak się twój ojciec śmiał! Siedzieliśmy we trójkę na łóżku
zaśmiewając się z tortu bezowego.

- Zapomniałam. Zapominam. Zapominam, że ojciec się śmiał. Zapominam, że
po chorobie był jeszcze sobą.

- Kiedyś, pięć lat temu, kiedy miał już trudności z mówieniem, zapytał mnie, czy
jesteś szczęśliwa. Co mogłam powiedzieć? Powiedziałam: nie, chyba nie, a on zaczął
płakać i powiedział, że słyszy, jak wieczorem przed zaśnięciem płaczesz.

W oczach Eleanor błyszczały łzy. Powiedziałam:

- Pomóż mi zapamiętać takie rzeczy. Eleanor powiedziała:

- Pamiętam, że zawsze podcinał końce twoich włosów, nawet kiedy się źle czuł,
ciągle jeszcze to robił. I mówił: „jeżeli obetniesz włosy, nie wracaj do tego domu”, a ty
odpowiadałaś: „kto by z tobą wytrzymał prócz mnie”, a on na to „w dzielnicy Queens
pełno jest chętnych wdów”.

Spojrzałam na swoje włosy.

- Tuż przed jego pójściem do szpitala siedziałam przy nim na krześle i czytałam głośno, a on prawie godzinę drapał mnie po głowie. Często tak robił.

Odwróciłam się do Eleanor:

- Proszę cię, pomóż mi zapamiętać. Powiedz, że mam rację, że to nie było przez cały czas nie do zniesienia. On nie przekształcił się w potwora. Ciągle był sobą.

- Oczywiście, że był - potwierdziła Eleanor. - Ale dzięki Bogu, że to się już skończyło.

Myślałam o tym, jak mnie wszystko zachwyciło: figi, ostrokrzew w srebrnej wazie, ręce Hugona, włosy na jego przedramionach. I że taki zachwyt nie jest możliwy, kiedy się czeka na czyjąś śmierć. Nie można uniknąć nienawiści do umierającego.

- Wszyscy ludzie, z którymi się widuję i z którymi rozmawiam, naprawdę pragną tylko jednego, stać się ośrodkiem czyjegoś życia. Mam na myśli wszystkie te opowieści o miłosierdziu. Ludzie nie chcą takiej miłości. Chcą być lubiani.

- To jest wszystko strasznie przypadkowe - powiedziała Eleanor.

- Co więc zostaje? Sympatia? Osobisty szacunek? Widzisz, ja naprawdę lubiłam ojca. Naprawdę dobrze się czułam w jego towarzystwie.

- A Hugo? Jego też lubisz?

- Bardzo go lubię.

- To znaczy, że chcesz być z nim?

- Tak. A więc?

- A więc co dalej? - pytała Eleanor.

- Nie wiem - powiedziałam. Wrzuciłam rodzyunki do kieliszka z winem.

- Czy zostawi dla ciebie żonę?

- Kto?

- Hugo - wyjaśniła Eleanor, jakby było normalne, że zapomniałam imienia własnego kochanka.

Dotychczas nikt tego głośno nie powiedział, nawet Hugo, a już na pewno nie ja. Poczulałam dreszcz strachu, jakby dentysta zbliżał się do zęba, który był bolesny przez tak długi czas, że zdążyłam już zapomnieć o tym bólu.

- Nie wiem - powiedziałam.

- A co byś chciała?

- Nie wiem. Hugona. Ale się boję. Jeśli spowodujesz, że ktoś rzuci dla ciebie żonę, to co dalej? I dzieci. Boże, Eleanor, on ma dwie córki.

- Więc co zrobisz, Izabelo? - pytała Eleanor z pewną natarczywością. Gdyby ktokolwiek inny wypowiedział te słowa, poczułabym się w pułapce.

- Nie wiem. Po prostu cieszyłam się życiem uważając za cud, że to wszystko przytrafia się mnie, że po tych wszystkich latach, po tej całej sprawie z ojcem zdarzyła

mi się taka miłość. Czułam, dalej czuję, coś w rodzaju uogólnionego strachu, ale nie zamierzam prosić o nic więcej.

- Ale będziesz musiała. Albo będziesz musiała go zwrócić.

- Jakby był pożyczoną torbą cukru?

- Jeśli on zostawi żonę, nigdy nie będziecie mieli pieniędzy, bo będzie musiał jej oddać wszystko. Wydaje ci się, że to nie ma znaczenia, ale to nieprawda. Wiem o tym z czasów Justyna. I będą dzieci, które nie będą chciały ciebie znać, ale będą musiały. I zupełnie obca kobieta w średnim wieku, której nigdy przedtem nie widziałaś, a która patrzy na ciebie jak na złodzieja.

- Więc myślisz, że powinnam z niego zrezygnować?

- Nie. Myślę tylko, że powinnaś sobie zdawać sprawę, co cię czeka.

- Zapomnijmy o tym przez święta.

Włączyłyśmy telewizor. Bing Crosby śpiewał „White Christmas” w filmie, który nakręcił przed trzydziestu laty. Zasnęłyśmy przed ekranem, potrzebna była nam dyscyplina i siła woli, żeby się rozebrać i położyć do łóżek.

Czy to się zdarza wszystkim, że najpierw coś robią, a potem ze zdziwieniem dowiadują się od innych, że działanie to miało duże znaczenie? Dziwne, że nasze życie może mieć większe znaczenie dla innych niż dla nas; dziwne, że inni rozumieją, co robiliśmy, podczas gdy my po prostu wykonujemy jakieś czynności.

W toku wszystkich rozmyślań natknęłam się czy raczej wpadłam na ważne sprawy w moim życiu, jak zahipnotyzowany pilot wpada na obracające się śmigło cały czas wierząc, że zrobił to świadomie. Nie będę jednak myślała o sobie w tych kategoriach, jak o kimś okaleczonym, ponieważ był już pierwszy dzień po Bożym Narodzeniu i jechałam odwiedzić księdza Mulcahy. Na tylnym siedzeniu stała srebrna waza, a na siedzeniu obok mnie leżało *Northanger Abbey* (otwarte na stronie z przyklejonym włosiem. Teraz już na pamięć znałam te strony.).

Myślałam, że coś musi się zdarzyć. Albo stracę Hugona, albo przyjdzie do mnie zostawiając żonę, zostawiając dzieci, wlokąc za sobą ślad nienawiści i żalu, który już zawsze będzie mu towarzyszył.

Co powiem księdzu Mulcahy? Będziemy rozmawiać o mojej pracy, opowiem mu wszystkie śmieszne historie. Będziemy rozmawiać o Liz, ale nie powiem mu o Liz nic prawdziwego, nic naprawdę ważnego. Będziemy rozmawiać o Eleanor. Zaczynałam odczuwać niechęć do księdza Mulcahy, ponieważ nie będę mogła mu powiedzieć nic z tego, co naprawdę chciałabym. Nie będę mogła powiedzieć niczego, co zmniejszyłoby mój ciężar, on nie będzie mógł powiedzieć niczego, co by mi pomogło. Zawsze tak było, był zbyt dobry jak na moje życie, zbyt prosty. I był jeszcze Kościół, który wiedział, co jest złe; który mówił: „Powiem ci, co jest złe, i tego robić nie będziesz”;

który mógł okazać współczucie jedynie (to naprawdę rozumiałam) w przypadku, gdy słuchało się jego rad.

Ksiądz Mulcahy czekał na mnie w dosłownym tego słowa znaczeniu, bo otworzył drzwi w chwili, gdy dotknęłam dzwonka. Byłam mu wdzięczna. Obawiałam się, że zobaczę panią Keeney z jej martwymi oczami, które tak bardzo przypominały oczy Margaret, że będzie doskonale wiedziała o wszystkim, co mi się przydarzyło, i obrzuci mnie takim spojrzeniem, które jasno mi uświadomi, jak obrzydliwe było wszystko, co zrobiłam. Ale nie ona otworzyła drzwi. Ksiądz Mulcahy wyglądał jak zawsze, kiedy spotykał się ze mną. Jakbym była tą osobą, którą najbardziej chciał zobaczyć.

Podobał mu się biały szalik. Powiedział, że zawsze chciał mieć taki i zapytał, gdzie go kupiłam.

- W Paryżu - odpowiedziałam - W Chartumie, w Tangierze.

- Gdzie? - dopytywał się zaskoczony.

Zapomniałam, że to mój ojciec lubił takie rozmowy, że go to bawiło i zawsze prosił „mów dalej, mów dalej”. Oczywiście, że ksiądz Mulcahy był zaskoczony, każdy byłby na jego miejscu.

Kupił dla mnie olbrzymie pudełko czekoladek.

- Mój Boże - wykrzyknęłam. - Myślałam, że to jest tylko dla gwiazd filmowych, nie przypuszczałam, że kobiety takie jak ja dostają podobne prezenty - zamrugałam powiekami naśladując gwiazdkę.

- A propos, widziałem zdjęcie twojej przyjaciółki Grace Kally - powiedział. - Wygląda jak stodoła.

- Proszę mi tego nie mówić! - Zakryłam uszy rękami. - Nie chcę o tym słyszeć.

- Nie da się ukryć faktów. Przykro mi tylko, że pierwszy ci o tym mówię.

Żartowaliśmy tak o słodyczach, gwiazdach filmowych, jakby jedzenie, tycie i starzenie się należały do najzabawniejszych rzeczy. Powiedziałam mu o swojej pracy; o tym, że niektórzy ludzie wydawali się szczęśliwi, a inni nie i że starałam się odkryć przyczynę.

- Jedno tylko mogę powiedzieć na pewno, że każdy chce być najważniejszą osobą w czyimś życiu i że większości ludzi to się nie zdarza.

- Ale w sercu Boga wszyscy jesteśmy najważniejsi. Jezus Chrystus umarł za każdego z nas. Umarłby za ciebie albo za mnie, gdybyśmy nawet byli jedynymi ludźmi na świecie.

- Ale widzi ksiądz, to nie wystarcza - powiedziałam i uświadomiwszy sobie, z kim rozmawiam, zaczęłam się wycofywać.

- Chodzi mi o to, że ludzie dalej są samotni, dalej są nieszczęśliwi.

- Szczęście to nie wszystko - powiedział.

- Więc co?

- Wiara, dziecinko, wiara. Całe te rozważania o szczęściu. Czy Chrystus był szczęśliwy w Ogrodzie Oliwnym? Nie znaleźliśmy się na tej ziemi, żeby tutaj zaznawać szczęśliwości. Jesteśmy tu po to, żebyśmy mogli zaznawać szczęścia w niebie. Przez całą wieczność - powiedział jakby był na ambonie. - Co znaczy sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat, szczęśliwych czy nie, w porównaniu z wiecznością? Moje dziecko, mówisz tak, jakbyś straciła wiarę.

- Nonsens - powiedziałam szybko wyczuwając niebezpieczeństwo i chcąc się prześlizgnąć po nim jak po ciemnej plamie na lodzie.

- Wszyscy miewamy wątpliwości.

- Twój ojciec przy całej swojej mądrości miał wiarę dziecka. I to było cudowne. Był dla mnie budującym przykładem.

A przy końcu życia, pomyślałam, pełen goryczy i wściekłości.

- Trudno uwierzyć, że go już nie ma - powiedział ksiądz Mulcahy i zaczął płakać.

Wzięłam go za rękę. Moje oczy pozostały suche. Miałam świadomość, że są zimne, jakby pokryte zimną skórą. Nic nie czułam do ojca, nic nie czułam do księdza Mulcahy, myślałam tylko o tym, jak to cudownie, że wieczorem znów będę sama w swoim mieszkaniu.

I myślałam, jak prawie zawsze ostatnio, o Hugonie.

XII

- Coraz trudniej się z tobą rozstać - powiedział Hugo trzymając jak zwykle moją głowę, jakby była niezwykle cennym skarbem. Uwielbiałam, kiedy tak trzymał moją głowę; czułam wtedy, że dokładnie wiedział, co we mnie jest najładniejsze i że właśnie za to mnie kochał.

- Jakbym tracił nogę lub rękę - powiedział, kiedy odsunęliśmy się od siebie, stojąc obok łóżka nago w ciemności. Jak zwykle zapaliłam światło. Raziło mnie w oczy. Chodziłam po pokoju, ciągle naga (raz włożyłam szlafrok, wtedy Hugo powiedział: „dlaczego to zrobiłaś? Nie rób tego!"), wykonując różne praktyczne czynności, parząc kawę, czyszcząc jego ubranie, odczuwając nieznośny ból, ponieważ już nie trzymałam go w ramionach, i obawiając się jeszcze większego bólu w chwili, gdy Hugo zamknie za sobą drzwi.

Jednak tej nocy kiedy przytulił mnie przed wyjściem, powiedział:

- Chcę być z tobą przez cały czas. Staram się podjąć decyzję i rzucić Cyntię.

Nic nie odpowiedziałam.

- Czy mnie chcesz? - zapytał Hugo z rodzajem skromności, której nigdy jeszcze nie widziałam, zwłaszcza u mężczyzny.

- Oczywiście - powiedziałam. Mogłam tak powiedzieć, ponieważ nie wierzyłam, że to kiedykolwiek nastąpi.

- Nie mogę odchodzić od osoby, którą kocham, żeby wracać do kogoś, kto napawa mnie obrzydzeniem, kim pogardzam.

Gdyby użył słowa „nienawiść” byłoby to znacznie mniej poważne, ale powiedział „obrzydzenie” i „pogarda”.

- A dziewczynki? - spytałam.

Przytulił mnie mocniej. - Czy lepsze dla nich życie z rodzicami, którzy nie mogą na siebie patrzeć?

- Nie. Zresztą nie wiem. Nie wiem, co powiedzieć. Cokolwiek powiem, może być spowodowane tym, że tak bardzo cię chcę.

Pocałował mnie w czoło, jakby udzielał mi namaszczenia.

- Bądź wobec mnie cierpliwa. Potrzebuję twojej cierpliwości.

Zadzwoiłam do Liz. Dlaczego się nie widywałyśmy? Kiedy mieszkaliśmy w odległości stu mil od siebie, nasze rozmowy telefoniczne przypominały dzieła sztuki, pełne koloru, wyraziste. Pomagały mi.

Chciałam teraz powiedzieć Liz, że pomagały mi bardziej niż mogła przypuszczać. Usiłowałam zapamiętać, jakie było moje życie, w jaki sposób przez nie przeszłam. Hugo mi pomagał; mówił, że bardzo ważne, żebym pamiętała. Miało się wrażenie, powiedział Hugo, jakbym chciała o wszystkim zapomnieć. To niedobrze. Użył nawet słowa „niebezpieczne”. Znowu potrafiłam przywołać w pamięci twarz ojca, przewijał się na ekranie pamięci jak reszta filmu z przeszłości, jego twarz stawała się wyraźna, podczas gdy do niedawna stanowiła jedynie ciemną plamę lub była twarzą młodszego, zdrowego mężczyzny, nie twarzą mojego umierającego ojca.

Powiedziałam do Liz: - Co się z nami dzieje? Przez cztery czy pięć miesięcy właściwie unikamy spotkania.

- Byłyśmy zajęte.

- To nieprawda - powiedziałam. Kiedyś nie miałabym odwagi rzucić Liz podobnego wyzwania. - To nie wszystko. Przyjedź i spędź ze mną cały dzień.

- Dobrze, przyjadę - zgodziła się Liz. Czy ten brak tchu w jej głosie oznaczał strach czy ulgę?

Kiedy Liz przyjechała, jej sztywność wydała mi się porażająca. Jeżeli to spotkanie miało być takie trudne, wołałabym, żeby natychmiast wróciła do domu. Jeżeli będziemy musiały przebrnąć przez te wszystkie stany napięcia, zanim przejdziemy do sedna sprawy i zastanowimy się, co się z nami stało, dlaczego boimy się siebie?

Liz opowiadała o kursie handlu nieruchomościami, naśladowała inne kobiety. Jej naśladownictwa były doskonałe i bardzo mnie bawiły, zawsze bardzo mnie bawiły. Jako nastolatki udawałyśmy w metrze turystki z Południa albo dziewczęta z Brooklynu pracujące w pralni chemicznej, które wyrwały się do miasta na podryw. Opowieści Liz bawiły mnie, odczuwałam jednak jakąś pustkę, sytuacja wydawała mi się w jakiś sposób niewłaściwa. Zgadzałyśmy się najlepiej, kiedy opierałyśmy się na przeszłości jadąc na niej jak na tratwie, którą boimy się opuścić. Liz zamilkła. Zdawało się, że w pokoju zaległa cisza, którą można by dotknąć.

- Liz, dlaczego to robimy? Dlaczego nie rozmawiamy o tym, co jest teraz, albo o czymś realnym z przeszłości, co wywiera wpływ na naszą terażniejszość? Zawsze tylko dowcipy o zakonnicach albo jakieś prześmiewki.

Liz spojrzała na mnie z przygnębiającą jasnością. - Ponieważ kojarzę cię z przeszłością, ponieważ uważam, że jesteś uodporniona.

- Na co?

- Na terażniejszość właśnie.

- Chciałaś powiedzieć: uodporniona na zmianę. Myślałaś, że nigdy się nie zmienię, że nic mnie nie zmieni.

Liz nie poruszyła oczami, zdawało się, że przez cały czas nawet nie mrugnęła.

- Widzisz, miałam wrażenie, że moje postępowanie, towarzyskie czy seksualne, ale chyba głównie seksualne, było w porządku dopóki ty byłaś tam, jak zawsze w jakiś sposób istniejąca poza wszystkim. Wydawało się, że istniały pewne rzeczy, których nie mogłam dotknąć, na które nie miałam wpływu, wydawało się, że nie mogę nikogo zranić. Wolłaś mnie w charakterze ikony. I nagle poruszyłam się, przespałam się z twoim mężem, związałam się z Hugonem i zburzyłam te urocze spokojne pozory.

- To straszne myśleć w ten sposób o przyjaciółce - powiedziała Liz. - Musisz mi wybaczyć.

- Nie ma tu nic do wybaczenia. Czy myślisz, że mnie to wszystko nie przeraża?

Do tego momentu nie przerażało mnie, bo nie wydawało się realne, nie wydawało się częścią mojego życia, na które składało się umieranie mojego ojca, poświęcanie dla ojca wszystkiego. Ale teraz stało się realne i od tej pory miało towarzyszyć mi przerażenie.

- Występowanie w roli ikony może mieć działanie kojące - powiedziałam. - Zawiera w sobie jakiś element absolutnej pewności. - Dodałam gwałtownie: - Hugo zamierza porzucić żonę.

- Niech mu Bóg błogosławi - powiedziała Liz i roześmiałyśmy się. Było to tak bardzo katolickie.

- Chce być ze mną, w każdym razie tak twierdzi.

- Wiesz, że to będzie piekło. Cyntia Slade tak łatwo nie popuści.

- Ale oni się nienawidzą. Powinna się ucieszyć, że się go pozbędzie.

- On odejdzie, wszyscy będą o tym wiedzieli i ona mu tego nigdy nie wybaczy.

Nigdy! - Liz zadrżała. - Boję się o was.

Znowu pomyślałam (pod wpływem tego dreszczu Liz), że Hugo nigdy nie uwolni się od swojej żony. Ogarnęła mnie złość. Dlaczego powiedział, że spróbuje? Nigdy jej nie zostawi. Jakże go za to nienawidziłam!

- Zobaczymy - powiedziałam.

- A propos strachu, mój mąż jest bardzo na ciebie naszykowany, więc lepiej uważaj.

- Co on mi może zrobić? Praca się kończy, a to był jego jedyny punkt zaczepienia.

- Już on coś wymyśli - powiedziała Liz. - Znam go. Nie jest głupi. Czy raczej, jest głupi, więc nie cofnie się przed niczym.

- A ty mimo wszystko z nim zostaniesz?

- W jakiś sposób nie mam innego wyjścia.

- A Eryka?

- Ona chce mieć dzieci. Pewnie uważa, że to tak samo jak z kłaczą i źrebakiem, co zresztą na swój sposób jest prawdą. Któregoś dnia zostawi mnie dla mężczyzny, który będzie mógł dać jej dzieci.

- A to dla ciebie znaczy...

- Piekło - powiedziała Liz. - Większość mojego życia to piekło. Uwielbiam tylko niektóre momenty. I w całości jestem z mojego życia dumna. Tak to wygląda.

- Będzie mi potrzebna twoja pomoc. Będę chciała słyszeć od ciebie niemal bez przerwy, że postępuję słusznie. To może być trochę nudne. - Postępujesz słusznie - powiedziała Liz obejmując mnie.

Poczułam gwałtowne zażenowanie przypomniawszy sobie, że Liz obejmuje kobiety tak, jak zrobiłby mężczyzna. Trwało to przez sekundę i znów była przy mnie Liz, którą kochałam od dzieciństwa, którą zawsze będę kochać. Objęłam moją przyjaciółkę w milczeniu z głębokim wzruszeniem, myśląc o przeszłości i o tej przyjaźni, której jeszcze nie zaznałyśmy naprawdę, a która, o czym byłam głęboko przekonana, potrwa aż do śmierci jednej z nas.

Podchodziłam dróżką do domu Kileyów z bardzo mieszanymi uczuciami. Kończyło się coś, jedyna rzecz, jakiej byłam pewna w życiu. Potem pozostawał już tylko przypadek. Moje życie stawało się równie przypadkowe jak życie innych ludzi, tyle że moja sytuacja była gorsza, byłam za stara na zupełnie przypadkowe życie, nie miałam przeszłości, która wiązałaby się z przeszłością w jakikolwiek sposób poza najbardziej tymczasowym. To, co się wydarzy, zależy głównie od Hugona. Nieznośna była myśl, że moje życie raz jeszcze jest do tego stopnia uzależnione od kogoś innego;

było to jeszcze gorsze niż czekanie na śmierć ojca, bo wtedy przynajmniej miałam coś do roboty. A teraz czułam się, jakbym skakała w przestrzeń jak astronauta; podobne uczucie miałam na pogrzebie ojca, tylko teraz oznaczało to skok znikąd do nikąd.

Nie chciałam oczywiście wykonywać tego typu pracy: wchodzić do obcych domów, zadawać pytania, wychodzić i iść do następnych. Było to jednak zajęcie interesujące, budziło utajonego we mnie voyeura.

Dom Kileyów należał do najbardziej przeze mnie znienawidzonego typu. Musiałam odwiedzić zbyt wiele domów. Jeśli nawet ten dom miał jakieś ukryte uroki, to w połowie lutego najtrudniej byłoby je zauważyć. W śmieciach buszowały koty, na szaroniebieskim trawniku walały się resztki kartonów od mleka, kości, srebrne kapsle od butelek i kawałki steropianu. Jedno okno nie miało szyby, ktoś zakrył je czarnym plastikiem, który wydymał się na wietrze jak czarny policzek. Ktoś lepszy ode mnie - jak Eleanor albo ksiądz Mulcahy - powiedziałby pewnie, że był to kiedyś ładny dom, mnie jednak zbyt pochłaniała nienawiść do jego obecnego wyglądu, bym mogła zdobyć się na wyrozumiałość wobec przeszłości, która i tak mogła być jedynie fantazją.

Podchodząc bliżej zorientowałam się, że dom śmierdzi. Smród kotów unosił się nad nim jak przekleństwo. Chciałam zawrócić. Mogłam powiedzieć Lawinii, że będzie musiała przysłać kogoś innego. Trudno było wykonywać pracę w takim smrodzie. Ale był to niemal ostatni mój przypadek, więc nie pozostawało mi nic innego jak kontynuować.

Patrycja Kiley, córka pacjentki, według posiadanych przeze mnie dokumentów miała dwadzieścia osiem lat. Nie miała już w ogóle przednich zębów, jej usta były ustami starej kobiety. Obwisłe piersi rysowały się przygnębiająco wyraźnie pod zieloną trykotową koszulką, dokoła nosa czerniały rozdęte pory, a paznokcie obgryzione były do żywego mięsa. Był to widok budzący nienawiść. Pomyślałam, że ta kobieta sama zmusza mnie do podobnego uczucia. Weszłam w smród kotów jak w wielką rękawicę, otoczył mnie szczelnie. Większość okien zatkało czarnym plastikiem podobnie jak tamto, które widziałam z zewnątrz. W domu było ciemno jak w sali kinowej. Co chwila nadeptywałam na rozsypane po podłodze drobne kamyczki z kocięj toalety, rozgniecione na drobne cząstki przylepiały się do podeszew. Wszędzie poniewierały się nieporządne sterty czasopism. Przez jeden straszliwy moment przypomniało mi to dom przy Dover Road. Nie miało to znaczenia, że u mnie poniewierały się w stertach „New Yorkery” i „Atlantic Monthly”, a tutaj „True Confessions” i „Modern Romances”. Różnica była niewielka, przygnębiająco niewielka. Rozumiałam, w jaki sposób Patrycja dopuściła do takiej sytuacji, ale dalej czułam do niej nienawiść. Rozumiałam to doskonale, ponieważ jedynie przypadek sprawił, że nie wyglądałam tak samo jak ta dziewczyna i że czytywałam inne

czasopisma. Mieliśmy z ojcem Madonny Ducia, a ci ludzie obrazki Chrystusa w różowych sukienkach, ale to była jedynie przypadkowa różnica.

Patrycja Kiley przywiozła matkę przywiązaną do wózka inwalidzkiego i obojętnie przetoczyła wózek przez cały pokój. Oczy dziewczyny były absolutnie martwe, a matka, cierpiąca na *sclerosis multiplex*, siedziała na wózku boleśnie skrzycona. Ona też nie miała zębów, a jeden policzek zwisał żałośnie. Przypomniałam sobie, jak obwisła jedna część twarzy ojca i jak bardzo przestraszyło to dzieci Liz. Zadawałam pytania z kwestionariusza absolutnie obojętnym tonem. Dom strasznie śmierdzał, ale kanalizacja działała, a piasek, który kociaki roznosiły po całej podłodze, nie stanowił prawdopodobnie zagrożenia dla zdrowia. Panią Kiley regularnie badał lekarz, niewiele więcej można było dla niej zrobić, mogła umrzeć jutro albo za parę lat. Patrycja nie przestawała grzebać w ranie pod prawym uchem.

Zastanawiałam się, co powinnam zameldować w biurze: że ta dziewczyna jest już martwa, że stała się kretynką, ale jeśli umieścimy gdzieś matkę, może jeszcze mieć szanse na normalne życie. Jednak patrząc na nią, nie wierzyłam w to. Gdyby nie zajmowała się matką, nie robiłaby nic. Coś jest lepsze od niczego, zajmowanie się matką w domu takim jak ten lepsze jest niż mieszkanie w nim samotnie. W dokumentach napisano, że iloraz inteligencji Patrycji wynosi poniżej dziewięćdziesięciu. Powinna jednak mieć szansę wydostania się z dna, wymyślenia sobie nowego życia. A co z matką? Czy ma znaczenie, gdzie umrze, tutaj czy w domu starców?

Zapytałam Patrycję, czy brała pod uwagę oddanie matki na jakiś czas. Spojrzała na mnie swoimi martwymi oczami i powiedziała:

- Nam tu jest dobrze. Dobrze nam tak jak jest. To moja matka. Mogę się nią opiekować. Tu jest jej miejsce. Wszystko w porządku - nie przestawała skubać strupa pod uchem.

Miałam ochotę uderzyć ją mocno i powiedzieć: nie jest w porządku, wcale nie jest w porządku. Ale co byłoby lepsze? Lawinia Hartman powiedziała, że nie pokazuje mi naprawdę przerażających rzeczy, ale to było naprawdę przerażające i może tylko ja zdawałam sobie z tego sprawę. Pozostawię Lawinii decyzję, co ma się dalej stać z Kileyami, będę jednak postulować, by zostawić wszystko tak jak jest.

Nie mogłam sobie wyobrazić, że mój ostatni przypadek może być jeszcze gorszy. Panna Plover, która opiekowała się panią Riesert, była chudą, zatroskaną kobietą. Pomyślałam, że dziewicza dama jest dla niej doskonałym określeniem. Rozmawiając ze mną nerwowo zacierała ręce. Miała amfiladę niewielkich pokoików z przyjemnymi domowymi meblami i wyraźnymi realistycznymi malowidłami, które nie były piękne, ale w swojej bezpretensjonalnej wierności portretowanym przedmiotom - fiołkom, jabłkom czy kaczkom - stały się w jakiś sposób pociągające.

Panna Plover załamała rękę. - Ona jest bardzo nieszczęśliwa. Przez większość czasu płacze. Nic nie mogę dla niej zrobić. Mam tylko nadzieję, że to nie przeze mnie. Bardzo się staram, żeby jej zrobić przyjemność.

- Nie wątpię w to, panno Plover - powiedziałam.

Pani Riesert leżała w ciemnym pokoju. Zanim panna Plover zapaliła światło, słyszałam jej szloch. Kiedy weszłam, usiadła i spojrzała w moim kierunku.

- Dziękuję, panno Plover - powiedziała. Drobnutka kobieta wyszła z pokoju.

- Czy może mi pani powiedzieć, co panią tak przygnębia? Stara kobieta nie wahała się. - Jestem sama. Jestem stara i umierająca. Nikt mnie naprawdę nie kocha.

Jej skarga odznaczała się straszliwą prostotą skargi dziecka. Nie miałam nic do powiedzenia. Ta kobieta wreszcie odkryła prawdę, wielu starszych ludzi myślało podobnie, ale nie mieli odwagi tego powiedzieć.

- Nie ma pani rodziny?

- Miałam syna. Zginął w Korei. Mąż umarł w zeszłym roku. A ja ciągle żyję - powiedziała szlochając cichutko.

- Czy nie ma pani żadnych zainteresowań? - zapytałam zdając sobie sprawę, że moje słowa brzmią fałszywie. - Władze hrabstwa organizują liczne programy.

- Chciałabym być z kimś, kto cieszy się z mojej obecności. Mojej - powtórzyła. - W przeciwnym razie chcę umrzeć. Nie umieram wystarczająco szybko.

- Musi pani czymś zająć swoje myśli - powiedziałam. - Sama się pani wprawia w większe przygnębenie.

- Dlaczego miałabym się czymś zajmować? - zapytała kobieta patrząc na mnie jasnymi, szarymi oczami, które zachowały zadziwiającą młodość, jakby pomogły im te wszystkie przelane łzy.

- Bo pani sobie sama utrudnia życie.

- Mam osiemdziesiąt siedem lat i chcę jedynie umrzeć. Panna Plover jest bardzo dobra, więc nie chcę tego robić u niej w domu, byłby to dla niej straszny szok. Ale pani może mi pomóc - złapała mnie za rękę z desperacją, chwyt był tak silny, że sprawił mi ból. - Może mnie pani odesłać do domu starców i tam będę mogła to zrobić. Oszczędziłam te wszystkie pigułki - wydobyla spod poduszki niewielkie pudełeczko - i jeżeli to zrobię w domu starców, nikt się nie przejmie. Może pani załatwić kogoś innego dla panny Plover. Jej to nie robi różnicy. Proszę - mówiła patrząc na mnie tymi dziwnie młodymi oczami. - Tylko pani może mi pomóc.

Uwolniłam rękę.

- Dobrze, zrobię, co będę mogła.

Kobieta zaczęła płakać, ale teraz były to łzy ulgi. Pocałowała mnie w rękę.

A więc to było miłosierdzie. Pozwolić komuś umrzeć, jeśli tego chce. Powiedziałam panie Plover, że pacjentka wymaga opieki psychiatrycznej i zasugeruję przeniesienie jej do domu starców.

- Chyba tak będzie najlepiej - powiedziałam.

- Tak - potwierdziła nerwowo panna Plover - to się wydaje najlepsze.

Słowa pani Riesert były prawdziwe. Jeśli chce się wyłącznej miłości (tego właśnie chciałam od Hugona) i jeśli ją się straci, to nie ma po co dłużej żyć. Lepiej być Margaret, której zależało jedynie na uogólnionym miłosierdziu i na tym, żeby dotarło do niej jak najwięcej. Jak krowa, która może żywić się każdym gatunkiem trawy, Margaret będzie trwała wiecznie, podczas gdy pani Riesert nie mając już nikogo, kto kochałby ją najbardziej (to była sprawa czystego przypadku, mogło się przecież ułożyć inaczej), przy mojej pomocy położy kres swemu życiu, które wydaje jej się nie do zniesienia.

Te dwie popołudniowe wizyty zawisły nad całym wieczorem jak groźba. Nie mogłam odpędzić myśli, że będę odpowiedzialna za śmierć starej kobiety. Dziwiło mnie tylko, że nie mam żadnych wątpliwości, byłam pewna, że pani Riesert postępowała słusznie. Wszystkie najważniejsze decyzje wydawały się nieuniknione, jakby wynikały nie tyle z wyboru, ile z jego braku. A teraz już wszystko zależy od Hugona. Czy to nie dziwne, pomyślałam, że w ciągu miesiąca dowiem się, jakie będzie moje życie. Gdyby Hugo powiedział, że nie może być ze mną, byłoby to życie, którego ośrodkiem stałaby się właśnie ta strata. Nie była to więc sprawa mojego wyboru, tylko coś, co będzie musiało się zdarzyć, jak zdarzyła się choroba ojca i moja nad nim opieka.

Bałam się tego wieczoru, właśnie tego wieczoru, a nie reszty mojego życia. Miało się odbyć coctail party połączone ze zbiórką funduszy na kampanię wyborczą Dominika Napoli. Musiałam iść, byłam jedną z inwestycji Dominika i musiałam się pokazać, jak nowo założony park czy pomnik przed budynkiem. Poza tym dość lubiłam Dominika. Zawsze okazywał mi uprzejmość, był przyzwoitym człowiekiem (pomyślałam, że to ładne określenie zostało bardzo skompromitowane) i przykro by mi było, gdyby przegrał wybory. Co nie znaczy oczywiście, że zwycięstwo lub przegrana Dominika wywrą jakikolwiek wpływ na życie mieszkańców hrabstwa. Tego się nauczyłam, to właśnie chciałam napisać w raporcie: nie można było przewidzieć, co ludzi uszczęśliwi, nie można było tego kontrolować. Chodziło jedynie o to, by ludzie mieli co jeść i w co się ubrać, żeby dostali lekarstwo w czasie choroby i nic więcej nie dało się zrobić. Kompletny przypadek. Ludzie byli szczęśliwi albo nie bez widocznych powodów, nikt nie mógł na to nic poradzić. Prawdopodobnie, myślałam, jeśli człowiek niewiele oczekuje, jest szczęśliwy; jeśli oczekuje zbyt wiele, doznaje rozczarowania i wtedy pragnie umrzeć. Pani Riesert pragnęła śmierci, bo utraciwszy

miłość i związane z nią wartości, po prostu nie chciała dłużej żyć. Ale stara pani Johnson, Murzynka, która mieszkała w straszliwym domu pod opieką tej straszliwej kobiety, cieszyła się co wieczór swoją porcją lodów i chciała żyć. Nie dbała o to, czy otaczano ją specjalną opieką, czy ją kochano. Margaret Cysey też chciała żyć. A ja pomogłam umrzeć pani Riesert. Myślałam o niej, ale chodziło mi o siebie. Jeżeli pozwolę, by Hugo mnie kochał, jeśli powiem sobie „tego właśnie chcę, nic innego mnie nie zadowoli”, wtedy łatwo będzie mnie zranić.

Chciałam Hugona, ale nawet jeśli on też mnie chciał, nie mogło to trwać wiecznie. W najlepszym razie stanę się starą kobietą płaczącą w ciemności jak pani Riesert, jak ona pragnąca śmierci. A może, ponieważ wszystko było dziełem przypadku, to ja umrę pierwsza, a Hugo zostanie na starość samotny. Coś jest z życiem nie w porządku, jeśli tak się to odbywa, pomyślałam i przypomniałam sobie słowo, jakiego w tym przypadku użyłby ojciec: błąd. Pamiętałam wiersz Audena (zaczęłam się uczyć na pamięć wierszy na początku, kiedy tylko ojciec zachorował, ale potem to zarzuciłam) *1 września 1939*, myślałam teraz o tym wierszu, kiedy myślałam o sobie, o Hugonie, o pani Riesert.

*Wojownicze i bzdurne frazesy
W ustach ważnych figur
Brzmią zbyt łagodnie dla nas.
Co oszalały Niżyński
Napisał o Diagilewie,
Jest prawdą normalnych serc.
Błąd bowiem wyhodowany
W krwi wszystkich mężczyzn i kobiet
To żądza niedostępnego,
Nie miłości powszechnej,
Lecz jej wyłączność - dla siebie.*

(w: Auden W.H. *Poezje*, tł. L. Elektorowicz, WL Kraków 1988)

Zawsze najpierw przychodził mi na myśl Niżyński i jego niewiarygodne skoki. I potem ostatnie wiersze: jak wszyscy się smucimy, bo pragniemy miłości, z powodu naszej własnej odrębności, niepowtarzalności; nie pragniemy miłosierdzia, miłości uniwersalnej płynącej jedynie z faktu istnienia. Pragniemy miłości pełnej, która jest możliwa. W ten sposób wystawiałam się na niebezpieczeństwo. Pamiętam, jak wkrótce po przyjeździe do Ringkill siedziałam na sedesie w ośrodku komunalnym i płakałam, bo nie znałam żadnego z tańców; płakałam z przerażenia, płakałam dlatego, że podjęłam wielkie ryzyko. I wtedy, podobnie jak teraz, myślałam też o

Margaret, która nigdy nie podjęła żadnego ryzyka, która zaakceptowała fakt, że stała się siwa, drobna i bezpieczna pod wilgotnym kocem miłosierdzia, przy akompaniamencie ciemnego dzwonu znajomych odgłosów. Margaret napisała do mnie kolejny list informując, że jej artretyzm bardzo się pogorszył, że będzie musiała iść do domu starców prowadzonego przez dominikanki. Czy uważam, że tak powinna zrobić, pytała. Było to przed kilkoma dniami. Nie odpisałam jej. Skąd mogłam wiedzieć, co powinna zrobić Margaret, to nie miało ze mną żadnego związku.

W drzwiach stanęła Lawinia Hartman, powiedziała przedtem, że powinnyśmy razem iść na to party, skoro obydwie nie znosimy podobnych okazji. Powiedziałam Lawinii o Hugonie. Była milcząca i pełna współczucia.

- Jesteś bardzo interesującą osobą, Izabelo - powiedziała po chwili.

- Ja? - myślałam, że Lawinii chodziło o moją dziwność. Uważała za dziwactwo to, że przez tyle lat zostałam z ojcem, a teraz pewnie za dziwactwo uważała sprawę z Hugonem. Ja uważałam tę sprawę nie tyle za dziwaczną, ile za nieuniknioną. Najpierw coś się zdarza, a potem już trzeba działać w pewien szczególny sposób.

- Spędzasz jedenaście lat w zupełnie średniowiecznej sytuacji, a potem zdobywasz mężczyznę, którego od niepamiętnych czasów wszyscy starali się odciągnąć od żony. To uważam za interesujące.

Nowy smak w ustach. To zazdrość. Były inne kobiety, Hugo sam mi o tym powiedział, ale teraz stało się to realne. Mogłam je zobaczyć. Były w pobliżu i za to go nienawidziłam. Wszyscy musieli wiedzieć o tych kobietach, jeśli tu mieszkały, a musiały tu mieszkać, bo tu Hugo pracował. Będę więc traktowana jak osoba na końcu długiej kolejki, która znalazła się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze, jak ktoś, kto przekracza most Waszyngtona jako milionowy przechodzień i otrzymuje sto dolarów. Za to wszystko nienawidziłam Hugona, a także za to, że tego wieczoru będę musiała zobaczyć jego żonę.

- Mam dla ciebie propozycję - powiedziała Lawinia.

- Jaką?

- Dali mi nową pracę. Mam otworzyć specjalne biuro dla ludzi starych. Bardzo wielka sprawa. Dużo pieniędzy, ogromna reklama.

- Gratuluję.

- Chciałabym, żebyś została moją asystentką. Zrobiłaś bardzo dobrą robotę, chociaż nikt ci tutaj tego nie powie. Więc jeśli się zdecydujesz zostać, chciałabym, żebyś ze mną pracowała. Piszesz jasnymi zdaniem. Nikt z moich współpracowników nie pisze jasnymi zdaniem.

- Lawinio, bardzo by mi odpowiadała ta praca, gdybym się zdecydowała zostać w Ringkill.

- To dobrze.

Powiedziałam „gdybym się zdecydowała zostać w Ringkill”, podczas gdy w rzeczywistości myślałam „jeśli Hugo zdecyduje, że będziemy razem”. To zależało od niego, to całkowicie zależało od niego.

Zdawkowe powitanie Hugona sprawiło mi nieoczekiwaną przykrość. Wiedząc, że spotkamy się na tym przyjęciu, postanowiliśmy zachowywać się powściągliwie, ale rozmawiać ze sobą. Kiedy jednak Hugo przywitał mnie tak jak kogoś mało znanego, poczułam zawrót głowy, jakbym na dole schodów znalazła dodatkowy nieprzewidziany stopień.

Podeszła do mnie Liz, widać było, że wieczór ten interesuje ją jak przedstawienie teatralne. Jakże mienił się wyraz jej twarzy, kiedy dostrzegła moje wyraźne przerażenie.

- Wiesz, która to? - zapytała podając mi kieliszek.

- Nie.

- Wszystko to byłoby cudowne, gdybyś nie była zaangażowana. To ona - powiedziała Liz przekrzywiając głowę.

Myślę, że nikt nie przybiera tak wyraźnej tożsamości jak „ta druga”, wszystkie komplikacje egzystencji zlewają się bowiem w tej przerażającej sylabie ONA. Żona Hugona siedziała przy stole, nie mogłam więc widzieć dolnej połowy jej ciała, bałam się też zbyt wpatrywać w jej twarz, zauważyłam jednak, że wyglądała jak przeciętna kobieta w średnim wieku, przeciętna protestantka w średnim wieku, ani szczupła, ani gruba, z włosami różowo-blond ułożonymi w staranny, płaski hełm.

Nie wyglądała nadzwyczajnie, wydawało się niemożliwe, że jest żoną Hugona. Zawsze bardzo się starałam uwierzyć, że wygląd zewnętrzny nie jest istotny, część mojego dziedzictwa stanowiło bowiem przekonanie o wątpliwej wartości dowodów wizualnych. Trudno jednak przychodziło mi zaakceptować fakt, że Hugo ożeniony jest właśnie z tą kobietą. Ale oczywiście ta jej nieadekwatność niosła także wielką ulgę; pocieszające było, że przynajmniej w kategoriach adekwatności wizualnej Hugo należał bardziej do mnie niż do niej. Nie mogła zagrazać mi jej uroda. Jej wygląd nie wtargnie w moje życie na stałe.

Obserwowałam plecy Hugona rozmawiającego z jakimś nieznajomym. Plecy, które kochałam; piękne, klasyczne plecy, wzdłuż których przesuwałam palcami, językiem, zarumienionym, kochającym policzkiem. Przez to, że Hugo stał do mnie plecami poczułam się straszliwie samotna. Miałam wrażenie, że przyglądam się sobie samej z dalekiej odległości, podobnie czułam się na pogrzebie ojca. Usiłowałam wyobrazić sobie ojca w tym otoczeniu, ale oczywiście ojciec nigdy nie przyszedłby na cocktail party związane z kampanią liberalnego demokraty. Uświadomiłam sobie, że we wszystkich ważnych sprawach ojciec uważałby mnie teraz za przeciwnika. Gdyby miał wybierać między mną a żoną Hugona, to wybrałby, oczywiście, ją. Mogłam sobie

wyobrazić plecy ojca odwrócone do mnie tak jak teraz plecy Hugona, w wyraźnym fizycznym geście odmowy, gdyby ojciec znał mnie taką, jaką się stałam. To było wszystko, o czym mogłam myśleć, plecy ojca, odwrócone ode mnie, kiedy stałam tu razem z politycznymi pijakami, którzy ściskali sobie wzajemnie ręce jak domokrażcy, jak złodzieje. Byłam absolutnie sama i to poczucie samotności ogłupiało mnie. Chciałam wyjść, ale praktyczne przemieszczenie się z miejsca na miejsce przekraczało moje możliwości. Nie mogłam się nawet ruszyć z kąta, w którym zostawiła mnie Lawinia.

Absurdalne wydawało się przypuszczenie Lawinii, że będę zdolna załatwić sobie tutaj poparcie na posadę, którą mi zaproponowała, kiedy mogłam myśleć jedynie o plecach ojca. Widziałam plecy wszystkich księży, którzy się tu zgromadzili, by wyrazić chyba łatwe do przewidzenia poparcie dla demokratycznego kandydata. Plecy księży, plecy mojego kochanka, plecy ojca.

Zobaczyłam, jak John Ryan mówi coś do żony Hugona. Słyszałam, że odpowiada mu coś z wyraźną złością. Jednak słowa wydawały mi się całkowicie abstrakcyjne, całkowicie obce. Widziałam, że ona kieruje się w moją stronę. Nie przyszło mi do głowy, że mogłabym uniknąć spotkania z nią, wydawało się niemożliwe, bym w jakikolwiek sposób mogła zapobiec temu, by mnie dosięgła, by zrobiła to, co zamierzyła.

- A więc to ty - powiedziała, jednak niezbyt głośno. - Ty jesteś ta mała kurewka! Stała zaledwie w odległości kilku centymetrów ode mnie. Wskazywała na mnie palcem.

- Myślisz, że jesteś pierwsza, ale nie jesteś; nie jesteś nawet najładniejsza. Myślisz, że go dostaniesz, ale nic z tego. Czy wiesz, ile miał romansów? Piętnaście, może dwadzieścia. Myślisz, że teraz ci pozwolę go zabrać?

Zamilkła. Nic nie powiedziałam. Czy spodziewała się, że coś powiem?

- Jesteś dobrą kobietą. John Ryan powiedział, że zrozumiesz. On mi pomaga, mówi, że ty mi też pomożesz. Mam czterdzieści osiem lat, a ty jesteś młoda. Możesz mieć każdego mężczyznę. Ja już nie jestem młoda. On mnie odrzuca jak stary kapeć. Nie chcesz być w to zamieszana. Jesteś dobrą osobą.

Ktoś uderzał mnie w głowę, ciosy padały gwałtowne, ostre. Uderzano mnie czymś ciężkim, młotkiem czy kawałkiem skały. I wtedy stanął za mną Hugo. Położył mi rękę na ramieniu.

- Nie rób tego, Cyntio. Izabela nie ma nic wspólnego z tobą ani ze mną.

- Jesteś idiotą - powiedziała do męża. - Zawsze byłeś.

- Nie chcę nikogo skrzywdzić - powiedziałam. Ale nikt mnie nie usłyszał, w każdym razie nikt na mnie nie patrzył.

- Chodź, Izabelo - powiedział Hugo patrząc na swoją żonę. - Odwiozę cię do domu.

Zauważyłam, że w końcu wzbudziliśmy zainteresowanie. Wszyscy celowo odwracali głowy, kiedy wychodziliśmy z Hugonem.

- Przepraszam cię, kochanie - powiedział przerywając milczenie w samochodzie. - Przykro mi, że to się musiało stać. Jeżeli chcesz być ze mną, nie pójdzie to łatwo.

- W porządku - powiedziałam z uprzejmością, z jaką zwykle zwracałam się do obcych.

- Czy mam z tobą wejść na górę?

- Nie, lepiej idź do domu i zajmij się żoną.

- Dobrze - zgodził się ujmując mnie ręką pod brodę. - A więc odwagi!

- W porządku - powiedziałam. Po raz pierwszy odkąd go poznałam, odczułam jedynie ulgę przy rozstaniu.

Wspominając te dni wdzięczna jestem za jedną rzecz: istniał wyraźny przedział między okresem mojego szczęścia i czasem jego końca. Żona Hugona nie istniała dla mnie, dopóki jej nie zobaczyłam. To znaczy istniała, ale pozbawiona twarzy i głosu, więc kiedy usiłowałam ją sobie wyobrazić, byłam tak zaabsorbowana wysiłkiem skonstruowania dla niej twarzy, że jej tożsamość rozpływała się w moim wysiłku tworzenia. Przez wiele poranków moim jedynym zajęciem było wymyślanie jej jako blondynki, wiele popołudni przycinałam jej włosy, dodawałam i odejmowałam kolejne kilogramy wagi. Staralam się wyobrazić ją sobie z twarzą jakiejś sławnej osoby: lady Bird Johnson lub Gertrudy Stein. Nie przerażało mnie jednak okradanie kogoś, czyja twarz stanowiła całkowite dzieło mojej inwencji.

Byłam szczęśliwsza z Hugonem, kiedy nie wierzyłam, że jest naprawdę mój. Zawsze przerażała mnie idea własności, nigdy nie mogłam zrozumieć kolekcjonerów. Zawsze bardziej odpowiadała mi idea tęsknoty za posiadaniem Matisse'a niż idea posiadania Matisse'a. Zawsze wolałam poczucie braku niż obawę przed utratą. Może jest to nienaturalne, może stało się tak dlatego, że jestem córką ojca, który w chwili moich urodzin założył, że poświęcę mu życie. Będę oblubienicą Pana, powiedziała Maria do anioła, niech się ze mną stanie wedle słowa Jego. W nagrodę za utratę normalnego życia stała się matką Boga. Jako córka mojego ojca uważałam swój los za równie nieunikniony jak Jej los, równie narzucony, niemożliwy do zakwestionowania. Tak samo nie mogłam odmówić ojcu, jak Maria nie mogła odmówić przychodzącemu do niej aniołowi, promykowi światła.

Od chwili gdy Hugo po raz pierwszy wspomniął o porzuceniu żony, tło mojego życia z nim zaczęło się powoli zaciemniać. Ale odkąd ona oskarżyła mnie publicznie o kradzież, zaczęłam akceptować tożsamość złodzieja. Żyłam tak, jakbym musiała się ukrywać. Był luty, dni raczej ciemne, tak ciemne, jak wyobrażałam sobie oświetlenie

Londynu w czasie wojny. Obawiałam się wychodzić z domu. Załatwianie codziennych spraw wymagało teraz ode mnie nowego rodzaju odwagi. Wielokrotnie objeżdżałam dokoła supermarket, zanim zdecydowałam się wejść do środka, usiłując wyliczyć prawdopodobieństwo spotkania kogoś, kto był na tamym przyjęciu. Przez lata sprzedający i kupujący traktowali mnie z zachwytem i szacunkiem. Byłam dobrą córką. Zajmowałam się ojcem. Nie miałam się czego obawiać. Twarze otwierały się na mój widok, bo moja twarz, jak uważano, była twarzą świętej. Teraz twarze będą zamykały się przede mną, a i ja nauczę się zamykać swoją twarz. Jako córka swojego ojca stałam ponad zarzutami. Jak potrafię wytłumaczyć absolutny luksus tej pozycji, tak rzadkiej w naszym wieku? Jako córka swojego ojca chodziłam w aureoli dobroci. Obleczona byłam w biały płaszcz swojej dobroci jako oczywista obywatelka Królestwa Bożego. Jako kobieta Hugona - nie było dobrego słowa na określenie, kim byłam dla niego; nie mogłam sobie wyobrazić siebie jako jego żony - będę musiała zastanawiać się nad każdą nową twarzą; czy otworzy się przede mną, czy potraktuje mnie jak złodzieja, którego należy przepędzić.

Jako córka swego ojca zawsze żyłam w sanktuarium. Urok sanktuarium, urok absolutnego schronienia. Kiedy jako dziecko czytałam o średniowieczu, fascynowało mnie istnienie owego jednego, automatycznie bezpiecznego miejsca, które chroniło przed oskarżycielskim tłumem i szaleństwem bandytów. Jako córka swego ojca zapewniłam sobie tam miejsce. Zapewniłam sobie ten azyl rezygnując z mojej porcji, akceptując jako swój udział znacznie mniej niż mi się należało. Kupiłam sobie azyl rezygnując z młodości i wolności, z seksu i życia. Jakie to piękne, mawiali sąsiedzi, kiedy woziłam ojca po ogrodzie. Okrywała mnie dobroć jak twarda skóra. A teraz miałam z tego wszystkiego zrezygnować. W imię miłości? Rozkoszy? Teraz miałam wrażenie, że znalazłam się w ogniu, będę stykała się z twarzami, które zamkną się na mój widok jak na widok ofiary pożaru.

Musiałam zebrać całą odwagę, by pozwolić Hugonowi dotknąć mnie następnego dnia. Bardzo ciężko pracował, żeby osiągnąć prawdziwe zbliżenie. Nie mogłam jednak otworzyć się przed nim w akcie seksualnym, ponieważ właśnie przez związek z nim zostałam tak wyeksponowana. Po raz pierwszy w życiu udawałam rozkosz, jak robiły to w książkach kobiety, które chciały jak najprędzej mieć to za sobą. Hugo nic nie zauważył. Powiedział, że tak łatwo mnie uszczęśliwić.

Następnego dnia musiałam iść do biura, żeby przejrzeć kwestionariusze dostarczone przez studentów. Nigdy przedtem nie musiałam okazać tego rodzaju odwagi, jakiej wymaga przejście przez pokój z podniesioną głową udając, że nie słyszy się wszystkich szeptów. Stałam się uprzejma dla ludzi, których przedtem mogłam ignorować, dla sekretarek, drobnych urzędników, z którymi znalazłam się w windzie. Nie wiedziałam, kto z nich mógł słyszeć o moim spotkaniu z żoną Hugona. Musiałam

założyć, że wszyscy wiedzieli o wszystkim i że nic mnie to nie obchodzi. Czułam się jednak zagrożona i nienawidziłam Hugona za to, że wystawił mnie na taki rodzaj próby, do jakiego nie byłam przygotowana nawet w najśmielszych marzeniach.

Usiadłam przy swoim biurku przekładając papiery. Nie potrafiłam się jednak skoncentrować. Oczekiwałam, że ktoś wystąpi z oskarżeniem przeciwko mnie. Widziałam siebie w roli publicznie obwinionej, w roli kobiety obnoszonej po mieście nago z ogoloną głową w parodii procesji ku czci Dziewicy. Słyszałam, jak otworzyły się drzwi gabinetu Johna Ryana, ale nie wyszedł z nich John. Wyszła żona Hugona. Trzymała w ręku teczkę. Czy były tam informacje o mnie? Spojrzałam na papiery na moim biurku; z absolutną głupotą, jaką może wywołać paniczny strach, uważałam, że jeśli nie podniosę wzroku, ona mnie nie zauważy. Ona jednak podchodziła do mojego biurka.

- Czy mogę zamienić parę słów, panno Moore?

Wierzyłam, że ma prawo żądać ode mnie wszystkiego. Wskazałam jej krzesło naprzeciwko swojego. Nie patrzyłam jednak w oczy.

- Pani się zdaje, że zabierze mi pani męża.

- To zależy od niego.

Złapała mnie za rękę. Nie przyszło mi do głowy, że może mnie dotknąć.

- Jest pani bardzo, bardzo chorą osobą - powiedziała. - Bardzo z panią niedobrze.

Spojrzałam na nią czekając na wyjaśnienie, jakby miała dostęp do informacji, których istnienie podejrzewałam, ale nigdy nie mogłam sprawdzić. Dlaczego jej tak wierzyłam? Siedziała tak blisko mnie, ciągle trzymała mnie za rękę.

- To obrzydliwe, być taką egoistką - powiedziała.

Spojrzałam na jej oczy. Nie było w nich niczego nadzwyczajnego, poza tym że były gniewne. W istocie były to raczej małe oczka. Ale jej twarz wydawała się rodzajem skorupy pokrywającej jakąś płynną masę. Nawet mi się nie śniło, żeby ją powstrzymać, nawet przez sekundę nie uznawałam swoich możliwości.

- Co by powiedział ojciec na pani obecny tryb życia?

Pomyślałam o plecach ojca odwróconych ode mnie, o palcu ojca odsuwającym mnie od siebie, o ustach ojca składających słowa „winna”, „wróg”.

- Nie znała pani mojego ojca - powiedziałam patrząc na jej ręce. Paznokcie miała przycięte prosto, nie nosiła żadnych pierścionków, nawet obrączki. Były to szerokie, raczej krótkie dłonie. Nie puszczała mojego nadgarstka.

- Wszystko wiem o takich jak pani. I ta pani przyjaciółka, pani Ryan, Katoliczki z obrazkami dziewiczych męczennic. Wychowują was na zboczone istoty, prawda? Pani przyjaciółka, pani Ryan, jest zboczona, a pani też nie lepsza. Nie mogła się pani doczekać śmierci ojca, żeby poczuć faceta między nogami. Jest w pani coś bardzo

złego. Obrzydliwego i niezdrowego. Takie osoby jak pani nie nadają się do normalnego życia.

Zapadałam się głębiej i głębiej. Miała absolutną rację, widziałam to wyraźnie. Chciałam śmierci ojca. Widziałam siebie przy jego łóżku, modlącą się, żeby umarł. Zanim będę za stara, zanim będzie za późno. Na co? Powiedziała prawdę. Wiedziała, o czym marzyłam. O mężczyźnie w łóżku.

Zamordowałam ojca, a ona to wyjawiała; wierzyłam, że postąpiła słusznie. Odkryła prawdę mojego życia. Dostrzegła to, czego nikt inny dostrzec nie potrafił; to, co ukrywałam, chroniona w specjalnym sanktuarium jako córka mego ojca. Ale ojciec nie żył. Coś we mnie się wówczas przesunęło, przemieściła się jakaś ważna kość.

Ojciec nie żył. Teraz wiedziałam, co to oznaczało. Byłam narażona na niebezpieczeństwo, całkowicie sama.

Teraz otaczał mnie ból, topiłam się w bólu. Pamiętałam twarz ojca, kiedy otworzył drzwi i znalazł mnie w łóżku z Dawidem Lowe. Jak idiotycznie podskoczyły moje piersi, kiedy usiadłam. Jak zgorszony był ojciec, kiedy je zobaczył. I doszło do mnie z ogromną wyrazistością, że ojciec już nie żył, nie było go przy mnie, już nigdy go nie zobaczę. I że chciałam jego śmierci.

Ona ciągle mówiła.

- Chce pani być dobra. Wiem, że w głębi duszy jest pani dobra. Wszystko, co mówił o pani John Ryan, każe mi wierzyć, że jest pani dobra.

Tak, byłam dobra. Nikt nie mógł tego zakwestionować, kiedy byłam córką swego ojca. To był mój wielki skarb, ta moja widoczna dobroć. I właśnie zamierzałam z niej zrezygnować. Po co? Żeby mieć mężczyznę w łóżku. Nie rozumiałam własnego życia.

Ale ta kobieta oddała mi z powrotem moje życie. Czy raczej odda mi je, jeśli ja dam jej to, czego chce, jeśli po prostu nie ukradnę jej męża. Pomyślałam o ulubionym wierszu ojca z *Pieśni o Rolandzie: Chretiens ont droit; paiens ont tort*. To był mój błąd. Usiłowałam żyć jak poganka. Byłam absolutną egoistką.

Pływałam w rzece bólu, ale będę musiała dać nurka jeszcze głębiej. Wypuściłam swój skarb, będę musiała zagłębić się jeszcze bardziej, żeby go odzyskać. Pójdę nawet do samego dna, żeby tylko znów usłyszeć „jesteś dobra”. Księża w pokojach, i mój ojciec, i obcy ludzie.

- Jestem pewna, że będzie pani znacznie szczęśliwsza prowadząc tryb życia, do jakiego panią wychowano - mówiła żona Hugona wstając z krzesła.

- Dziękuję - powiedziałam.

Byłam bardzo daleko. Zagłębiałam się niżej i niżej. Ludzie chodzili wokół mnie, ale nie miałam z nimi żadnego związku.

Usłyszałam, że ktoś woła mnie po imieniu. Wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek wypowiedział moje imię, bym to usłyszała. Podniosłam wzrok, przy moim biurku stała Liz.

- Halo, Liz. Co tu robisz?

- John powiedział, że masz jakieś kłopoty.

- Och nie, wszystko w porządku.

- Izabelo, co oni ci zrobili? Nie siedź tak nieruchomo. Chodźmy stąd. Chodźmy do domu.

Pozwoliłam Liz zaprowadzić się do samochodu. Podczas jazdy siedziałam w milczeniu. Potem odwróciłam się do Liz, ponieważ musiałam powiedzieć coś, czego do tej pory, ku niemal niepowetowanej stracie, nie uświadamiałam sobie do końca.

- Mój ojciec nie żyje.

- Tak - powiedziała Liz. - Wiem.

I wtedy ogarnęło mnie absolutne przerażenie. Byłam całkowicie sama. Szlochałam jak zwierzę. Usta miałam otwarte. Kołysałam się z jednej strony na drugą.

- Izabelo, musisz wejść do domu - usłyszałam głos Liz. Zaprowadziła mnie na górę i dała coś do picia. Położyła mnie na łóżku.

- Chcę umrzeć, chcę tylko umrzeć - powtarzałam przewracając się z boku na bok, jakby ten ruch, mógł uśmierzyć ból.

Liz złapała mnie mocno za ramiona. - Do jasnej cholery, ja do tego nie dopuszczę! - wykrzyknęła. Obejmowała mnie bardzo mocno i zaczęła kołysać. Poddalam się. Nic już nie pozostało. Zasnę, nic już nie obchodziło mnie na tyle, by walczyć ze snem.

„Jesteś dobra”.

„Nie chcę nikogo zranić”.

Słyszałam te słowa, kiedy zaczęłam wypływać z głębi snu, więc postanowiłam znowu zapaść w głąb, by tego nie słyszeć.

Hugo naraził mnie na zarzuty. Kiedy byłam z ojcem, nikt nie ośmieliłby się mówić do mnie tak jak ta kobieta. Widziałam siebie okrutnie obnażoną, miękkie i białe pośladki miotające się na łóżku z Hugonem. Nazywaliśmy to rozkoszą. Teraz zanurzyłam się w kolejny sen, byle jak najdalej od tego. Hugo mnie oszukał, nie będę mogła mu przebaczyć tego oszustwa.

Kiedy wreszcie uznałam, że muszę się obudzić, trzymał mnie za rękę.

- Kochanie - powiedział widząc, że nie śpię.

Objął mnie, przytulił moją głowę do swojego ramienia. Rozluźniłam mięśnie szyi, jakby była złamana. Wciągnęłam ciało do wnętrza szkieletu, żeby nie mógł go osiągnąć. Sama się odsunęłam tak, że wreszcie wypuścił mnie z objęć, położył mnie na poduszce, sam także już nie chciał fizycznego kontaktu. W jamie ustnej miałam

tak sucho, że wyczuwałam każdy poszczególny ząb, suchy i twarde pod wargami, olbrzymi, żółty jak ząb słonia. Zagryzłam wargi, czułam ich smak, słony, krwawy, niemal zimny.

- Bardzo, bardzo mi przykro, że musiałaś przez to wszystko przejść - powiedział nie dotykając mnie jednak. - Zostawiłem ją. Teraz już będziemy razem.

To interesujące, pomyślałam, ale nie ma to żadnego związku ze mną. To była bardzo niefortunna pomyłka, powiem mu to, bo jeszcze nie jest za późno. Nie dbałam zupełnie o to, co mu powiem; cokolwiek powiem, nie ma znaczenia. On nie ma żadnego związku z moim życiem. W oczach Hugona malował się ból i oczekiwanie, to wyglądało prawdziwie; wiedziałam, że istotnie coś odczuwa. Ale ja nie czułam nic. Odpyływałam od niego, całkiem oddzielnie. Obserwowałam wyraz jego oczu, jakbym nigdy przedtem go nie widziała.

- Musisz wrócić do żony - powiedziałam. - Postąpiliśmy bardzo źle raniąc ją w ten sposób.

Teraz on szlochał, on mnie obejmował. Czułam, jak się do mnie przylepia, żądając czegoś od mojego ciała. Nic jednak nie mogłam mu dać.

- Oboje jesteśmy dobrzy - mówiłam. - Nie powinniśmy nikogo ranić. Nie powinniśmy być egoistami.

Szlochał i obejmował mnie. Przez materiał szlafroka czułam jego łzy na moim ramieniu, dokładnie na kości, na której opierał głowę. Teraz jego łzy pełne były złości, spadały jak salwy kaszlu. Były bolesne, widziałam to. Czułam jedynie zimno, nic poza tym. Niedługo, pomyślałam, Hugo sobie pójdzie.

- Ale ja z ciebie nie zrezygnuję - powiedział przytrzymując moją głowę.

- Ja już z ciebie zrezygnowałam.

Powiedziałam to wprost, powoli. To była prawda i już teraz było po wszystkim. Wstałam z łóżka pozwalając jego głowie opaść na poduszkę. Dalej łkał. Pomyślałam z pewnym zainteresowaniem, że szlochał dłużej niż sobie wyobrażałam.

- Izabelo, jesteś przygnębiona z powodu Cyntii. Nie możesz jej na to pozwolić. Musisz ją zrozumieć. Uważa się za osobę, która zaczęła z niczego, osiągnęła coś dzięki ciężkiej pracy i planowaniu, zawsze więc sądziła, że może sobie pozwolić na wszystko, bo nie ma nic do stracenia. Zawsze uważała, że może postępować gorzej od innych, ponieważ w jej życiu nie ma prawdziwego dna. Ale ty, kochanie, nie możesz dopuścić, żeby wywierała na ciebie taki wpływ.

- Miała rację. Postępowaliśmy źle. Raniliśmy innych.

- A teraz? Nie sądzisz, że ranisz mnie? I siebie?

- Jesteśmy silni, możemy to przetrzymać. Cyntia nie jest tak silna. Szczęśliwe przypadki nie pracowały na jej korzyść. Nie wygląda tak jak ja, nie czytała tego, co ja,

nie śmiała się z tych samych dowcipów. Choć mogło się przecież tak zdarzyć. Wtedy kochałbyś ją tak samo jak mnie, więc nie miałyby to znaczenia.

- Mówisz bez sensu - powiedział z gniewem Hugo.

- Widzisz, otrzymaliśmy te dary: prezencję, inteligencję, wdzięk, i co z nimi zrobiliśmy? Użyliśmy ich, by siebie nawzajem przyciągnąć, a nie żeby uszczęśliwić ludzi, którzy nie mają tak wiele jak my.

- Izabelo, jesteś wytrącona z równowagi - powiedział podchodząc do mnie.

- Nie życzę sobie, żebyś mnie dotykał - oświadczyłam tonem informacji. W moim głosie nie było żadnej emocji.

- Nie możesz teraz podejmować decyzji.

- Podjęłam decyzję. Nie chcę dalej postępować samolubnie. Spróbuję uszczęśliwić kogoś, tak jak ojca.

- A co ze mną? Mogłabyś mnie uczynić szczęśliwym.

Uśmiechnęłam się pobłaźliwie, jakby nie rozumiał najprostszej rzeczy.

- Wiele osób może uczynić cię szczęśliwym, wiele osób chce to zrobić, ponieważ posiadasz te wszystkie dary. Jeżeli nie będę to ja, będzie ktoś inny. Nawet twoja żona. Widzisz, kiedy byłam z ojcem, kiedy już był bardzo chory, tylko ja mogłam uczynić go szczęśliwym.

- Ale ty jesteś jedyną osobą, która może dać mi szczęście. A twój ojciec nie żyje.

Tego właśnie dowiedziałam się w moim śnie, że ojciec nie żyje, że nigdy więcej go nie zobaczę. Wstrząsy czystego bólu poruszyły moimi ramionami. Ale nauczyłam się także, że nie chcę być samolubna; jestem dobra, nie chcę nikogo zranić, nigdy przedtem nikogo nie zraniłam. Zmniejszyłam czyjś ból, jak to uczyniłam w przypadku ojca.

- Nie możesz tak myśleć, Hugo. Będiesz przez to nieszczęśliwy. Ja teraz zamieszkałam z Margaret Casey, musimy przestać się widywać.

Hugo uderzył mnie dwa razy. Siła tych uderzeń przesunęła mnie z miejsca.

- Twój ojciec nie żyje, ty żyjesz. Masz przed sobą całe życie. Dlaczego chcesz się go pozbawić?

- Zadzwoń do ciebie przed wyjazdem - powiedziałam podając mu marynarkę.

Wyszedł bez słowa. Pomyślałam z roztargnieniem, że prawdopodobnie bardzo cierpi.

XIII

Bawiło mnie to, że Liz co wieczór przynosiła mi kolację w zamkniętych naczyniach, jakbym była inwalidką. Cnoty domowe nie przychodziły jej łatwo, podejmowała każde działanie po starannym zaplanowaniu i rozważeniu. Mogłam widzieć samą siebie oczami Liz, spałam lub czytałam pisma, jadłam jogurt kładąc puste pojemniki pod łóżko. Rozśmieszyło mnie, kiedy Liz próbowała w czasie jednej z tak zwanych beztroskich konwersacji (pozostałość nauk zakonnice o zachowaniu przy łóżku chorego) wydobyc pojemniki spod łóżka starając się przy tym nie okazywać, że ma mi to za złe. Nie lubiłam takiej Liz, usprawiedliwiającej się, taktownej, domyślnej. Zadzwoiła nawet do Eleanor. Jakże nie podobała mi się myśl, że Liz i Eleanor dzwonią do siebie i rozmawiają o mnie, zjednoczone w trosce pytając się wzajemnie „co możemy zrobić”.

Chciałam, żeby zdały sobie sprawę, że znalazłam się poza ich zasięgiem; chciałam, żeby przyznały się do własnej bezradności, żeby się do mnie nie zbliżały. Zjadałam posiłki, które gotowała Liz, czasami po jej wyjściu brałam talerz do łóżka i jadłam wszystko (duszoną wołowinę, makaron, ser) łyżeczką. Jednak Liz nie powinna była zadawać sobie trudu, z równym powodzeniem mogłam żywić się jogurtem i ciastkami. Jadłam mnóstwo, nie martwiłam się już tłuszczem z tyłu nóg ani obwodem talii. Ciało przysporzyło mi jedynie kłopotów, pragnęło Dawida Lowe, Johna Ryana, Hugona. Długi szlak bólu zaczynał się od choroby ojca i ciągnął aż do żony Hugona wymachującej palcem tuż przed moim nosem.

„Jesteś dobra”, powiedziała. Kiedyś posiadałam tę cechę, byłam dobra. Sprawiałam, że ojciec czuł się lepiej. Każda czynność miała znaczenie, każdy gest. Teraz nie miałam nic, a gdybym poszła za Hugonem, miałabym nawet mniej niż nic. Chwile przyjemności, błyski niespodzianki, dni spędzane na oglądaniu widoków, kiedy sceneria nie była tym, czego pragnęłam najbardziej; dotknięcie palców; wszystko prócz tej świadomości: jestem dobra, postępuję dobrze.

Przyjemność. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wszystko sprawiało mi olbrzymią przyjemność. A działało się tak dlatego, że byłam w błędzie co do własnej osoby, co do charakteru spraw. Teraz wiem, że prawda mojego życia to pulsujący, czarny, fioletowy ból w głębi czaszki: jestem sama, ojciec nie żyje, już nigdy więcej go nie zobaczę,

Wszystko sprawiało mi olbrzymią przyjemność, ale to właśnie był błąd, trzeba było przez to przejść, było to jak miasto, w którym spędza się noc, bo pomyliło się drogę. Teraz nie dotyczyła mnie ani przyjemność, ani strata. Kochałam ojca, kochałam Hugona, o każdym z nich mówiłam: ten albo żaden. Ale już nie będę żyła w

ten sposób. Obdarzę miłością tego, kto jej najbardziej potrzebuje, a potem kogoś następnego, bo zawsze znajdzie się następna osoba potrzebująca miłości, jeśli nie szuka się w życiu jedynie przyjemności.

Nie mogłam wytłumaczyć tego nawet Eleanor, bo Eleanor pragnęła przyjemności. Podarowała mi biało-niebieską filiżankę, srebrną wazę z ostrokrzewem. Sposoby na powiększenie oczu, podwyższenie kości policzkowych, ujędrnienie piersi. I pocztówki z reprodukcjami Matisse'a odmalowujące jasne światło południowej Francji. To mi dawała Eleanor, to stanowiło treść jej życia. Było to życie miękkie, ciepłe i luksusowe. Jeżeli danego dnia nie było na rynku avocado, Eleanor czuła się nieszczęśliwa. A jeśli zostawał ostatni daktyl, zakrawało to na cud. Dlaczego nigdy nie zauważyłam, jak płytkie to było życie?

Liz. Myślałam o Liz wbijającej pale jak drwal, dumnej ze swego domu, ze swoich dzieci, ze swojego chłopięcego ciała, swoich dobrych manier. Jak potrafię wytłumaczyć Liz, że wiem, co przyniesie mi szczęście: świadomość, że jestem dobrym człowiekiem, równie odżywcza i odświeżająca jak zejście do chłodnej piwnicy w najbardziej upalny dzień lata.

Obydwie były dla mnie bardzo dobre, dalej będą dla mnie dobre. Będą próbowały zrozumieć. Wyobrażałam sobie smutek na twarzy Eleanor, powściągliwość w oczach Liz starającej się powstrzymać ostre komentarze. „Jesteś zmęczona, jesteś rozstrojona”, powie Eleanor. Liz użyje bardziej skomplikowanych, dłuższych słów, ale ich znaczenie pozostanie to samo: coś jest z tobą nie w porządku, ale to minie.

Nie o to chodziło. Wszystko było w porządku i podobnie jak w dzieciństwie miałam niezachwianą pewność, że dalej tak będzie. Nie zmienię się. Wiedziałam, że muszę jechać do Margaret, tylko tam będę bezpieczna przed Hugonem, Liz, Eleanor i ich rozmowami o „życiu”. Nie rozumieli mojego życia, przyczynili się do tego, że ja także źle je pojęłam. Nie mogłam być taka jak inni ludzie, nie byłam taka jak inni ludzie. Nie zadowalało mnie to, co inni nazywali życiem.

Zajmę się Margaret, poświęcę się osobie, którą byłoby mi najtrudniej pokochać. Zatopię się w cierpieniach osoby, która jest dla mnie nieatrakcyjna. Będzie to akt czysty, jak wybór męczeńskiej śmierci, która - czego nas uczono w szkole - stanowi jedyną niepodważalną gwarancję zbawienia. Jeżeli umierasz za wiarę, masz zagwarantowane zbawienie. A po śmierci Margaret zajmę się kimś innym. Będę taka, jaką chciałam być, nie dotknie mnie ani strata, ani zarzuty.

Przynajmniej Liz i Eleanor uprzejmie wysłuchają, co mam do powiedzenia. Jak brutalnie zachował się Hugo, kiedy próbowałam mu wszystko wyjaśnić. Jak znieważył mnie swoimi emocjami - gniewem, smutkiem, strachem i znowu gniewem. Chwycił mnie za ramiona, jeszcze zostały ślady jego palców.

Czy myślał, że zacznę coś odczuwać, jeśli będzie powtarzał „Zabierasz mi wszystko, co najbardziej kocham, i zabijasz”? Wszystkie jego zaklęcia dotyczyły naszej przeszłości, którą, jak się okazuje, spędziliśmy głównie w łóżku. Jak bardzo nie miał racji, do jakiego stopnia to wszystko było pozbawione znaczenia! Mógłby równie dobrze zwracać się do mnie w obcym języku, kiedy tak mną potrząsał i kazał mi sobie przypomnieć. Była to jakaś szalona litania nonsensu: pamiętaj o perfumach między nogami, pamiętaj o powietrzu na szczycie góry, pamiętaj o ostrokrzewiu w srebrnej wazie. „Lubisz to wszystko”, powtarzał, jakby chciał przekonać siebie, że jestem tą samą osobą. „Znam cię, lubiłaś to wszystko”, mówił.

Był strasznie powolny, naprawdę bardzo mnie to męczyło. Z Liz albo Eleanor można było rozmawiać o niebezpieczeństwach przyjemności: św. Franciszek rzucił się na klomb różany, żeby nie patrzeć na piękną kobietę; Tomasz More nosił włosienicę, bo zbyt kochał żonę. Oni wiedzieli, do czego może doprowadzić przyjemność, do postawienia siebie w centrum wszechświata, kiedy to własne ciało blokuje wizję Boga jak przy zaćmieniu, jak księżyc, który wyskoczył z orbity.

Powiedziałam do Hugona: - To wszystko sprawiało mi nieproporcjonalnie wielką przyjemność. Popelniałam błędy. Unieszczęśliwiałam ludzi. Spowodowałam chorobę ojca, przez swój egoizm mało nie zrujnowałam twojego małżeństwa.

Zawsze w odpowiedzi przytaczał fakty, jakby to wszystko ograniczało się jedynie do faktów.

- Nie spowodowałaś choroby ojca. Ludzie dostają wylewów, ponieważ budowały się one przez długi czas, nie z powodu gwałtownego szoku. To się zdarza tylko na filmach.

Człowiek nauki, pomyślałam pogardliwie. Nie mógł wzbudzić we mnie żadnych, absolutnie żadnych uczuć; popełniłam błąd, dotknęło mnie tchnienie szaleństwa, jak tych ludzi w średniowieczu, którzy wyskakiwali z okien z powodu złego zbioru żyta.

- A co z twoimi dziećmi? Zostawiłabym je bez ojca. Dla mojej przyjemności. Wyjaśnij to w taki sposób, żebym dalej mogła mieć dobre zdanie o sobie.

- Wiem, że cię kocham, wiem, że przywróciłaś mi życie, że kiedy byłem z tobą, wszystko wydawało się możliwe, a życie pełne obietnic. I tak odchodzę od Cyntii. Nigdy nie mógłbym wybaczyć jej tego, co ci zrobiła. Nie wyobrażaj sobie, że porzucając mnie ratujesz moje małżeństwo. Przeprowadziłem się do pokoju przy Salvo Avenue.

- Musisz do niej wrócić - powiedziała tonem przeoryszy, tonem bardzo starej kobiety. - Musisz spróbować znowu ją pokochać. Przecież kiedyś ją kochałeś.

- Nie.

- Ożeniłeś się z nią.

- Ożeniłem się z nią, bo wszystkim powiedziała, że to zrobię, bo wszyscy myśleli, że się jej oświadczyłem. Pracowała dla mojej rodziny, przespałem się z nią, a ona uznała, że nie ożenię się z nią tylko dlatego, że nie jest wystarczająco urodziwa, a jestem dziwką; dlatego, że nie jest wystarczająco bogata, a ja jestem snobem. Wydawało mi się, że muszę jej dać jakąś rekompensatę za wszystko, Kiedy poroniła, twierdziła, że odchodzę od niej, bo nie może mieć dzieci; kiedy mieliśmy dzieci, mówiła, że ją rzucam, bo się starzeje. Zrezygnowałem z walki, była ode mnie silniejsza z tymi swoimi wszystkimi krzywdami. Nigdy nie mogłem się z nią równać w tym względzie.

- A teraz, kiedy przeżyłeś z nią tyle lat, dlaczego miałbyś ją rzucać?

- Ponieważ poznałem ciebie. Ponieważ wiem, że można być aż tak szczęśliwym.

- Szczęście to nie wszystko.

- Więc co? - zapytał Hugo. Była to głupia parodia rozmów, jakie miewałam z księdzem Mulcahy i z ojcem.

- Być dobrym człowiekiem. Nie ranić ludzi.

- Ale ty mnie ranisz.

- Przeżyjesz to. Pomyśl, jak będzie cudownie: będziesz mógł kochać swoją żonę, nie tak jak mnie czy kogoś innego (nawet teraz pamiętałam, że nie byłam pierwsza), i będziesz miał spokój. Nikt nie będzie mógł robić ci wyrzutów, ty sam nigdy nie będziesz musiał sobie niczego wyrzucać. I nigdy już nie będziesz się bał, że coś stracisz.

Znowu mnie uderzył. To już drugi raz, zauważyłam zimno, jakby przydarzyło się to komu innemu.

- Jesteś tchórzem, właśnie tchórzem, z tymi twoimi cnotami z katolickiej szkoły, z twoim kochającym serduszkiem i poczuciem moralności przypominającym złoty zegarek otrzymany w nagrodę za naukę katechizmu.

Pozwoliłam mu mówić dalej. Podjęłam decyzję. Już napisałam do Margaret, że się nią zajmę, że nie musi iść do domu starców sióstr dominikanek. Hugo może sobie dalej mówić. Jak mu się podoba.

- Ty chcesz tylko jednego i zawsze tego chciałaś, żeby wszyscy mówili, jaka jesteś dobra. Wszyscy musieli mówić: zajmuje się ojcem. Szłaś ulicą, a wszyscy mówili: pomyśl tylko, co ona zrobiła dla swojego ojca.

Miał rację; lubiłam to, lubiłam, kiedy ludzie tak o mnie mówili na ulicy. To niezwykle, mówili, co ona zrobiła dla ojca. Ale nie tylko o to chodziło, to nie było wszystko. Myślałam o tym, jak trzymałam stopę ojca; o tym, jak on mnie drapał po głowie, kiedy czytaliśmy.

- Ale ja go kochałam - powiedziałam wściekła, że w ogóle odpowiadam Hugonowi.

- Tak, kochałaś go i dlatego zawsze uważałem, że postąpiłaś słusznie. Ponieważ go kochałaś i dalej kochasz. Ale nie kochasz Margaret, a ja nie Kocham Cynthii

- I to jest właśnie piękne - powiedziałam łudząc się przez moment, że on zrozumie. - Jeżeli możemy kochać osoby, które wydają nam się najmniej przyjemne, jeżeli potrafimy się wyrwać z tego kręgu przypadków, przypadkowej atrakcyjności, wtedy będzie to czysty akt miłości, będziemy się za czymś opowiadać, czegoś bronić.

Uderzył mnie znowu. Przemoc. Pomyślałam o męczennikach prześladowanych za mówienie prawdy. Był zwykłym brutalem. Dlaczego nie dostrzegałam tego wcześniej?

- To jakby przywiązać żywego do trupa i wysłać ich razem na tratwie - powiedział.

- Nie rozumiesz, nigdy nic nie zrozumiesz.

Było po wszystkim. Czułam, jak się ode mnie odsuwa, czułam, że już mnie nie usiłuje zdobyć.

- Więc wrócisz teraz na łono Kościoła? - zapytał.

- Zobaczę się z księdzem Mulcahy.

- I cóż on ci powie? Kiedy mógł ci cokolwiek powiedzieć?

- Coś mi powie.

- Pobłogosław mi ojciec, bo zgrzeszyłam. Kochałam i byłam Kochana, czego szczerze żałuję.

- Nie bądź wulgarny - powiedziałam. Ośmieszanie Kościoła przez niewierzących zawsze było w złym guście. Zawsze używali niewłaściwych słów, przedstawiali wszystko w nieodpowiednim kontekście, wyśmiewali się z rzeczy oczywistych, podczas gdy sprawy mniej oczywiste znacznie bardziej zasługiwały na ciosy. .

- Ojciec nie żyje, więc chcesz uśmiercić i siebie. Żeby do niego wrócić. Tego nie potrafię pokonać.

- Nigdy nie zrozumiesz - powiedziałam, znowu zaczęło się pulsowanie w głowie, bo przypominałam sobie to, o czym zdążyłam zapomnieć: mój ojciec nie żyje, nigdy go nie zobaczę. „Zawsze będę cię kochał,” powiedział, a potem mnie opuścił.

- Znajdziesz kogoś innego. Kogoś, kto będzie ci bardziej odpowiadał - powiedziałam czując się stara, znacznie starsza od Hugona, jakbym była jego nauczycielką, a on właśnie wyznał, że zawsze mnie kochał obserwując mnie z ostatniej ławki, na co ja zwróciłam mu uwagę, że obok niego siedzi śliczna dziewczyna z lokami blond (młoda dziewczyna, szalona dziewczyna), która oblewa się rumieńcem, kiedy on koło niej przechodzi. To było cudowne, ta lekkość, ta ulga. Było po wszystkim.

Zwykle budził mnie gwizdek pożarowy. Tego ranka pomyślałam o Aniele Pańskim, ale byłam zbyt zmęczona, by pamiętać. Był to jeden z romantycznych

pomysłów ojca: chłopci przerywający w południe pracę na polach, by się pomodlić. Owszem, to był ładny obraz, ale byłam zbyt zmęczona, żeby mnie poruszył. Otworzyłam lodówkę. Leżała w niej jedynie wysychająca połówka cytryny na talerzyku. Przestałam zamawiać mleko, bo kwaśniało. Do kawy używałam teraz mleka w proszku Koło zlewu było pełno filiżanek, przywarły do powierzchni stołu musiałam je najpierw oderwać, żeby móc je przestawić. Otworzyłam paczkę ciastek, usiadłam na kanapie i zjadłam wszystkie. Wnętrze jamy ustnej miałam obolałe i lepkie, ciężkie i brudne. Nie mogłam jednak przestać jeść ciastek, bo miałam na nie ochotę.

Podeszłam do biurka i wzięłam dokumentację przypadków, które prowadziłam. Musiałam napisać raport, powinien być gotowy za dwa tygodnie. Chciałam powiedzieć coś o naturze miłości, o szczęściu, o tym, jak szybko przemijają i jak są przypadkowe. Jednak jasne uświadomienie sobie tej idei, znalezienie dla niej właściwych słów wydawało się zbyt trudne. Niewiele mnie to obchodziło, ludzie, rządy, wszyscy w poszukiwaniu szczęścia. Wiedziałam, że nastąpi smutny koniec. Smutek i utrata.

Nie robi to nikomu różnicy, czy powiem coś o życiu i o szczęściu, czy nie. Więc pójdę po najmniejszej linii oporu, żeby jak najszybciej z tym skończyć. Byłam jednak zbyt zmęczona, żeby od razu się do tego zabrać. Miałam dokumentację od dziesięciu studentów, ale zebrałam ją przedtem, zanim to się zdarzyło. To oznaczało ową kobietę wskazującą na mnie palcem, świadomość, że ojciec nie żyje, że nigdy więcej go nie zobaczę i że nie jestem dobra. Leżałam na łóżku, z którego dopiero co wstałam. Koszula nocna zaczynała trochę śmierdzieć, ale byłam zbyt zmęczona, żeby ją zmienić. Obudziłam się ponownie po dwóch godzinach. Pomyślałam, że wymyję zęby. Powinnam wyjść. Zadzwońię do księdza Mulcahy. Pojadę do niego, zdążę akurat po kolacji.

- Masz dziwny głos, dziecinko.
- Nie czuję się dobrze. Jestem okropnie zmęczona. Chcę się wyspowiadać.
- W Ringkill są przecież księża.
- Ale ja nie chcę obcych księży.

Nigdy nie potrafił długo mi się opierać. „Dobrze, dziecinko” powiedział, ale czułam, że bardzo się wystraszył. Jednak on musiał mi wybaczyć, był przecież najlepszym przyjacielem mojego ojca.

Byłam zbyt zmęczona, żeby prowadzić samochód, więc postanowiłam pojechać pociągiem. Okropnie męczące jest czekanie na autobus na stację, lepiej wziąć taksówkę. Marzyłam, o tym, żeby już znaleźć się w pociągu i spać przez całą drogę; na tej trasie nie było nic ciekawego do oglądania. W maszynie na stacji kupiłam kilka tabliczek czekolady.

Gdyby tylko ludzie zostawili mnie w spokoju. Potrzebowałam snu i samotności. Nie powiedziałam Eleanor, że zamierzam się spotkać z księdzem Mulcahy. Chciałaby, żebym poszła z nią na kolację, albo sama przygotowałaaby jeden z tych nie kończących się posiłków, tak do siebie podobnych; w gruncie rzeczy wszystkie posiłki były do siebie podobne. Ostatnio miałam ochotę tylko na szybkie przekąski, na jedzenie, które nie wymaga przygotowania, na które nie trzeba czekać. Jedzenie tego, na co się miało ochotę, i spanie przez cały dzień, jeśli na to właśnie miało się ochotę, wydawało mi się wielkim luksusem. Do tego ograniczą się moje przyjemności. Nie będę wyrządzała nikomu przykrości, byłam już zmęczona wyrządzaniem przykrości innym. A opiekując się inwalidą można spać wtedy, kiedy śpi pacjent; tak robiłam przy ojcu, tak samo będzie przy Margaret. Uczyniłam szczęśliwym ojca, którego kochałam, którego nigdy już nie zobaczę (zamknęłam oczy, bo w tym momencie zaczynał się ból); teraz uszczęśliwię Margaret, której nigdy nie kochałam, która była mi nienawistna. Teraz zmuszę się, żeby ją pokochać. Kochałam Hugona, ale to już się skończyło, to był jeden z popełnionych przeze mnie błędów. Teraz nie będę ranić ludzi. Będę spać.

Kiedy wyszłam z metra, było już ciemno; w ustach czułam ból i smak metalu. Znałam tę stację i tę drogę od kolejki w górę. Zastanawiałam się, czy nie wstąpić do kawiarni Milta na bułeczkę i herbatę (przypomniałam sobie, jak masło obciekało mi po palcach, jak zawsze miałam ochotę je oblizać, tylko brakowało mi odwagi i nigdy nie ośmieliłam się tego zrobić), wołałam jednak uniknąć wszelkich rozmów i pytań typu: gdzie byłaś, co się z tobą działo. Nie do wytrzymania. Postanowiłam po prostu iść dalej pod górę aż na plebanię.

Tym razem drzwi otworzyła pani Keeney. Nie pomyślałam o niej, zapomniałam się jej bać. Stała przede mną, poślizgnięta i pełna wyrzutu. Przez wszystkie lata życia nie wypracowała żadnej cechy, której zabrakło jej przy urodzeniu: wspaniałomyślności, wyrozumiałości, poczucia piękna. Nie, ciągle te same martwe oczy mówiące jak zawsze: „dostanę to, czego mi nie dano”.

- Z nim jest bardzo źle - powiedziała.

- Co pani ma na myśli?

- Alkohol. Było bardzo źle przez ostatnie miesiące, odkąd wyjechałaś, ale dzisiaj jest strasznie. Proboszcz myśli o wysłaniu go do tego domu, w którym był przedtem.

Gdzie wysłała go Margaret, pomyślałam. Pamiętałam starych mężczyzn spacerujących w piżamach i szok, jakiego doznałam, kiedy ojciec wyjaśnił mi, że to wszystko księża.

- Chciałabym go zobaczyć - powiedziałam poprzez mgłę nienawiści. Z jaką przyjemnością wbijałabym w ziemię panią Keeney, aż jej twarz zostałaby kompletnie pogrzebana. Na nic więcej nie zasługiwała. Margaret też nie. Ale to tylko przypadek,

przypomniałam sobie. Mogłabym przecież z równą łatwością kochać je obydwie, gdyby tylko inaczej wyglądały, gdyby się inaczej wyrażały.

Pani Keeney wprowadziła mnie do gabinetu księdza Mulcahy. Na mój widok rozplakał się. Był to płacz pijaka, bełkotliwy, nie kontrolowany, bezsensowny. Nic nie znaczył, nie wywarł na mnie żadnego wrażenia, nie przekazywał głębi serca księdza Mulcahy. Chciałam, żeby ksiądz mi przebaczył, przyjechałam do niego po pomoc. Niech cię diabli, pomyślałam, patrząc na starego człowieka pochylonego nad biurkiem, zapłakanego. Niech cię diabli, przyjechałam do ciebie po pomoc.

- Jak się czujesz, dziecinko? Ja nie jestem w najlepszej formie. Dobrze wyglądasz.

Stary Irlandczyk. Pochlebstwo. Oszustwo. Współczucie. Kłamstwa.

- Chcę się wyspowiadać.

- Powiedziałem księdzu Dolanowi. Otworzy kościół i wysłucha twojej spowiedzi. Musimy teraz zamykać kościół, kolorowe dzieci kradną wszystko. On to zrobi dla ciebie, dziecinko.

- Ale ja nie chcę spowiadać się u niego.

- Nie czuję się dzisiaj dobrze, dziecinko. Nie mogę tego zrobić.

- Ale musi ksiądz to zrobić!

Spojrzał na mnie błagalnie, zupełnie wykończony.

- Czy jesteś w stanie łaski? - zapytał nie przestając być kapłanem nawet w stanie nietrzeźwym.

- Nie.

- Więc musisz iść do spowiedzi. Twoja dusza jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Wyspowiadam się tylko u księdza.

Zaczął szlochać jak dziecko. Jego zęby w sztucznym świetle wydawały się niebieskawe.

- Nie mogę - powiedział. - Nie chcę wiedzieć, co zrobiłaś. Bóg ci wybaczy. Nie bój się. On jest nieskończenie miłosierny. Przyjmij sakrament pokuty.

- Nie wyspowiadam się u nikogo innego.

Nie robiła na mnie wrażenia jego słabość, jego łzy; musiałam się wyspowiadać u niego, tylko on mógł mi wybaczyć.

Dalej łkał. - Zawiodłem cię. Wiedziałem, że się oddalasz, ale nie mogłem cię ocalić.

To było zupełnie nieistotne, ten jego smutek, jego żal. Zmuszę go do słuchania, musi wszystkiego wysłuchać.

- Gdyby mnie potrafił samochód, poszłabym prosto do piekła, będzie mnie ksiądz miał na sumieniu.

Nie mógł podnieść głowy, wzywał mojej pomocy. Ale ja nie zrobię dla niego nic, dopóki nie da mi tego, czego chcę.

Nagle twarz jego zbielała, osunął się z krzesła. Wyglądał tak krucho, a jednak jego upadek wywołał straszny huk. Nienawidziłam i jego, i brązowej whisky, która rozlała się na dywan.

Pan Keeney otworzyła drzwi. Musiała podsłuchiwać.

- Co się dzieje, na miłość boską! - wykrzyknęła. - Koniec z nim. Doktor powiedział, że serce dłużej nie wytrzyma.

Nic mnie to nie obchodziło. Chciałam jego pomocy, był przecież księdzem, więc nie powinno go obchodzić, kim był indywidualny grzesznik, nie powinien był mnie powstrzymywać „nie mów mi”. Powinien był ofiarować skruszonemu przebaczenie. A ja byłam bardzo skruszona. Jedynego przyjaciela mojego ojca. I nic nie zrobił. Tchórz, pomyślałam, pomagając podnieść starego człowieka, jakbym wyciągała z wody starą oponę. Hugo nazwał mnie tchórzem. Ale ja nie byłam tchórzem, sama wybrałam sobie pokutę, zanim otrzymałam przebaczenie. Nigdy nie odmówię nikomu, kto mnie potrzebuje, nie zawiodę, jak zawiódł ksiądz Mulcahy spadając z krzesła, tracąc przytomność, kiedy potrzebowałam jego pomocy. Ostatnia rzecz, o jaką można mnie oskarżyć, to tchórzostwo.

- Wracam do domu najbliższym pociągiem - powiedziałam do młodego księdza, który wnosił księdza Mulcahy na górę.

- Może paniienka zadzwoni po karetkę - powiedział z desperacją, a twarz poczerwieniała mu z wysiłku.

Zadzwoniłam do operatora, podałam adres. I zaraz potem zagłębiłam się w tunel metra. Wpadałam w głąb przez dziurę we własnym ciele. Jestem zupełnie sama, powtarzałam sobie. Kiedy usiadłam w pociągu, zamknęłam oczy.

Skończę pisać raport u Margaret. Nie mogłam znieść widoku kolegów w biurze po tym, czego byli świadkami, ta czerwona twarz, zagapiona, krucha, a potem triumfująca, i skierowany w moją stronę palec. I John Ryan. Hugo i Liz powiedzieli, że to wszystko jego robota. On namówił Cyntię do wszystkiego z zemsty, ponieważ ja mu odmówiłam. Nie miało to znaczenia, w końcu wszystko obróciło się na lepsze. Otrzeźwiło mnie, kazało spojrzeć prawdzie w oczy. Jaka głupia byłam, cieszyłam się Hugonem, cieszyłam się życiem, jakbym nie była sobą, jakby życie było zupełnie inne. Teraz na pewno jest lepiej, teraz chodzi o prawdę. Nie zniósłabym jednak widoku uśmiechniętej twarzy Johna, nie zniósłabym, gdyby podszedł do mego biurka i szczyptał mnie w rękę, jakby chodziło o dobry żart typu żaba w moim łóżku czy powietrze wypuszczone z opon. Liz powiedziała, że teraz od niego odejdzie, ale nie wierzyłam jej. Wszystko obróciło się na lepsze. Ale nigdy mu nie wybaczę.

Margaret odpisała mi niemal natychmiast. Jej charakter pisma stawał się prawie kompletnie nieczytelny. Napisała: „Nigdy nie chcę być ciężarem, ale jeśli tobie potrzebne mieszkanie, to ojciec na pewno chciałby, żebym ja przyjęła cię do siebie”.

Nie uzyskam nawet jej wdzięczności, nigdy mi nawet nie podziękuje. Ale to było wyzwanie: pokochać kogoś spoza przypadkowego łańcucha miłości, spoza przypadkowego łańcucha strat. Zaraz tam pojadę. Niewiele miałam do pakowania. W dwie walizki włożyłam ubrania, nienawidziłam ich dotyku pod palcami. Zadzwoiłam do Liz i do Eleanor. Obydwie radziły, żebym się nie spieszyła. Nie, nie będę zwlekać, odpowiedziałam. Poszłam do gospodarza, który zażądał komornego za dodatkowy miesiąc, skoro tak nagle się wyprowadzam. Zgodziłam się zapłacić.

XIV

Z autobusu w Ramonie wysiadłam tylko ja. Jechałam z moimi dwiema walizkami przez pięć godzin. Resztę - wszystkie pozostałe przedmioty, dywaniki z Dover Road, srebrną wazę od Eleanor - zostawiłam na strychu u pana Cohena. Mogłam zostawić rzeczy u Liz albo u Lawinii. Chciałam się jednak wyrwać na dobre. Chciałam zniknąć. Niebezpieczne byłoby wiązać się z ludźmi, których kochałam, poprzez rzeczy, które lubiłam. Miłość i piękno, przywiązywanie wagi do tych przypadków, jakby były najistotniejsze, doprowadziło mnie do tego stanu smutku, do tego bólu, który pulsował w głębi czaszki.

Teraz znalazłam się daleko od tego wszystkiego; odcięłam się od niebezpieczeństwa. Nie będzie więcej rozmów ani rozmyślań o miłości, którą można zyskać lub utracić w wyniku przypadków, dowcipów czy odpowiedniego nachylenia ramion. Teraz będę kochała Margaret tak, jak Bóg kocha swoje stworzenia, obiektywnie, bez względu na ich indywidualne charaktery, co wyklucza możliwość doznania przykrości. Ojciec spojrział kiedyś na mnie i powiedział: „kocham cię bardziej niż Boga. Kocham cię bardziej niż kocha cię Bóg”. Miałam sześć lat, przygotowywałam się właśnie do pierwszej komunii, znałam katechizm tak jak inne dzieci przygody komiksowych bohaterów. Studiowałam go z czystym, absolutnym zaabsorbowaniem. To właśnie zaabsorbowanie dało mi prawo w wieku lat sześciu zwrócić się do ojca ze słowami: „nie możesz tak mówić, to grzech”. Miałam rację, nie powinien był mówić, że kocha mnie bardziej niż Bóg, to było złe. Ja nie potrafiłam kochać z taką siłą jak Bóg. Wybiorę jednak Jego rodzaj miłości, obiektywnej, nietykalnej, nie narażonej na straty.

Na stacji autobusowej w Ramonie stały odbiorniki telewizyjne, które włączało się na pół godziny za dwadzieścia pięć centów. Ludzie siedzący przed nimi zdawali się

nie mieć żadnego innego wyboru. Ekran migają, obrazy zachodziły na siebie jak powolne fale, ale nikt nawet nie próbował regulować telewizorów. Siedzieli przed odbiornikami, oczy mieli martwe, pijacy, narkomani lub po prostu starcy. Widziałam, jak przechodzili od odbiornika do odbiornika, choć wszystkie obrazy wydawały się identyczne. Przechodzili od odbiornika do odbiornika, bo nie mieli dokąd pójść, i za to ich nienawidziłam. Chciałam strzelać do tego tłumu, pozbawić go życia w jakiś brutalny sposób. Chciałam, żeby zniknęli w jakiejś chmurze dymu, która potem podniesie się, by ukazać, że przepadli. Nie mieli wycucia stylu, nie mieli manier. Margaret też nie miała dobrych manier. Ale teraz będę pomagać Margaret.

Staruszka z pasmami koloru żółtka we włosach siedziała przed telewizorem i czytała książkę. Jej oczy wyglądały tak, jakby odcięto je od kotwicy, nie skupiały się na niczym, tkwiły w oczodołach jak galaretki. Położyła książkę na sąsiednim krześle. Spojrzałam na okładkę: *Duma i uprzedzenie*. Staruszka podchwyciła moje spojrzenie i zaśmiała się jak zwierzę.

Pomyślałam, jak łatwo byłoby zabić podobną kobietę. Można skusić ją kawą i pączkami, a potem otruć lub rozwalić czaszkę. Czystą przyjemnością byłoby obserwować jej umieranie. Zawołałam taksówkę.

Był koniec marca, środek zimy. Śnieg stracił cały swój urok, teraz stanowił jedynie wyrzut lub upartą groźbę, że nigdy nie zniknie, że już nigdy nie zmieni się pogoda.

Kierowca taksówki wskazał na wytwórnię pudełek Lancera.

- To jest serce miasta - powiedział.

Co miał wspólnego ten budynek z sercem? Zwykliśmy z Liz żartować na temat tego, że Margaret pracowała w wytwórni pudełek, bardzo nas to śmieszyło. Teraz budynek fabryki zawisł ciężko nad żółtą taksówką, w której siedziałam, jakby zasłaniał wszelką możliwość istnienia dowcipów, uczuć czy szacunku. Po raz pierwszy przyjrzałam się uważnie tej fabryce, jakby miała coś wspólnego ze mną. Teraz miała stanowić część mojego życia. Pewnego dnia będę może tu pracować. Za dom dostałam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Kiedy się wyczerpią, będę pracowała w fabryce, jak inni ludzie, jak tamte twarze, które widywałam w kinie, tamte istnienia, o których czytałam. Dlaczego nie? Nie różniłam się od nich, nie byłam nadzwyczajna. Mogę pracować przy wyrobie tekturowych pudełek równie dobrze jak każdy inny. Można robić wszystko, jeśli przestanie się uważać, że naprawdę ważne jest, co się robi; jeśli przestanie się uważać jedną rzecz za ważniejszą od drugiej.

- Gdyby fabryka Lancera się stąd wyniosła, miasteczko przestałoby istnieć - powiedział kierowca. Przejeżdżaliśmy ulicami, na których wysokie drzewa z czasów Wiktorii spoglądały z góry na domy należące kiedyś do bankierów, przy których czarne dzieci bawiły się w tumanach kurzu starymi, pomszczonymi zabawkami.

Wyobrażałam sobie kobiety, które kiedyś mieszkały w tych domach, i pogardę, jaką odczuwałyby do ich dzisiejszych mieszkańców. Jakby można było powstrzymać bieg życia! Wyobrażałam sobie kobiety polerujące ciemne meble. Jakby można było powstrzymać ruinę! Jakby można było zapobiec utracie! Mój ojciec nie żyje, pomyślałam, nigdy więcej go nie zobaczę. Kierowca skręcił na rogu. Domy były tu mniejsze i nie sprawiały wrażenia stabilności, dbano jednak o nie z żarliwą, pozbawioną wyobraźni dumą. Katolicy, pomyślałam, na widok Matki Boskiej umieszczonej w połówce wanny na jednym z trawników. Domy służby. Przestraszonej wielkością, przestraszonej bankierami zza rogu. Słusznie się obawiali, mieli rację budując swoje małe, nieważne domki, nie podejmując wielkiego ryzyka w projektowaniu. Te domy się nie zmieniły, wyglądają tak samo jak w dniu, w którym je zbudowano. A wielkie, piękne domy poddały się.

Kierowca zatrzymał się przed domkiem Margaret. Fasadę stanowiły wyblakłe cegły wyglądające na imitację. Cement postarzał się w nudną szarość, dach także poszarzał, jakby był z nim w zмовie. Trawnik pożółkł pod żółknącym śniegiem. Różowa gumowa słomianka na progu szarych drzwi eksponowała napis *Witaj* wypisany skomplikowanymi czarnymi literami. Nacisnęłam dzwonek.

Margaret wyglądała zza zasłony, jakby oczekiwała mordercy. Uchyliła drzwi. Obarczona bagażem musiałam przycisnąć się bokiem objijając walizki o kolana. Teraz będę musiała uścisnąć Margaret. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek to zrobiła. Skóra Margaret wydawała się wilgotna w dotyku, nawet przez ubranie, jej włosy wydzielaly kwaśny zapach. To była osoba, którą odtąd miałam kochać. Zadrżałam i przeprosiłam ją. Powiedziałam, że otwarte drzwi powodują przeciąg.

- Pewno wypiłabyś filiżankę herbaty - powiedziała Margaret - ale nie spodziewaj się ciasta. Nie mogę sobie pozwolić na ciasto. Czasami odżywiam się tylko bulionem.

- Już nie musisz się więcej o to martwić.

- Tak, będziesz kupowała to, co chcesz. A gdybym ja wolała jeść co innego?

Nigdy nie myślisz o mnie.

- Kupię, co będziesz chciała.

- Zaprowadzę cię do twojego pokoju - zaproponowała Margaret opierając się ciężko o poręcz schodów.

Mój pokój znajdował się dokładnie naprzeciwko pokoju w sąsiednim domu. Widziałam kobietę z niedużym dzieckiem oglądającą telewizję. Kiedy zobaczyła, że na nią patrzę, ze złością zasłoniła firankę.

Łóżko było pojedyncze. Na materacu leżały złożone dwa białe prześcieradła, dwa szare koce i poduszka w paski. Na toaletce z dykty wymalowane były niebieskie i żółte ptaki. Nie bardzo harmonizowały z różowymi kwiatami tapety. Odtąd będzie to

mój pokój. Ta toaletka i tapeta nie mają znaczenia. Te rzeczy przestają mieć znaczenie, jeżeli przestaje się wierzyć, że mają.

Zeszłam na dół i usiadłam naprzeciwko Margaret przy chwiejącym się stole kuchennym.

- Wezmę od ciebie tylko tyle, ile brałam od kobiety, która tu mieszkała przedtem - powiedziała Margaret. - To była pielęgniarka. Płaciła mi dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby cię trzymać w ramach dobroczynności.

Dobroczynności. To właśnie zamierzałam podarować Margaret, pokochać ją, ocalić. A ona myślała, że przyjechałam wynająć od niej pokój. Nie szkodzi. Największa jest taka miłość, która niczego w zamian nie oczekuje, nawet uznania swego istnienia. I tak właśnie będę kochać.

W lodówce nie było jedzenia, jedynie butelka jakiegoś brązowego lekarstwa i ćwiartka mleka. Ta lodówka miała stanowić wyrzut, co zrozumiałam i zaakceptowałam.

- Gdzie jest sklep spożywczy? - zapytałam.

- Jeden jest za rogiem, ale to są Żydzi. My kupujemy u Farrella. Farrelowie należą do naszej parafii.

- Gdzie jest sklep Farrella?

- Niecałe pół mili stąd.

- Trochę daleko na zakupy.

- Nie myśl, że możesz wszystko zmienić tylko dlatego, że tu zamieszkałaś.

- Przepraszam, nie o to mi chodziło.

- Nie zawsze musisz postawić na swoim.

- Wcale tak nie myślę.

Powiedziałabym wszystko, byleby Margaret zamilkła. Jej słowa były jak uderzenia drewnianym młotkiem w moją miękką, łamliwą czaszkę. Ale to była osoba, którą postanowiłam kochać.

- Zawsze tak robiłaś. Z ojcem zawsze robiłaś, co chciałaś. Na tym polegał twój problem. Ktoś musi ci przywrócić poczucie proporcji. Zawsze miałaś wielkie wyobrażenie o sobie.

- Przepraszam - powiedziałam.

Margaret miała rację. Kiedyś myślałam, że jestem najważniejszą osobą na świecie. Teraz wiem, że nie jestem od nikogo ważniejsza. Można łatwo poświęcić życie dla przyjaciela, jeśli nie uważa się własnego życia za ważniejsze.

- Pójdę do sklepu. Co chcesz na kolację, Margaret? - zapytałam. Chciałam jedynie spać.

- Kotlety i kapustę. Baranie kotlety. To lubię. Nie kupuj żadnych wyszukanych rzeczy. I nie idź do Baumgartnera, bo za leniwa jesteś, żeby przejść pół mili. I tak będę wiedziała, gdzie byłaś. Wszyscy będą wiedzieli.

Wszyscy będą wiedzieli. Co mogli wiedzieć o mnie w tym mieście, w którym nigdy nie byłam? Co wiedziała o mnie Margaret? Czego mogła się dowiedzieć? Dawid Lowe, John Ryan, Hugo - życie seksualne przyniosło mi klęskę. Mój seks to zaraza, choroba. Teraz mogę to zrekompensować. Cały smutek zjawiał się dlatego, że byłam samolubna, że za wiele chciałam.

Kobieta w sklepie spożywczym miała twarz koloru białka. Powietrze w sklepie wpływało na zanik pamięci, nie mogłam sobie przypomnieć, dlaczego się tu znalazłam, co tu robiłam. Obeszłam sklep kilkakrotnie, zanim odkryłam ocet. Nie prosiłam jednak o pomoc. Umysł mi się rozjaśnił. Tu był teraz mój dom, to właśnie będę odtąd robić.

Byłam jedyną klientką. Kobieta za kontuarem śledziła każdy mój ruch, jakby oczekiwała, że wyciągnę z torebki broń. Pozwoliła mi jednak stać pełne pięć minut przed ladą z mięsem, zanim zauważyła moją obecność.

- Chce pani czegoś - zapytała płaskim miejscowym akcentem.

- Kotlety baranie.

Sięgnęła do gabloty i położyła na ladzie dwa kotlety.

- Dobrze - powiedziałam. - Dobrze. - Nawet nie spojrzałam na mięso.

Kobieta zapakowała kotlety w różowo-brązowy papier i zawiązując sznurek patrzyła na mnie tak, jakby usiłowała wpaść na sposób oszukania mnie.

Dwie torby zakupów sprawiły, że miałam ochotę usiąść na chodniku i rozplakać się. Jak to możliwe, żeby jedzenie było tak ciężkie. Puszki na dnie torby wbijały mi się w biodro, sprawiały, że brzuch własny wydawał się za duży i wystawiony na niebezpieczeństwo. Bolały mnie przedramiona, palce wydawały się zszyte razem. Otworzyłam paczkę ciastek i zjadłam dwa dla przyjemności czy raczej wspomnienia przyjemności. Nie smakowały mi, podniebienie zaczęło mi ciążyć. Jednak nie przestawałam jeść. Był to sposób na przetrwanie trudnego okresu, na pokonanie trudnej drogi powrotnej.

Margaret zabrała się do rozpakowywania zakupów, jak tylko położyłam je na stole.

- Co to? Zaledwie połowa ciastek. Co się z nimi stało? Okryłam się wstydem jak kocem z pary.

- Zjadłam je po drodze - powiedziałam miękkim głosem niegrzecznego dziecka.

- Co takiego?

- Zjadłam po drodze.

- Matko Boska, nawet nie potrafisz opanować swoich apetytów!

Mignęła mi w pamięci twarz ojca, jego twarz w drzwiach i moje piersi, nagie i wystawione na jego wzrok, kiedy zaskoczył mnie tamtego dnia z Dawidem Lowe. Nie miałam już wątpliwości, że Margaret wiedziała o tym. To właśnie miała na myśli mówiąc „apetyty”. W liczbie mnogiej... „apetyty”. A John i Hugo? Możliwe, że o nich też wiedziała. Co ojciec powiedział Margaret? Przez wszystkie te lata dawał jej pieniądze. Przekonanie o jego zdradzie tkwiło w mojej szyi, czułam je jak dziób ptaka celujący pomiędzy dwa kręgi.

- Taka byłaś już w dzieciństwie. Jadłaś jak świnia, a ojciec ci na to pozwalał - powiedziała Margaret. - Teraz, kiedy jesteś starsza, płacisz za to.

Spojrzałam na uda wciśnięte w spodnie, które zrobiły się za małe.

- O której chcesz kolację? - zapytałam. Margaret mnie pokonała, ale nie przestanę jej kochać. Ponieważ była osobą, którą najtrudniej było pokochać.

- O piątej. Zawsze jem o piątej.

- Jeśli chcesz, przygotuję jedzenie - zaproponowałam. Spojrzałam na zartretyzmowane ręce Margaret. Nabrały kształtu pazurów, jak podstawa nóg stołu w jadalni przy Dover Road.

- Po tych wszystkich ciastkach na pewno nie będziesz nic jadła. Nie przyszło mi do głowy, że nie zjem tego wieczoru kolacji. Ale Margaret miała rację, naprawdę teraz nie powinnam jeść.

- Więc ugotuję dla ciebie.

- Dzięki Bogu, jedzenie nigdy nie miało dla mnie wielkiego znaczenia - powiedziała Margaret.

- To prawda - przyznałam. Widziałam siebie w różowym, spotniałym ciele świni. Wyobrażałam sobie, jak moje oczy stają się maleńkie i jasne jak u świni. Chciałam spać.

- Odpocznę pół godzinki, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziałam.

- Ja odmówię popołudniowe modlitwy. Pomodłę się za ciebie.

- Dziękuję - powiedziałam wchodząc po schodach. Rozebrałam się i weszłam do pościeli w staniku i w majtkach. Zatrzymałam w torbie dwie tabliczki czekolady. Zjadłam je teraz pod szarymi kocami.

A potem usłyszałam głos Margaret unoszący pokrywę mojego snu. Głos ten mieszał się z twarzą kobiety wskazującej palcem, mówiącej „jesteś dobrą osobą”, ale w rzeczywistości była to Margaret wykrzykująca moje imię, wzywająca, bym wstała. Światło wisiało w pokoju jak groźba, przesączało się przez szpary w zielonej zasłonie. Wszystko w tym oświetleniu wydawało się dziwne, nie bardzo wiedziałam, gdzie jestem. Nie powinnam była spać. Głos Margaret przywoływał mnie z daleka. Stałam na szczycie schodów. Spojrzałam na stojącą na dole Margaret w tym dziwnym zielonym świetle.

- Obiecałaś, że ugotujesz dla mnie kolację. Już za piętnaście piąta.

W tym rozproszonym świetle twarz Margaret wydawała się szara i niebezpieczna. Ale była to jedynie sprawa przypadku: twarz Margaret, jej głos, barwa jej skóry. Co to miało wspólnego z miłością? To była osoba, którą postanowiłam kochać.

- Przepraszam - powiedziałam. - Już schodzę.

Spojrzałam na siebie w lustro w łazience, kiedy przemywałam oczy zimną wodą. W tym świetle moja twarz też wydawała się szara.

Nad kuchenką Margaret wisiała biała tabliczka z niebieskim napisem: „Boże, daj mi cierpliwość, by zaakceptować to, czego nie mogę zmienić; łaskę, by zmienić to, co zmienić mogę, i mądrość, by dostrzec różnicę”. Ścierka do naczyń pochodziła z Lourdes, był to kalendarz na rok 1968. Daty otaczał brązowy różaniec. Kuchnia wyglądała biednie, jak kuchnia nędzarza, pomyślałam. W szafce znalazłam trzy garnki, dwie patelnie, talerze i nakrycia dla trzech osób. Ubóstwo tej kuchni wzruszyło mnie, sprawiło, że swój pobyt tutaj uznałam za słuszny. Na półce z przyprawami był jedynie cynamon i gałka muskatołowa.

Margaret obserwowała moje gotowanie, jakby obawiała się niebezpieczeństwa trucizny. Położyłam dwa kotlety na przezroczystym plastikowym talerzu. Sos z kapusty utworzył obok wilgotny strumyczek.

- Czy powiedziałaś, że to kotlety dla mnie?

- Komu?

- Farrellom.

- Nie, nie przyszło mi to do głowy.

- Od razu widać. Kotlety są twarde. Mnie nigdy by takich nie dali. Znam ją z Towarzystwa Różańcowego. Przywożą mi wszystko do domu.

Przy ostatnich słowach Margaret postukała w stół palcem wskazującym w kształcie haczyka.

- Nie powiedziałaś mi, że dostarczają do domu.

- Teraz już pewno nie będą, jak ty tu jesteś.

Obserwowałam jedzącą Margaret. Soki w moim żołądku poruszały się jak startujący silnik. Miałam ochotę na ten solidny kotlet barani. W tym momencie wierzyłam, że mógłby zmienić moje życie. Margaret skubała kotlet, co niszczyło wszelką przyjemność związaną z czynnością jedzenia.

Kiedy uznałam, że skończyła jeść, zabrałam się do zmywania. Trudno było podjąć tę decyzję, bo Margaret w żaden sposób nie dawała do poznania, że posiłek jest skończony; jadła z takimi przerwami, tak nierówno, że trudno było określić konkretny moment, w którym rzeczywiście przestała jeść.

Wytarłam ręce w ścierkę z Lourdes. Margaret stała obok.

- Używasz dużo ciepłej wody do zmywania. Nie jestem milionerką.

- Dobrze, chyba masz rację. Przepraszam.

To było właśnie coś, o czym nigdy nie myślałam; to charakterystyczne niezwracanie uwagi na pewne rzeczy stanowiło drugą stronę mojego egoizmu. Teraz już będę myśleć, będę pamiętać o takich rzeczach do końca życia. W ten sposób uszczęśliwię Margaret. Nie będzie to przypominało życia z ojcem, który kochał książki, żarty i spory, który uwielbiał moje historyjki o niezwykłych miejscach, podczas gdy w istocie opowiadałam mu o wizycie w sklepie spożywczym. Nie, to zupełnie co innego, Margaret będzie szczęśliwa, jeśli zapamiętam, że trzeba płukać naczynia w zimnej wodzie.

Wykąpałam się. Zapomniałam przywieźć lawendowe mydło i olejek do kąpieli, które dostałam od Eleanor. W tym pomieszczeniu nie mogło być mowy o żadnej przyjemności. Brązowe kafelki, zimne beżowe linoleum przykryte brązowymi dywanikami nie zachęcały do introspekcji ani do wypoczynku. Szybko wzięłam kąpiel, szybko umyłam włosy. Zawinęłam je jednym z cienkich brązowych ręczników Margaret, tym samym, w który wytarłam się po kąpieli. Nie chciałam brudzić więcej rzeczy, przysparzać więcej pracy.

Kiedy otworzyłam drzwi łazienki, stała za nimi Margaret.

- Słyszałam, jak długo spływała woda z wanny. Nie ma potrzeby używać tak dużo wody.

- Przepraszam, myłam głowę.

- Jak często to robisz?

- Dwa razy w tygodniu.

- Po co? Kto cię tu będzie oglądał?

- Nie wiem.

- Czego?

- Nie wiem.

- Te włosy. Dlaczego tak się przy nich upierasz?

- Zawsze miałam takie. Chyba nigdy nie zamierzałam ich obcinać.

- O to chodzi. Nigdy nie myślisz. W twoim wieku już najwyższa pora pomyśleć o wielu rzeczach.

- Tak.

Sama doszłam do takiego wniosku. Będę bardziej uważać. Teraz byłam bardzo zmęczona. Była dopiero ósma, ale najlepiej będzie pójść spać.

- Dobranoc - powiedziała przechodząc obok Margaret. Widziałam, że patrzyła na moje piersi pod koszulą nocną.

- Pewnie jesteś zbyt ważna, żeby odmówić różaniec. Moja siostra, Panie świeć nad jej duszą, co wieczór odmawiała ze mną głośno różaniec.

- Odmówię z tobą - zgodziłam się. Obiecałam, że zrobię wszystko, co uszczęśliwi Margaret. Komu obiecałam, że zrobię wszystko, co uszczęśliwi Margaret. Komu obiecałam? Obiecałam.

Margaret trzymała swój różaniec pod poduszką.

- Ty pewnie nie masz różańca?

- Nie mam przy sobie.

- Nie mam przy sobie - przedrzeźniała Margaret. - Pewnie nie miałaś różańca od lat. Pewnie nigdy nie odmawiałaś różańca ze swoim biednym ojcem.

- Wolał modlić się sam.

- Tak powiedział tobie.

Ojciec dawał Margaret pieniądze przez te wszystkie lata. Będę więc milczeć, nic nie powiem. Pozbawiłam tę kobietę mojego ojca, tak jak niemal pozbawiłam męża żonę Hugona. Na to zasługiwałam. Margaret miała rację zwracając się do mnie w ten sposób.

Odmówienie różańca zajęło nam pół godziny, ponieważ Margaret miała wiele dodatków do podstawowych kombinacji. Kości moich kolan zaczęły zapuszczać korzenie w podłogę, plecy miałam sztywne od klęczenia. I nie potrafiłam sobie wyobrazić twarzy, dla której byłabym najbardziej interesującą istotą, twarzy, która przejmowałaby się charakterem i jakością mojej modlitwy. Odmawiałam różaniec, ponieważ sprawiało to przyjemność Margaret. Mnie jednak nie przyniosło to pociechy, nie istniała bowiem twarz, mądra, rozbawiona i niebezpiecznie życzliwa, słuchająca słów, które wysyłałam w neutralne, ogrzane powietrze jak pociski w kształcie cygar.

Margaret pocałowała krzyż różańca.

- Kiedy ostatni raz spełniłaś wielkanocne obowiązki? - spytała.

- Nie wiem. Nie jestem pewna. Dosyć dawno.

- Zadzwoń rano do księdza Pilkowskiego. Nie będziesz sypiała pod moim dachem, jeśli nie pójdziesz do spowiedzi.

- Dobrze.

Ale teraz po prostu będę spać. Przeszłam przez korytarz do swego pokoju i położyłam się do łóżka nie zapalając światła.

Następnego ranka obudziłam się o jedenastej. Spałam za długo, wiedziałam o tym, ale ciemnozielone zasłony nie dawały najmniejszego pojęcia o intensywności słońca ani o jego pozycji. Kiedy zesłam na dół, przy kuchennym stole siedział obok Margaret jasnowłosa ksiądz o nalanej twarzy. Zawstydziałam się, że o tej porze ogląda mnie w koszuli nocnej. Czulałam się brudna i zaniedbana, zdawało mi się, że nie wzbudzam zaufania.

- To jest osoba, o której mówiłam - zaanonsowała Margaret nalewając herbatę do filiżanki księdza.

Moje oczy, jeszcze ciężkie, sklejał dalej sen.

- Miło panią poznać, młoda damo - powiedział ksiądz.

Nigdy nie spotkałam księdza tak pozbawionego uroku. Polak. Nie Irlandczyk. Nawet nie Niemiec. Nie przyczyni się swoim wdziękiem do niczyjego zbawienia, nikogo też nie przekona argumentami. Ograniczy się do podania faktów.

- Dziś po południu mamy spowiedź wielkanocną - powiedział otwierając pięść przypominającą szynkę. - Mamy nadzieję zobaczyć panią.

- Przyjdę - odpowiedziałam, zbyt zmęczona, by nadać głosowi odpowiednie brzmienie.

- Dobrze, wstąpiłem tylko, by się o tym upewnić.

Nawet nie wydawał się zadowolony, że mnie uratował. Wyznam, że od jedenastu lat nie byłam u spowiedzi. Wypowiadam się ze swoich trzech kochanków. Nie wyznam jednak swojego najcięższego grzechu, ponieważ Kościół nie wymyślił dla niego nawet odpowiedniej nazwy: głodu mego ducha, skrajnego egoizmu serca. Ale sama sobie wyznaczyłam pokutę, znalazłam się tutaj. Była to trudniejsza pokuta niż jakakolwiek z zadanych przez Kościół i dlatego właśnie nie znajdę w Kościele pocieszenia. Zapłacę za swoją zachłanność wobec przyszłości. Uważałam siebie za ośrodek własnego życia, za ośrodek wszechświata i za ten błąd oddam życie. Chrystus miał rację mówiąc, że trzeba stracić życie, żeby je zyskać. Upierając się przy własnym życiu ryzykowałam utratę wszystkiego. Wyobraziłam sobie księży z pogrzebu ojca. Teraz kochaliby mnie za moje życie, musieliby mnie kochać. Gdybym kontynuowała tak jak poprzednio życie z Hugonem, planując przyjemną przyszłość, nie odezwaliby się do mnie na ulicy. Poświęcenie życia nie wiązało się ze stratą, niebezpieczeństwo kryło się w oddawaniu się życiu. Tutaj zbudowałam sobie sanktuarium osłonięte aprobatą, zabezpieczone od przypadków.

Margaret kroila ser koło zlewu.

- Czy chcesz coś zjeść? - zapytała.

- Chyba tak.

- Śniadanie czy obiad?

- Nie wiem.

- Jeśli zamierzasz zjeść śniadanie, to o której przewidujesz obiad?

- Nie wiem.

- Zdecyduj się. Nie możesz robić wszystkiego tak, jak ci się podoba. Nie powinnaś jeść obiadu, jeśli tak długo spałaś.

- To nie będę jadła.

Zrobię wszystko według życzenia Margaret, zjem później w ukryciu swojego pokoju. Schowałam pod szlafrok pudełko herbatników i poszłam na górę. Nie odsłoniłam ciemnozielonych zasłon. Kładłam do ust całe herbatniki i zjadałam w milczeniu, jakbym miała gorączkę, jakby ktoś mnie obserwował.

O trzeciej ubrałam się, żeby pójść do spowiedzi. Paznokcie miałam popękane, przez co poleciało mi oczko w ostatniej parze rajstop, jaka mi została. Wyjęłam z szafy brązową tweedową spódnicę i założyłam przez głowę. Suwak zaciął się w połowie, usiłując go zapiąć pokiereszowałam sobie paznokcie. Suwak zasunął się, miękki tłuszcz na moim brzuchu ułożył się w fałdy. Zrozumiałam teraz, że utylam tak od jedzenia i picia. Ale wydawało się to równie nieuniknione jak kolor włosów. Będę tu spała. Potrzebowałam snu. I wreszcie wszystkie moje ubrania zrobią się za ciasne.

Brzuch miałam okrągły i wystający, nieodporna kula pod ciężkim drapiącym materiałem. Kurtka rozciągała się na biodrach. Nie szkodzi. Jakże się myliłam myśląc, że ma to jakiegokolwiek znaczenie. Chodząc nosiłam przed sobą brzuch. Poczulałam, że zaczyna mi się miesiączka, ale byłam zbyt zmęczona, żeby wrócić do domu, więc już tak będę szła z tą gęstą wilgotnością między nogami i brzuchem wypiętym do przodu. Bolały mnie uda. Przeszłam zaledwie dwie przecznice, a już oddychałam ciężko, z trudem. Skręciłam do kościoła. Pragnęłam jedynie znowu położyć się spać.

Kościół św. Stanisława zbudowano we wczesnych latach sześćdziesiątych, rozpoznawałam tę architekturę. Ówczesne kościoły miały wyglądać jak magazyny, przypadkowe, nie przemyślane, amerykańskie. W pobliżu ołtarza znajdował się posąg Matki Boskiej z drewna w kolorze kawy. Oczy Panienki były skromnie zamknięte, po dyletancku wykonane ręce spoczywały na płaskiej piersi. Nie mogłam się modlić przed tą statuą, nie była wystarczająco zręcznie wykonana, wyglądała jakby sklecono ją zaledwie wczoraj.

Wyobrażałam sobie, jak ojciec zareagowałby na ten kościół. Wyobrażałam sobie listy, jakie pisałby do proboszcza. Jednak mnie już przestało obchodzić, czy ręce Panienki wykonane są zręcznie, pięknie czy brzydko.

Uklękałam przed ołtarzem nie patrząc na nic. Badałam swoje sumienie. Wiedziałam, co mam powiedzieć. Wiedziałam, czego ode mnie oczekują. Powiem wszystko, co chcą. Że popełniłam cudzołóstwo, że przez lata nie przyjmowałam sakramentów. Zatrzymam jednak najważniejszą rzecz, jedyną ważną rzecz, przy sobie. Byłam samolubna. W swojej zachłanności gotowa byłam pochłonąć cały świat. Ale to ich nie interesowało. I dlatego sama sobie wyznaczyłam pokutę.

Konfesjonał nie robił wrażenia solidnego, jakby wykonany był z dykty. Spodziewałam się ciemności moich dawnych spowiedzi, tymczasem wewnątrz oświetlone było zielonym światłem, koloru letnich lamp na frontowych gankach,

które mają chronić rodziny przed inwazją owadów. Nie musiałam odgadywać zarysu twarzy księdza za przegródką, ponieważ była widoczna. Widziałam wyraźnie, że był to mężczyzna, który siedział z Margaret przy kuchennym stole. On też mógł mnie widzieć.

- Pobłogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłam.

Ale on już zaczął mówić. Mówił coś o pokoju Ducha Świętego. Dlaczego zaczął mówić pierwszy? Może po prostu modlił się głośno, żeby mnie poinformować o swojej obecności. Postanowiłam spróbować raz jeszcze. Może nie usłyszał.

- Pobłogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłam. Zobaczyłam, jak usta księdza zaciskają się ze złością.

- Czy możesz mi nie przerywać w czasie błogosławieństwa? - zapytał.

- Przepraszam.

Wszystko mi się pomieszało. Co on mówił? Nie znałam tych słów. Co mówił o odciążeniu mojego serca? To nie był język sakramentu. Teraz milczał. Czego ode mnie oczekiwał? Obliczałam czas milczenia. Dziesięć sekund. To milczenie miało towarzyską niezręczność. Ale przecież byłam u spowiedzi. Czy możliwe, żeby w takim kontekście pojawiła się towarzyska niezręczność?

- Teraz możesz zacząć - powiedział.

- Co zacząć?

- Twoją spowiedź.

- Ach, tak.

Zapomniałam, na czym skończyłam. Zaczęłam od początku.

- Pobłogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłam.

Znowu w wyrazie jego ust dostrzegłam tę zaciętą złość.

- Już tak nie zaczynamy. Kiedy byłaś ostatni raz u spowiedzi?

- Jedenaście lat temu.

- Rozumiem. Z jakiego powodu nie przyjmowałaś sakramentów?

- Nie wierzyłam w nie.

- I odzyskałaś wiarę?

- Zmieniłam zdanie.

- Co takiego?

- Tak, odzyskałam wiarę.

Powiedziałam to, skoro tego chciał. Nie mogłam przecież powiedzieć, że przyszedłam do spowiedzi, bo oni tego chcieli.

- Czy możesz mi wyliczyć śmiertelne grzechy od czasu ostatniej spowiedzi?

- Miałam stosunki seksualne z trzema mężczyznami. Dwaj z nich byli żonaci.

- Mów dalej.

- Myślę, że to jedyne grzechy śmiertelne, jakie popełniłam. - Prócz tego, pomyślałam, którego nie mogę wyznać, który was nie interesuje, że umieściłam siebie w środku wszechświata.

- Przez cały ten czas nie przystępowałaś do sakramentów?

- Nie.

- Tego nie uważasz za grzech?

Chciałam powiedzieć, że nie uważam, ponieważ nie wierzyłam w sakramenty. Gdybym wierzyła i nie przystępowała, wtedy byłby to grzech. Ale - chciałam dodać - nie mogę wyznać utraty wiary, ponieważ ciągle jeszcze jej nie odzyskałam.

- Tak - powiedziałam, zbyt zmęczona, by dyskutować.

- Czy to wszystko?

- Tak mi się zdaje.

- Nie jesteś pewna?

- Upłynęło bardzo dużo czasu.

Widziałam, jak odchylił się do tyłu, jakby skończył jeść. Wydawało się, że utracił część energii. Może zaczął się nudzić.

- Jeden z grzechów, na który jesteśmy obecnie najbardziej podatni - powiedział - to grzech ciała. Staraj się walczyć z tym, kiedy już zdajesz sobie sprawę, jakie to poważne. Jako pokutę przemyśl starannie swoją przeszłość i odmów Ojciec Nasz. Dokonaj aktu skruchy.

Zrozumiałam, że go znudziłam, rozumiałam też jego nudę. Całej sprawie zdawało się brakować wagi. On z pewnością nie powiedział mi nic ważnego, co by wskazywało, że moje wykroczenia były naprawdę poważne. Tak, nie było w tym wszystkim poczucia powagi, świadomości nieuniknionego. Nie wierzyłam, że coś się wydarzyło, on najwyraźniej też w to nie wierzył. Zaczęłam swoją starą modlitwę.

- Boże, tak mi przykro, że Cię obraziłam...

- Poczekaj - przerwał. - To nie tak. Musisz przeczytać z kartki, którą masz przed sobą.

Spojrzałam na oparcie klęcznika. Była tam laminowana kartka. Druk był zielony, brzegi zdobiły żółte stokrotki. Czy malowała je jakaś zakonnica? Kwiaty nie robiły jednak wrażenia wystarczająco dziewiczych. Były trzy akty skruchy. Pod trzecim znajdowała się wolna przestrzeń, a potem napis dużymi czcionkami: *Pamiętaj! Jutro pierwszy dzień odpoczynku w twoim życiu.*

Pomieszanie zamgliło mi umysł.

- Który mam odmówić?

- Drugi wydaje się odpowiedni - powiedział ksiądz, jakby nie zależało mu specjalnie na tym szczególe.

Odczytałam z kartki:

*Boże
z całego serca przepraszam za moje grzechy.
Wybierając zło
I nie czyniąc dobra
Zgrzeszyłam przeciwko Tobie,
Którego powinnam kochać.
Zamierzam z Twoją pomocą
Odbić pokutę
Nie grzeszyć więcej
I unikać wszelkiej pokusy.*

W ustach miałam taki smak, jakbym się najadła tektury.

- Niech cię Bóg błogosławi - powiedział odwracając się do mnie tyłem.

- Dobrze - odpowiedziałam, a uświadomiwszy sobie, że to nieodpowiednie zakończenie dodałam: - Dziękuję.

Przeszłam przez kościół do ołtarza. Przypomniałam sobie, jak kiedyś moje oczy musiały się przystosowywać z ciemności konfesjonału do stosunkowo jasnego wnętrza kościoła. Teraz niepotrzebne było przystosowanie, oświetlenie było bowiem identyczne.

Pamiętam jasne, powietrzne uczucie, jakie miewałam w drodze z konfesjonału do ołtarza, jakbym szła na sprężystych nogach. Ale teraz stanik wpijał mi się pod piersi. Czulałam też, jak krew menstruacyjna moczy mi majtki. Suwak spódnicy wrzynał się w miękki tłuszcz brzucha, wyobrażałam sobie czerwone znaki na moim ciele, jak ślady zębów albo ptasiego dzioba. Uklękałam przy ołtarzu i odmówiłam modlitwy, które ksiądz mi polecił. Ale mówiłam je do nikogo, nie mogłam uwierzyć, że kogoś interesuje moja modlitwa. Uzyskałam przebaczenie za niewłaściwe grzechy. Reszty nie powiedziałam. Reszty nie można było wybaczyć.

XV

Co rano spałam zbyt długo. I co rano budziłam się z takim uczuciem, jakby dokoła toczyła się wojna, jakbym natychmiast po otwarciu oczu miała zobaczyć trupy i ciężko rannych. Tego się bałam podnosząc ciemnozieloną zasłonę, bałam się twarzy za oknem, martwych oczu wpatrujących się we mnie, kiedy budzę się ze snu. Zebrania całej odwagi wymagało obudzenie się, odsunięcie zasłony, przejrzanie się w lustrze, kiedy przemywałam oczy zimną wodą. Obserwowałam każdego dnia, jak zmniejszają się moje oczy, a twarz coraz bardziej opanowana przez tłuszcz. Pozywienie przemieniało się w tłuszcz i o tym właśnie pomyśle leżąc w łóżku - o pozywieniu

przemieniającym się w tłuszcz, o coraz bardziej miękkim i okrągłym brzuchu, o coraz cięższych piersiach, które zdają się zwisać z dala od ciała, o wnętrzach ud wrastających jedno w drugie do tego stopnia, że ocierały się o siebie podczas marszu. Myślałam o tym w łóżku, bojąc się wstać. Myślałam: dzisiaj przestanę, dzisiaj nie będę tyle jadła. Ale potem przypominałam sobie, że to zupełnie nie miało znaczenia, czy moje kości policzkowe wystawały, czy tonęły w tłuszczu; czy piersi mi zwisały, czy uda wrastały jedno w drugie, czy nie mogłam już zapiąć zamków spódnic i spodni. Przypominałam sobie, że nikogo to nie obchodziło, moje ciało nie interesowało nikogo, nikt teraz nie będzie *mi* się przyglądał ani go dotykał. Myślałam o Hugonie, ale natychmiast przypominała mi się okrągła fioletowa twarz jego żony i słyszałam jej słowa "Jesteś dobrą osobą". I słyszałam siebie, jakby to mówił ktoś inny „nie chcę nikogo zranić”. I pamiętam, że miłość do Hugona naraziła mnie na to wszystko. Postanowiłam, że przestanę ranić ludzi, przestanę wyrządzać krzywdy. Dlatego byłam tutaj. Na nocnym stoliku trzymałam pudełko ciasteczek. Zaczynałam jeść, jeszcze zanim wstałam.

Margaret wchodziła po schodach, kiedy słyszała, że jestem w łazience. Zawsze czekała na korytarzu na moje wyjście z łazienki. I co rano mówiła do mnie:

- Dobry wieczór. Wyspałeś się?

A ja co rano odpowiadałam: - Przepraszam, Margaret. Trzeba było obudzić mnie wcześniej.

- Pewnie potrzebujesz odpoczynku. Nie spałabyś tyle, gdybyś nie potrzebowała. W końcu przecież rośniesz. - I wybuchała śmiechem, suchym, syczącym, który wydawał się symptomem choroby prowadzącej do śmierci. - Rośniesz - tu rozkładała swoje zniekształcone ręce - horyzontalnie.

Co rano Margaret mówiła mi, że nie może patrzeć na moje włosy. Podnosiła ich końce i wkładała mi we włosy zakrzywione palce, aż natrafiały na węzły potargane przez sen.

- Proszę - mawiała - szcurze gniazdo.

Tego rana zrobiła to znowu. Pochyliłam ramiona tak, że stworzyły jakby piwniczne sklepienie wokół moich piersi. Margaret wzięła mnie za włosy. Przejeżdżała wzdłuż nich palcami, aż natrafiła na węzeł pośrodku. - Szcurze gniazdo - powiedziała. Usiłowała wyjąć palce. Nie mogła ich ruszyć. Próbowwała pomóc sobie drugą ręką, ale jej niesprawne dłonie, przemieniające się w szpony, nie mogły się uwolnić od moich włosów. Nie mogłam oddychać. Ktoś kradł mi powietrze, ktoś spychał mnie do piwnicy. Może nigdy się już nie rozdzielimy, może trzeba będzie odciąć rękę Margaret. Podniosłam ręce nad głowę i wyciągnęłam dłonie Margaret z moich włosów tak gwałtownie, jakby stały w płomieniach.

Margaret zaczęła krzyżeć. - Obetnij to szczurze gniazdo! Jest obrzydliwe. Jeszcze sprowadzisz do domu pluskwy. Obetnij te włosy! To niezdrowe. Ohydne.

Ogarnęły mnie dreszcze. Czułam poszczególne kropelki potu, jak widoczne drobinki spływające po górnej wardze. Teraz też chciałam obciąć włosy. Chciałam to zrobić natychmiast. Dopóki miałam długie włosy, mogłam sobie wyobrazić zaplątaną w nie rękę Margaret. Pamiętam, jak ojciec mówił „nie obcinaj włosów”. Ale ojciec już nie żył. Nikogo to nie interesuje, czy obetnę włosy. A teraz będę musiała je obciąć, żeby pozbyć się ręki Margaret.

Suche, dziewicze piegi Margaret spurpurowiał z wściekłości. Bałam się spojrzeć jej w oczy. Patrzyłam na podłogę, na własne stopy. Poszłam z powrotem do łazienki, pochyliłam się nad brązową umywalnią i zwymiotowałam. Patrzyłam, jak wymioty kręcą się wokół odpływu; pożywienie, które zjadłam, a które już nie przemieni się w tłuszcz. Margaret zadzwoniła do salonu kosmetycznego i umówiła mnie na popołudnie. Równocześnie zamówiła wizytę dla siebie.

Salon kosmetyczny Doroty Kowalskiej nazywał się *Chez Elle*. Pachniało w nim lakierem do włosów, farbą i ciężkim, przytłaczającym zapachem płynu do trwałej. Pamiętam ten zapach, tak pachniał płyn Tonettes, który podarowałyśmy sobie wzajemnie z Liz pewnej soboty, kiedy miałyśmy po dwanaście lat. Ale kto jeszcze używa takiego płynu do trwałej? Ten zapach górował nad innymi jak przekłety miazmat.

Wszystkie klientki w zakładzie były grube. Ich włosy po uczesaniu sterczały wokół złych, nalanych twarzy jak sztywne japońskie pudełeczka. Kolory wybierały wściekłe, ostry czerwony lub złoty, co nadawało ich fryzutom wygląd pióropuszy, sztuczny i agresywny. Ich stopy tkwiły jak czołgi w małych bucikach. Torturą było słuchanie ich przeciągłego, miejscowego akcentu.

Trzepotały się i cmokały wokół Margaret, wiedziały, co przecierpiała. Dorota Kowalska pochyliła się nad nią.

- Zrobimy panią na piękność, panno Casey. Pani ma takie śliczne włosy.

Margaret gruchała i uśmiechała się do nich. Do mnie nie uśmiechnęła się ani razu w ciągu trzydziestu lat. Ale wiedziałam dlaczego: ukradłam jej to, czego najbardziej pragnęła. Wynagrodzę jej tę stratę. Uczynię wszystko, żeby była szczęśliwa. Oddałabym za to życie. Obetnę włosy.

Margaret oświadczyła, że Bóg wynagrodzi wszystkie panie z zakładu za ich dobroć. Pozwoliła mi przez pół godziny siedzieć pod nieczynną suszarką, zanim wskazała fryzjerce palcem:

- To jest ta dziewczyna, która u mnie mieszka. Dzięki Bogu, chce obciąć tę miotłę.

- No, myślę - powiedziała Dorota Kowalska. Wszystkie kobiety roześmiały się, jakby ktoś wspomniał o seksie.

Wiedziałam, że powinnam spróbować pożartować z nimi. Powinien znaleźć się jakiś temat, o którym mogłybyśmy mówić, filmy, gwiazdy filmowe. Wiedziałam, że o tym można w Ameryce rozmawiać z każdym. Byłam jednak zbyt ociężała i otumaniona zmęczeniem. W tyle mojej czaszki pulsował ból. Ojciec nie chciałby, żebym obcięła włosy, byłby bardzo nieszczęśliwy. Ale teraz nie miało to znaczenia, ojciec nie żył, już nigdy go nie zobaczę. Był tylko ten ból, coraz ostrzejszy: ojciec nie żyje, teraz będę robiła to, czego chce Margaret.

Odpowiadałam na pytania kobiet niewyraźnymi półzdaniami, półuśmiechami. Staralam się nadać oczom wyraz słodczy. Widziałam jednak, że to im się nie podobało, nie tego ode mnie oczekiwały. Spodziewały się żartów, chciały, żebym śmiała się tak jak one, jak byłybyśmy strażniczkami czegoś, jak zachowywałybyśmy coś w stanie nienaruszonym. Chciały, żebym śmiała się z nimi, jak żołnierze śmieją się w kinie, jak byłybyśmy na wojnie, która czyni śmiesznymi wszelkie różnice, jakby naszym celem było utrzymanie się przy życiu. Ale nie mogłam tego zrobić. Spuściłam wzrok. Przestały się mną interesować. Dorota Kowalska umyła mi włosy, wytarła je ręcznikiem niedbale, bez przejęcia; robiła wrażenie osoby, która wolałaby znajdować się zupełnie gdzie indziej.

Rozdzieliła moje włosy klipsami i zaczęła obcinać. Najpierw obcięła duże pasmo z dołu, spadły na ziemię jak martwe rozpląszone owady.

- Jakie uczesanie miała pani na myśli? - zapytała.

- Wszystko jedno. Co jest najprostsze.

- To zrobimy tapir.

- Dobrze.

Nawet ja słyszałam o tym uczesaniu. Ta miejscowość zatrzymała się gdzieś na roku 1962. Kobiety na zdjęciach miały włosy wytapirowane, polakierowane (zapoczątkowała to Jacqueline Kennedy) z aksamitnymi kokardkami. Żadna z modelek na zdjęciu nie miała długich, lubieżnych włosów z lat sześćdziesiątych czy modnej stylowej fryzurki przypominającej Carole Lombard. Tutaj nic się nie zmieniło. Dlaczego miałyby się zmienić? Jakże to miało znaczenie? Nikt nie pragnął zmiany. Byli szczęśliwi. Nie miałam prawa domagać się, by wszystko układało się według mojego życzenia. Czegoś się nauczyłam: nie byłam jednak tak szczególnie ważna.

Teraz Dorota obcięła już prawie wszystkie włosy. Został mi tylko rodzaj czapeczki na głowie. Ale dalej nic nie odczuwałam; co za różnica, że poszły całe moje włosy. Pamiętam zaplątane w nie palce Margaret. Już więcej mi to nie groziło, czułam więc ulgę. Krótkie włosy, obcięte blisko przy skórze odpowiadały charakterowi

mojego obecnego życia. Dorota spryskała je czymś i zawinęła na wałki. Nie chciałam tego, ale tego chciały wszystkie zgromadzone tu kobiety.

Moja twarz wyglądała biała i ciężka pod muszlą plastikowych lokówek. Wyglądałam tak samo, jak tamte kobiety. Zamknęłam oczy pod suszarką. Gorące powietrze parzyło mnie w szyję, ale nic nie mówiłam. Nie miałam wątpliwości, że inne kobiety przywykły do tego gorąca, skarżąc się wskazywałabym na swoją odmienność. A ja nauczyłam się, że nie różnię się od nich; nie jestem lepsza od tych kobiet. Uniosę wszystko to samo, co one: gorąco suszarki, obrzydliwy zapach lakieru do włosów. Będę taka jak one. Wyrządzałam krzywdy, ponieważ wierzyłam, że jestem inna, że jestem ważniejsza.

- Proszę, już wyschły - powiedziała Dorota prowadząc mnie w stronę fotela. Po wyjęciu lokówek moje włosy zwijały się w sztywne podłużne spirale. Dorota wyprostowała je szczotką. Zaczęła je tapirować, aż stanęły wokół głowy jak fryzura Einsteina. Potem szczotkowała je tak długo, aż utworzyły rodzaj przylizanego hełmu. Powiedziała, żebym zamknęła oczy, spryskiwała mi włosy lakierem przez (liczyłam) dziewięćdziesiąt sekund. Cofnęła się i kazała mi spojrzeć w lustro. Zrobiłam, co mi powiedziano.

Miałam ochotę się rozplakać, byłabym się rozplakała, ale wszyscy mi się przyglądali. Nie chodziło nawet o to, że wyglądałam brzydko, bo to bym zniosła, ale wyglądałam idiotycznie. Wyglądałam śmiesznie. Jak karykatura każdej z tych kobiet w salonie. To nie były moje włosy, to nie mogły być moje włosy, to, co wystawało na kilka centymetrów z mojej czaszki. Nigdy nie wyglądałam tak źle.

- No i co? - zapytała Dorota z groźnym oczekiwaniem.

- Niezupełnie o to mi chodziło.

Dorota tupnęła ciężką nogą. Położyła mi pięść na ramieniu. Ta pięść ciążyła mi jak podkova.

- Najpierw nic nie mówi, ja proponuję uczesanie, zgadza się, a teraz się okazuje, że nie o to jej chodziło! Niektórym trudno dogodzić.

Margaret poprawiła się na fotelu. - Ona zawsze taka była. Niezadowolona. Dać jej coś, chce więcej, chce coś innego. Nigdy nie jest zadowolona.

- Nie tak jak ty, skarbie - powiedziała Dorota obejmując Margaret. - Dla ciebie to przyjemnie coś zrobić.

Nowe, wytapirowane włosy Margaret zaskrzypiały z radości. Zapłaciłam przy kasie za siebie i za Margaret. Dałam Dorocie dolara napiwku. Zapłaciłam za taksówkę do domu. Szukałam nerwowo kluczy w przedwieczornym zmierzchu, który mnie przerażał, zawsze mnie przerażał, bo zapadał tak nienormalnie wcześnie. Sięgnęłam do skrzynki na listy. Był list do mnie.

Poznałam kwadratowe, cudzoziemskie pismo Hugona. Pomyślałam o swoich włosach. Chciałam się rozplakać czując w ręku ten list. Hugo już mnie więcej nie będzie chciał.

- Co to? - spytała Margaret wskazując na list.

- Do mnie - wyjaśniłam wsuwając list do torby.

- Od kogo?

- Nie znasz ich - powiedziałam. Pomyślałam, że gdybym przy Margaret wymówiła imię Hugona, mogłaby mi go zabrać. To prawda, że nie należał do mnie, ale nie chciałabym, żeby wzięła go Margaret. Weszłam na górę myśląc o Hansel i Gretel zostawiających ślady z okruszków, które nigdy nie miały im pomóc.

Ręce mi drżały. Chciałam jak najdłużej odwlec chwilę otwarcia koperty, ale nie mogłam znieść, że jest zaklejona. Cokolwiek Hugo napisał, zasłużyłam na to. Powie, że go zraniłam. Powie, że nigdy nie będzie mógł mi przebaczyć. Miał pełne prawo nigdy mi nie przebaczyć. List był na papierze z reklamą maści na dole strony. Hugo dawał mi podobne bloczki do pisania. Uwielbiałam te reklamy na dole, obrazki psów i koni. Przypominały mi Hugona, kazały pomyśleć, że był kimś, kogo znałam. Dodały mi odwagi, by przeczytać list.

Najdroższa, cierpię bez Ciebie, tęsknię za Tobą, zawsze na Ciebie czekam

Hugo

Dotknęłam swoich włosów. Nie będzie na mnie czekał. Gdyby mnie teraz zobaczył, nie chciałby mnie, przypomniaby sobie, że nie można mi wybaczyć. Napiszę do niego, żeby więcej się ze mną nie kontaktował. Ale najpierw się prześpię.

Położyłam się na łóżku. Nie mogłam jednak zasnąć. Myślałam o plecach Hugona, o jego rękach, o mocnych przedramionach z miękkimi, cudownymi włosami. Nazywało się to pożądanie. Zamknęłam oczy, jakby ktoś wymachiwał przed nimi cudownym wachlarzem z piór, którym mogłam się rozkoszować tylko z zamkniętymi oczami. W moim żołądku poruszyła się fala przypominająca mdłości. Tylko że nie były to mdłości, było to pożądanie. Dawało się prosto wyrazić słowami chcieć i nie mieć. Tęsknota sprawiła, że moja klatka piersiowa stała się lekka, kości odsuwały się od siebie jak rozpostarte palce, mięśnie gwizdały. Chcieć i nie mieć. A kiedyś się miało. I już się nie ma. To były jedyne słowa, jakie mogłam usłyszeć. Pragnęłam Hugona tak bardzo, że niemal czułam jego obecność w sąsiednim pokoju. Dziwne, że nie sprowadziła go tu moja tęsknota, cudem było, że nie przyszedł do mnie.

Dotknęłam piersi udając, że to jego ręka. Kiedyś kochał te piersi, całowały je jego usta, wilgotne i szalone. Poruszał się nade mną, potrzebował mnie bardziej, niż mogłam sobie wyobrazić. Przewróciłam się na łóżku przypominając sobie, jak

przewracałam się pod jego ciężarem. Wygięłam się, by otoczyć go sobą jak kotka zręczna i absolutnie doświadczona.

Teraz mogłam słyszeć jego głos. Przez cały ten czas nie chciałam go słyszeć, nie przywoływałam go w pamięci. I to jego dziwne staroświeckie słownictwo, słowa nie pasujące do kontekstu, a jednak tak ekspresyjne. Kiedyś powiedział: „Twoje ciało jest absolutnie wydajne. Każdy centymetr, każdy zakątek budzi pożądanie. Wszystko jest po to, żebym cię pragnął”.

Wyznaczałam ustami brzeg jego kości biodrowej, aż dochodziłam do centrum, gdzie wyrastał wysoko i solidnie, zaróżowiony napięciem żądz. Pocałowałam go tam, zamknęłam go między swoimi wargami, wilgotnymi od pożądania, a on poruszył się pode mną i krzyknął. I wtedy nie mogłam już bez niego wytrzymać, okrywałam go pulsowaniem ukrytego mięśnia. A potem naprężaliśmy się, aż napięcie, to niemożliwe do wytrzymania napięcie, pękało i lądowaliśmy wspólnie jak ptaki na ziemi, połączeni, szlochający. Płakałam teraz na to wspomnienie. Nie będę mogła nigdy poprosić, by Hugo do mnie wrócił. Teraz sobie przypominałam: to było niebezpieczne, krzywdzące. Tak, o to przecież chodziło, zapomniałam o tym zajęta jedynie własnym ciałem i jego tęsknotą. Zapomniałam o twarzy mojego ojca w drzwiach, pociemniałej ze zgrozy na widok moich piersi, o oskarżającej twarzy kobiety wygrażającej palcem, mówiącej „jesteś dobrą osobą”. Zapomniałam o tym wszystkim przewracając się na łóżku, udając, że się przewracam. Nie mogę już więcej zapominać, muszę stracić życie, żeby je zyskać, dostanę więcej, znacznie więcej rezygnując z życia niż goniąc za nim.

Spojrzałam na jasną żarówkę nad łóżkiem. Słyszałam Margaret w łazience. Słyszałam, jak spuszczała wodę, słyszałam, jak spluwała do umywalni. Teraz sobie przypominałam. Przyjechałam tutaj, bo wyrządziłam takie szkody, bo chciałam tego, czego chcieć nie powinnam, bo zagarnęłam to, co do mnie nie należało. Znalazłam się tutaj nie tylko po to, by uciec od Hugona, ale także od Liz i Eleanor i od tego, co uważały za moje życie, a co mogło mnie jedynie wystawić na niebezpieczeństwo, co uczyniłoby mnie jedynie podatną na ciosy.

Ale teraz słyszałam głos Hugona. To było przekleństwo. Kiedy nie mogłam słyszeć jego głosu, mogłam o nim myśleć jak o przebytej chorobie, której nie muszę pamiętać, z której wydawałam się wyleczona. Teraz miałam znak od niego. Napisał do mnie. Nie mogłam zasnąć, nie mogłam go mieć. Leżałam na wznak i płakałam.

Nie mogłam już sypiać w środku dnia. Wyczuwałam też nowe niebezpieczeństwo; zaczynałam się nudzić. Obiecałam, że tu zostanę; będę się starała zabawiać Margaret tym, co może jej sprawić przyjemność. Chciałam jej czytać głośno, tak jak czytałam ojcu. Zapytałam, jakie lubi książki. Powiedziała, że lubi romanse. Odkryłam, że miała na myśli książki, w których pielęgniarki wychodziły za lekarzy,

stewardessy za pilotów, reporterki działu miejskiego za redaktorów naczelnych. Lubiła powieści Reginy Carey, których akcja rozgrywała się zawsze w Northumberland, gdzie sieroty wychodziły za lordów, którzy wydawali się źli, ale okazywali się potem dzielni i szlachetni stając w czyjejs obronie. Pomyślałam, że jeśli to jej się podoba, to może polubi *Jane Eyre*. Myśl o głośnym czytaniu *Jane Eyre* podnieciła mnie, było to coś, na co po raz pierwszy od miesiący oczekiwałam z niecierpliwością.

W połowie czwartego rozdziału Margaret poprosiła, żebym przestała czytać.

- To takie staroświeckie - oświadczyła. - Widać, że napisała to jedna z tych niezadowolonych kobiet. Nieusatysfakcjonowanych. Nie znoszę takiego pisania. Nie ma w tym życia.

Rzuciłam na podłogę tom w brązowej oprawie. To była moja książka, dostałam ją od ojca na dziewiąte urodziny.

- Jakim prawem ośmielasz się krytykować Charlotte Bronte! - wykrzyknęłam.

Wściekłość uniosła czubek mojej głowy, zrobiła dach nad moim mózgiem. Usiłowałam sobie wmówić, że nauczyłam się nie przywiązywać wagi do drobiazgów; Charlotte Bronte, Regina Carey, najlepsze było to, czego chciała Margaret.

Jednak sama w to nie wierzyłam. Czułam, że coś jest nie tak. Musiałam przekonać Margaret, że Charlotte Bronte jest lepsza. Jeżeli potrafię ją o tym przekonać, potrafię zmienić jej życie. Mogę zrobić z niej osobę godną kochania. Ale Margaret siedziała na krześle, zgarbiona, w oczekiwaniu na walkę.

- Nie jestem tak sprytna jak ty. Nigdy nie byłam. Nie miałam twoich przywilejów. Zawsze się kimś zajmowałam. Nie miałam czasu na kształcenie czy czytanie.

- Spróbuj się przekonać - powiedziałam z desperacją - spróbuj.

- Spodziewałam się, że z wiekiem twój temperament złagodnieje. Modliłam się o to. Byłaś upartym, samowolnym dzieckiem. Ojca potrafiłaś owinąć dokoła palca. I dokąd cię to doprowadziło?

Tutaj, pomyślałam, właśnie tutaj. Może Margaret miała rację. To mój upór, moja samowola psuły wszystko, unieszczęśliwiały ludzi. Traktowałam zbyt serio pytanie, czy Charlotte Bronte jest lepsza od Reginy Carey, i stąd brały się wszystkie kłopoty. Zapomniałam o swoim postanowieniu, że zrobię wszystko, by uczynić Margaret szczęśliwą.

- Zagrajmy w karty - zaproponowałam. Zagrałyśmy w dwuosobową kanastę. Potem grywałyśmy codziennie. Ale po skończonej grze Margaret nigdy nie była zadowolona. Jeśli przegrała, uważała, że ją wykorzystałam; jeśli wygrała, to miała zbyt małą przewagę. Jednak to ją zajmowało, gra w karty wydawała się ją interesować. Zaczęłam przegrywać coraz większą ilością punktów, żeby ją ucieszyć.

Bo w końcu na to się przecież zdecydowałam, że zrobię wszystko, żeby uczynić Margaret szczęśliwą.

Kiedy już nie mogłam sypiać popołudniami, zaczęłam chodzić na spacer po okolicy. Światło dzienne przestało tak niebezpiecznie zielenieć o trzeciej czy czwartej. Zaczęłam dokładniej przyglądać się domom.

Nigdy nie odebrałam telefonu w domu Margaret. Kiedyś skierowałam się w stronę dzwoniącego aparatu, ale Margaret przecięła mi drogę i odepchnęła. Zdumiała mnie siła tego pchnięcia, siła tak krucho wyglądającej Margaret.

- Nie myśl, że jesteś tu najważniejsza - powiedziała wtedy.

Już nigdy więcej nie odebrałam telefonu. Nawet kiedy byłam sama w domu, po prostu czekałam aż przestanie dzwonić. Nie było to trudne, bo nie spodziewałam się żadnego telefonu. Teraz jednak poczułam na języku smak oczekiwania jak smak cytryny. Raz zadzwoniła Liz:

- Spotkaj się ze mną w Albany. Zjemy obiad i pójdziemy do kina.

Odmówiłam. Dźwięk głosu Liz uczynił mój własny głos smutnym, powolnym głosem starej kobiety.

- Na razie - wyjaśniłam Liz - czuję się bardzo zmęczona. W powietrzu niemal dało się słyszeć jej smutek.

Od tamtej pory nikt nie dzwonił. Eleanor pisała listy swoim okrągłym precyzyjnym charakterem pisma, jakby nic się nie zdarzyło, jakby wszystko było po staremu. Nigdy nie odpisywałam na te listy. Trzymałam je w pudełku od butów. Eleanor pisała: „Proszę, skontaktuj się ze mną, kiedy będziesz gotowa. Bardzo mi brak Twojego towarzystwa”.

Może nigdy nie będę gotowa. Nieznośna była myśl, że Eleanor mogłaby mnie zobaczyć w takim stanie, tak tłustą, z tą straszliwą fryzurą. Na spotkanie z Eleanor musiałabym się przygotować, a nie byłam gotowa do zaczęcia przygotowań. Napisałam do niej, że prowadzę spokojne życie, że chyba moje rany się zblizniają. Nie napisałam nic na temat Margaret, obiecałam natomiast „pewnie wkrótce się zobaczymy”. Możliwe jednak, że już nigdy nie zobaczę Eleanor. Będę ją trzymała na bezpieczny dystans pisząc listy. Eleanor nie przyjedzie, jeśli poproszę ją, żeby zaczekała. To właśnie między innymi stanowiło wspaniałą cechę miłości Eleanor, że czekałaby w nieskończoność, gdyby ją o to poprosić. Myślałam o twarzy Eleanor, myślałam o fakturze jej powiek. Nie, niemożliwe, żebym miała jej więcej nie zobaczyć. Któregoś dnia spotkamy się znowu. Może kiedy staniemy się starymi kobietami, nie do rozpoznania. Ale spotkamy się na pewno.

Tego dnia telefon dzwonił bez przerwy. Margaret była u lekarza, zawiozła ją Dorota Kowalska białym buickiem. Pomogła Margaret wsiąść do samochodu. Siedziałam w swoim pokoju. Słyszałam, jak rozmawiały idąc ścieżką.

- Niewdzięczność - mówiła Dorota.
- Niewdzięczność - przytakiwała Margaret.

Rozmawiały o mnie. Ale za co miałam być wdzięczna. Zacisnęłam dłoń w pięść i opuściłam ją. Zostawiła dziecinnie ślad na warstwie sadzy wzdłuż okiennego parapetu. Kiedy ostatni raz zacisnęłam dłoń w pięść? Wiele lat temu. Nie zrobiłam tego nigdy jako osoba dorosła.

Telefon dzwonił dalej. Dzwoniący przeczekał jedenaście sygnałów, zanim odłożył słuchawkę. Pokutą było bezczynne słuchanie tych dzwonek i wyobrażanie sobie, że ktoś po tamtej stronie chce mówić ze mną. Pokutą za to, że znowu zaczęłam myśleć o Hugonie, że nie mogłam przestać o nim myśleć, nie mogłam przestać słyszeć jego głosu. Teraz nie miałam wątpliwości, że to dzwonił Hugo. Jedenaście sygnałów. Taką właśnie cyfrę by wybrał. Nie dziesięć czy konwencjonalny tuzin. Będę musiała odebrać telefon. Będę musiała mu powiedzieć, żeby więcej nie dzwonił.

Mój głos w słuchawce brzmiał niepewnie i gorączkowo. Powiedziałam „halo” jak pijak, jak skazaniec, jak ktoś niezadomowiony w normalności.

- Jak się masz, dziecinko - usłyszałam.
- Ksiądz Mulcahy!

Zaczęłam szlochać w czarną słuchawkę.

- Co się dzieje, dziecinko? Taka jesteś nieszczęśliwa?

To był głos, który kochałam, zawsze kochałam. O mało go nie zabiłam usiłując go zmusić, by zrozumiał to, czego zrozumieć nie mógł, czego w końcu nie musiał wiedzieć czy uznawać. Ale nie umarł. Mówił teraz do mnie przez telefon. Oczywiście wybaczył mi, że prosiłam go o to, czego nie mógł mi dać. Teraz i ja mogłam mu wybaczyć. Mogłam płakać w telefon i prosić, żeby do mnie przyjechał.

- Wszystko w porządku - powiedziałam. - Tylko tak bym chciała, żeby ksiądz przyjechał! Tak bym chciała księdza zobaczyć!

- Właśnie dlatego dzwonię. Pomyślałem sobie, że się przejadę i zobaczę moje dziecko.

- Samochodem? Aż tutaj?
- Chyba pora, żeby się ten stary gruchot trochę przewietrzył.
- Przyjedzie ksiądz tutaj?

Pomyślałam o Margaret. Pomyślałam o księdzu Mulcahy w domu dla duchownych alkoholików, starych mężczyzn spacerujących w pizamach po nasłonecznionym dachu w Westchester.

- Nie uda ci się mnie powstrzymać.
- Kiedy ksiądz przyjedzie?
- W poniedziałek w porze obiadowej.
- W Wielki Poniedziałek?

- Tak.

Znowu zaczęłam płakać.

- Nie mogę się doczekać. Jestem trochę samotna.

Będzie tu za tydzień. Nawet mniej niż za tydzień. Kochał mnie tak bardzo, że gotów był prowadzić samochód na dystansie dziesięciokrotnie dłuższym niż kiedykolwiek przejechał za kierownicą. To uczucie było cudem. Nikt na to nie zasługiwał, nikt nie mógł zasługiwać, nie muszę się więc martwić, czy ja zasłużyłam.

Słyszałam, jak Dorota trzaska ciężkimi drzwiczkami swego combi. Wybiegłam na połowę ścieżki, by powitać wracające kobiety.

- Margaret - wykrzyknęłam - wspaniałe nowiny! Opierała się ciężko na ramieniu Doroty.

- Ksiądz Mulcahy przyjedzie nas odwiedzić. Będzie tu w poniedziałek.

- To miło z twojej strony. Bardzo ci jestem wdzięczna, że zapraszasz mi towarzystwo poza moimi plecami, nawet mnie o to nie pytając.

- I to przy jej stanie - wtrąciła Dorota. - Doktor powiedział, że w ogóle sobie nie wyobraża, jak Margaret znosi ten ból.

- Czy mogę wejść do własnego domu, zanim zaczniemy o tym dyskutować? - spytała Margaret. Obróciła się w stronę Doroty:

- Zaprosiła człowieka, który jest beznadziejnym alkoholikiem. Beznadziejnym.

- Nic podobnego!

- Nie wiesz nawet połowy, moja panno z głową w chmurach!

- Podniosłam brwi z wściekłością.

- Więc zadzwonię do niego i powiem, żeby nie przyjeżdżał.

- Nie, nie zrobisz tego. Jest osobą duchowną, bez względu na wszystko inne. Będę musiała wyprasować lniane ręczniki.

Dorota poruszyła swoje ciężkie ciało, woniejące nie dającym przyjemności seksem wieku średniego i stanęła za krzesłem Margaret. Objęła ją ramionami.

- Pani jest aniołem, zawsze stanie pani na wysokości zadania.

Margaret przyłożyła zniekształconą dłoń do czoła jak heroina melodramatu.

Odwróciłam się i wyszłam. Dorota krzyknęła za mną:

- Nie dba pani o fryzurę. Mogłaby pani przyjść do mnie, jeśli sama pani nie umie się do tego zabrać.

Wydawałam jakieś przesadne odgłosy idąc po schodach na górę i patrząc na swoje buty. Bez względu na wszystko postaram się, żeby ksiądz Mulcahy czuł się tu dobrze. Ochronię go przed tymi kobietami. Zaczęłam przeglądać ubrania w szafie. Nie musiałam nawet przymierzać tych, które lubiłam, wiedziałam, że teraz będą na mnie za ciasne. Ale księdzu było wszystko jedno, nie dbał o to, w co jestem ubrana. Nie, to nieprawda, to było coś, za co między innymi mnie kochał, zawsze malowałam

usta na jego cześć. To była jedna z rzeczy, które trzymały mnie przy życiu, przez wszystkie te lata ksiądz Mulcahy przywiązywał wagę do mojego wyglądu. W każdy czwartkowy wieczór musiałam się troszczyć w równym stopniu o jedzenie, jak o własne uczesanie i makijaż.

Potrzebowałam nowej sukienki. W Ramonie był tylko jeden sklep z konfekcją. Poszłam tam rano w dniu przyjazdu księdza Mulcahy. W sklepie było ciemno, wydawało się, że nie ma w nim nikogo. W końcu zza zasłony wyszła jakaś kobieta.

- Słucham - zaskrzeczała głosem wróżki.

Znane mi było słowo na określenie figury tej kobiety, choć sama nigdy go nie używałam: można by o niej powiedzieć wygorsetowana. Jej ciało stworzone było przez bieliznę. Ciało, jeśli w ogóle było tam jakieś ciało, stłamszone zostało przez fiszbiny, giętkie stalowe pręty i sztywną materię. Mogłam ją sobie wyobrazić samotną w sypialni wieczorem; widziałam, jak odpina te części garderoby i z uczuciem niewypowiedzianej ulgi ciska na podłogę. Uświadomiłam sobie, że się jej przypatruję. Musiałam coś powiedzieć.

- Szukam sukienki.

- Jaki rozmiar?

- Nie wiem. Bardzo utylam.

Kobieta cmoknęła i zdjęła taśmę centymetrową, która wisiała na jej szyi jak korale.

- To wstyd - powiedziała. - Powinna pani to zgubić, zanim będzie za późno. Po trzydziestce z każdym rokiem jest trudniej.

- Tak - przyznałam podnosząc ręce, żeby mogła zmierzyć obwód w biuście.

Wszystko, co mówiła, brzmiało jak rady Sybilli.

- Rozmiar szesnaście.

- Co takiego?

- Szesnaście, rozmiar szesnaście.

Łzy nabiegły mi do oczu.

- To niemożliwe. Nosłam dziesiątkę.

Kobieta wzruszyła ramionami, monumentalna w swojej obojętności.

- Mogę pani powiedzieć tylko tyle, że teraz jest szesnaście.

Przejrzałam sukienki na wieszaku. Po paru sekundach zrezygnowałam. Mogę jedynie szukać czegoś, co na mnie wejdzie. Wybrałam wełnianą sukienkę w kolorze borówek. Kobieta wprowadziła mnie do alkowy z lustrem w głębi sklepu.

Przymierzyłam suknię, była za szeroka w ramionach, luźno zwisała na biuście. Włożyłam do niej ciemnozielony pasek, będę musiała zrobić w nim dodatkową dziurkę.

Przynajmniej ta suknia nie była za ciasna, nie stanowiła wyrzutu dotyczącego przeszłości mego ciała.

Kobieta odsunęła zasłonę.

- Pewnie zmieściłaby się pani w czternastkę. Ten fason ma raczej większe wymiary.

- Ta jest dobra - powiedziałam. Kobieta znowu wzruszyła ramionami.

- Jak pani uważa, to nie moja sprawa.

Niosłam paczkę do domu, po drodze obijała się o moje biodra. Rozmiar szesnaście, powtarzałam. Ale jakie to miało znaczenie? Dziesięć, szesnaście, moje ciało wyrządzało jedynie szkody. Na trawnikach zakwitły już krokusy, wyglądały z nędznej gleby fioletowe, żółte i białe. Moje uda ocierały się o siebie w marszu. Postanowiłam rozpocząć dietę.

Ale dziś wieczorem robiłam irlandzki gulasz dla księdza Mulcahy. Margaret obserwowała mnie w kuchni.

- Nie lubię takiego ciężkiego jedzenia - oświadczyła nakłuwając mięso, które dusiło się cudownie, tak mi się przynajmniej wydawało, dopóki nie zaczęła go dźgać. - Szkodzi mi.

- Zrobię ci jajko.

- A to dopiero dobra kolacja. We własnym domu.

- Więc co chcesz? - zapytałam. Wściekłość zaczynała rosnać w mojej czaszce jak wielka budowla.

- Kotlet.

- Dobrze, zrobię ci kotlet.

Zostawiłam gulasz na kuchence. Poszłam na górę przejrzeć swoje kosmetyki. Przy tak ostrzyżonych włosach niewiele dało się zrobić, żeby poprawić mój wygląd. Umalowałam usta starą szminką, tą samą, której używałam jeszcze za życia ojca. Na powieki położyłam trochę zielonych cieni, które dostałam od Eleanor. Nowa suknia przynajmniej była kolorowa. Wyglądałam jednak jak czyjaś matka, jak ktoś, kto doszedł do wniosku, że nie jest już dłużej kochany czy pożądany.

Zbiegłam na dół, by otworzyć drzwi. W progu stał ksiądz Mulcahy i energicznie marszczył brwi. Uścisnęłam go tak jak nikogo w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Czy zawsze był taki niski? Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że jestem od niego wyższa o dobrych kilka centymetrów. Tak musiało być już od jakiegoś czasu, bo swój obecny wzrost osiągnęłam przed piętnastu laty.

- Jak się masz, dziecinko? - wykrzyknął dotykając końców moich obciętych włosów.

- Świetnie. Ksiądz jest tutaj!

Zorientowałam się, że ponad moim ramieniem zobaczył Margaret. Nasz uścisk stał się niezręczny, jakby ktoś nagle zaczął mówić o śmierci. Odsunęliśmy się od siebie i przeszliśmy do pokoju.

- Dzień dobry, Margaret - powiedział ksiądz podchodząc do niej z wyciągniętą ręką. Dżentelmen, pomyślałam. Absolutny dżentelmen. Wybacza niewybaczalne. Nie przestaję kochać. Ściska rękę kobiecie, która próbowała zrujnować mu życie. Ściska dziecko, które o mało go nie zabiło. Nie przestaje kochać, pomyślałam, a jego maniere są bez zarzutu. Otworzył teczkę i wyjął butelkę wina.

- Lekarz powiedział, że mogę wieczorem wypić jeden kieliszek. Ale niczego mocnego.

- Mam nadzieję, że doktor wie, co robi - powiedziała Margaret.

- Oczywiście - wtrąciłam szybko. - Oczywiście, że napijemy się wina do kolacji.

- Zatrzymam się na noc u św. Stanisława. Proboszcz wie o moim przyjeździe.

- Jeszcze nawet nie usiedliśmy do stołu - powiedziałam.

Roześmieliśmy się oboje z księdzem Mulcahy, jakbym powiedziała jakiś stary, dobry dowcip, o którym zdążyliśmy zapomnieć.

- Pewnie chcecie zostać sami - zgryźliwie wtrąciła Margaret.

- Nic podobnego - odparł ksiądz Mulcahy.

- Tak - powiedziałam. - Niech ksiądz pójdzie ze mną do kuchni i porozmawia, kiedy będę robiła kluski.

Usiadł przy stole kuchennym jak żona farmera.

- Czy jest ci tu dobrze?

- Tak - odpowiedziałam szybko, sypiąc sól do wrzącej wody.

- Nie chciałabyś wrócić do Queens?

- Nie teraz - powiedziałam siadając naprzeciwko niego.

- Jesteś zdrowa?

- Czuję się lepiej.

Nie mieliśmy nic więcej do powiedzenia. Ale nie potrzebowaliśmy sobie nic więcej mówić. Wielką przyjemnością było po prostu przebywanie razem, rozmowa o moim dzieciństwie. To mogliśmy sobie wzajemnie dać, tego nikt nie mógł nas pozbawić.

Postawiłam na stole gulasz, a na talerzu Margaret położyłam jeden kotlet. Nalałam wina do kieliszków. W obecności księdza Mulcahy krępowaliśmy mnie te szklaneczki po galaretce i plastikowe talerze. Wyniosłam butelkę wina do kuchni i schowałam za maszynką do grzanek.

- Domyślam się, że dla mnie nie ma gulaszu - powiedziała Margaret dźgając swój kotlet.

- Powiedziałaś, że nie chcesz gulaszu.

- Bałam się, że nie wystarczy dla księdza.

- Oczywiście, że wystarczy dla wszystkich - powiedziałam.

- Ale skoro już dałaś mi kotlet, to go zjem.

- Jak chcesz - powiedziałam kierując swoje zainteresowanie na księdza Mulcahy. Opowiadał o ludziach z parafii Wniebowzięcia, których Margaret powinna znać. Jej reakcja była zawsze taka sama. Komentowała cudze powodzenia i własne klęski, znakomitą i uprzywilejowaną sytuację bliźnich i własną krzywdę.

Nalałam sobie w kuchni jeszcze jeden kieliszek wina. Nawet głos Margaret stawał się możliwy do wytrzymania, w miarę jak się oddalał. Ksiądz Mulcahy podszedł do starego pianina. Przez wszystkie miesiące, które tu spędziłam, nigdy nawet nie otworzyłam instrumentu, po prostu odkurzałam na wierzchu.

- Wiesz, że w seminarium grywałem na pianinie?

- Niemożliwe, nie wierzę.

- Więc się przekonaj, niewierna Tomasino - powiedział otwierając pianino. - Margaret, pozwolisz?

- Jakie to ma znaczenie, czy ja pozwolę? Proszę się czuć jak w domu.

Nawet taka odpowiedź mu wystarczyła. Przygotował ręce. Ładne zadbane palce brały akordy. Zaczął śpiewać wysokim chłopięcym głosem „I will take you home again, Kathleen”.

Dołączyłam do księdza Mulcahy. Umiałam śpiewać na głosy, śpiewałam tak z ojcem. I śpiewaliśmy tę piosenkę z Hugonem. Nigdy nie będę mogła powiedzieć księdzu Mulcahy prawdy o Hugonie. Ale to nie szkodzi. Nie mogłam mu powiedzieć prawdy, ale mogliśmy śpiewać przy pianinie. Za nami zaczęło się rozlegać pokasływanie Margaret.

- Lepiej już pójdę - powiedział ksiądz. - Muszę wyjechać o wpół do szóstej rano, bo obiecałem proboszczowi, że przyjadę odprawić mszę o dziesiątej.

- A więc już księdza nie zobaczę! - wykrzyknęłam, a w moim głosie wzbierała panika.

- Aż do następnego razu.

Roześmieliśmy się. To był kolejny z tych żartów, które już gdzieś słyszeliśmy. Zawsze to samo nas śmieszyło. Tego też nikt nie mógł nam odebrać. To należało do nas.

Podałam mu idealnie wyczyszczony kapelusz, włochate czarne palto i biały szalik, który mu kiedyś podarowałam.

- Odbył ksiądz długą drogę zupełnie bez potrzeby - powiedziała Margaret.

- Nie bez potrzeby - odparł podając jej rękę. - Módl się za mnie, Margaret.

- Czy ksiądz mnie pobłogosławi? - zapytała usiłując uklęknąć, ale udało jej się tylko przykucnąć, jakby siedziała na sedesie.

- Nie klękaj, Margaret - powstrzymał ją ksiądz Mulcahy czyniąc w powietrzu znak krzyża nad jej głową, a potem nad moją.

Odprowadziłam go do samochodu trzymając pod rękę. Zimne, ciemne powietrze sprawiło, że poczułam w nosie kawałki lodu.

- Myślę, że powinnaś stąd wyjechać - powiedział. - Powinnaś wrócić do domu. Mogę ci zawsze coś znaleźć w parafii.

- Nie mogę - powiedziałam. - Obiecałam.

- Nawet Bóg łamie obietnice.

- Tylko w Starym Testamencie, kiedy jest okropny.

- Masz - powiedział wciskając mi w rękę zgnieciony banknot. - Idź do fryzjera.

- Tutaj nie ma gdzie.

- No to uważaj na swoją tuszę, kochanie. Bóg dał ci urodę. Jeżeli ją zmarnujesz, zgrzeszysz przeciwko piątemu przykazaniu.

- Nie zabijaj? Jaki to ma związek?

- To dotyczy także powolnej śmierci.

Uścisnęłam go w ciemności. Pocałowałam go w czubek głowy, jakby był dzieckiem.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedział.

Podniosłam kciuk i palec wskazujący w geście oznaczającym życzenie powodzenia na etykietce piwa Ballantine.

- Do zobaczenia wkrótce, dziecinko - powtórzył i podkreślił szybkę. Odjechał w głąb ulicy, jakby udawał się z pociechą do umierającego.

Kiedy wróciłam do domu, Margaret odezwała się z krzesła. Nie miałam wątpliwości, że dopiero co na nim usiadła.

- I cóż tam z nim tak długo robiłaś?

Zignorowałam ją. Weszłam do kuchni, żeby posprzątać. Przyszła jednak za mną, stanęła za moimi plecami, kiedy zmywałam.

- I cóż tam z nim tak długo robiłaś?

Odwróciłam się do niej z taką gwałtownością, że cofnęła się w kąt.

- A co sobie wyobrażasz? Co mogłam zrobić?

- On jest zdolny do wszystkiego, kiedy za dużo wypije.

Kantem dłoni zepchnęłam szklanki na podłogę. Nie brzęknęły o linoleum tak mocno, jakbym sobie życzyła, ale wreszcie zderzyły się z sobą i stłukły z przytłumioną powagą.

- Jesteś podłą, podłą kobietą - powiedziałam. - A co jeszcze gorsze, jesteś głupia.

Skurczyła się, najwyraźniej ją przestraszyłam.

- Będziesz musiała zapłacić za te szklanki.

- Ty nigdy za nie nie zapłaciłaś. Dostałaś je za darmo kupując galaretkę.

- Jestem ubogą kobietą.

- Bo ubogich zawsze macie u siebie - krzyknęłam trzaskając kuchennymi drzwiami.

Do jednego z cudów katolickiej edukacji należy fakt, że kilka wypowiedzianych słów potrafi nagle przywołać na pamięć całą opowieść z taką wyrazistością, że nie można się od niej oderwać. Wiedziałam, kiedy Chrystus powiedział „Bo ubogich zawsze macie u siebie” - w domu Marty i Marii. Maria otworzyła słoje olejku nad stopami Chrystusa. Nardowy olejek, pamiętałam to. I wytarła jego stopy swoimi włosami. Judasz ją ofuknął, powiedział, że olej ma być sprzedany, a pieniądze rozdane ubogim. Ale, jak zauważył św. Jan, Judasz wtrącił to tylko dlatego, że opiekował się trzosem i był złodziejem. A Jezus powiedział do Judasza mając u swych stóp Marię z rozpuszczonymi włosami: „Bo ubogich zawsze macie u siebie, ale mnie nie zawsze macie”.

I aż do momentu kiedy wchodziłam wściekła po ciemnych schodach do swojego obrzydliwego pokoju, nie rozumiałam tego ustępu. Wydawał mi się usprawiedliwiać całe wieki ekscesów tłustych bankierów-tyranów. Teraz zrozumiałam, o co chodziło Chrystusowi: należy przyjąć przyjemność płynącą z tych włosów, z namaszczenia olejkiem. Ponieważ przypadek śmierci wkrótce nas wszystkiego pozbawi. Nie możemy pozbawiać siebie i naszych bliskich luksusu naszych ekstrawaganckich uczuć. Nie możemy próbować uprzedzać śmierci odmawiając miłości tym, których kochamy, na rzecz anonimowych ubogich.

Kiedy usiłowałam znaleźć w ciemności kontakt, uprzytomniłam sobie, że byłam złodziejem. Podobnie jak Judasz chciałam ukryć złoto, liczyć je w ciemnościach nocy, przemienić je w jakąś bezpieczną i morderczą inwestycję. Chciałam ukraść nędzę Margaret, jej niezdolność do wzbudzenia miłości gwarantującą bezpieczeństwo. Żebym już nigdy nie musiała szlochać jak Maria przy grobie o świcie.

I obcięłam włosy. Chciałam wyrzec się wszystkiego, co kochałam, żeby nigdy tego nie stracić. Próbowałam zabić wszystko, co sprawiało mi przyjemność, żeby postradać wrażliwość. Dlaczego to zrobiłam? Dla bezpieczeństwa, dla pewności i dla księży, tych pozbawionych twarzy księży, którzy błogosławili trumnę mojego ojca, którzy siadywali przy moim stole, którzy nigdy nie mogli zapamiętać mojego imienia. Dla nich gotowa byłam poświęcić wszystko, co ceniłam najbardziej: Hugona, Liz, Eleanor, a nawet księdza Mulcahy. Żeby ci pozbawieni twarzy księży mogli powiedzieć o mnie „ona jest święta”.

Teraz wiedziałam, że muszę otworzyć słoje z olejkiem, muszę otworzyć swoje życie. Wiedziałam, że muszę stąd wyjechać. Ale jeszcze nie byłam gotowa. Musiałam zregenerować siły.

Wieczorami zamykałam drzwi swojego pokoju i czytałam modlitwy Wielkiego Tygodnia. Wielki Poniedziałek, Wielki Wtorek, Wielka Środa, trzy dni, podczas

których jako dziecko mogłam słyszeć drogę krzyżową odczytywaną przed wieczorem wielkoczwartkowym. Dzień ten zbliżał się jak fałszywy świt, jak niebo pozbawione barwy. Jako dziecko oczekiwałam na ten wieczór, wyobrażałam sobie mężczyzn ukrywających się, wieczerzających wspólnie, oczekujących na śmierć. Zawsze wyobrażałam sobie towarzyszące temu niebezpieczne zapachy, mężczyźni zalatywali rybami, nogi obmywali im inni mężczyźni. Czułam kurz na ich stopach, zimną wodę, ulgę płynącą z faktu, że ktoś podziwiany klęczy u naszych stóp i wyciera je ręcznikiem, który On zawiesił sobie na ramionach. Ulga, odpoczynek i nieuniknione zagrożenie czyhające w ciepłej ciemności. Czułam to i teraz, choć kwiecień tego Roku Pańskiego był śnieżny, a za oknami panowała nie ciepła pora poprzedzająca lato na Bliskim Wschodzie, ale wilgotna, późna zima Ramony. Powietrze było zimne i nie czuło się w nim zapowiedzi poprawy.

Przewracałam stronicę mszału, który dostałam od ojca. Była w nim karta ze słowami Juliany z Norwich wydrukowanymi pochyłym liturgicznym pismem, które uwypuklało ich prawdziwość:

Nie powiedział nie będziesz wodzony na pokuszenie

Nie powiedział nie będziesz miał strapienie

Powiedział nie będziesz zwyciężony.

Napisałam list do Hugona. Towarzyszyła mi teraz pamięć jego ciała, to gładkiego, to chropowatego, utworzonego z wypukłości i wklęsłości, po których wodziłam ręką i wargami; towarzyszyła mi pamięć jego głosu i dłoni, które zdawały się dłońmi bosko miłosiernymi, zdolnymi przynosić ukojenie. Napisałam: „Proszę, czekaj na mnie, jeśli możesz. Ja też za Tobą tęsknię, ale ciągle jestem pełna niepokoju. Nie wiem, jakie będzie moje życie”.

Wiedziałam, że nie mogę mu się pokazać w takim stanie, z fałdami brzucha zwieszonych nad majtkami, z udami, które ocierają się o siebie, ponieważ zaczęły wrastać jedno w drugie. Pamiętałam, jak przyglądał się filizance, którą znalazł za zasłoną tego wieczoru, kiedy zaprosiłam go na kolację. Tak patrzyłby teraz na moje ciało. Lubił rzeczy zadbane, wypolerowane. I patrzyłby na moje piersi zwisające pod własnym ciężarem, tak jak patrzył na filizankę, w której wyrastał grzyb na warstwie kurzu. Będę musiała zrobić dużo więcej, zanim go zobaczę. Wiedziałam bowiem, i za tę wiedzę go nienawidziłam, że nie będzie mnie kochał bez mojej urody.

Usiłowałam wyobrazić sobie miłość, która nie znała różnic, dla której nie byłoby próbą ciało, co utraciło swą gładkość, której nie doświadczyłaby niewdzięczność czy smutek, zdrada czy zwykła oziębłość serca. Taka miłość niemożliwa była dla mężczyzny typu Hugona, uważnego i oczekującego, taksującego wzrokiem. Bez tego osądu nie byłby mężczyzną, którego kocham, w niczym nie przypominałby mojego ojca. A ja potrzebowałam mężczyzny, którego mogłabym pokochać za jego surowość,

za wyzwanie, za poczucie, że zostałam starannie wybrana po długim rozważaniu, bez pośpiechu. Hugo nie mógł więc zobaczyć mnie teraz.

W tym momencie doznałam olśnienia na temat ciała, które to olśnienie, jak pomyślałam, odznaczało się prostotą wielkiej sztuki. Ciało zmieniało się, nie przestawało się zmieniać, więc można też było je zmienić. To, co zrobiłam z sobą, nie było nieodwracalne. Zajmie to trochę czasu, ale wierzyłam nieprawdopodobną wiarą wczesnych chrześcijan, że mogę uczynić moje ciało obiektem miłości Hugona. Zakleiłam list. Schudnę. Pewnego dnia, nie miałam co do tego wątpliwości, moje włosy odrosną. Zaczęłam od zaraz. Nie zjadłam lunchu. Margaret usiłowała namówić mnie na jedzenie. Nie usłuchałam jej ponagleń.

W drodze na nabożeństwo wielkopiątkowe wrzuciłam list.

- Co to? - spytała Margaret.

- Nic. Prenumerata czasopisma.

Zaczęłam kłamać. Coraz bardziej odczuwałam potrzebę kłamstwa w obecności Margaret.

- Jakiego czasopisma?

- „Atlantic Monthly”.

- Nigdy o tym nie słyszałam. Czy będzie mi odpowiadało?

- Być może.

- W każdym razie nie życzę sobie, żeby się w dużym pokoju gromadziły stosy czasopism.

- Będę je trzymała w swoim pokoju.

W kościele było ciemno od tłumu wiernych. A resztę światła pochłaniały posągi przybrane w swoje purpurowe materie. W powietrzu wisiało przeczucie jakiegoś niezwykłego wstrząsu, jakby klęczący tu ludzie oczekiwali tego popołudnia na burzę. Ja także uklęknęłam i zakryłam twarz rękami. Myślałam o Chrystusie, o śmierci Chrystusa. Przyszliśmy tu, by uznać obecność śmierci. Przyszliśmy tu, by uznać naszą własną nieuniknioną śmierć.

Mój ojciec nie żył, ta świadomość sprawiała ból. Kochałam go, ale moja miłość nie mogła mu pomóc. Nawet moja miłość nie uczyniła go odpornym. Chciałam wstrzyknąć mu tę miłość jak szczepionkę, by uchronić się od straty, jak się chroni miasto przed cholera. Ale moja miłość nie uchroniła go przed śmiercią, nie powstrzymała nawet tego impulsu jego mózgu, który zniszczył mu system nerwowy, mimo że stałam obok. Miłość nie powstrzymywała niczego, nawet najdrobniejszych katastrof. Mój ojciec umarł, ale nie ja go zabiłam, podobnie jak nie mogłam go ocalić. Ja też umrę, wszyscy obecni w tym kościele umrą. Wszyscy, których znam i kocham, umrą; ksiądz Mulcahy, Liz, Eleanor. I Hugo. Będą dla mnie straceni. Nadejdzie taki dzień, kiedy już więcej ich nie zobaczę.

Kłęczeliśmy tu, żeby potwierdzić tę prawdę; my wszyscy w to ciemne popołudnie. Byliśmy tutaj, żeby powiedzieć, że wiemy o śmierci, wiemy o stracie, że to nas nie zaskoczy. Ale oczywiście zaskoczy nas, zaskoczyło nawet Chrystusa w Ogrójcu.

Wkroczyli księża posepnym korowodem. Nie dzwoniły dzwony, na głowach parafian cisza legła jak wyrzut. Ale przecież byliśmy tutaj, by spotkać się z wyrzutami. Ksiądz czytał w imieniu Boga:

Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił?

W czymem zasmucił - albo w czym zawinił?

- *Jam cię wyzwolił z mocy faraona,*
- *A tyś przyrządził krzyż na Me ramiona!*
- *Jam ciebie szczepił, winnico, wybrana,*
- *A tyś Mnie octem poił, Swego Pana.*
- *Jam dla cię spuszczał na Egipt karanie,*
- *A tyś Mnie wydał na ubiczowanie.*
- *Morzem otworzył, byś szedł suchą nogą,*
- *A tyś Mi Włócznią bok otworzył srogą.*
- *Jam ci był wodzem w kolumnie obłoku,*
- *Tyś Mnie wiódł słuchać Pilata wyroku.*
- *Jam ci dał berło Judzie powierzone,*
- *A tyś Mi wtłoczył cierniową koronę.*

Lata okropności, straszliwej niewdzięczności, kto może dać Bogu zadośćuczynienie za głupotę i egoizm jego ludu? A jednak lud Boży, pokolenie za pokoleniem, kontynuuje popelnianie tych samych błędów.

Przyklękałam, by pocałować gigantyczny krucyfiks. Było to wulgarne, żałowałam, że księża przecierają chusteczką stopy Chrystusa po dotknięciu kolejnych warg. Wolałabym, żeby tego nie robili, a to sprawiło, że pożałowałam swego przyjścia tutaj po to, by ukłęknać i pocałować krzyż, pocałować i wyjść ze wszystkimi, jakbym była jedną z nich.

Chciałam jednak usłyszeć te słowa, ostre słowa Starego Testamentu, a potem słowa Jana. Chciałam usłyszeć tę historię opowiedzianą głośno, chciałam usłyszeć o Jego odpoczynku w ciemnym grobowcu. Chciałam usłyszeć to w obecności innych ludzi.

Bo istniała śmierć, i o tym trzeba było wiedzieć, a także zdrada i zaniedbanie przyjaciół w decydujących momentach, i ich sen. Chciałam również to uznać w obecności innych ludzi.

Szłam do domu z Margaret świadoma tego, jak porusza się moje ciało. Chrystus cierpiał fizycznie, ja także miałam ciało. Wiedziałam, że było zwodnicze, ale zdolne do

niewypowiedzianych rozkoszy. Chrystusa zdradzili najlepsi przyjaciele, ale moi przyjaciele trwali przy mnie jakimś cudem miłości, kiedy ja już przestałam ich kochać. Chrystus umarł, ale ja nie pragnęłam śmierci. Pragnęłam życia i ciała, które dane mi było dla mojej przyjemności i miłości tych, dla których kochanie stanowiło przyjemność.

Teraz wiedziałam już, czego chcę. Powiedziałam Margaret, żeby poszła do domu. Weszłam do drugstore'u, do telefonu. Serce wydawało mi się boleśnie powiększone, w ustach miałam sucho jak staruszka. Wykręciłam numer Eleanor.

Do cudów należy zaliczyć fakt, że Eleanor odebrała telefon. Słyszałam jej głos, wyraźny, delikatny, pełen miłości, jakby na mnie czekała.

- Izabelo, jak cudownie cię słyszeć.

- Ciebie też - powiedziałam i zaczęłam szlochać. - Eleanor, chcę prosić cię o coś, o co prosić nie mam prawa. Czy możesz tu zaraz przyjechać? Dziś wieczorem? Potrzebuję twojej pomocy. Muszę stąd zaraz wyjechać. Boję się zwlekać, boję się, że jeśli zaraz nie wyjadę, to umrę tutaj.

Reakcja Eleanor była natychmiastowa, jakby od miesięcy przygotowywała się do tego, co ja dopiero teraz sobie uświadomiłam.

- Będę wieczorem.

Płakałam dalej. - Eleanor, czy myślisz, że wszystko będzie dobrze?

- Tak - powiedziała z tamtej strony Eleanor płacząc wraz ze mną.

Tego wieczoru myślałam o tym, od czego chciałam uciec przyjeżdżając tutaj. Obiecałam Margaret, że z nią zostanę w ramach uznania własnej śmiertelności. Jeśli dzwoniłam do Eleanor, pisałam do Hugona, śpiewałam przy pianinie z księdzem Mulcahy, stawałam się podatna i wrażliwa na poczucie straty. Uświadomiłam sobie, że życie jest straszne, zawsze bowiem grozi niebezpieczeństwo utraty tego, co się kocha. Największa miłość oznaczała w końcu jedynie największe niebezpieczeństwo. Takie właśnie było życie. Monstrualne.

Ale pragnęłam życia. Nie Margaret. Fakt, że nie można jej było pokochać, czynił ją niezdolną do zadawania trwałego bólu. Mogła zepsuć duszę, ale nie mogła jej zniszczyć. Mogła to bowiem uczynić jedynie miłość i jej przypadki. W chwili śmierci Margaret nie odczuwałabym nic poza ulgą. Ale pragnęłam życia. Życia i straty.

Gdybym chciała, mogłabym pewnie mieć wszystko - miłość, pracę, przyjaciół. Gdybym chciała, mogłabym pewnie dawać w granicach rozsądku, nie oddając przy tym własnego życia. I może za mój ból otrzymałabym w nagrodę normalne życie.

Będę pracowała dla władz administracyjnych, rozdawcy miłosierdzia nie obciążonego miłością. Wydawało mi się niewybaczalne, że można się ośmielić pomagać komuś, kogo nie kocha się jako indywidualnej jednostki. Ale na przykład Margaret potrzebowała pomocy, a jej nie mogłam pokochać. Czy to oznacza, że nie

mam prawa jej pomóc? Może oznacza to jedynie, że nie mam prawa spodziewać się w zamian miłości.

Rządy dają pieniądze i nie oczekują miłości. Pieniądze są wspianiałe; gdyby można było rozdawać pieniądze nie oczekując w zamian miłości, można by zmieniać życie ludzi nie poświęcając przy tym własnego. Nie zmniejszyłoby to smutku pani Riesert, która chciała umrzeć, bo nikt na świecie nie kochał jej naprawdę. Ale pieniądze mogły złagodzić wiele smutku. Dla większości ludzi wielkim darem było zmniejszenie, złagodzenie cierpień i kłopotów. Życie Margaret stałoby się znośniejsze, gdyby nie musiała martwić się o pieniądze. A ja miałam pieniądze pochodzące ze sprzedaży domu. Przyszło mi do głowy, że po prostu dam jej te pieniądze, nie muszę jej oddawać swojego życia.

Margaret siedziała w kuchni przy świetle nędznej żarówki. Była wykrzywiona i nieszczęśliwa. Ale nie była bliska śmierci. Wydawała mi się nieśmiertelna, poruszająca się w powolnym tempie wymuszonej degradacji ciała. Wiedziałam, że muszę teraz to powiedzieć.

- Margaret, podjęłam decyzję - powiedziałam stając nad nią. Byłam znacznie od niej wyższa. Mogłaby budzić litość, ale ponieważ była sobą, potrafiła uczynić się tak małą jak czarownica, dla której największym niebezpieczeństwem były metamorfozy. Stojąc tak nad nią chciałam zrzec się swojej władzy. W tym oświeceniu Margaret nie była groźna, była po prostu tym, czym pewnie była zawsze: wyczerpaną, przestraszoną kobietą. Potrzebowała pomocy. Ja jej pomogę. Ale nie dam jej swojego życia.

- Zdałam sobie sprawę - zaczęłam rozsądnie jak starożytna Rzymianka, matka synów - że mój pobyt tutaj nie służy żadnej z nas.

- Więc co się ze mną stanie? - zapytała skomlącym głosem.

- Nie musisz się martwić. Dam ci to, na co zasługujesz. Powinnaś dostawać od nas jakiś rodzaj emerytury, od ojca i ode mnie. Pracowałaś u nas przez jedenaście lat. Coś ci się za to należy. Dam ci równowartość owej emerytury. Dam ci pieniądze, które wzięłam za dom. Będiesz mogła żyć wygodnie, bez strachu.

- Ale kto się będzie mną zajmował?

- Tego to już nie wiem. Nie znam cię na tyle dobrze, by na to odpowiedzieć.

Położyłam przed nią na stole czek na 20 000 dolarów. To było wszystko, co miałam. Ale uwolniłam się od Margaret, czułam się lekka, jakbym mogła przechodzić przez ściany, jakby moje stopy nie zostawiały żadnych śladów na twardym gruncie. Nie powiedziałam do Margaret już nic więcej, nie czekałam też, co ona ma do powiedzenia. Pozwoliła mi wyjść, jakby mnie nie dostrzegała. Nic między nami nie zostało. Margaret nie mogła mnie teraz dosięgnąć, byłam równie bezpieczna jak w czapeczce niewidce.

Zapakowałam swoje rzeczy. Musiałam zostać w swoim pokoju, czułam się słaba, jakby usunięto z mojego ciała coś ukrytego i rosnącego. Byłam lekka, moje ciało znów było sprawne i zręczne. Ale byłam też słaba, odczuwałam cudowną niepewność ruchów, właściwą rekonwalescentom.

Zasnęłam. We śnie widziałam własne ciało unoszące się nad łóżkiem, podróżujące, odwiedzające nieznajomych. Zaczęło się rozwidniać. Usłyszałam samochód zatrzymujący się przed domem. Spojrzałam na zegarek. Była za kwadrans trzecia. Wyjrzałam przez okno. Z samochodu wysiadła Eleanor. I Liz. Liz stała obok niej zagrażająca obcym jak woźnica rydwanu. Wzięłam obydwie walizki i cicho zesłam ze schodów.

Moje dwie przyjaciółki czekały na mnie stojąc po przeciwnych stronach samochodu. W dziwnym świetle wydawały się pozbawione cielesności, tak jak ja pozbawiona byłam ciężaru.

- Gotowa? - spytała Eleanor, piękna, niechętna złodziejka, przekonana o tym, że zostanie schwytana, ale w cudowny sposób uchroniona przed karą.

Liz spojrzała na mnie, a oczy jej uniosły się w górę i na dół w szybkim akcie oceny.

- Kto cię strzygł?, Annette Funicello?

Wszystkie trzy wybuchnęłyśmy śmiechem. Cudem była dla mnie trwała niezawodność tego żartu. Nawet jego złośliwość należała do cudów. Nasz śmiech był zdecydowany. Poruszył powietrze i unosił się nad nami.

- Będę musiała na jakiś czas zamieszkać u Eleanor, zanim nie schudnę. Nie mogę się w tym stanie nikomu pokazać.

- Oczywiście - powiedziała Eleanor, tworząc nad nami kolejny krąg.

Było to tak proste i określone. Wiedziałam, co będę robić. Jak bardzo kochałam tę niezawodność moich przyjaciółek, ich istnienie też graniczące z cudem. Bo przyjechały w tej samej chwili, kiedy je wezwałam i były tu przy mnie w tym kruchym i podniecającym chłodzie wstającego dnia.

- Jedźmy - powiedziałam.

Wsiadłyśmy do samochodu. Nawet nie podałyśmy sobie rąk. Spojrzałam za siebie. Niewielki domek zmniejszył się i przysiadł w miarę zwiększania się odległości. Oparłam się łokciami o oparcie przedniego siedzenia, na którym siedziały moje przyjaciółki. Przez chwilę trzymałam głowę pochyloną. Potem się wyprostowałam. Wielką przyjemność sprawiało mi przebywanie w ich towarzystwie. Tyle miałam im do powiedzenia.